

Leopold Tyrmand

Gorzki smak czekolady Lucullus

Chwila zwierzeń autora, czyli przedmowa

Wybitny znawca przedmów – Kubuś Puchatek doszedł niegdyś do wniosku, że nieduża przedmowa winna zwać się przedmówką, zaś przedmówka i wymówka to w gruncie rzeczy jedno i to samo. W stwierdzeniu tym tkwi mądrość równie potężna, jak prosta; taka sama zresztą, jaka nasyciała wszystkie Wielkie Myśli o Niczym znakomitego pluszowego filozofa. Zbrojny w tę prawdę postanowiłem niczego nie owijać w bawełnę i ominąć zdradzieckie rafy zawołanych wymówek, które w końcu i tak zawsze rozpozna czytelnik – ten nieugięty i doświadczony nawigator wśród oceanu słów. Dlatego nazwałem ją przedmową chwilą zwierzeń.

W zwierzeniach łatwiej jest wsączać krople żywych, kolorowych uczuć, a ja przyznać muszę, że tomik ten bardzo mi jest drogi. Opowiadanie „Niedziela w Stavanger” stanowi właściwie pierwszy twór mego ołówka. To dziwne zdanie wymaga wyjaśnienia: otóż jako dziennikarz zawsze używałem maszyny do pisania i po ołówek sięgnąłem dopiero wtedy, gdy po moją osobę sięgnął bies beletrystyki. Przez młodość, powiedzmy to sobie otwarcie, bynajmniej nie tęskniłem do pisania. Żywiłem wręcz głębokie przekonanie, że na pisanie szkoda czasu, że należy żyć szybko, różnorako i nigdy nie zamykać oczu, nawet wobec błysków eksplozji i dławiącego lęku; wyznać też muszę, iż często w czasie owej młodości robiło się różne rzeczy dlatego tylko, aby ładnie potem wyglądały zanotowane w pamięci lub na papierze. W ten sposób, z zapisywanych na gorąco wspomnień dnia wczorajszego, zaczęta została jeszcze w czasie wojny niezdarne, na poły dziennikarska, na pół pamiętnikowa „Niedziela w Stavanger”.

Jesienią 1946 roku „Przekrój”, najpoczytniejszy wówczas magazyn literacki Europy Środkowej, wydrukował „Niedzielę w Stavanger”, opatrzony ilustracjami. Gdy ujrzałem prawdziwe zdarzenia, odbite w artystycznym zwierciadle graficznej fikcji, demon beletrystyki opętał mnie na krótko bez reszty. Usiadłem i napisałem „Hotel Ansgar” – równie niezręczny i pełen ukochanych wspomnień jak jego pierwotna siostra „Niedziela”. Po czym wróciłem na długie lata do dziennikarstwa i publicystyki – mego właściwego zawodu. W gęstwie tych długich lat ulegałem jeszcze parę razy rzeczonemu szatanowi, który już tylko korzystał z chwili rzewnej słabości dla umykających w tył wspomnień młodzieńczego wieku. Sięgałem wtedy po ołówek i spisywałem „Kajaluka” czy „Tübingen ma białe kominy”. Były to jednak sięgnięcia fragmentaryczne, przypominające lekkie sentymentalne grypy, nietrudne w leczeniu.

Dlaczego odgrzebuję to wszystko w przedmowie, która ma nie być wymówką? Myślę, że po to, aby ujawnić swe przywiązanie do najpierwszych dzieci. Fragmentaryczne kontakty z beletrystyką pozostają przeważnie zawsze pierwocinami. Nie mam co do tego wątpliwości i może dlatego są one mi bardzo drogie. Kocha się je jak dzieci ułomne czy upośledzone. Tym mocniej, gdy w życiu piszącego rodzą się na przełomie trzeciego i czwartego krzyżyka, czyli w nader późnym literacko wieku, oraz kiedy po napisaniu wędrują do szuflady. Albowiem – jak to wynika z chronologii – większość poniższych nowel zrodziła się w okresie,

gdy znakomitsze od nich twory rozlicznych piór znajdowały jedyne schronienia w szufladzie. Nawiasem mówiąc: stoczyłem dość zaciekłą potyczkę z pokusą, by niniejszego tomiku nie opatrzyć tytułem „Opowiadania szufladowe”.

Jedno z poniższych opowiadań znalazło się w zbiorze pod nazwą „Hotel Ansgar”, wydanym w roku 1948. Była to właśnie „Niedziela w Stavanger”. Zbiorek cieszył się pewnym powodzeniem i dość szybko znikł z półek księgarskich. Pojawiły się recenzje, na adres mój zaczęły napływać listy od czytelników. Zarówno w recenzjach – w sposób ironicznie taktowny – jak i w listach – w sposób prosty i bezpośredni – przewijał się ten sam motyw ukrytych lub otwartych zapytań: czy to wszystko prawda? czy zdarzenia, zawarte w opowiadaniach, są zmyślane czy prawdziwe? czy bohater nowel i autor to ta sama osoba? czy autor to wszystko sam przeżył?

Wydaje mi się, że największym przywilejem zwierzeń jest szczerość, zwykła szczerość, płynąca z chęci dokładnego zbadania sprawy. Pragnę skorzystać z tego przywileju i odpowiedzieć na te pytania – na pytania, które padły, i na pytania, które być może znów się zjawiają, na to pytanie wreszcie, które zrodziło się niedawno we mnie, gdy zagłębiłem się w część starych maszynopisów, by je przygotować do druku. Pytanie brzmiało: jak to w istocie było naprawdę? Bo przecież wspomnienia zacierają się tak nieuchronnie i tak łudząco...

Otóż opowiadania, zawarte w pierwszej części tego tomiku, zawierają prawdę. Prawdę kompilacyjną. Znaczący to, że poszczególne fakty, opisane w nich, miały miejsce w rzeczywistości, nie wszystkie jednak były tak uszeregowane i powiązane ze sobą, jak to ma miejsce w fabułach nowel. Nie wszystkie z nich były udziałem jednego bohatera – jak to trochę sugerują nowele – i nie wszędzie z kolei bohater nowel jest postacią jednoznaczną z autorem. Po prostu autor splótł własne przeżycia z zasłyszczanymi w określonym czasie, środowisku i okolicznościach relacjami o zdarzeniach, wszystko dokładnie poplątał i pogmatwał i w ten sposób powstała nowa relacja – literacka – w której nikt, łącznie z autorem, nie może się dokładnie zorientować, zwłaszcza po tylu latach, gdzie, czyj autentyzm do kogo się odnosi. Autentyczność zdarzeń jest niewątpliwa, lecz zarówno czytelnik, jak i autor padają ofiarą wspomnieniowych perspektyw – autora w dodatku gubi styl narracji, utrzymany w pierwszej osobie. Realia opowiadań są wystarczająco przekonujące i sprawiają, że czytelnik przyjmuje je bez poprawki na literackość. Stąd pierwszy, nieodparty wniosek: opowiadający przeżył to wszystko sam, zaś opowiadający to...

W końcu dochodzi do takich scen jak wtedy w Zakopanem. Na stacji kolejki linowej w Kuźnicach podszedł do mnie jakiś przystojny facet o wyglądzie narciarskiej „strasznej kosi”, w czarnym skafandrze, przedstawił się i spytał: – To pan jest autorem książki pod tytułem „Hotel Ansgar”? – Tak, to ja – odparłem skromnie. – No, wie pan... – zdziwił się – dokonuje pan w tej książce tak niezwykłych czynów, że wyobrażałem sobie pana jako wysokiego, potężnie zbudowanego blondyna, a tymczasem...

Oburzyła mnie ta bezmyślna niewiara w możliwości ludzi niewysokich i ciemnowłosych, to niczym nie uzasadnione przekonanie, że kaliber czynów zależy od kalibru postaci.
– Widzi pan... – odparłem nie bez melancholii – ja się bardzo zmieniłem... Wtedy, na Atlantyku, było inaczej. Minęły, niestety, te czasy, gdy byłem wysokim blondynem o niebieskich, nieustraszonych oczach...
Facet spojrzał na mnie tępo i chciał coś powiedzieć, lecz ja skłoniłem się lekko i oddaliłem z godnością.

Warszawa, październik 1956 r.

Część pierwsza

Gorzki smak czekolady Lucullus

Nazwisko wasze?

– Panhard.

– Imię?

– Guy. Guy Panhard.

– Skąd?

– Z Paryża.

– Z samego Paryża? – inspektor meldunkowy uśmiechnął się z sympatią, instynktowną sympatią, na dźwięk nazwy miasta, miłego każdemu Europejczykowi. – Paryż to ładne miasto.

– Ładne – rzekł Guy. – I duże.

– Byłem tam trzy miesiące. Zaraz po zdobyciu Paryża przez nasze wojska.

– To ładnie z pana strony – rzekł chłodno Panhard.

– Pan mówi dobrze po niemiecku – urzędnik wykazywał skłonności ku gawędziarstwu – gdzie się pan tak dobrze nauczył?

– W szkole.

– To u was uczą w szkole po niemiecku?

– Uczą.

– Ale żeby tak dobrze się nauczyć? Ja uczyłem się po francusku w szkole i nic nie pamiętam. Tylko takie skrawki, niech pan posłucha: „Allons enfants de la patrielle jour de gloire est arrive...” Poprawnie?

– Bardzo dobrze – pochwalił Panhard. Słowa tej pieśni w wykonaniu urzędnika policji, w gmachu prezydium policji w Moguncji, w czterdziestym drugim roku, nabierały specjalnego czaru.

– To świetnie, że nareszcie możemy ze sobą przyjaźnie rozmawiać. Ja zawsze miałem słabość dla Francji. A to, że możemy, zawdzięczamy i my, i wy naszemu Führerowi.

– Kiedy mam odebrać karty? – spytał grzecznie Panhard.

– Co pani o tym sądzi? Kiedy karty będą gotowe? – inspektor zwrócił się do siedzącej przy sąsiednim biurku dziewczyny.

Dziewczyna uniosła głowę i okazało się, że ma szare, tak świetliste oczy, jakich Panhard dotąd w życiu nie widział.

– Nie mogę dokładnie powiedzieć – rzekła odpychająco i opryskliwie – może za tydzień. Z kartotekami jest dużo roboty.

Wstała i podeszła do stojącego w ciemnym kącie regału. Była wysoka, wyższa nawet nieco od Panharda. Na jej samodziałowym tyrolskim swetrze z grubej wełny widniała duża odznaka BDM – hitlerowskiej organizacji dziewcząt.

– Szkoda – rzekł Panhard. – Nasi ludzie mają trudności z wychodzeniem po pracy do miasta. Bez tych kart trudno się poruszać. A przecież im się to należy.

– Należy – rzekł inspektor. – Niech pan przyjdzie w przyszłym tygodniu. Aha – dodał – czym

pan jest z zawodu, panie Panhard?

– Studiowałem historię sztuki.

– I co pan teraz robi u nas, na kolei?

– Jestem tłumaczem.

– No, tak, wojna. Nie ma rady. Trudno.

Wychodząc z gmachu prezydium policji w ciasną Klarastrasse, Panhard odetchnął z ulgą. Śliczny, stary barok nadreński, rozkwitły w tych wąskich uliczkach jak cenne, delikatne kwiaty, hodowane w pieczołowitym zamknięciu, wzbudzał w nim zawsze radość.

Przystępność inspektora meldunkowego rokowała dobre nadzieje. Nie śpiesząc się szedł przez miasto w stronę dworca towarowego. Była pogodna wiosna, kobiety spoglądały nań z zainteresowaniem. Był smukły, ubrany schludnie i z pewnym kolorowym wdziękiem. Nie sprawiał wrażenia cudzoziemskiego robotnika w Niemczech.

– Karty będą w przyszłym tygodniu – rzekł do Webera, wchodząc do baraku.

Weber był niemieckim szefem obozu; miał rybie oczy, plattfus i szerokie biodra. Mimo swej niemieckiej urody chwalił się nieustannie udziałem w poprzedniej wojnie. Podobno był wzorowym kasjerem kolejowym przez długie lata. Wyglądał na takiego i skrzętnie skrywał cierpienia natury hemoroidalnej.

– Powiedzcie to ludziom sami, Panhard. Ja mam dosyć tych ciągłych złorzeczeń i awantur o karty.

– Dobrze. Idę na obiad.

W kuchni mieszał zupę Wincenty Kozioł.

– Co dziś na obiad? – spytał Panhard.

– Jarzynowa.

– I to wszystko?

– To wszystko. Jak z kartami, panie Dollmetsch?

– Będą w przyszłym tygodniu.

– Cholera. Dopiero?

– Daj mi, Kozioł, miskę tego błota twojego wyrobu.

Kozioł zostawił wielką chochlę w ogromnych rozmiarów kotle, otworzył drzwiczki kuchennej duchówki i wyjął blaszaną miskę, pełną duszonych, przyrumienionych na słoninie ziemniaków. Wyglądało to apetycznie i pachniało urzekająco.

– To dla pana. Premia za wycieczkę na Klarastrasse.

– Mówiłem ci już, Kozioł, żebyś tego nie robił. Nie chcę nic innego niż wszyscy. Dość mam tych wielkich afer o cztery kartofle.

– Owa, po co ten krzyk – Kozioł był kucharzem, a więc człowiekiem rozsądnym. – Jak ja gotuję zupę dla sześćdziesięciu Francuzów i stu dwunastu Polaków, to moje najświętsze prawo jest odstawić trochę ziemniaków i parę skwarek na bok. Jeszcze nie było takiego, który by potrafił powiedzieć, że nie. Pan tego nie rozumie, panie Dollmetsch, że nikomu się tu nie dzieje krzywda, bo takie jest prawo życia.

– Głupstwa mówisz, Kozioł – Panhard usiadł na beczce po kapuście i wziął gorącą miskę

między kolana. Jadł wolno, estetycznie i ze smakiem. – To ty nie jesteś w stanie tego nigdy zrozumieć, że równość nie polega na dokładnie jednakowym podziale dóbr, ale na jednakowo przyjętych na siebie obowiązkach i trudnościach.

– Nie znam się na tym, ale myślę, że to bzdura. Nasi chłopcy nie wyglądają za dobrze i nie chorują z przejedzenia, prawda? Ale czy chociaż jeden zaszurał kiedy, że ja tak wyglądam, jak wyglądam? Kucharz musi tak wyglądać jak ja, bo inaczej, co by to był za kucharz. Nie mieliby do niego zaufania, a tak jest wszystko w porządku.

Rzeczywiście – Kozioł wyglądał jak reklama mączki „Nestle”, gdyby nie wielodniowy zarost. Był różowy, pyzaty, jego szerokie bary rozpychały koszulę.

– A jak pan widzi, że chłopcy są głodni i boli pana o to serce, to niech się pan rżnie z kotami, żeby zwiększyli przydział chleba i margaryny. To nasze, co kotom z gardła wyrwiemy, a pan musi się najeść, żeby się z nimi użerać.

– No, chyba robię, co mogę – Panhard uśmiechnął się skromnie. Odpowiadała mu ta logika.

– Wiesz przecież, ile razy awanturowałem się o to w Bahnmeistere i nic.

– To trzeba dalej. Aż do skutku.

– Jasne – Panhard skończył jeść, podziękował i skrzył dwa papierosy. Czuł się wyśmienicie, jak po dobrym obiedzie u Capoulade’a. – Powiedz, Kozioł, czy to jest jakiś polski przysmak narodowy, takie ziemniaki?

– A tak. To u nas robiło się prezydentowi na pierwsze śniadanie.

– Idiota – rzekł czule Panhard. – Wyobrażam sobie, jak bardzo cenionym kucharzem byłeś w Warszawie.

– To może za dużo – rzekł skromnie Kozioł, po czym dodał z godnością – byłem kucharzem wojskowym.

Kłamał, ale z wdziękiem. Z zawodu był wysoce poważnym pajęczarzem z okolic placu Kazimierza i tylko kiedyś przez tydzień, przydzielony do kuchni polowej na manewrach, zastępował kucharza, który złamał nogę.

– Co macie dziś do roboty, Dollmetscher? – spytał Weber rozpinając kołnierz munduru i wyjmując termos z teczki.

– Idę z Collinem i Ferrettim do doktora – rzekł Panhard, ziewając w okno. Za barakiem widać było szyny, tory, hałdy węgla, pojedyncze wagony, parowozownię i całe zaplecze dużej stacji węzłowej.

– Co im jest?

– Collinowi spadła szpała na nogę i ma tak spuchnięty palec jak pańska głowa, Weber. Ferretti ma biegunkę. Za dużo zupy. Już czas zwiększyć przydział chleba.

– Dollmetscher, wiecie, że to jest niemożliwe. I tak obóz otrzymuje najwyższą normę przewidzianą dla cudzoziemskich sił roboczych.

– Nieprawda. Włosi z Bischofsheimu dostają dwa razy tyle.

– Ja to sprawdzę.

– Nie potrzebuje pan sprawdzać, Weber. Pan dobrze o tym wie.

– No, to co, że wiem? Co ja mogę zrobić? Czy to moje zarządzenie? Ja bym wam dał mandarynki, gdybym miał...

Przez chwilę milczeli. „Wszyscy jesteście dobrzy – myślał Panhard – tylko że niestety śmierci na was nie ma...”

„Te draby poderżną nam kiedyś gardła – myślał Weber – najlepiej byłoby zrobić z nimi koniec, tylko kto wtedy będzie pracować?...”

– Jak wstapicie do Bahnmeisterei, to weźcie dla Polaków Bezugscheiny na obuwie robocze – rzekł Weber.

– Po co? Przecież nikt nie kupi tych drewniaków za swoje ciężko zapracowane fenigi.

– Moje dzieci chodzą do szkoły w drewniakach! – zaperzył się Weber – a tym brudnym Polakom nie wypada! Nie trzeba było zaczynać wojny!

– Niech pan to powie Polakom. Może dadzą panu kilka par w prezencie. Tylko niech pan uważa, żeby nie rzucali.

– Aha, był telefon do was, Panhard. Z prezydium policji.

– Z prezydium? – Panhard poczuł lekką czczość w okolicy serca. Trwało to chwilę, zaraz się opanował. Takiego uczucia doznawali w Niemczech wszyscy cudzoziemcy na dźwięk słowa „policja”, albowiem nie było w Rzeszy cudzoziemca o czystym sumieniu. Sam fakt, że się nie było Niemcem, obciążał w tym państwie sumienie.

– Z Klarastrasse. Jakiś inspektor Boettger. Powiedział, abyście tam dziś zatelefonowali.

– Dobrze. Zaraz zatelefonuję – rzekł Panhard z ulgą. Skoro tylko telefon wchodził w grę, nie było jeszcze najgorzej.

Wyszedł z baraku i poszedł przez tory w stronę brudnego, odrapanego budynku z surowej cegły, nad którym wisiała tablica z czarnym, dobitnie kolejowym napisem: Bahnmeisterei Maisz – Hbf.

– Dzień dobry – rzekł wchodząc do biura.

– Heil Hitler. Co jest znowu? – urzędnik, który to powiedział, nosił czarne zarękawki na kolejarskim mundurze, grube okulary na nosie i był krostowaty.

– Czy można zatelefonować?

– Co znowu?

– Podobno telefonowali tu po mnie z Klarastrasse.

– Zdaje się. Telefonujcie. Myślę, że we Francji były jakieś telefony i umiecie się posługiwać takim aparatem.

– Spróbuję – Panhard uśmiechnął się do krostowatego. Był młodym, zdrowym, przystojnym mężczyzną, co drażniło krostowatego niewymownie.

Nakręcił numer. Jakiś kobiecy głos odezwał się w słuchawce.

– Prezydium policji. Pokój trzysta osiem.

– Tu Panhard, tłumacz obozu Deutsche Reichsbahn przy Mombacherstrasse. Czy mógłbym prosić pana inspektora Boettgera.

– Nie, panie Panhard, nie trzeba. Moje nazwisko jest Koehler, Gerda Koehler. Widzieliśmy się przedwczoraj, kiedy był pan u nas w sprawie kart. To ja dzwoniłam dziś rano w imieniu

inspektora Boettgera. Chciałam pana prosić, aby pan przyszedł dziś do nas, o ile to możliwe.

– „Co się dzieje? – pomyślał błyskawicznie Panhard – czego ona może chcieć? Uważaj, chłopcze, uważaj...”

– Postaram się zaraz porozumieć z moim szefem – rzekł po krótkiej chwili przerwy. – Proszę powiedzieć panu inspektorowi, że przyjdę, pann...

Urwał w pół słowa, gdyż zauważył badawczy wzrok krostowatego. „Po co ma, wszarz, wiedzieć, że rozmawiam z kobietą...” – pomyślał.

– Doskonale. A więc czekam, panie Panhard. Do widzenia.

– Do widzenia.

Wyskoczył z biura w stronę baraku. Na głównym torze sunął powoli długi pociąg, pełen żołnierzy. Żołnierze śmieli się, śpiewali, wymachiwali rękami do pracujących na torach kobiet z napisem „Ost” na plecach. Był to czas, kiedy żołnierzom niemieckim było jeszcze wesoło.

„Czego oni mogą chcieć ode mnie? – denerwował się Panhard oczekując przejścia pociągu – nic nie wspominała o kartach. I jaka nagle uprzejma... – przypomniał sobie nadętą minę hitlerowskiej urzędniczki – nic nie rozumiem...”

Webera nie było w baraku. Panhard poszedł do kuchni, w której Kozioł stawiał diagnozę w sprawie palca Collina. Palec u lewej nogi był potwornie rozdęty nie dobrą, ropną opuchliną.

– Trzeba naciąć. Chcesz, mam dobrą żyłtkę, nie zardzewiałą. Opalę ją i zrobię ci. Po cholere masz wlec się do lekarza – radził Kozioł.

– Nix, nix... – bronił się rozpaczliwie Collin. Nie znał niemieckiego na tyle, aby skutecznie protestować, ale rozumiał dobrze całą grozę propozycji Kozła.

– Zostaw go – rzekł Panhard – pójdę z nim po południu do doktora. Słuchaj, Kozioł, jak przyjdzie Weber, to powiedz, że poszedłem na Klarastrasse. Wzywają mnie.

– Co się stało? Czego znowu chcą?

– Nie wiem.

– Może w sprawie kart?

– Może.

– Niech pan ich poprosi, panie Dollmetsch, bo bez tych kart żadne życie.

– Jeszcze czego, prosić ich będę. Karty należą się, nie jesteśmy jeńcami ani niewolnikami, ich obowiązkiem jest dać i już.

– Ojej, panie Dollmetsch, ja pana nie rozumiem. Korona panu z głowy spadnie, jak pan poprosi? Co za dziwni ludzie, jak Boga kocham, o co tu drzeć się? Alianci nie przegrają wojny, jak pan poprosi, a także będzie pan mógł bez wstydu spojrzeć w oczy swemu staremu ojcu po powrocie do domu. A tu ludzie będą mieli pożytek.

– Już dobrze. Zobaczą.

Wstał na chwilę do siebie, zmienił koszulę i wpuścił kolorowy szalik w otwarty kołnierzyk. „Trzeba wyglądać jak człowiek. Nie okazywać wrogom zapuszczenia i dbać o utrzymanie stopy życiowej” – uzasadnił wobec siebie te czynności.

Szybko przeszedł wiadukt i wskoczył do tramwaju, z którego wysiadł na rogu Klarastrasse

i Emmeransstrasse. Po kilku minutach pukał do pokoju trzysta osiem.

– Wejść – odpowiedział kobiecie głos ze środka.

Gerda Koehler była sama w pokoju.

– A... to pan – powiedziała.

– Czy zastałem inspektora Boettgera?

– Nie. Niech pan siada.

– Dziękuję.

Usiadł naprzeciw niej przy biurku.

– Karty jeszcze nie są gotowe.

– Szkoda. Niedobrze. Jest mi przykro wobec naszych ludzi, że to trwa tak długo.

– Mniejsza o to. Panie Panhard, to ja pana wezwałam, a nie inspektor Boettger.

– O! – rzekł Panhard inteligentnie.

– Boettgera nie ma. Wyjechał służbowo.

– To interesujące – rzekł Panhard, lecz natychmiast uznał, że uwaga ta może się wydać podejrzana i dodał szybko: – To przyjemne – co z kolei wydało mu się całkiem głupie i poprawił na: – To ładnie z jego strony, że daje pani trochę wytchnienia w tej nieustannej pracy.

Gerda zarumieniała się. Jej wzrok tkwił w kawałku bibuły, na którym rysowała bez przerwy drobne znaczki starannie zatemperowanym kopiowym ołówkiem. Były to malutkie swastyki.

– Chciałabym panu pomóc – rzekła cicho.

– Pomóc? – zdziwił się Panhard i zamilkł. Było to zbyt nieoczekiwane, aby od razu zająć wobec tego jakieś stanowisko.

– Wyobrażam sobie, jak panu jest źle w tym okropnym obozie, wśród tych strasznych ludzi. Wśród tych francuskich przestępców i półdzikich Polaków.

– Najgorzej jest z jedzeniem – rzekł zdecydowanie Panhard. „Trzeba być politykiem – pomyślał – polityka polega na niezapominaniu o najważniejszym w każdej sytuacji...”

– Tak. To smutne. My sami, jak pan widzi, nie mamy za wiele.

– No, tak – rzekł Panhard myśląc: „Tylko jak to się dzieje, że wszyscy wyglądacie jak po tucznej kuracji dla gruźlików...”

– Czy miał pan kiedyś do czynienia z kreśleniami?

– Tttak. Kreśliło się coś niecoś – rzekł niepewnie.

– Widzi pan, ja mam znajomych w zakładach MAN, w Gustavsburgu pod Moguncją. Tam potrzebują kreślarzy. Może uda mi się coś załatwić.

– To byłoby świetnie – rzekł Panhard. „Co za bzdura! – pomyślał. – Ale nic. Aby nie tracić kontaktu. Zobaczmy, co z tego wyjdzie...”

– Muszę się dziś porozumieć z moimi znajomymi, a jutro chciałabym się z panem spotkać – Gerda zarumieniała się ponownie.

– Przyjdę wobec tego jutro.

– Nie. Wolalabym na innym gruncie. Rozumie pan... – wzrok Gerdy tkwił znów w bibule.

Malutkie swastyki mnożyły się w oszalamiającym tempie.

- Wobec tego – gdzie? – spytał wyraźnie Panhard ze swobodą światowca, obytego w sprawach schadzek, spotkań, umawiania się.
- Zna pan skwer przed wejściem do szpitala miejskiego? – rzekła szybko Gerda.
- Znam – odpowiedział równie szybko i skwapliwie Panhard. Jasne dlań stało się, że każdy szczegół był tu opracowany i przemyślany zawczasu. Za szpitalem rozciągała się obszerna, willowa i parkowa dzielnica, pusta i ustronna.
- A zatem na tym skwerku, jutro o szóstej.
- Znakomicie. Dziękuję.
- Po co, na razie... Tylko... – policzki Gerdy przybrały kolor piwonii, koniuszki uszu, widoczne przy schludnie szczesanych „a la Gretchen” jasnych włosach, płonęły podnieceniem. – Tylko... proszę przyjść bez tego szalika. To zbyt wyzywające jak na prowincjonalne niemieckie miasto... Bez niego wygląda pan jak każdy przyzwoity Niemiec... Panhard uśmiechnął się ze zrozumieniem i ujął wyciągniętą pożegnalnie rękę. „Boi się – pomyślał z ulgą – to dobrze, bo ja się też bardzo boję...”

Wrócił akurat na obiad. W baraku pełno było ludzi, zaduchu, błota, zgrzytu blaszanych łyżek, zderzających się z dnem wylizywanych do cna blaszanych talerzy. Ludzie siedzieli przy stołach w uwalanych, granatowych drelichach roboczych, przepoconych swetrach i rudych od szlamu gumowych butach. Polacy, skończywszy jeść, grali w „oko”, Francuzi pitrasili sobie dodatkowe porcje kradzionej cebuli i kartofli. „Cholera! – zaklął w duchu – jak tu się od tego gówna uwolnić? Gdyby ta Koehler... Chociaż żeby mieszkać na mieście, sam, w sublokatorskim pokoju...”

- Coś taki elegancki? – zagadnął go stary Dernault, marsylczyk, włóczęga i pijak.
- Reprezentuję jak mogę naszą piękną Francję – odparł twardo Panhard – trzeba wam jakoś pomagać.
- Co z kartami? – rzucił ktoś ze środka stołu. Polacy, na dźwięk słowa „karty”, oderwali się od „oka”. To były także i ich sprawy.
- Jeszcze nie dali.
- Słuchaj, Panhard – Dernault uniósł się z ławy z gestem starego, wytrawnego demagoga z podejrzanych knajp – nie na to my cię trzymamy w ciepłym baraku, żebyś sobie urządzał z Kozłem wytworne obiady i tył. Albo będziesz załatwiał sprawy, jak należy, albo przespacerujesz się z nami do dźwigania szpał. No nie?...
- Słuchaj, Dernault – rzekł zimno Panhard – ty mnie szpałami nie strasz, bo ja się ani roboty, ani ciebie nie boję. Całe przedpołudnie klóciłem się na policji o wasze parszywe karty i nic. Jak wam się nie podoba, to użerajcie się sami z Niemcami o karty, o marmoladę, o zwolnienia, pyskujcie u lekarzy, w Bahnmeistere i diabli wiedzą gdzie. A to, czy mnie jest ciepło, czy nie, to niech cię głowa nie boli, dam sobie radę. Nie zginę.
- Stół zmienił się natychmiast w trybunę. – Ma rację! Dajcie mu spokój! Robi, co może – krzyczeli jedni. – Wygląda jak na urlopie! Patrzy tylko, aby się migać! Tyramy na niego! – awanturowali się drudzy. W spojrzeniach Polaków, asystujących przy rozróbce z pełną

satysfakcją, raczej nie było sympatii dla Pan – harda.

– Looos! – rozległ się krzyk od progu. – Do roboty! Wychodzić, wy, cudzoziemskie bydło! Koniec żarcia!

Mały, apoplektyczny kolejarz, zwany „Trąbką”, postrach obozu, miotał się w baraku, przewracając stołki, szarpiąc jedzących, wypychając na dwór. „Trąbka” nie był w gruncie rzeczy najgorszy, z Polakami nawet pił tani fuzel po nocach, jako nadzorca jednak zbyt upajał się władzą. Panharda obchodził raczej z dala.

– Nie miej do mnie żalu, stary – rzekł przymilnie Dernault, przechodząc obok Panharda. – Wiesz, my, prawdziwi republikanie, mamy obowiązek zachowywać tradycje wolnej krytyki w tym faszystowskim kraju... – dodał z fałszywym uśmiechem na zdartej przez alkohol i tanią rozpustę twarzy.

– Skądże znowu, przyjacielu – uśmiechnął się Panhard. – Żal? O co?... – i pomyślał niespokojnie: „Czyżby ten stary łotr wiedział coś o mnie? Póki jestem silniejszy i mnie potrzebuje, to niegroźne, ale gdyby było inaczej...”

– Ja ci pokażę jeść! Ty świni! – wrzasnął „Trąbka” strącając ze stołka młodego Polaka, który kończył wylizywać swą miskę, i wyrzucając go zręcznym kopnięciem z baraku. „O, Boże – westchnął Panhard w duchu – powstrzymaj mą nogę! Albo pozwól mi nareszcie kopnąć «Trąbkę» w bandzioch i niech wreszcie będzie koniec tym upokorzeniom...”

– No i jak tam, panie Pfeiffer? – zwrócił się pogodnie do „Trąbki”. – Dużo roboty?

– Jak zawsze z tą trzodą – rzekł spokojnie „Trąbka” skręcając papierosa i częstując Panharda. „O, Boże! Pozwól! Raz w mordę i tą czerwoną, łysą pałą o ścianę, o podłogę, pod obcas! Co za los tłumacza! Z wszystkimi trzeba być dobrze po to, aby ludziom czynić dobrze...” – wzdychał ciężko Panhard biorąc bibułkę i tytoń.

– Ilu chorych? – spytał „Trąbka”.

– Dwóch. Ferretti – biegunka i Collin – narwany palec.

– Żeby mi jutro byli zdrowi.

– Tego panu nie mogę przyrzec, panie Pfeiffer.

– Już ja ich sprawdzę! – krzyknął „Trąbka” i wybiegł z baraku.

– Słyszeliście? – rzekł Panhard podchodząc do piętrowych łóżek w głębi.

– Idziemy zaraz do doktora? – spytał Collin.

– Nie, synku. Pójdziemy jutro po południu i to prosto do szpitala.

– Kiedy mnie boli. Chcę z tym jak najszybciej skończyć.

– Poczekasz do jutra. Za to pójdziesz o dzień później do roboty. Już ja to załatwię. Powiem, żeś nie mógł chodzić. Co, nie opłaca ci się?

– Cudownie – rzekł słabym głosem Ferretti – jesteś porządny chłop, Panhard.

Za piętnaście szósta Panhard wyszedł ze szpitala. Pożegnał Collina, który powłókł się sam do baraku, Ferretti został na badaniu do następnego dnia.

Przed szpitalem rozciągał się duży, ukwiecony skwer. Panhard usiadł na ławce naprzeciwko przystanku autobusowego i zapalił papierosa „Drava”. Papierosów tych dostarczali do obozu

Polacy wprost od jeńców jugosłowiańskich, dzięki czemu kosztowały one względnie tanio. „Uważaj, chłopcze – powtarzał sobie bez przerwy – ta dziewczyna podoba ci się, przeto uważaj. Nie masz przecież ochoty znaleźć się w sytuacji tych dwóch Polaków, których tak efektownie powieszono na placu publicznym w Kostheim za stosunki z Niemkami. Uważaj, uważaj. A zresztą ona chyba o tym wie równie dobrze, już ją tam nauczyli w BDM i w Hitlerjugend, że nie wolno, że hańba, że Żydzi, Murzyni, Polacy, Francuzi, a nawet Włosi – sprzymierzeńcy to be, że tego nie wolno, że oni brudni, cuchnący, rasowo niżsi. I że jej zgoli się głowę za takie figle i na roboty, do koncentraka, aha... A zatem – czego ona chce? Pomóc mi? Wrogowi, Francuzowi, przekłętemu cudzoziemcowi? Wolne żarty. Więc co? Uważaj, synku, uważaj, nie wolno ci na chwilę zapomnieć, żeś tu przyjechał wprawdzie dobrowolnie, ale nie dla przyjemności, nie na turystykę, ani tym mniej na konkiety. Że ratujesz nagie, zwykłe, swoje własne życie, które tam, w Paryżu, wisiało już, już na włosku. A może ona?... Uważaj, chłopcze, uważaj, tylko ostrożnie, chłodno, bystrze, nerwy na wodzy, żadnego błędu, tu każdy kroczyk, na tym śliskim boisku, może decydować. A może ona z ges...? I to możliwe, dlaczego nie? Ale daj spokój, gestapo nie używałoby tak wyrafinowanych metod w stosunku do nędznego obozu polskich i francuskich kolejowych pariasów z Mombacherstrasse w Moguncji. A może jednak? Uważaj, syneczku, uważaj, każde słowo, każdy gest...”

Gerda wysiadła z autobusu. Panhard zgasił papierosa i szybko schował niedopałek do kieszeni. Przywitali się.

– Dokąd idziemy? – spytał Panhard.

– Nie wiem – odparła rumieniąc się.

Na tle ulicy, kwiatów, błękitnego wiosennego popołudnia, eleganckich białych sztachet tej dzielnicy jeszcze silniej akcentowała się harcerskość i kanciastość jej typu urody. Nie było w niej nic, ani finezji, ani wdzięku czy wytworności. Solidne półbuty na płaskim obcasie, białe wełniane pończochy, brązowa bluzka, spięta BDM-owską broszą – emblematem, i narzucona na ramiona skórzana tyrolska kurtka. „Schłudność, zdrowie i uroda – pomyślał Panhard. – Jest taka inna niż Suzy, taka inna niż Pani Bovary, taka inna niż Scarlett O’Hara, taka inna nawet niż Marlena Dietrich. Podoba mi się.”

– Jest pan tak inny niż nasi chłopcy, że aż strach z panem chodzić – powiedziała idąc obok niego wzdłuż zielonej ulicy.

– Mój Boże, przecież wyrzuciłem szalik – uśmiechnął się – cóż mogę więcej uczynić?

Ostatecznie jestem nieodrodnym synem Quartier, kość z kości i krew z krwi Boul’Michu. Rzeczywiście – mimo roboczych granatowych spodni drelichowych i zniszczonej wiatrówki było coś takiego w jego ubiorze, sposobie poruszania się, w rozpiętym kołnierzyku u koszuli, co tchnęło nonszalancką, niezamierzoną wytwornością, coś, co różniło go od niej i od mijanych z rzadka, dostatnio ubranych mężczyzn. „Il etait swing, swing, swing...” – pomyślał nie bez dumy słowami bulwarowej piosenki.

– Co to jest Quartier i Boul’Mich? – spytała.

– Nie słyszała pani o Dzielnicy Łacińskiej w Paryżu? Boulevard Saint-Michel to jej główna

ulica.

– Nie ciągnie mnie Paryż. Wcale bym nie chciała tam pojechać.

– To dziwne. Na ogół spotyka się w Europie ludzi, którzy chcą inaczej. Ale ja panią rozumiem.

Szli przez chwilę w milczeniu.

– Niestety, z pracy w MAN nic nie wyszło – rzekła Gerda. – Powiedziano mi, że gestapo nie zezwala na zatrudnianie cudzoziemców przy kreśleniach.

– Proszę... Zresztą można się było tego spodziewać. W każdym razie dziękuję bardzo.

– Za co pan dziękuje?

– Za zainteresowanie.

– No, wie pan. Ostatecznie już jest pokój z Francuzami. Dlaczego nie miałabym panu pomóc.

– A zatem dziękuję za pomoc.

– Przecież nic z tego nie wyszło pożytecznego.

– Tym bardziej jestem pani wdzięczny.

Ulica między willami utonęła w obszernym parku. Po kilku chwilach znaleźli się na otoczonej niskim żywopłotem skarpie, skąd rozciągał się widok na miasto.

– Usiądźmy – rzekła Gerda.

Usiedli na ławce, wtulonej w krzaki głogu i oflankowanej kolumnadą wysokich tui.

– Ładnie tu – rzekła Gerda.

– Ładnie.

– Czy ma pan rodziców?

– Mam. A pani?

– Mam. I brata. Jest na froncie.

Panhard myślał: „Powinienem ją teraz pocałować. Powinienem ją pocałować... Jak to śpiewał Maurice Chevalier wtedy w »Bobino«?... »Powinienem być całować, a ja...« Nie, to nie był Maurice, to był Georges Milton, tak »Bouboüle...« U licha, ale ta katedra moguncka jest piękna! Co za śliczna romańszczyzna i jak ją stąd widać... Brat na froncie, ładna historia...”

– Czy pani specjalizuje się w pracy policyjnej? – spytał nagle. „Idioto! – sklął się naraz – co robisz? Co cię to obchodzi?...”

– O, nie. Pracuję tam z nakazu mobilizacyjnego – rzekła spokojnie – po wojnie zamierzam powrócić do pracy w aparacie partyjnym. To jest wspaniała praca. Ciekawa i pożyteczna.

– Oczywiście. Te kryminalne historie, rozumie pani, to nie to. To dobre dla amatorów powieści detektywistycznych.

– O, nie. Teraz ta praca ma sens poważny, sens społeczny i patriotyczny. Przy tej ilości niepewnego elementu, cudzoziemskich robotników, jeńców wojennych, trzeba dobrze uważać. Mój szef, inspektor Boettger, jest miły, pan go zna, prawda? Aha, proszę przyjść jutro po karty. Będą gotowe.

– Doskonale – rzekł Panhard. „Czy ja się mylę, czy ona przysuwa się do mnie coraz

bliżej?... – pomyślał w popłochu. – Uważaj, chłopcze, uważaj. Ale ma oczy!...”

– Ładnie tu – rzekła Gerda – tak mi się nie chce wracać do miasta. I jaka pogoda...

– Ma pani ładne oczy – rzekł Panhard odsuwając się zdecydowanie.

– Ach, wy Francuzi – uśmiechnęła się bez wdzięku. Miał teraz naprzeciw siebie jej twarz pod jasnym hełmem konwencjonalnie upiętego warkocza, twarz o czystej cerze i kilku bladawych piegach u nasady nosa. Poczul naraz, że gotów byłby zaryzykować wiele dla tej dziewczyny, dla jej ciężkiej, masywnej urody, dla jej rysujących się twardo pod bluzką piersi i silnego ciała.

– Niech mi pani coś opowie o sobie – powiedział odsuwając się jeszcze dalej. Usłyszał tylko początek o tym, że się urodziła gdzieś pod Lipskiem, że ojciec był technikiem drogowym, że chodziła do szkoły, że BDM, że dziewczęta... „Co za szmira – myślał Panhard – opowiada mi o sobie, na serio opowiada mi o sobie... Kicz. I po co to wszystko? Przecież nie pocałuję jej dzisiaj. I w ogóle, chyba nigdy...”

– Muszę, niestety, już iść – rzekła Gerda – mam jeszcze dzisiaj odprawę swojej drużyny.

– Jaka szkoda.

– Szkoda. Tu jest bardzo przyjemnie. Odprowadzi mnie pan kawalek?

– Oczywiście.

Zeszli ze skarpy inną drogą, zbiegając miejscami po pochyłościach wąskich ścieżek. Niebawem znaleźli się w dzielnicy przedmiejskiej, wśród jednostajnie ciągnących się kamienic spółdzielni mieszkaniowych, współczesnych i bezbarwnych. Było tu pusto i czysto. Na rogu ulicy stała czerwona budka telefoniczna.

– Świetnie – powiedziała Gerda. – Muszę zatelefonować.

– Zaczekam – uśmiechnął się Panhard.

– Dlaczego? – zarumieniła się Gerda, otwierając drzwi. – Niech pan wejdzie. Proszę bardzo. Stał obok niej w ciasnym wnętrzu. Gerda zamknęła drzwi. Jej twarz i ruchy nabrały jakiejś inności, zupełnie dotąd nieznanego Panhardowi wyrazu. Wrzuciła monetę, nakręciła numer.

– Czy mogę prosić porucznika von Holm? – rzekła. – To mój dobry znajomy – powiedziała do Panharda, zakrywając lekko ręką tubę i uśmiechając się kokieteryjnie. – Heinz, to ty? Jak się masz. Słuchaj, chłopcze, nie będę mogła dziś przyjść. No, trudno, tak się składa. Tak, jestem zajęta, oczywiście. Zresztą, może mi się uda jeszcze wieczorem wpaść na kilka chwil, ale nie czekaj na mnie specjalnie, to może być bardzo późno. Będziesz czekać? No, jak uważasz. Heil Hitler.

Odkładając słuchawkę dodała dobitnie, z zaskakującą wulgarnością, jakby ignorując obecność Panharda:

– Pocałuj mnie w... – po czym zarumieniła się gwałtownie.

– Jaka szkoda, że tak słabo znam niemiecki – rzekł Panhard. Poczul się naraz doskonale w zupełnie nowej atmosferze wygodnego, łobuzerskiego cynizmu. – Nie wszystko rozumiałem, co pani mówiła.

– Czyżby? – rzekła Gerda – mnie się wydaje, że pan zna bardzo dobrze niemiecki.

Atmosfera mądrego łobuzerstwa ulotniła się bez śladu. „Idiotka” – pomyślał Panhard.

– Rozumiem – rzekł Panhard – odprawa drużyny stoi na przeszkodzie miłemu rendez-vous z porucznikiem von Holm. Widocznie jest to bardzo ważna odprawa. Obowiązek przede wszystkim.

– Głupstwa pan gada – rzekła opryskliwie Gerda, wychodząc z budki. Panhard zamknął za nią pieczołowicie drzwi. – Odprawa nie gra żadnej roli. Mogę pójść, mogę nie pójść. Po prostu mam zajęty wieczór, a raczej... przypuszczam, że będę mieć zajęty wieczór – dodała. Twarz jej pałała intensywnym pąsem. – Jestem umówiona z kimś innym – zakończyła cicho i niezręcznie.

– Rozumiem – rzekł bezlitośnie – ma pani po prostu wielu dobrych znajomych.

– Mam wielu – odparła sztywno. Głos jej ochłódł do granic lodowatej grzeczności. – Ale są to sami Niemcy. Znam wielu oficerów. Pan jest pierwszym cudzoziemcem, którego znam. W ogóle nie rozumiem, jak mogłam pójść z panem na spacer – w głosie jej zabrzmiała specyficzna, tak dobrze znana, niemiecka opryskliwość. – To takie kłopotliwe. To, jak pan chyba wie, jest zakazane, tego nie powinno się robić.

Z otwartego okna słychać było muzykę radiową. Zarah Leander śpiewała niskim, urzekającym głosem „Kann die Liebe Sunde sein?...”

– Ale śpiewa... – rzekł Panhard z uznaniem.

– Teraz pożegnamy się i pójdę dalej sama. Do widzenia. Było mi bardzo przyjemnie. Proszę przyjść jutro po karty – ostatnie zdanie wypowiedziała twardo i odpychająco, jak rozkaz.

– Oczywiście – rzekł miękko Panhard – przyjdę.

Szybko podeszła do przystanku, przy którym zatrzymał się tramwaj. Wsiadła i odjechała, nie spojrzawszy w jego stronę. Panhard ruszył w kierunku obozu. „Pod koniec mówiła do mnie jak do niewolnika – myślał z humorem – trochę się czuję jak niewolnik na usługach amazonki czy walkirii. To ma swój urok. Biedna walkiria!... Przypuszczała, że będzie mieć zajęty wieczór. Jakże mi jej żal, ale cóż zrobić. Moja walkiria albo pójdzie wcześniej spać, albo uda się z porucznikiem Heinzem von Holm na wojenne, wodniste, robione na sacharynie lody...”

– Wejść! – zabrzmiał ostry głos spoza drzwi pokoju trzysta osiem. „Coś nowego” – pomyślał Panhard wchodząc. Za biurkiem Boettgera siedział spłowiwały facet o mięsisto-kanciastej, niemieckiej twarzy. „Wygląda jak najantypatyczniejszy z portretów Dürera” – westchnął Panhard w duchu. Gerda pisała coś przy swoim biurku. Spojrzała szybko na wchodzącego Panharda i natychmiast wróciła do pisania.

– Czy zastałem inspektora Boettgera? – spytał Panhard.

– Nie ma. A o co chodzi?

– Chodzi o karty meldunkowe dla obozu robotników cudzoziemskich z Mombacherstrasse przy Bahnmeisterei Mainz – HBF. Jestem tłumaczem obozu.

– A co tam są za ludzie?

– Francuzi i Polacy.

– Ci najlepsi – uśmiechnął się zgryźliwie spłowiwały i nagle rozdarł się w doskonałym,

felfelbowskiemu stylu: – Co to za porządki, do cholery! Czekać, aż się zawiadomi! Nie nachodzić! Nie przerywać pracy, do pioruna! Kart im się zachciewa, tym parszywcom!...

– Tłumacz Panhard miał przyjść dziś po karty – rzekła spokojnie Gerda.

– Zaraz, panno Koehler. Ile wy macie lat, Dollmetscher?

– Dwadzieścia trzy.

– Co za świństwo! Nasi chłopcy umierają za ojczyznę, za Europę, urabiają sobie ręce, a wy wałaszacie się o tej porze – spojrzał na zegarek – o jedenastej przed południem, po mieście? Co za porządki!

– Nam się należą karty meldunkowe – rzekł chłodno Panhard – jesteśmy ochotnikami i jako tacy jesteśmy traktowani przez Arbeitsamt.

„Potrzebna mi ta cała zabawa... – myślał ze zdenerwowaniem – zachciało mi się zwalniać z kolei i mieszkać na mieście, a ten łobuz może się jeszcze przyczepić do tego, co robię, a raczej do tego, że nic nie robię...”

– Część kart jest gotowa – rzekła Gerda. Nie spojrzała ani razu na Panharda, w jej postawie i głosie wyczuwało się wyraźną solidarność ze słowiały. – Proszę, panie Panhard, oto one.

Panhard zwrócił się do biurka Gerdy, która podała mu plik kartonowych legitymacji.

Pomiędzy pierwszą z nich a ręką Gerdy widniała mała karteczka, którą Panhard szybko nakrył dłonią.

– Żeby mi się tu więcej nie zjawiać bez zawiadomienia od nas! – ryknął na zakończenie słowiały. – Heil Hitler!

Na schodach Panhard rozgiął kartkę. „Proszę przyjść dziś, o godz. siódmej wieczór, do mnie. Zanggasse 4, II p. na prawo. Post scriptum: wolałabym, aby nikt pana nie widział. Ma Pan być ostrożny.”

Podarł kartkę i uśmiechnął się. „Te tricki: część kart gotowa... Wszystko dla utrzymania kontaktu. Biedni chłopcy... Jeszcze długo będą czekać na karty meldunkowe, bo panna Koehler rozgrywa partię. I ja, rzecz jasna, rozgrywam... Oczywiście, że nie pójdę, na tyle nie ufam sobie...”

– Czy tu mieszka panna Koehler?

– Nie, proszę pana.

– Przepraszam bardzo. Pomyliłem się.

Panhard poczuł stróżkę potu, spływającą mu wzdłuż kręgosłupa. „Psiakrew! – kłął gryząc wargę – po diabła dałem adres! Co mi przeszkadza! Co za matoł ze mnie!” Były to trzecie drzwi, do których dzwonił na próżno. „W każdym stał wróg i badał mnie wzrokiem i uchem. Nie wyglądam na cudzoziemskiego robotnika, to prawda, ale tylko najtępszy krótkowidz może mnie wziąć za Niemca. Mówię dobrze po niemiecku, zgoda, ale każdy Niemiec, o ile ma w porządku bębenki, rozpozna od razu mój cudzoziemski akcent... Drzeć adres! Co za nonsens... Przecież ja musiałem do niej pójść. Jeśli dziewczyna pisze wyraźnie, abym był ostrożny, to dziewczyna idzie na całego, a jeśli dziewczyna idzie na całego, to lepiej przyjść,

bo może być gorsza bieda z dziewczyną, pracującą w policji. A może to nie ten dom?" Zbiegł piorunem po schodach. Pamiętał, że numer domu był parzysty. „Jakie szczęście, że ta Zanggasse taka krótka” – pomyślał desperacko.

W następnym domu wisiał spis lokatorów. „Koehler Gerda, urzędniczka, II p.” Wbiegł po schodach, ciesząc się: „Jednak własne mieszkanie. Nie sublokatorskie...”

– Spóźnił się pan – rzekła Gerda otwierając drzwi.

Z małego przedpokoju wchodziło się do jednopokojowego mieszkania. „Ideal – pomyślał Panhard – o czymś takim marzy się w czasie nieprzespanych nocy... Ideal mieszkania, jakie winna posiadać kobieta idealna w pojęciu młodego robotnika cudzoziemskiego w III Rzeszy...” W pokoju stał tapczan i kilka tandetnie ładnych, standardowych mebli, z niskiego sufitu zwisał stylizowany na gotyk żyrandol, z tych do nabycia w każdym domu towarowym. Nad tapczanem wisiał popularny portret Hitlera, mając z obu stron mniejsze portrety Leo Schlagetera i Horst Wessela, zaś pod sobą – sztylecik z Hitlerjugend oraz bezbarwną reprodukcję obrazu „Erlkönig”. „Trudno – pomyślał Panhard z rezygnacją – to wnętrze prowokuje do czynów wielkich, gwałtownych i za wszelką cenę...”

– Dobrze, że w ogóle przyszedłem – rzekł nonszalancko – wie pani, to nie takie łatwe dla cudzoziemskiego robotnika. Rozumie pani?...

– Nic nie rozumiem. Niech pan siada.

Usiadł na tapczanie.

– Czy mogę zdjąć marynarkę? Dziś gorąco.

– Proszę bardzo – uśmiechnęła się koleżeńsko – niech się pan czuje tu całkiem swobodnie. Stolik przy tapczanie nakryła czystą serwetką i postawiła dwie filiżanki.

– Kawa, niestety, zbożowa, ale za to – otworzyła szafę, wyjęła coś, co schowała niby figlarnie za siebie – ...ale czekolada prawdziwa! – wyciągnęła triumfująco rękę z tabliczką czekolady w czerwonym opakowaniu.

– Czary – rzekł dowcipnie Panhard – co za czarodziejka. Skąd takie skarby?

– Aha... – droczyła się – to tajemnica...

„Tajemnica stanu zaopatrzenia aprowizacyjnego oficerów lotników na urlopie” – pomyślał dojrzałe Panhard.

– Lubi pan czekoladę?

– Uwielbiam. Czekoladę i jazdę na nartach.

– Też zestawienie. To świetna czekolada. „Lucullus” – przeczytała na opakowaniu – dobra, przedwojenna firma – ułamała kawałek, włożyła do ust, położyła napoczętą tabliczkę przez Panhardem. Nalała kawy i usiadła obok niego na tapczanie.

– Dlaczego się pan spóźnił?

– Bo się śpieszyłem do pani. Wie pani, jak ktoś się śpieszy, to zawsze się spóźnia.

– To się nazywa francuska lekkość w prowadzeniu rozmowy, prawda?

Spojrzała nań wyzywająco. „Czyżby była zdolna do ironii? – pomyślał. – To chyba za wiele...” I naraz, znów, jak wtedy na ławce, poczuł jej bliskość, dostrzegł przy swej twarzy świeże, nie tknięte szminką wargi. „Oto chwila, w której wszystko zależy ode mnie” –

pomyślał spokojnie, odsunął się nieznacznie i zapalił papierosa.

– Niech mi pani coś opowie o sobie – rzekł. „To zabawne – pomyślał – jak wiele kosztuje mnie opanowanie mego rodzzonego głosu...” – A może ma pani jakieś zdjęcia? Pasjami oglądałam zdjęcia, te z ostatnich wakacji, na przykład, wie pani, z plaży, znad morza, z gór... Gerda pochyliła się nad filiżanką.

– Nikt pana nie widział, jak pan tu szedł?

– Owszem – rzekł obojętnie – widziało mnie kilku pani sąsiadów z domu obok. Proszę sobie wyobrazić, że przezornie podarłem kartkę z pani adresem, stosując się do pani zaleceń o ostrożności, po czym miałem kłopot z odnalezieniem pani mieszkania i dzwoniłem do innych drzwi, pytając o panią.

Gerda wstała i podeszła do okna. Kiedy się odwróciła, twarz miała bladą, skrzywioną grymasem hamowanych uczuć. „Oho, kryzys – pomyślał Panhard – zaraz się wyjaśni, na jakim tle...”

– Teraz pan stąd pójdzie, panie Panhard – rzekła spokojnie i przesadnie wolno – chcę panu tylko jeszcze powiedzieć, że jest pan tchórzem, wstrętnym tchórzem, nędznym, śmierdzącym tchórzem. Nie dziwię się, że w parę tygodni rozbiliśmy w drzazgi Francuzów, jeśli...

– To wystarczy – rzekł pogodnie Panhard, wstając – ta sprawa nie ma nic wspólnego z Francuzami. To jest moja sprawa i pani sprawa, a rozgrywa się w niemieckich warunkach... „Spokojnie, chłopcze, nie unos się – pomyślał – i tak partia jest już rozegrana, po co prowokować awantury. Skończyło się na tchórzostwie i tak jest dobrze...” – czuł zadowolenie, odprężenie i lekkość płynącą z likwidacji odwiecznego w duszach ludzkich zmartwienia: co czynić?

– Nie – twarz Gerdy złagodniała. Coś, jakby ból, przemknęło przez jej rysy, oczy, spojrzenie.

– Ja muszę z panem jeszcze pomówić. Niech pan nie idzie. Albo... niech pan idzie. Wie pan, gdzie jest „Loewenbrau Bierstube”?

– To będzie jeszcze nieostroźniej – rzekł łagodnie Panhard – niż gdybyśmy zostali tutaj.

– Nie, nie. Tu może w każdej chwili ktoś przyjść. Pan nie wie, jacy są ludzie, jacy u nas są niektórzy ludzie... Nie, to nic. Przysiadę się do pana, jak obca. Wie pan, gdzie to jest?

– Wiem.

– Niech pan tam czeka. Będę za parę minut.

Panhard wziął marynarkę.

– I jeszcze – rzekła Gerda – ta czekolada jest dla pana.

– No, nie. To byłoby za wiele...

– Proszę ją wziąć. Bardzo mi na tym zależy. Proszę to uczynić dla mnie i wziąć ją...

Szybkim ruchem włożyła mu tabliczkę do kieszeni marynarki. „Ostatecznie – pomyślał Panhard – jestem pariasem w tym kraju i bardzo lubię czekoladę. Te dwa fakty łączą się z sobą harmonijnie, wykluczając niepotrzebne, tak zwane honorowe demonstracje. Poza tym biorąc tę tabliczkę wymierzam cios w zaopatrzenie korpusu oficerskiego armii wroga, a to się nazywa skutecznym sabotażem. Na skalę nader drobną, to prawda, ale zawsze...”

- A więc...
- Tymczasem...

„Czego ona jeszcze chce ode mnie? Czego może chcieć?” – rozmyślał Panhard idąc przez Grosse Bleiche. Wszedł do „Loewenbrau Bierstube”. Była to znana piwiarnia, położona przy głównej ulicy miasta. Wielka, nisko sklepiona hala, stylizowana na średniowieczną oberżę, pełna była ludzi. Pseudogotyckie kolumny i sklepienia, zbudowane parę lat temu, pasowały znakomicie swą lśniąca nowością i czystością, do pokrytych kratkowaną ceratą stołów i ogromnej, błyszczącej niklem instalacji do piwa na kontuarze. Z rozmieszczonych wszędzie głośników płynęły dźwięki marsza „Panzer rollen in Afrika vor”.

Panhard szukał wolnego stolika. Były miejsca przy wielkich stołach ogólnych po bokach sali, w podłe kolumn i w kątach załomów ścian – nie sposób jednak było usiąść przy takim stole bez ryzyka, że zostanie się wciągniętym w ogólną rozmowę. Wybrał pusty stolik, położony blisko środka sali, wśród tłumu pijących piwo, pałających tytoń i rozchichotanych drobnomieszczan, przeważnie odzianych w mundury. Była to pora wieczornej halby piwa. „Moguncja to małe miasteczko – gryź się w duchu Panhard – tu się wszyscy znają. Popatrz, prawie wcale nie ma młodzieży. Dlaczego zgodziłem się na tę idiotyczną imprezę? Ze mną jeszcze pół biedy, biorą mnie tu za Włocha, nie dostrzegam wrogich spojrzeń, co najwyżej zainteresowanie. Z zainteresowaniem patrzy na mnie ten gruby sklepikarz z odznaką partyjną w klapie i ta starszawa blondynka w sztucznym lisie, i ten kapitan rezerwy, w cywilu chyba buchalter. Ale co będzie z Gerda?...”

Weszła Gerda i szukała go, idąc między stolikami. Panhard dostrzegł, że mężczyźni się za nią oglądają.

„No, tak – pomyślał z rezygnacją – dla tych tu Gerda Koehler to gwiazda. Ideał germańskiej urody z Hitlerjugend...” Gerda spostrzegła go i usiadła bez chwili wahania przy stoliku.

„Żadnego kamuflażu, żadnego udawania, o Boże!” – jęknął w duchu Panhard i wziął z pełnej tacy, niesionej przez kelnerkę, dwa piwa, za które od razu zapłacił.

– Niech pan mi powie – Gerda zaczęła natychmiast rozmawiać – co to wszystko ma znaczyć? Dlaczego pan nie wstał i nie przywitał się ze mną?

– Nie spytała nawet pani, czy można się przysiąść. Przecież mamy udawać obcych. Nawiasem mówiąc, możemy udawać, że znamy się z terenu urzędowego, że spotkaliśmy się przypadkowo. A propos: co z resztą kart?

Muzyka przestała grać. Rozległy się fanfary, co było zapowiedzią specjalnego komunikatu naczelnego dowództwa sił zbrojnych. Na sali dał się odczuć wyraźny przypływ podniecenia, po czym uciszyło się.

– Guy – rzekła Gerda miękko – czy pan... czy pan zna tu jakąś Francuzkę? Z tych, co pracują na wsi, czy z tych służących? A może którąś z tych odrażających Polek z obozu w Ruesselsheim albo inną...

Jasny, pełen radosnej emfazy głos spikera zabrzmiał w głośnikach. Donosił, że łodzie podwodne niemieckiej marynarki wojennej w bohaterskim ataku na potężny konwój

nieprzyjaciela zatopiły na północnym Atlantyku mnóstwo wrogich jednostek bojowych i handlowych, wyrażających się fantastyczną cyfrą rejestrowanych ton brutto. Po ostatnich słowach szmer zachwyconego podziwu przeszedł po sali.

– Niech pan powie, Guy, dlaczego? Co jest przyczyną?... – nalegała Gerda z łagodną rezygnacją.

– Przyczyna jest prosta – rzekł chłodno i wyraźnie Panhard – podoba mi się pani w sposób tak silny, tak potężny i tak oszalamiający, że boję się pani. Ma pani rację, jestem tchórzem, jak to najczęściej bywa z ludźmi przewidującymi. Nie mogę na panią patrzeć spokojnie, a bliskość pani sprawia, że...

– Nie zauważyłam tego, jak dotąd.... – przerwała Gerda cicho. „Czyżby poczucie humoru? – zdziwił się Panhard w duchu – taka Niemka...”

W głośnikach buchnęło „Deutschland, Deutschland über alles”. Rozległ się szurgot odsuwanych krzesel, wszyscy wstali. Twarz Gerdy przybrała wyraz znany Panhardowi z jej biura. „Kryzys minął – pomyślał Panhard – wszystko w porządku. Jest znów oficjalnie niemiecka, poprawna, normalna, taka jak trzeba, godna pochwały i tego, aby figurować na okładce propagandowego pisma dla młodzieży. Za chwilę zaczniesz śpiewać...”

Rzeczywiście – gdzieś na sali zrodził się śpiew. Piwoszom i drobnomieszczanom zabłyśły oczy, sprężyły się kręgosłupy i stwardniały klatki piersiowe – poczuli się naraz gąsienicami mocarnego pojazdu na bezmiernym trakcie historii. Radio odegrało rolę sprzęgła. „Co za magiczna skrzynka – pomyślał Panhard – przenosi atmosferę pola bitwy do cuchnącej codziennością knajpy...” Śpiew runął na salę i wraz z nim wyrósł dokoła, jakby podtrzymując go, las rąk. Zewsząd sterczały ręce, wyciągnięte ramiona, wzniesione w hitlerowskim pozdrowieniu dłonie. Panhardowi krew zbiegła do serca. Przez sekundę załomotały mu puls w skroniach, drgająca mgła przysłoniła oczy. „Tego nie mogę uczynić... – pomyślał z wysiłkiem, jakby gramoląc się w kopnym śniegu pod górę – tego nie mogę uczynić... a raczej: nie mogę tego nie zrobić... nie mogę przestać być sobą... nie... nie...” Stał prosto i niewzruszenie, trzymając ręce kurczowo przyciśnięte do boków. Naprzeciw niego Gerda śpiewała z wyciągniętym prosto przed siebie ramieniem. Twarz jej tężała i bladła jak wobec krwawego, ulicznego wypadku. Jakby spod prawego ucha Panharda wypelzł strach, ściskająca serce, mokra pięść. „Moguncja to małe miasto... – tłuło się między uszami – to piekielnie małe miasto... Już zaczynają zwracać uwagę, już, już... Unieś rękę, unieś rękę, co ci to szkodzi, unieś rękę... Ona pochodzi spod Lipska, to prawda, ale Moguncja to małe miasto, tu się wszyscy znajdują... W Paryżu czekają, w Paryżu czekają, w Paryżu czekają na ciebie... Unieś rękę, unieś rękę, bo w Paryżu czekają... będzie po wszystkim, wszystko na próżno... A jeśli uniesiesz rękę, to dobrze, to w porządku... Unieś rękę...”

„Deutschland, Deutschland über alles” przeszło w „Horst Wessel Lied”. Wyciągnięte ramiona drgnęły wyżej z wdzięcznością dla partii za zatopione alianckie tony. Oczy Gerdy wypełniły się błaganiami.

„Idiotka! – zgrzytnął Panhard – ona chyba myśli, że ja to robię dla niej, przez nią, żeby pokazać jej...” Przy pobliskich stolikach zaczęło obracać się ze zdziwieniem ku stojącemu

bez ruchu Panhardowi. W oczach Gerdy narastało przerażenie, potworne, niszczące przerażenie, u góry policzków wystąpiły dwie ceglaste plamy. Ręce godziły w Panharda jak dzidy i włócznie pogan w wyprostowanego męczennika. „Czego ja bronię? – pomyślał naraz przenikliwie i jasno i natychmiast znalazł odpowiedź: – Siebie, gubiąc siebie... Nie mogę tak nie postąpić, choćby... – zawahał się chwilę przed ostatecznym sformułowaniem – ...choćby mnie tu mieli zatłuc kuflami, rozdeptać, zmiażdżyć, wgnieść w ziemię!... Mam gdzieś gestapo, paryskich szpiclów, Hitlera, wojnę, Rzeszę, hymny, Gerdę, tych drani tutaj, wszystko, co ich! Niech żyje wolność! Ja walczę...” – Zrozumiał wyraźnie, że za chwilę będzie się śmiertelnie bał, ale na ten moment śpiewu znikło wszystko, wraz z drzeniem kolan, mgłą w oczach i skurczem serca. Została walka.

Śpiew skończył się szurgotem przesuwanych krzeseł. Gerda i Panhard usiedli. Wokół ich stolika narastały podniecone głosy. Dreszcz zimnego potu przykleił Panhardowi koszulę do pleców, na czoło wystąpiły krople. „Trzeba działać...” – zdążył pomyśleć.

– Idziemy – rzucił Gerdzie, po czym wstał. Zdawało mu się, że pomiędzy słowem a oderwaniem się od krzesła minęła wieczność. Ujął mocno Gerdę za ramię i popchnął ją zdecydowanie przed siebie. Szła jak nakręcona dziecinna lalka.

– Szybciej, szybciej... – szeptał blisko jej twarzy, pchając ją przed sobą.

Nim ktokolwiek zdołał się zorientować, co przedsięwziąć, Panhard, sterując Gerdą, minął niebezpieczną strefę sąsiednich stolików, wyszedł z sali, minął hali i wpadł na ulicę.

Błyskawicznie skręcił w małą, ciemną uliczkę, w prawo, wlokąc niemal Gerdę za sobą.

„Błogosławione zaciemnienie...” – myślał, pełen już teraz radości z udanej ucieczki, ruchu, biegu, tempa wydarzeń.

Skręcił raz jeszcze w przecznicę, przeszli kilkadziesiąt metrów szybkim krokiem, po czym przystanęli.

– Tu się pożegnamy – rzekł Panhard.

– Słusznie – rzekła Gerda.

Na tle muru jaśniała w ciemnościach plama jej twarzy. Panhard ujął ją za ramiona i pocałował w usta, gorzkie jeszcze od przebytej trwogi. Stała martwa, bez ruchu, lecz oddała pocałunek.

– Żegnam panią, Gerdo. Myślę, że będzie lepiej, jeśli wróci pani sama do domu.

– Aha – rzekła ochryple. – Żegnam pana. Karty będą gotowe pojutrze. Na pewno. Proszę nie przychodzić, przysięgłem panu przez policjanta.

Odwróciła się i odeszła. Panhard poszedł w stronę Mombacherstrasse. Zatrzymał się na moście ponad torami kolejowymi. Wokół roily się fioletowe, czerwone i granatowe światła zaciemnionych sygnałów stacyjnych. Oparł się łokciami o żelazną balustradę i zapalił papierosa. „A cóż to za dziwny epizod – zastanowił się – w którym policjanci odgrywają rolę posłańców, niosących pożegnalne prezenty miłosne. Dary, symbolizujące rozstanie...”

– Karty będą pojutrze. Załatwiłem wam je w końcu – rzekł Panhard, wchodząc do niskiej, drewnianej budy, w której mieszkał z Kozłem. Była to stara budka dróżnika, stojąca obok

głównego baraku. W środku stał krzywy stół bez nogi, dwie skrzynki z odbitym wierzchem zamiast krzeseł i piętrowe łóżko, na którego dolnej kondygnacji leżał Kozioł w pasiastej koszulce gimnastycznej i grał na ustnej harmonijce „Mucha cawlem pływa w zupie...”

– Do tej pory pan załatwiał? – Kozioł skręcił papierosa. – Pracowicie, panie Dollmetsch.

– Właśnie – westchnął Panhard. Poczul się naraz bardzo dobrze w tej groteskowej budzie, przypominającej mieszkanie Chaplina z jego nieszczęśliwych filmów. Dobrze jak w domu.

– Posłuchaj, Kozioł, to ci coś opowiem.

Kiedy skończył, Kozioł przewrócił się na bok i oparł brodę na dłoni.

– No i głupio – rzekł.

– Może i głupio – rzekł Panhard. Usiadł na skrzynce i smarował chleb margaryną.

– No tak, że głupio – Kozioł zamyślił się głęboko, co dało całkiem efektowną przerwę. – Pamięta pan, panie Dollmetsch, tych dwóch Polaków, co się tak ładnie bujali na drzewie w Kostheim?

– Pamiętam.

– Trzeba się było za nich zemścić. To raz. Po cichutku, pomalutku, żeby nikt nie wiedział, nikt nie widział, nikt nie słyszał. Ale zemścić się.

Panhard nałożył marmoladę na margarynę. Kozioł zaciągnął się potężnie dymem.

– Potem głupio – mówił puszczając wolno dym nosem – że pan lekką ręką stracił dziewczynę. Wszystko można, byle ostrożnie, a o kobietę nie tak tu łatwo. To dwa.

Panhard zaczął jeść ze smakiem. Kozioł wyciągnął oskarżycielsko palec.

– To, że babina pracowała na policji, to była złota żyła, rozumie pan, złota żyła. Największy fart życiowy, jaki mógł pan tu trafić. Jak trzeba jakiś paszporcik, stempelek, papierek, coś z tych rzeczy, wie pan, ma pan od razu wszystko pod ręką. Pan mi nie wierzy. Że niby obowiązek, policja, ona pracuje, ona patriotka? U nas w Warszawie, przed wojną, jedna maszynistka z urzędu śledczego zakochała się w jednym doliniarzu. Wszystko chłopak wiedział, jeszcze mógł kolegom pomóc. I za nic, za miłość, szczęśliwa była, jak go spotkała. Mówię panu, dla zakochanej babki nie ma problemów, ona wie jedno i nic ją reszta nie obchodzi. A co pan jest gorszy od warszawskiego złodzieja? Mógł pan mieć taką samą pomoc, tu na miejscu. I coś takiego zmarnować! Trzeba być zupełnie drętwym. To trzy. Panhard nalał do kubka zimnej kawy z blaszanego dzbanka.

– No, a cztery, to ten numer z ręką. Taki przytomny facet jak pan, żeby takie głupstwa robić. Jak pan mógł? Co to panu szkodziło? Komu pan robił na złość? Co za cholera, jak pragnę zdrowia...

– Kozioł jednym skokiem stanął na nogach i pochylił się nad jedzącym Panhardem. – Tu! – pukał się palcem w głowę, krzycząc niemal – tu... tu... nagle zaćmienie! Czaszka przestaje pracować! Dziwne, że pan tu jeszcze wrócił! Bohater, nikt go nie widział, manifestant, psiakrew! Nie może wyciągnąć ręki! W takiej chwili! Wyciąga się, niech ich cholera weźmie, co pan im życzy, to pana, ale trzeba się ratować, trzeba ich do wiatru wystawiać, trzeba wyciągać... Ręka – niech będzie ręka... Do góry – niech będzie do góry, aby przeżyć.... I jaki gentleman! O niej to pan nie pomyślał, że pan ją kopie, że wylegitymują, że zaczną szukać, że pana do Dachau albo pod ścianę, a jej ogolą łeb...

– Właśnie się mściłem – zauważył spokojnie Panhard.
– Zemsta to nie tak – rzekł zimno i wolno Kozioł – zemstę trzeba oglądać, wolniutko i spokojnie, przypatrywać się, a nie tak, żeby przez nią tracić życie.
– Skończyłeś?
– Skończyłem.
Panhard sięgnął do kieszeni wiszącej na łóżku marynarki po tytoń i bibułkę.
– Aha – rzekł – chcesz czekolady?
– Czekolady? – Kozioł zrobił wielkie oczy.
Panhard wyjął tabliczkę z kieszeni, odłamał kawałek i poczęstował Kozia.
– Doskonała. Marka „Lucullus”. To od niej.
Kozioł jadł ze smakiem. Panhard odłamał kawałek i wziął do ust. Wydała mu się gorzka jak piołun. „Gdzież jej do chleba z margaryną i marmoladą, tej czekoladzie »Lucullus«...” – pomyślał i uśmiechnął się sam do siebie.
Otworzył okno na oścież i szerokim zamachem ramienia wyrzucił tabliczkę w ciemną, wiosenną noc.
– Co pan, dzieciak?... Jaki nagle honorowy... – mruknął Kozioł z wzdorliwą ironią.
– Widzisz, Kozioł, jest to sposób dawania świadectwa noszonym w sobie, w człowieku, prawdom. Trudnym prawdom, ale własnym, najbardziej własnym, tak z człowiekiem zrośniętym jak dusza z ciałem. Już po raz drugi dzisiaj daję w ten sposób świadectwo prawdzie. Jest to sposób może nazbyt ostentacyjny i melodramatyczny, ale w pewnych sytuacjach, uważasz, jedynie słuszny. Domyślam się, że nic z tego nie rozumiesz, ale na to już nie ma rady. A zresztą, jak ci tak bardzo smakuje, to idź, poszukaj, chyba niedaleko upadła...
– Zwariował pan... – rzekł twardo Kozioł.
Położył się na łóżku tyłem do Panharda i zaczął cicho grać na harmonijce. Był wyraźnie obrażony.

Warszawa, listopad 1952 r.

Kajaluk

Lato roku czterdziestego czwartego nad Bałtykiem brzemienne było już nie w nadzieję, lecz w pewność. Zuchowata, zaczepną pewność w zwycięstwo, w szybki marsz naprzód, w niezawodne alianckie ofensywy. Leżeliśmy przeto dnie całe na workach z cementem lub w rozgardiaszu skrzyń i beczek, piętrzących się na nabrzeżu, półnady, brudni i pełni wzbierającej siły w młodych, nagranych słońcem i morskim powietrzem mięśniach. Czekaliśmy na chwilę, gdy skoczmy Niemcom do gardła. Wchłanialiśmy w siebie łapczywie skape jedzenie i ożywczą, portową atmosferę, a zapach starych, cembrowanych nadgniłymi drewnianymi balami kanałów gdańskich stał się dla nas podświadomą rozkoszą.

Do dziś zachowałem w myślach i w sercu dwa Gdański, dwa różne miasta o różnych obliczach. Jeden – wielki port, konglomerat magazynów, kei, nabrzeży, kanałów, basenów, torów kolejowych, hałd węgla, dźwigów, marynarskich knajp, nastrojów i przygód. Drugi – koronkowy poemat w kamieniu i cegle, pełen nagłych wzruszeń i zachwytów na widok jakiegoś wykusza, jakiejś bramy, podcienia, ganku, starego spichlerza, attyki. Ten drugi Gdańsk zaludniony był niezliczonymi postaciami, tkwiącymi w mej wyobraźni od czasów dzieciństwa i ożywał jedynie w czasie mych samotnych wędrówek niedzielnych po zalanych słońcem i błękitem bałtyckiego nieba uliczkach. Pierwszy istniał cały tydzień, pulsowało w nim prawdziwe, rzeczywiste życie i przeżywałem go wraz z Włochem Savino i Duńczykiem Nilsem.

Nasza ówczesna pozycja społeczna była na ogół mocno skomplikowana. W przybliżeniu dałaby się określić jako pozycja cenionych i wytrawnych robotników portowych i stanowiła wynik szeregu przesłanek natury ekonomiczno-militarnej, zwanych w sumie drugą wojną światową. Byłoby szczytem zakłamania twierdzić, że przedstawialiśmy jakąś klasę w tym zawodzie. Przeciwnie, zarówno nasze możliwości fizyczne, jak i dyspozycje psychiczne sprawiały, że praca nasza dawała odwrotne od zamierzonych przez naszych zwierzchników efekty. Sam jednak fakt kompletnego braku wykwalifikowanych robotników portowych do załadunku i wyładunku czynił, iż byliśmy cenieni na wagę złota. To nic, że ledwie wchodziliśmy na pokład i stawaliśmy przy windzie pokładowej, zaraz coś się w najnowszej i najlepszej windzie psuło. To nic, że sznury, wiążące worki z cementem rozplątywały się, gdy ładunek taki wisiał jeszcze trzy metry nad dnem luku i wszystko spadało w chmurze cementowego pyłu i rozdartych worków. To nic, że ładując beczki robiliśmy zazwyczaj taki bałagan przy ustawianiu, że czasem tonażowe luki trzeba było dwukrotnie przeładowywać i statek opóźniał o trzy dni termin wyjścia na morze. Tego rodzaju rozrywki stanowiły naszą urodę życia i myśli nasze nieustannie pracowały gorączkowo nad tym, co i jak zrobić, aby gruby spedytor Upmann dostał apopleksji, nie nasuwając przy tym miejscowemu gestapo żadnych przypuszczeń na temat naszych zdolności i przedsiębiorczości w dziedzinie wrogiego sabotażu. Z drugiej strony Savino był istnym geniuszem lenistwa. Włosi mają cudowne uzdolnienia w tym kierunku i nic nie jest w stanie przeszkodzić ich wyrafinowanym drzemkom w czasie największego zatrzęsienia pracy

i godzinny dywagacjom na temat wyższości makaronu nad kartoflami, przy oczywistym wciągnięciu niemieckich vorabaiterów, bosmana i rachunkowego w zapalczywą dyskusję. Savino miał dwadzieścia lat, oliwkową cerę, szeroką klatkę piersiową, mocne ramiona, ciężkie powieki i wieczną ochotę do przygód miłosnych. W dzień wylegiwał się ze mną na słońcu, brudny i uśmiechnięty, opowiadając niestworzone historie o zamożności swych rodziców. O piątej po południu, czysto ogolony i z czarnymi włosami, lśniącymi od brylantyny, biegł w zielonej koszuli i żółto – czerwonym szaliku po miłosne upojenie na ulice gdańskiego śródmieścia. Twierdził, że jest studentem medycyny mediolańskiego uniwersytetu i antyfaszystą, w rzeczywistości zaś był dobrze zapowiadającym się fryzjerem i jedynie zdrowy rozsądek zaprowadził go do Rzeszy jako robotnika portowego, zamiast do dywizji czarnych koszul i na piaski Libii. Wzgardliwa nonszalancja była nieodparcie z całej jego postaci, gdy stał na pokładzie przeznaczonego do ładowania statku, a na sam widok jego leniwego wdzięku Niemcy dostawali białej gorączki. Z najmniejszą skrzynką potrafił bawić się tak nieporadnie przez godzinę, że najcierpliwszy bosman płakał z wściekłości, gdy Savino, patrząc łzawo swymi czarnymi oczami gazeli, jakby przeproszał za swą niezręczność. Inaczej z Nilsem. Był on w istocie żyłastym, mocno zbudowanym i słomianowłosym robotnikiem portowym z Aarhus, który przyjechał do Niemiec skuszony wysokimi, wojennymi zarobkami, z niezłomnym zamiarem solidnej pracy. Szybko naprawiliśmy to skrzywienie w jego psychice i nastawiliśmy go na jedyny właściwy stosunek do zagadnienia pracy dla Niemców. Okazało się, że jako fachowiec potrafił udzielić nam szeregu nieocenionych wskazówek. W każdym razie firma maklersko-ekspedycyjna „Walter Upmann & Soehne”, która nas zatrudniała i w której magazynach w Nowym Porcie mieliśmy mały stryszek i trzy drewniane łóżka do naszej dyspozycji, nie miała zamiaru rezygnować z naszych usług. Jedynie twierdząc, że działamy demoralizująco na resztę pracujących z nami robotników Niemców, dodała nam specjalnego nadzorcę, nazwiskiem Schilke, który nie miał nogi, za to posiadał donośny głos i zasób sformułowań niedopuszczalnych pod żadnym pozorem w ogródkach jordanowskich i na żeńskich pensjach. Ten Schilke był kiedyś marynarzem, nogę stracił w bitwie jutlandzkiej czasu zeszłej wojny, zaś przez dwadzieścia lat międzywojennych brał udział we wszystkich antypolskich awanturach na terenie Wolnego Miasta Gdańska, należał do SA, był fanatycznym hitlerowcem, a w zwycięstwo wierzył jeszcze teraz. Zaczęły się tedy ciężkie czasy. Schilke gonił nas nieustannie do roboty, stał nad nami i patrzył nam na ręce na nabrzeżu, na pokładach, a nawet na dole, w lukach, kilka razy kopnął Savina i stale wyrażał najrozmaitsze przypuszczenia na temat zajęć zawodowych naszych przodków po kądzieli. Ale znalazła się i na niego rada. Schilke lubił opowiadać o swych przygodach na morzu i na wojnie. Wystarczyło go umiejętnie sprowokować, by w locie złapać godzinę pogaduszek na workach. Cholera go tylko brała, gdy nie mógł nam zaimponować, lub gdy wiedzieliśmy coś lepiej od niego. W ten sposób wybuchła kiedyś wspianiała awantura. Zaczęło się tak: myśliśmy się raz po robocie, wszyscy czterej, bo i Schilke musiał czasami zakasać rękawy niebieskiej koszuli i przyłożyć swą żyłastą, tatuowaną łapę do jakiejś skrzyni, gdy naraz Savino rzekł:

– To niemieckie kartkowe mydło jest do kitu. Podobnego świństwa w życiu nie widziałem. To w ogóle nie jest mydło, tylko jakiś cholerny ersatz. Eskimosi na pewno by go do ust nie chcieli wziąć...

– A wasze włoskie to niby chcieliby – wykrzywił się ironicznie Schilke. Poczul się urażony atakiem na niemieckie mydło.

– Oczywiście – odparł Savino. – Eskimosi bardzo lubią mydło, a włoskie z pewnością bardzo by im smakowało. Prawdziwe włoskie toaletowe, phi?

Pojąłem od razu, jakie możliwości kapitalnego ataku kryją się w tej małej kontrowersji.

– To pan o tym nie wiedział, panie Schilke – rzekłem – że największym przysmakiem eskimoskim jest mydło? Tyle pan podróżował i nic... Wstyd! Nieprawda, Nils, że tak jest, ty się przecież świetnie znasz na Eskimosach?

– Tak jest – potwierdził poważnie Nils – największym przysmakiem eskimoskim jest kotlet z mydła lawendowego z groszkiem i zieloną sałatą.

– O, nie – zaprzeczył żywo Savino – ja słyszałem, że Eskimosi szaleją za zwykłym mydłem do prania, cienko krajany w plasterki w sosie pomidorowym. A może to jest zależne od okolic...

Schilke wściekał się, nawymyślał nam od oślich łbów, bydła i „blöde Ausläder”, zapowiedział, że jeśli będziemy robić z niego durnia, to on nam pokaże, trzasnął drzwiami i poszedł.

Nazajutrz pieklił się cały dzień, a potem znów wszystko było po dawnemu. Zapomnieliśmy już o tej rozmowie, gdy po kilku dniach Schilke zagadnął nas z krzywym uśmiechem:

– Z tym mydłem to będziemy mogli sprawdzić. Na redzie stoi „Hangö”, a na „Hangö” jest podobno jeden palacz, prawdziwy Eskimos czy Lapończyk. To wszystko jedno. Jutro spytam się go.

Ale nazajutrz nie pytał nikogo. „Hangö”, średni fiński frachtowiec z Helsinek, przycumował na jedenastym nabrzeżu, w basenie węglowym, koło ujścia Wisły. Schilke tam nie pokuszył się, za to Savino i ja skoczyliśmy zaraz po pracy. Spyaliśmy, czy mają na pokładzie Eskimosa, odpowiedziano nam, że tak. Savino upewnił się jeszcze, czy aby prawdziwy, odparli, że najprawdziwszy, z Wyspy Baffina. Wywołaliśmy go przeto na nabrzeże. Na trapie zjawił się krępy, nieduży pan w brudnej gimnastycznej koszulce, o żółtomiedzianej cerze, granatowoczarnych włosach i czarnych, wąskich szparkach oczu. Pozdrowił nas uprzejmie łamaną niemczyzną i przedstawił się jakimś niezupełnie obco brzmiącym wyrazem. Savino nachylił dłoń głowę i spytał:

– Jak?...

– Kajaluk to moje nazwisko – rzekł pogodnie Eskimos.

– Chyba się zgadza – zaopiniował w moją stronę Savino – tak samo jak „kajak”, tylko ma jedną sylabę „lu” w środku. A kajak, jak wiadomo, jest pochodzenia eskimoskiego.

Pan Kajaluk uśmiechnął się i oświadczył, że rzeczywiście jest narodowości eskimoskiej, pochodzi z Ziemi Królowej Wiktorii i poprzez Wyspę Baffina, na której się wychował, i Grenlandię znalazł się w Petsamo, gdzie trzy lata temu zaokrętował się na fiński

frachtowiec „Hangö”, na którym pływa po dzień dzisiejszy. Po czym spytał nas, czego sobie życzymy.

– Otóż to – rzekłem z namaszczeniem – panie Kajaluk, czy to prawda, że mydło jest ulubionym przysmakiem Eskimosów?

Pan Kajaluk stał się naraz bardzo zły i odparł, że jeśli tylko o to chodzi, to możemy sobie pójść do jasnej cholery, bo on, Kajaluk, bardzo nie lubi tego rodzaju pytań.

– Spokojnie, panie Kajaluk – mitygował Savino – my pracujemy w bogatej firmie. Dla nas kilka flaszek oryginalnego alaszki z Rygi czy dobrego machandlu, to fraszka. Moglibyśmy dojść do porozumienia i zrobić transakcję na ładnych parę litrów, jeśli tylko zgodzi się pan zjeść niedużą porcję dobrze przyprawionego mydła. Pan sam zadecyduje jakie, panie Kajaluk, i z octem czy z musztardą, czy na słodko...

Po tych słowach palacz Kajaluk zaczął wyraźnie bawić się jakimś podłużnym przedmiotem w kieszeni swych drelichowych spodni. Przedmiot ten wyglądał zdecydowanie na nóż sprężynowy. Kajaluk, jak sam mówił, pływał przez trzy lata z Finami, ci zaś mają szczególnie pociąg do ostrych przedmiotów i produkują znakomite fińskie noże. Tego rodzaju rozumowanie nakłoniło nas do jak najszybszej wymiany pożegnalnych uprzejmości i rozejścia się pośpiesznie, a w spokoju. Savino wrócił do domu, ale zaraz przebrał się i poszedł na miasto.

Nazajutrz wypadki potoczyły się błyskawicznie. Przez cały ranek Savino był w doskonałym humorze, śpiewał: „Viens, viens o ma plus belle...” i nawet trochę pracował. W czasie przerwy obiadowej zaś rzekł:

– Pamięta pan, panie Schilke, tę historię z mydłem?

– No i co?... – mruknął Schilke znad menażki z zupą.

– Jeśli chce pan zobaczyć, jak Eskimosi obsuwają z apetytem mydło, to niech pan przyjdzie dziś o siódmej pod „Zardzewiałą Kotwicę” i przyniesie trochę tego produktu. Ale obficie, bo ten mój Eskimos z „Hangö” potrafi opędzlować solidną porcję tego narodowego przysmaku...

Schilke o mało co się nie udławił z wrażenia grochówką, my z Nilsem też. Zwłaszcza zaimek „mój” wyprowadził mnie kompletnie z równowagi. Po obiedzie praca się już na to konto nie kleiła, drań Savino nie chciał nic mówić, tylko zmienił melodię i gwizdał „Pattendrai” bez przerwy. Po pracy zaś zniknął gdzieś niepostrzeżenie.

O wpół do siódmej siedzieliśmy z Nilsem „Pod Zardzewiałą Kotwicą”, która była pierwszą mordownią na cały Nowy Port i Zatokę Gdańską, popijając cienkie, wojenne piwo, z lekka zaprawione szmuglowanym spirytusem. Był to jedyny środek na powrót do utraconej w czasie obiadu równowagi. Niebawem przyszedł Schilke. Pod pachą niósł zawiniętą w gazetę nieduży pakunek, w kłapie kurtki miał swastykę. Rozglądał się wokoło, jakby wstydząc się, że ma usiąść z cudzoziemcami, w końcu jednak usiadł przy naszym stole, lecz nic nie mówił. Za chwilę wszedł Savino, Kajaluk i, ku memu zdziwieniu mała Flamandka imieniem Elli. Elli była przemiłym zjawiskiem o kasztanoworudych włosach, mlecznej, z lekka piegowanej cerze i obfitych piersiach, zatrudnionym w pobliskiej fabryce konserw

rybnych. Kiedyś darzyła mnie swymi rubensowymi wdziękami, z czasem przerzuciła swe łaski na Savino i wszyscy byliśmy z tego powodu bardzo zadowoleni. Teraz wisiała u ramienia promieniejącego Kajaluka, który w żółtych kamaszach, smokingowej koszuli z czarną muszką i marynarskim kubraku sprawiał bardzo wytworne wrażenie, i trzeba przyznać, że wyglądała przyjemnie i ładnie w swej taniutkiej perkalikowej sukience w kwiatki. Cała trójka była wyraźnie pod tak zwanym gazem. Savino przedstawił wszystkich wszystkim, usiadł, pociągnął łyżeczek pojemności ćwierć litra z mojej szklanki, po czym rzekł:
– Panie Schilke, jak się pan zapewne domyśla, siedzący tu pan Kajaluk jest przedstawicielem wielkiego narodu eskimoskiego. A więc proszę, mydło na stół i zaczynamy ucztę!...

Przy tych słowach Kajaluk uśmiechał się rozkosznie do Elli. Alkohol parował z niego tak potężnie, że muchy omijały go z daleka. Schilke rozwinął pakunek. Były tam cztery kawałki kartkowego mydła typu „R 5”.

– Co! – oburzył się Savino. – Takie świństwo pan przyniósł! Nigdy! Nie bój się, Kajalukuchna, nie dam ci tej kartkowej trucizny!...

Przy tych słowach pogłaskał Eskimosa czule po czarnej głowie, pocałował w czoło i wyjął z kieszeni kawałek toaletowego mydła firmy „Nivea”. Schilke patrzył na nas jak na wariatów.

– Czekaj, Kajaluczek, ja ci to zaraz przyrządzę – rzekła Elli. – Nils, nalej Kajalukowi piwka, a ty, Savino, przynieś z kuchni co trzeba...

Naleliśmy mu piwa, pół na pół ze spirytusem. Eskimos wziął półlitrowy kufel, przyłożył do ust i... rany boskie, w życiu nie przypuszczałem, że Eskimosi to takie oliwy... Za chwilę Savino przyniósł z kuchni ocet, musztardę, paprykę, sól i pieprz, Elli pokrajała mydło na plasterki, przyrządziła z tego wszystkiego efektowną sałatkę i Kajaluk wziął z namaszczeniem widelec.

Z napięciem zawiśliśmy wszyscy nad stołem. Kajaluk uśmiechnął się do Elli, potem do nas, wreszcie nabrał zdrowy kęs, wsunął do ust i zaczął z upodobaniem przeżuwać. Po chwili odłożył widelec, namyślił się głęboko i rzekł:

– Czegoś tu brak...

– Czego?... – spytał zduszonym głosem Savino.

– Chyba... cukru...

Savino jak żbik rzucił się po cukier. Kajaluk pocukrzył dobrze, skosztował i zaczął ze smakiem jeść. Jak zahipnotyzowani wodziliśmy wzrokiem za widelcem, ruszającym się szybko od talerza do ust i z powrotem. Schilke miał nieme przerażenie w wyszłych z orbit oczach i ceglaste wypieki na twarzy. W końcu Kajaluk zjadł wszystko, popił piwem i przymknął powieki z rozkoszy dosytu. Odetchnęliśmy z ulgą.

– Wytrzymaj usta, Kajaluk – błagał tkliwie Savino – bo jeszcze puścisz banieczkę mydlaną...

– Dosyc tej szopy! – rąbnął pięścią w stół Schilke. Miał bladą, rozżartą wściekłością twarz i latające wargi. – Wy wszyscy jesteście jedną bandą przeklętych cudzoziemców i trzymacie razem przeciwko nam, na naszą zgubę!... Ale to wam się nie uda! – wrzeszczał. – Niemcy tę wojnę wygrają, a wtedy my wam pokażemy!!!...

Przewrócił krzesło i wybiegł z lokalu.

– Czego ten Niemiec się drze? – pytał wyrwany z błogostanu Kajaluk.

– Nic, Kajaluk – rzekłem – popij sobie jeszcze trochę tej wody ognistej, a jutro przyniosę ci kawałek polskiego mydła „Elida”. Mówię ci, pycha, takiego jeszcze w życiu nie jadłeś...

Kajaluk popił sobie aż do tego momentu, kiedy zanieśliśmy go nieprzytomnego na pokład „Hangö”. Po czym usiedliśmy we czwórkę na balach nabrzeża. Noc była śliczna, jasny księżyc kładł granatowe cienie na spokojnej tafli portowego basenu. Savino wyjaśnił nam pewne rzeczy, których z Nilsem nie rozumieliśmy:

– Wczoraj byłem umówiony z Elli w mieście. Byłem z nią właśnie w jednej kafejce koło Dworca Głównego, około ósmej wieczorem, gdy wtem patrząc, wchodzi Kajaluk. Usiadł przy sąsiednim stole i od razu zapatrzył się w Elli jak w tęczę. Mówię wam, to było to, co Francuzi nazywają „coup de foudre”. Zakochał się od pierwszego wejrzenia. Po półgodzinie wstał, podszedł do mnie i powiada: „Znamy się przecież od kilku godzin. Czy mogę się przysiąc?” No i został z nami. Miał przy sobie butelkę jakiegoś alkoholu, obciągnęliśmy ją więc w tym wirtachafcie we trójkę. Kiedy zostawił nas na chwilę, zdążyłem powiedzieć Elli o tej całej sprawie z mydłem, a ta, zaraz potem, zapytała, czy to prawda, że mydło to przysmak i tak dalej. Na to Kajaluk najbardziej nieoczekiwanie w świecie, mówi, że owszem, bardzo lubi i tylko mu dać. Na to ja, że jutro, Elli – żeby jutro i resztę znacie.

– Jadł z apetytem nawet – powiedziała smutno Elli – a już myślałam, że to przez poświęcenie, dla mnie...

– A to jest w istocie najciekawsze – zastanowił się Nils – czy Kajaluk opędzłował to mydło dla Elli, zmuszając się do tego, aby tylko zdobyć uznanie w jej oczach, czy po prostu prawdą jest, że mydło jest narodowym przysmakiem Eskimosów?...

Chwilę panowała cisza.

Po czym przenieśliśmy wzrok na Elli. Twarz jej wydawała się matowa i biała wśród granatowej nocy nad seledynową wodą, księżyc lśnił w jej rudawych włosach, a usta ciemniały wyzywająco. W oczach naszych był podziw dla jej potęgi.

Warszawa, 1948 r.

Niedziela w Stavanger

I

Na początku roku czterdziestego czwartego postanowiliśmy z Piotrusiem opuścić Niemcy. Obrzydły nam ciągle alarmy lotnicze, bombardowanie miasta, przymus otepiającej, niewolniczej pracy, w ogóle Niemcy. Ponadto Piotruś, po ostatnim pobycie w domu, stał się strasznym zwolennikiem dynastii orańskiej i zdecydował się zadokumentować czynnie swe przekonania polityczne. Należy tu wyjaśnić, że Piotruś był Holendrem i pochodził z przemiłego, wiatrakowatego, tulipanowego i mlecznego, jednym słowem, holenderskiego miasteczka Deventer. Poza tym był smukły, wysoki, miał ciemnoblond włosy, szaroniebieskie oczy i był mi lojalnym, oddanym przyjacielem.

Po to, aby aktywnie wziąć udział w walce o restaurację monarchii w Niderlandach, należało dostać się do Anglii, zaś najkrótsza droga na Wyspy Brytyjskie prowadziła wówczas przez jeden z nielicznych krajów neutralnych, przez Szwecję. Ponieważ rząd królestwa Szwecji nie zdradzał wyraźnych zamiarów oficjalnego zaproszenia nas na swe terytorium, zaś władze Rzeszy Niemieckiej nie przejawiały specjalnego entuzjazmu dla udzielenia nam wiz wyjazdowych, udaliśmy się do Szczecina, aby bezpośrednio nad Bałtykiem zbadać możliwości ewentualnej podróży.

W Szczecinie, ściślej mówiąc w barze „Mexico”, zawarliśmy cenną znajomość z pewnym fińskim palaczem okrętowym, który mimo mocno zalkoholizowanej atmosfery i sporej ilości pochłoniętej wody ognistej miał do nas przemowę, odznaczającą się klasyczną logiką i racjonalistyczną jasnością rozumowania:

– Żaden szwedzki kapitan nie weźmie was „na zielono” na pokład. Statki są zbyt dokładnie kontrolowane przez policję niemiecką przed wyjściem z portu, a nawet w czasie ładowania, aby mogło się udać podobne przedsięwzięcie, w razie nakrycia was kapitan idzie przed niemiecki sąd morski, a sami wiecie, co to dzisiaj znaczy. Jedynym wyjściem z sytuacji jest zaokrętowanie się na jakiś statek niemiecki, idący do Szwecji. Po trzech dniach podróży jesteście w Szwecji, schodzicie na ląd w pierwszym lepszym porcie, walicie prosto do angielskiego konsula, a tam już wszyscy mogą was... – zakończył pogodnie.

– All right – powiedział Piotruś – da się zrobić. Od jutra szukamy statku.

Popatrzyłem na niego z nietajonym podziwem. Z zawodu był absolwentem Wyższej Szkoły Handlowej i usiłował zrobić karierę w bankowości. Tego rodzaju przygotowanie profesjonalne nie dawało mu przecież prawa brania perspektywy pracy pokładowej tak optymistycznie. Ale ostatecznie! Westchnąłem, wspomniałem Jana z Kolna, Krzysztofa Arciszewskiego, Conrada i Mariusza Zaruskiego i oświadczyłem swobodnie:

– Jasna rzecz, do jutra jest wszystko ready, a jutro okrętujemy się na pierwszą lepszą balię. Opuszczając bar „Mexico” kołysaliśmy się, Piotruś i ja, stylowo w barach.

Okazało się jednak, że nazajutrz dopiero wyłoniły się trudności. Minęły owe szczęśliwe epoki, gdy kandydat na wilka morskiego szedł do kapitana byle jakiego statku i nabazgrawszy trzy krzyżyki na podsuniętym mu kontrakcie, okrętował się jako chłopiec,

majtek, marynarz, kanonier, cieśla, siadał na bocianim gnieździe, zostawał piratem i na koniec tonął bogobojnie w wielkiej filizance słonej wody. Nawiasem mówiąc, na chłopców okrętowych byliśmy nieco za starzy, lecz to było jeszcze nic w porównaniu ze skomplikowanym procesem przemienienia się we współczesnego marynarza.

Przed wszystkim należało mieć tak zwaną „książkę morską”, czyli dokument uprawniający do wykonywania zawodu marynarza. Do posiadania podobnych wydawnictw nie byliśmy upoważnieni w żadnej mierze. Potem trzeba było mieć pozwolenie Urzędu Morskiego, zaświadczenie Urzędu Pracy, zgodę policji i opinię lekarską o zdolności do służby morskiej. Ale jednocześnie był to piąty rok wojny, niemieckie frachtowce tonęły w owym czasie po kilka sztuk dziennie, ochotników na rejsy bałtyckie było coraz mniej, o załogi coraz trudniej. Gdy zastanawialiśmy się z Pietrkiem, idąc wolno Bollwerkiem (pogoda była wspaniała, jak to w czerwcu nad Bałtykiem), skąd wydostać tę masę papierów, mignął nam przed oczyma szyldzik biura werbunkowego Urzędu Morskiego.

– Wchodzimy? – spytałem Piotra wzrokiem.

Piotruś przestępował już próg.

Przyjął nas krępy, barczysty, tatuowany nawet na dłoniach urzędnik i spytał, czego sobie życzymy. Chcielibyśmy na morze. Czy jesteśmy marynarzami? Nie, ale właśnie mamy ochotę zostać. Czy pracowaliśmy kiedyś na morzu? Jeszcze nie, ale jesteśmy młodzi i nie tracimy nadziei na wyuczenie tego rodzaju roboty. Jakie są nasze stosunki z Urzędem Pracy?

– Uregulowane – odparł Piotruś wymijająco. Zgadzało się to o tyle z prawdą, że Niemieckie Urzędy Pracy poszukiwały nas na przestrzeni całej Rzeszy za notoryczne wymigiwanie się od przyjęcia jakiegokolwiek roboty, co było podówczas w Niemczech surowo karane. Należeliśmy właśnie wtedy do pilnie tępionej kategorii dobrowolnych bezrobotnych. Lecz cóż, należało grać *va banque*.

Urzędnik popatrzył na nas podejrzliwie. Myślałem, że złapie za telefon, ale nie, wziął jakiś formularz, spytał nas o nazwiska i począł pisać.

– Jaką robotę możecie wykonywać na pokładzie? – rozważał. – Jedyne jako trimmer, palacz lub robotnik pokładowy. Sterować nie potraficie, nie możecie więc okrętować się jako marynarze.

– Jako robotnicy pokładowi – powiedziałem stanowczo. – Zawsze to na świeżym powietrzu.

– Zakosztujecie już wy świeżego powietrza – ironizował gryziopiórek, kręcąc nosem. Coś mu się w tej całej aferze nie zgadzało. W końcu wypełnił formularze i podał nam dwa statki leżące w Szczecinie, na których mieliśmy się meldować.

Obydwa parowce leżały w ósmym basenie węglowym i bynajmniej nie przypominały „Queen Mary”, „Normandie” ani jachtu „Potomac”. Można było wręcz rzec, że miały odrapaną farbę, zakopcone nadbudówki, czarne kominy i w ogóle były cholernie brudne. Poza tym, co nas najbardziej przykro uderzyło, tętniły na pokładach gorączkową pracą. Czerwcowe słońce lało płomienie na zgięte, lśniące od potu grzbiety, windy pokładowe terkotały ogłuszająco. Zatrzymaliśmy się przed trapem prowadzącym na pokład...

- Okropny hałas – rzekł Piotruś.
- Rzeczywiście – przytaknąłem. – Nie lubię tego. Zawsze byłem zwolennikiem pracy w zbożnym skupieniu.
- Popatrz, tamci dwaj chcą wciągnąć tę ogromną beczkę – wskazał na dwóch robotników portowych o potwornie napiętych mięśniach i obrzmiałych karkach, hissujących sporą beczkę na bloku. – Tylko we dwójkę! Zdaje mi się, że dostaję morskiej choroby...
- Piotr – spojrzałem na niego surowo. – Chcesz zobaczyć oświetlone, nie zaciemnione miasto?
- Chcę... – jęknął.
- Chcesz jeść ser holenderski?
- Chcę...
- Chcesz z powrotem wprowadzić Wilhelminę na utracony tron?
- Chcę koniecznie.

Za nami, z tyłu, ktoś strasznie brzydko kłął po francusku. Głos ów zbliżał się powoli i wreszcie spoza stosu skrzyń wynurzył się przysadkowaty facet w pasiastych, białoniebieskich spodniach, smokingowej marynarce i okrągłej czapce z daszkiem, jakie noszą niemieccy marynarze. Niepewnym krokiem kierował się w stronę trapu, koło którego staliśmy.

- Najmocniej pana przepraszam, monsieur – zwróciłem się wytworną francuszczyzną w stronę przybyłego. – Nie wie pan, przypadkiem, dokąd udaje się w podróż ten oto statek? Ziomek Ludwika Świętego spojrzał na mnie podejrzliwie.
- Cholera go wie. Ale na pewno nie pojedzie beze mnie.
- Uważaj – rzekł Piotr – to może sam kapitan.

Spojrzałem na niego z politowaniem.

- Kapitan, nie kapitan – obraził się Francuz – ale kucharz. Bez kapitana jechać można, bez kucharza nie!

– Dziwne więc, że sam kucharz nie zna najbliższego rejsu.

- A może i znam. Co wy zresztą za jedni, czego chcecie?

Znałem dobrze typ Francuza w Niemczech. Tutaj nie należało bawić się w żadne kołowanie i owijanie w bawełnę. Widać było, że chłop był swój i może pomóc, gdy się z nim odpowiednio pomówi.

- Słuchaj, bracie – rzekłem. – Jesteśmy dwaj zmęczeni Rzeszą cudzoziemcy i chcemy do Szwecji. Mamy skierowanie do pracy na tym pudle, lecz przed rozmową z kapitanem wolałbym porozmawiać z tobą.

Francuz spojrzał na mnie bystro, bez śladu alkoholu w oczach. Zrozumiał.

- Nie – odparł. – Ten statek nie idzie na Szwecję. Zresztą w Szczecinie nic nie znajdziecie. Stąd wszystko wali na Norwegię. Jedźcie koleją do Gdańska, a tam bon courage, bye, bye... Złapał się za poręcz trapu i począł windować się na pokład.

Po upływie czterdziestu ośmiu godzin wychodziliśmy z Urzędu Morskiego na Langegasse w Gdańsku. Piotruś miał w kieszeni przydział na frachtowiec „Helia”, ja – na statek węglowy

„Charlotte Cords”. Asekurowaliśmy się na dwie strony.

Wieczorna wizyta w „Sanct Pauli Mampe”, jednym z najpopularniejszych zakładów rozrywkowych na Neufahrwasser, wprawiła nas w zachwyty. Nie to, aby wykwint owego lokalu czy szampańska atmosfera w nim panująca pozwoliły nam przeżyć czarujące chwile szaleństwa. „Sanct Pauli Mampe” było raczej ponurą budą, o zalanych cienkim piwskim stołach, odrapanych ścianach i suchotniczym akordeoniście, do picia należało przynieść coś niecoś w kieszeni, obecne tam bajadery przedstawiały wojenne i kartkowe wydanie swego gatunku, ale spotkaliśmy za to naszych przyszłych kolegów z pokładów „Helli” i „Charlotte Cords”. Na domiar powodzenia panowie ci opowiadali nam wzruszająco, w otwartości swego zapitego stanu, że „Helia” idzie z cementem do Göteborgu, zaś „Charlotte Cords” ładuje węgiel na rejs do Luleaa. Więcej nam nie było trzeba. Krótka narada wojenna uchwaliła, że pojedziemy oddzielnie, każdy na swoją rękę dostanie się do Sztokholmu, a tam już odnajdziemy się wzajemnie.

Nazajutrz meldowaliśmy się u kapitanów; ponieważ „Charlotte Cords” szła tego samego dnia w morze, Piotruś odprowadził mnie na pokład.

Węglowiec leżał w ujściu Wisły w porcie węglowym. Pośród potężnych hałd węgla, w jazgocie kranów i dźwigów, na żelaznym pokładzie śródokręcia żegnałem się z Piotrusiem. Ucałowaliśmy się jak bracia i muszę przyznać, że coś mnie w gardle łaskotało, bowiem kochałem go mocno i wiele przeżyliśmy razem. Pietrkowi także było jakoś niewyraźnie w oczach, a blond czupryna wiała mu smętnie na bałtyckim wietrze.

W chwilę potem meldowałem się u mego kapitana. Siedział w salonie (pożal się Boże, co za „salon”), jak mnie poinformował jakiś obdartus podający się za stewarda, i zajęty był właśnie likwidowaniem obiadu. Zapukałem. Wszedłem.

– Jestem przydzielony na pański statek, captain.

Wszechmocny zmierzył mnie od stóp do głów, nie przerywając żucia. Należy tu wyjaśnić, że pojęcie o przeciętnym marynarzu było nieco oddalone od mego wyglądu. Nosilem akurat wtedy długą, szarą marynarkę „swing” i krawat kupiony u „Byrona” na Champs Elysee. Aby więc uprzedzić jakiegokolwiek nieporozumienie, rzekłem szybko:

– Mam skierowanie jako pokładowa siła robocza. Na morzu jeszcze nie pracowałem, lecz niech pan się nie boi, dam sobie radę.

– Ja się nie boję – padło z jamy ustnej wypchanej makaronem – ale ty możesz się bać.

Manatki zaraz na pokład, po południu jedziemy.

Była godzina dwunasta piątego czerwca czterdziestego czwartego roku, gdy tak oto zostałem marynarzem.

Ledwie rzuciłem swą walizkę na wskazaną mi w kubryku koję, od razu zagnano mnie do roboty. Matko Święta! Jak ja się wtedy napracowałem... Oblepiony potem zmieszonym z węglowym pyłem, o zdartych, połamanych paznokciach, z głową rozsądzoną dygotaniem maszyny i stukotem wind pokładowych rozciągałem jakieś brezenty, zabijałem kołkami persening na lukach, ciągnąłem jakieś potwornej długości i grubości liny przy rytmicznym wyciu „A-ho-i” sześciu innych potępieńców, hissowałem jakieś belki, wreszcie ostatnim

wysiłkiem mięśni, kręgosłupa i woli wlokłem za polewającym pokład bosmanem monstualny szlauch, który puszczał bokami i moczył mnie do nitki słoną, tłustą od plam portowego basenu wodą. Po tym debiucie, utykając na umęczone nogi, zrezygnowałem z kolacji, dokuszykałem do marynarskiego kubryka na dziobie, walnąłem się, tak jak stałem, czarny od brudu i mokry, na mą koję i przytuliwszy skołataną głowę do żelaznej ściany burty zasnąłem snem świeżo upieczonego robotnika pokładowego.

Przebudzony zostałem wcale nie według reguł marynistycznych opowiadań, to znaczy dygotaniem pokładu lub kołysaniem statku, lecz ochrypłym pyskiem jednego z mych nowych kolegów po fachu. Należało wstawać na moją wachtę, rozpoczynając się o godzinie szóstej. Wciągnąłem na siebie przemoczone łachy, każdy mięsień stawał w wyraźnej opozycji do mych centrów nerwowych, po czym z trudem wdrapałem się na pokład. Tam czekał już na mnie pierwszy oficer, który nie omieszkiał przypomnieć mi, że nie znajduję się na pokładzie jachtu wypoczynkowego, tylko węglowego frachtowca, i że jeśli co rano przejawiać będę podobne skłonności wypoczynkowe, to on już dopomoże mi kopniakiem w zadek, abym szybciej osiągnął pokład. Na koniec postawił mnie na samym dziobie statku, dał w rękę gwizdek i przykazał uważać na miny. W razie gdybym zauważył na falach coś nieprawidłowego, należało gwizdać, zupełnie jak na meczu futbolowym. Było to bardzo interesujące zajęcie, które pozwoliło mi przede wszystkim na wygodne ułożenie się na zwoju lin, co samo przez się poprawiło wydatnie me samopoczucie, po czym oddałem się gruntownym studiom otoczenia.

Znajdowaliśmy się już na pełnym morzu i dookoła siebie miałem wszystkie akcesoria morskiej romantyki. Pogoda była cudowna, słońce bez zarzutu, fale jak to fale i niebo jak we wszystkich opisach bałtyckiego nieba. Zresztą interesowały mnie te wspaniałości bardzo umiarkowanie, prawdziwy wilk morski nie zważa na tego rodzaju atrakcje, wprawiające w zachwyty jedynie szczury lądowe. Daleko ciekawszym przedmiotem obserwacji była sama „Charlotte Cords”. Z niejasnym uczuciem niepokoju kontemplowałem jej trzy tysiące pojemności, nieregularnie rozstawione nadbudówki, odrapaną farbę, brudny żelazny reling, chaos splecionych lin, bloków, łańcuchów i drutów. Mimo wczorajszego szorowania wszędzie leżała gruba warstwa lepkiego, zwilgotniałego od morskiego powietrza pyłu węglowego. Każde dotknięcie, krok każdy zostawiał ślady, wkoło rżęs czuło się stale osad czarnego kurzu. Mimo woli porównywałem ją do owej travenowskiej „Yorikki”, lecz brakowało tu momentu beznadziejności, jaką „Yorikka” była przepojona. „Charlotte Cords” oznaczała dla mnie nadzieję, drogę do wolności, do przyjaciół, do życia.

Z kapitańskiego mostku pierwszy oficer wyraźnie groził mi pięścią. Miało to oznaczać, że mam uważać na miny, a nie gapić się na statek, zaś miny zwykle znajdują się od dziobu, a nie na kominie. Wobec tego usadowiłem się wygodniej, schowałem gwizdek do kieszeni i zasnąłem. Nie mogłem przecież na taką odległość wytłumaczyć draniowi, że jest absolutnie wszystko jedno, gdzie się patrzę, bowiem jestem i tak krótkowzroczny, a nosić okulary na pokładzie byłoby bardzo niestylowo.

Nie upłynęła godzina, gdy zostałem wyrwany z drzemki. Przede mną stał niewielki, młody

człowiek w białym, drelichowym mundurze roboczym niemieckiej marynarki wojennej. Nie robił na mnie złego wrażenia. Jasne oczy patrzyły wesoło i przyjaźnie na świat, a zatem i na mnie, agresywnie zadarty nos świadczył o młodej ciekawości. Był mniej więcej w moim wieku i jak to wskazywał uniform, należał najwidoczniej do załogi artylerii przeciwlotniczej, jaką w czasie wojny miał na pokładzie każdy statek handlowy. Zdażyłem zresztą zauważyć, że „Charlotte Cords” także była zaopatrzona w jedno małokalibrowe działko i dwa karabiny maszynowe.

– Masz coś do picia, bracie? – zaczął rozmowę w całkiem niewymuszony sposób.

– Jeszcze nie – odparłem zgodnie z prawdą. – Jestem nowy na pokładzie, od wczoraj dopiero.

– To nic, ale będziesz miał. Dzisiaj dostajecie wodę wy, załoga.

– A wy, z przeciwlotniczej?

– My dostaliśmy wczoraj. Już wspomnienie tylko zostało. Znasz ostatnie nowiny?

Złe przecucie mnie tknęło.

– Jakie nowiny?

– Ta cała zajechna wojna skończy się niedługo.

– Aha, rozmawiałeś wczoraj chyba z Hitlerem albo jesteś spirytystą.

– Anglicy wylądowali we Francji.

Podrzuciło mnie w górę.

– Inwazja!

– Dzięki Bogu. Nareszcie skończy się to całe guano. Bydlak radiotelegrafista zbudził dziś w nocy całe śródokręcie. Captain siedział przez noc przy radiostacji. Ma nowe rozkazy. O czwartej z rana zmieniliśmy kurs z nord-ost na nord-west.

Kolana się pode mną ugięły.

– Nie płyniemy do Luleaa? – jęknąłem.

– Nie, do Bergen.

– Masz coś do picia? – spytałem tym razem ja.

– Już nie, ale jak skończysz wachtę, to przyjdź do nas na dół, na śródokręcie. Jest nas ośmiu, same zgrane kumple, może się coś znajdzie.

Słońce straciło swój blask, niebo lazur, fale koloryt, tak intensywnie zastanawiać się począłem nad nowo wytworzoną sytuacją. Wsiąść na statek, idący do wschodniej Szwecji, a wylądować w zachodniej Norwegii stanowiło dla mnie nie tylko pewną różnicę w południkach i równoleżnikach, lecz wylądowanie niesłychanie skomplikowane zagadnienie i problemy.

Okolo godziny dziesiątej mijaliśmy Bornhölm od back-bordu. Teraz nie miałem już żadnych wątpliwości: jechaliśmy na pewno w północno-zachodnim kierunku. Bóg mi świadkiem, że z większą radością znalazłbym się w tym momencie na wysokości Wysp Alandzkich, lecz na podobne kopniaki przeznaczenia nie było rady. Aby więc podnieść się nieco na duchu, poszedłem po skończeniu wachty zakosztować po raz pierwszy słynnej morskiej aprowizacji.

Zaznaczyć należy, że właśnie wyżywienie było w czasie wojny najlepszą przynętą w rekrutowaniu załóg do niemieckiej marynarki handlowej. Statki niemieckiej żeglugi nie znały prawie ograniczeń kartkowych i dawały marynarzom poczwórne ilości mięsa, tłuszczów, chleba, tytoniu i alkoholu w stosunku do racji reszty ludności Rzeszy. Nic więc dziwnego, że mimo niebezpieczeństwa min magnetycznych i szmerowych, radzieckich łodzi podwodnych i angielskich samolotów torpedowych, mimo kolosalnie wysokiego procentu topionych statków niemieckich zawsze jeszcze znajdowała się spora liczba ochotników, rekrutujących się spośród mas cudzoziemskich, zapelniających Niemcy.

Na przeciętnym parowcu frachtowym jedynie oficerowie pokładowi i maszynowi, bosman, kucharz i żołnierze przeciwlotniczej byli Niemcami, resztę załogi stanowili przeważnie cudzoziemcy – Francuzi, Włosi, Rosjanie, Holendrzy, Litwini czy Łotysze, którzy skuszeni podobnymi możliwościami, lekką ręką podpisywali kontrakty i po pewnym czasie zdecydowanie wylatywali w powietrze, względnie ginęli w falach czterech mórz i jednego oceanu. Zaokrętować się było łatwo, ale droga odwrotu już w zasadzie nie istniała. Obozy koncentracyjne portowych miast niemieckich i terenów okupowanych pełne były zawsze żeglarzy, mających dosyć rozkoszy wojennego pływania.

Rzecz jasna, że warunki pracy na deku niemieckich statków nie należały do idealnych. Żelazna dyscyplina, wyzysk sił ludzkich, szesnastogodzinny dzień pracy, przemoc, gwałt i bicie należały do zjawisk normalnych, tym bardziej że przesiąkła wódka, przepojona ustawicznym lękiem o życie atmosfera czyniła z czasem z najspokojniejszego kapitana obojętnego na wszystko chama.

W kambuzie poznałem wuja Studemanna i znajomość ta objawiła mi się od razu w całej swej doniosłości. Miał on właśnie przemowę do obierającego kartofle koksmata, wysokiego, cienkiego, o suchotniczym wyglądem i końskiej twarzy szczeniaka z Lubeki, który wybrał się na morze w poszukiwaniu przygód, znalazł gruźlicę wykąpawszy się w falach północnego Atlantyku przy jakimś storpedowaniu i jak każdy początkujący odkrywca i żeglarz czyścił na razie garnki w kambuzie „Charlotte Cords”.

– Na początku był duch i duch stworzył materię. Tak twierdzą idealiści! – wykladał Studemann płynnie gestykując trzymaną w ręku, potężną pokrywą od kambuzowego kotła.

– Mimo że nie posiadasz specjalnie inteligentnej twarzy, gówniarzu, powinieneś to zrozumieć. Materialiści zaś mówią: nie! Co widzę, co czuję i co słyszę, to istnieje, najprzód powstała materia i z materii wyszedł duch. Koksmat, sukinsynu, jak będziesz tak grubo obierał kartofle, skopię ci mordę na irlandzki gulasz! Ja jestem materialistą i należałem do Klubu Wolnomyślicielskiego w Rostoku. Z tego powodu miałem u siebie w domu dużo książek filozofów materialistów jak pani Ludendorff i Karol Marks, które zabrały mi te hitlerowskie świnię po swoim dojściu do władzy. Ale to wszystko jeszcze nic w porównaniu do tych czasów przed Wielką Wojną, kiedy byłem kucharzem na „Dorze Fritzen”. Jak myśmę się wtedy bawili w Libawie! Nie było to, jak bawić się w Rosji. „Ja wam skażu adin siekret”...

– zanucił po rosyjsku. Niebieskie, wypłowiałe oczy przybrały rozmarzony wyraz, a cała wysoka, krzepka jeszcze postać wyprostowała się jak za dawnych, dobrych czasów.

– Statek przycumował, już waliliśmy do kasyna, ja we fraku, Franz z kotłowni we fraku, jedwabny szal, jedwabna peleryna... Szmugiel, koksmat, szmugiel odchodził jeszcze wtedy, nie tak jak dzisiaj, torpedę możesz zarobić na morzu. Koksmat, suchotniczy wyskrobku, znów nie napełniłeś dużego kotła! – z całej siły trzasnął trzymaną w rękę pokrywą w środek kuchennej płyty.

Muszę przyznać, że zaimponowało mi to wszystko, chociaż zląkłem się niepomrotnie. Już miałem zamiar zrezygnować z jedzenia, aby tylko nie ściągnąć na siebie uwagi groźnego władcy kambuza i wycofać się dyskretnie, gdy z iluminatora wysunęło się kościste a muskularne ramię i przytrzymało mnie mocno za kołnierz żeglarskiej jaki. Z drzwi kambuza wychyliła się reszta długiego tułowia Studemanna.

– Ty, nowy, czego nie przychodzisz po jedzenie? – Niebieskie oczka śmiały mi się drwiąco prosto w twarz.

– Mam wrażenie, że nie odpowiada mi północnoniemiecka kuchnia. Muszę się powoli przyzwyczajać.

– Co ty za jeden?

– Mój ojciec był Francuzem, matka – Polką, urodziłem się na redzie Barcelony na belgijskim statku, wobec tego mam trudności z uczuciami patriotycznymi.

Studemann przyjrzał się mi z uznaniem.

– Z ciebie taki marynarz jak z koksmata „kwiat Hawaju”.

Spojrzałem na koksmata, który przyglądał mi się od kilku chwil z szacunkiem, jako człowiekowi, z którym jego pan i władca rozmawia już całe dwie minuty nie podnosząc głosu do ogłuszającego wrzasku. Samo to zjawisko przekonało biedaka, że jestem istotą wyższą i godną podziwu.

– Zresztą, wszystko mi jedno, kto jesteś i co tu robisz – ciągnął kucharz. – Ja jestem materialistą filozoficznym i dlatego uważam, że internacjonalizm ma wielkie możliwości na przyszłość. Tylko musi być zachowana czystość rasy, bo inaczej występują objawy degeneracji jak u jednego palacza z Hamburga, z którym byłem w 1912 roku na frachtowcu „Kalliope”. Był on wynikiem skrzyżowania Malaja z Eskimoską i z tego powodu pomieszało mu się poczucie zimna i ciepła. Schodził na wachtę do kotłowni w zimowej bieliźnie i w czasie pracy ubierał się coraz cieplej, a gdyśmy byli raz w okolicach Ziemi Franciszka Józefa, przyszedł do kambuza rozebrany do naga i chciał mnie zakłuć nożem, jak mu nie dałem na deser lodów.

Spojrzałem na Studemanna spod przymrużonych powiek. Czy robi ze mnie wariata? Koksmat słuchał i wierzył. „Czekaj – pomyślałem – pokażę ci”, po czym rzekłem z nonszalancją:

– To jest objaw zwykłej schizofrenii. Rozdwojenie jaźni o zabarwieniu kontrapunktycznym. Mówi o tym Freud w swojej „Psychoanalizie”, wspomina Adler, a także znakomity redemptorysta angielski P. G. Woodehouse.

Taka ilość niezrozumiałych wyrażen i pięknych nazwisk zrobiła swoje. Wuj Studemann potulnie spuścił wzrok i wycofał się, a koksmat, który właśnie zaczął obierać kartofle,

zajechał sobie nożem w rękę z przerażenia. Stylowym ruchem podciągnąłem spodnie, zabrałem przynależną mi manierkę z makaronem, oblanym słoniną, i rozkołysanym krokiem ruszyłem w stronę kubryku.

Czułem się nieco podniesiony na duchu. Pierwsze zetknięcia z rzeczywistością pokładową nie zakończyły się moją bezapelacyjną klęską. Jeszcze trzymam się jakoś. Na razie poczyniłem dwie cenne znajomości. Pierwsza – żołnierz z przeciwlotniczej, który zrobił na mnie nie najgorsze wrażenie, druga – to Studemann. Ten wywąchał, kto ja zacz, ale nie przejawia na razie wrogich zamiarów. W każdym razie Studemann jest cwaniak i będzie szperał. Nie wystarczy mu sam fakt stwierdzenia, że z morzem mam mało wspólnego.

O tym wiedzą przecież zarówno koledzy z załogi, którzy obserwowali mnie przy robocie, jak bosman, którego jeszcze trzeba będzie rozgryźć, jak i oficerowie. Tylko że ta cała banda wraz z kapitanem nie zastanawia się nad motywami pójścia na morze takiego ochotnika albo bierze pod uwagę tylko chęć przygód i zarobku na szmuglu. Zwłaszcza kapitan ma mnie za częsty w portach typ szmuglera, który jedzie na tak zwane „skoki”. Widziałem to w jego pogardliwym wzroku, gdy mnie pierwszy raz ujrzał, i było mi z tym wygodnie, gdyż usuwało inne podejrzenie. Przed wojną żaden kapitan nie okrętował tego typu ludzi, gdyż mieli oni przewaźnie fałszywe książeczki morskie i schodzili po jednym rejsie z pokładu. Brak załóg w czasie wojny zrobił swoje. Brano każdego.

W kubryku była dość wygodna sytuacja. W moim boksie stało sześć koi, na których spało pięciu włoskich marynarzy i ja. Żaden z Włochów nie znał innego języka prócz włoskiego, ja – nie znałem włoskiego. Poza życzliwymi uśmiechami i strzępami niemieckich słów, wystarczającymi do najogólniejszego porozumienia, nie prowadziliśmy więc żadnej konwersacji. Zjadłem więc swój makaron i nastrojony jeszcze optymistyczniej rozwalilem się na koi, aby przemyśleć położenie, w jakie wepchnął mnie los i decyzja generała Eisenhowera.

Kurs na Norwegię nie zmieniał nic. Znowu lądowałem w kraju zajęтым przez Niemców. Ucieczka lądem do granicy szwedzkiej w obcym kraju, z bagażem i bez znajomości języka, byłaby samobójstwem. Można by było jeszcze coś zdziałać w Oresund, w cieśninach pomiędzy Danią i Szwecją. Należałoby się zdecydować na skok do wody i próbować osiągnąć wpław brzeg szwedzki. Było to wykonalne tylko w ciemnościach, we dnie strzelano by do mnie z pokładu i istniały małe szanse przeptynięcia, nawet najtęższym crawllem, kilkuset metrów pod ogniem cekaemów z mostku. Według moich obliczeń powinniśmy byli wejść do Oresundu jutro, ale nie wiedziałem dokładnie, o jakiej porze, był więc czas do ostatecznej decyzji. Ponieważ nie potrafiłem na długo przejmować się sytuacją, a w gwiazdę swoją zawsze wierzyłem niezachwianie, zasnąłem tedy w błogim przekonaniu, że jakoś to będzie.

Zbudziło mnie lekkie popychanie, co samo przez się wskazywało, że przy koi nie stoi żaden z mych przełożonych. Rzeczywiście, w ciemnościach kubryku białł drelich artylerzysty z przeciwlotniczej, z którym rozmawiałem w czasie rannej wachty na dziobie. Zadarty nosek wprost godził w moją twarz, a niebieskie oczęta powleczone były rozkoszną alkoholową

mgiełką. Zapach Hamburger Steinhagera, czyli tak zwanego fuzla, rozchodził się w regularnych kręgach nad koją.

– Ty, bracie, to ja, Heinz. Fasowałeś już wodę?

– Jeszcze nie – odpowiedziałem uspokojony, że nie wzywają mnie do roboty.

– To fasuj i chodź na śródkręcie.

– Da się zrobić.

Ciekawiła mnie ta część społeczności pokładowej, która panowała na śródkręciu. Wstałem i wraz z Heinzem poszedłem do kwatermistrza, gdzie otrzymałem swoje dwa litry fuzlu. Tak zwana porcja pełnomorska, do najbliższego portu. Ze skarbem tym zeszedliśmy do przestronnej kajuty obok poprzedniego luku. Tu rezydowali artylerzyści, co przypominało czasy handlowych brygów, o burtach pełnych dział, chronionych przez żołnierzy przed kaperami, piratami i wojennymi fregatami wrogich państw. Teraz bryg zmienił się we frachtowiec, złoto i diamenty Hiszpanioli w czarne diamenty węgla ze Śląska, fregaty i kaperzy w samoloty torpedowe i łodzie podwodne, a kanonierzy osiemdziesięciofuntówek w obsługę szybkostrzelnego działka.

Na dole było ciemno od dymu i panował wszechwładnie zapach fuzlu. Na kojach leżały porozwalane postacie w białych drelichach albo w kompletnych granatowych mundurach i w korkowych pasach ratowniczych. Byli to ci, którzy mieli w zasadzie wachtę na mostku, ale nie kwapili się na górę, dopóki ostatnia butelka fuzlu stała jeszcze na stole.

Z jednego końca dochodziła skoczna melodia „Ship Ahoi”, z drugiego smętna i tkliwa „Aloha – ha”. Pośrodku grał ktoś na harmonijce na przemian „Horst Wessel Lied” i „Liii Marleen”. Całość zrobiła więc na mnie na ogół dobre wrażenie miłej przytulności.

Moje wejście z fuzlem przywitane zostało szmerem zachwyty, zmieszanego z podziwem.

Byli to przeważnie młodzi chłopcy w typie Heinza. Wszyscy natychmiast wstali z koj, przyglądali włosy i mundury, przedstawili się grzecznie i usiedli dookoła stołu. Heinz nalewał już alkohol do aluminiowych kubków. Gdy na pytanie o moją przynależność państwową oświadczyłem, że jestem Francuzem, zaczęła się z miejsca generalna dyskusja.

Z początku wszyscy zachwycali się „moją ojczyzną”, piękną Francją, wesołymi portami, dziewczętami i urokiem francuskiego życia. Następnie ktoś zauważył, że gdyby Francja poszła ramię w ramię z Niemcami, to wtedy Führer z łatwością opanowałby świat. Na to ktoś inny dodał, że Francuzi to mądrzy ludzie, mają Niemcy i Führera gdzieś, dobrze zrobili, że mu, to znaczy także nam, Niemcom, pokazali tyłek, bo wiedzą, jak należy żyć i nie dać się wykorzystywać kapitalistom. Podobnie, według przemawiającego, działo się przed wojną w Czechosłowacji, o czym on wie najlepiej, bowiem zakosztował takiego życia, pochodząc z Sudetenlandu, którego największym nieszczęściem było przyłączenie do Rzeszy.

Po niniejszym oświadczeniu dyskutanci podzielili się na dwa obozy. Jeden obóz utrzymywał, że wojna to „Scheisse”, powinna się jak najszybciej skończyć i to klęską Niemiec, w którą żaden nie wątpił ani na chwilę. Drugi obóz twierdził, że Hitler jest opatrznościowym mężem stanu, a wojna koniecznością obronną narodu niemieckiego przed zalewem bolszewickiego barbarzyństwa, które, według niedawnych słów Goebbelsa, ma zamiar wykastrować

wszystkich młodych Niemców. Przez kilka chwil obydwie oboje wyzywały się wzajemnie od świń, zdrajców, bolszewików i kapitalistycznych pachołków, po czym jeden młodzieniec z obozu prohitlerowskiego zapytał młodzieńca z Sudetenlandu:

– Jak cię taka cholera bierze, to dlaczego nie spuszczasz ratowniczej łodzi w Oresundzie i nie wrywasz do Szwecji. Wiesz przecież, że nie będziemy strzelali do ciebie.

W tym miejscu rozmowa zaczynała być dla mnie szczególnie interesująca. Mimo znakomitej ilości wypitego fuzlu otrzeźwiałem momentalnie i nadstawiłem ucha.

– Bo nie chcę, boję się i nie potrafię sam. A zresztą... – Niemiec z Czech machnął ręką i położył zamroczoną głowę na stół.

Wyszedłem z artyleryjskiego kubryku na nocną wachtę. Trzeba było zdecydować sprawę Oresundu. Wiedziałem, gdzie leży łódź; kwestia wymagała tylko postanowienia. Nazajutrz mieliśmy być w Oresund.

Nie urwałem się jednak w Oresund. Stałem leniwie oparty o reling, gdy mijaliśmy brzeg szwedzki w odległości niecałych czterystu metrów. Przy jednym dobrym zrywie czałem osiągnąłbym brzeg ten bez trudu, pogoda była bowiem wspaniała i morze gładkie. Szwedzkie miasto Helsingborg śmiało się do mnie zapraszająco wesołymi, białymi domkami. Mimo to nie było we mnie żadnego wahania, żadnej duchowej rozterki, żadnego „być albo nie być”, chociaż po stronie Danii mijaliśmy właśnie zamek Hamleta w Helsingor. Postanowienie było jasne jak krótki rozkaz: nie skaczę i nie robię zamachu na szlauchbot, trzeba czekać lepszej okazji. A powody – dwa, ale wyraźne i dostateczne: weszliśmy do Oresund o ósmej z rana, wyszliśmy o trzeciej po południu, a więc w biały dzień, a na mostku stał cały czas pierwszy oficer, szturman Johann Goebel, i patrzył na mnie badawczo. W moich obliczeniach z poprzedniego wieczoru stawiałem na to, że żołnierze, obsługujący cekaemy na górnym mostku, postaraliby się, nawet strzelając, nie trafić we mnie. Tym bardziej iż dowiedziałem się, że wachtę ranną mają ów Sudetczyk i jeden z jego zwolenników we wczorajszej dyskusji. Nie przewidywałem natomiast, że na mostku nawigacyjnym wachtę będzie miał Goebel. Jak zachowa się w wypadku mego skoku do wody, nie miałem żadnych złudzeń. Odepchnąłby z pewnością służbę cekaemu i postaralby się trafić. I trafiłby na pewno. Ponure bydlę – ten szturman Goebel. Potężnie zbudowany, krępy i rozrośnięty, miał twarz bladą, skrzywioną i jakby schorowaną, która dziwnie nie pasowała do atletycznego korpusu. Spod brudnej, białej oficerskiej czapki patrzyły złośliwie wylupiaсте, czarne, wiecznle podkrążone oczy. Cierpiał na jakąś zastarzałą chorobę żołądka, nabytą gdzieś w tropikach, zjadał potworne ilości jakichś pastylek i lekarstw, co nie przeszkadzało mu wcale w piciu wódki.

Na pokładzie uchodziłem za Francuza, gdyż miałem lewy paszport, opiewający na francuską przynależność państwową. Kapitan, okrętując mnie, wpisał bez zastrzeżeń „Francuz” do musterrolki. Tylko Goebel podejrzewał coś na początku. Przed kilku dniami, jeszcze w Gdańsku, gdy bunkrowaliśmy węgiel, rozmawiałem z rosyjskim pałaczem, Griszka, po polsku. Goebel stał niedaleko, a potem zahaczył mnie:

– Ty, mówiliście po polsku, nieprawda?

– Po polsku – zgodziłem się.

– A skąd ty umiesz?

– Moja matka była Polką – odparłem swobodnie.

Uśmiechnął się złośliwie prosto w oczy i poszedł. Potem zauważyłem, że inni oficerowie, wraz z kapitanem, patrzą na mnie podejrzliwiej niż na początku. Widocznie Goebel podzielił się w mesie oficerskiej swym spostrzeżeniem. Komplikowało to trochę położenie, ale nie dawało bynajmniej powodów do rezygnacji.

Góra oficerska na „Charlotte Cords” nie przedstawiała się bynajmniej sympatycznie. Kapitan, nieokrzesany cham z Rugii, wielki, bykowały blondyn, o świńskiej czuprynie i zapitych, bladych oczkach, pokazywał się rzadko. Cały dzień siedział w budce

nawigacyjnej albo w swojej kabinie i pił wódkę. Nie czyniło go to bynajmniej sympatycznym z punktu widzenia towarzyskiego. Do ludzi mówił monosylabami i jedyną jego rozrywką było maltretowanie obdartego stewarda – Holendra, który latał cały dzień z żarciem między kambuzem a kajutą kapitana. Steward ten, mimo że na morzu wychował się i był marynarzem całą gębą, tak zahukany został przez to nieustanne latanie po schodkach z gorącą kawą, że zaczął z czasem popełniać najkardynalniejszy błąd żeglarski, to jest wylewać wszystko od nawietrznej.

Miało to ten skutek, że co by nie zostało wylane za burtę, wiatr wracał z wdziękiem z powrotem na pokład. Właśnie wczoraj steward w ten sposób opróżnił z górnego pokładu kubek uryny z kajuty kapitana. Zawartość ta nie omieszkała wrócić po chwili, niesiona wiatrem, prosto na dolny pokład koło kambuza, gdzie wuj Studemann otwierał puszkę z konserwami na kolację. Krewki staruszek, mimo namiętnej skłonności do materialistycznego wolnomyślicielstwa, nie odznaczał się bynajmniej filozoficznym spokojem i równowagą ducha. Chyżo pobiegł tedy na górny pokład i przy pomocy kilku celnych uderzeń zwichnął stewardowi szczękę. Na odgłos tego zaimprovizowanego spotkania bokserkiego – steward bowiem, chłop nie ułomek, usiłował zachować gardę i zasunął przy tym Studemannowi kilka sierpowych w ucho – wyszedł kapitan i dowiedziawszy się, co się stało, najpierw uśmiechnął się krzywo, a potem, aby zakończyć incydent nieodwołalnym akcentem, tak kopnął parę razy stewarda, gdzie popadło, jedynie w celu autorytatywno-wychowawczym, że poszkodowany całą noc wił się z bólu na koi.

Element uświadomienia politycznego reprezentował w łonie ciała oficerskiego pierwszy mechanik. Był to typowy Prusak z Rostoku, po pięćdziesiątce, o krótko ściętej sterczącej szczecinie siwych włosów, bladoniebieskim, przeraźliwie zimnym spojrzeniu i potężnym brzuchu portowego szynkarza. Na mundurze nosił stale przypiętą srebrną odznakę partyjną i chociaż kapitan i Goebel też należeli do partii, musiał mieć nad nimi jakąś zdecydowaną przewagę. Swoją ważnością przygniatał wprost drugiego oficera maszynowego, flegmatycznego gdańszczanina, tatuowanego na całym ciele, który zmuszony był do odrabiania i swojej, i połowy wachty swojego przełożonego, „Chief” bowiem, zamiast złączyć regularnie do maszyny, potrafił spać bez przerwy monstrualne ilości godzin w swojej kabinie. Najsympatyczniejszą postacią w oficerskiej mesie był drugi nawigacyjny. Młody, przystojny chłopak nie wadził nikomu, mówił rzadko i mało, a jak zabierał się do mówienia, to przeważnie w celu zrugania piegowatego radiotelegrafisty z Hitlerjugend, do którego czuł głęboką awersję. W naszych oczach drugi szturman urósł specjalnie od czasu ostatniej nocy w Gdańsku, kiedy kontrola wojskowa zakazała sprowadzania gości na pokład, a on przyniósł sobie na noc dziewczynę w worku żeglarskim, przespał się z nią, a nazajutrz wyniósł ją samą drogą, pod okiem pilnującej straży nadbrzeżnej.

Trzeciego dnia podróży wpłynęliśmy do Skagerraku. Odtąd od steuerbordu mieliśmy zielone, łagodnie wzniesione brzegi Norwegii. Oslofiord został od południo-zachodu i pod wieczór stanęliśmy na redzie Kristansand. Maszyna ucichła, ciężko wyładowana „Charlotte Cords” kołysała się lekko na kotwicy, kapitan pojechał do dowództwa portu po instrukcje.

Siedziałem na przednim luku i patrzyłem na rozrzucone na stokach gór kolorowe norweskie domki. Wyglądały bardzo zachęcająco i wiele dałbym w tym momencie, aby móc znaleźć się z dala od życia morskiego, przygód i londonowskich wrażeń w takim norweskim zaciszu. Przyszła mi na myśl jedna z czytanych niegdyś, w zamierzczłym dzieciństwie, książek. „Nad dalekim, cichym fiordem” – brzmiał jej tytuł, a opowiadała o małych Norwegach, którzy mieszkali w takim właśnie ślicznym, barwnym domku nad pięknym fiordem i robili wspaniałe wystrzyganki z papieru. W domku było czysto i ciepło i wszystko tchnęło miłą, dziecięcą przytulnością. Tymczasem jednak, gdy siedziałem na przednim luku niemieckiego węglowca „Charlotte Cords”, latem 44 roku, Norwegia mało mogła mi dać ze swej idylliczności, zaś fiord bynajmniej nie był cichy. Ciszę jego rozrywały wybuchy min, eksplozje torped i syreny alarmowe atakowanych statków. Taka była sytuacja norweskiego fiordu. Moja nie przedstawiała się lepiej; prowadziłem sam zaciętą walkę z otaczającymi mnie zewsząd ludźmi, walkę i grę zarazem, w których stawki były bardzo wysokie: życie i wolność. Z refleksji tych wyrwało mnie przyjazne klepnięcie w plecy, skutkiem którego omal nie spadłem z luku. Przede mną stał wuj Studemann i ocierał nos rogiem fartucha.

– Te, młodziak, chcesz się napić czegoś dobrego?

Przyznam się, że podobna propozycja ze strony tak wysoko postawionej w pokładowej hierarchii osobistości, jaką jest kucharz, w stosunku do nędznego robotnika z deku zdziwiła mnie niepomiarnie. Poczułem jednocześnie dumę i całkiem usprawiedliwioną nieufność w stosunku do tego nagłego przejawu łaski. Ale odmówić nie było sposobu.

W kabinie Studemanna stała na desce butelka whisky i blaszana puszka z holenderskim tytoniem „Dobelmanna” do kręcenia. Były to niesłychane luksusy jak na piąty rok wojny i tylko dobrze otarty o portowy szmugiel kucharz mógł takie rzeczy skądś wykopać. Cała historia zaczynała mi się bardzo nie podobać, a niepokój mój wzrósł jeszcze, gdy nagle drzwi się otworzyły, do kabiny wszedł bosman i przywitawszy się grzecznie, usiadł obok mnie na koi.

Z tym bosmanem to było tak: zrobił na mnie nie najgorsze wrażenie; młody, dobrze zbudowany, miał otwartą, prostą twarz, jasne oczy i fantastycznie ciekawy tatuaż na piersiach. Nie posiadał natomiast trzech palców u prawej ręki. Przy robocie nie czepiał się mnie nigdy, wydawało się, jakby nie zwracał na mnie uwagi, ale czasami czułem jego badawczy wzrok na swoim karku. W każdym razie chłop był równy i wyglądał na szmeranego cwaniaka. Pochodził z Hamburga i chociaż wiem, że potrafił mówić znakomitą, czystą niemczyzną, używał przeważnie straszliwego, trudno zrozumiałego żargonu portowego.

Studemann nalał w aluminiowe kubki czystej whisky, „dry”.

– No, cyk. Napijmy się. Skol!

Wypiliśmy. Raz. Drugi. Skręcili po bankrutce. Zapalili. Malutka kajutka z miejsca stała się czarna od ciężkich kłębow dymu marynarskiego kanastru – machory. Noc była ciemna, bezgwiazdna. Ciągnął nieznaczny szkwał, poprzedzony ciężką, parną bryzą. Otwarty iluminator doprowadzał duszne, gorące powietrze, nie rozpraszające dymu. W tej

atmosferze potoczyła się rozmowa, jedna z najtrudniejszych w moim życiu.

Zaczął Studemann prelekcją o wolnomyślicielskich kołach w Lubece, w których wygłaszał jakoby referaty o materializmie filozoficznym. Bredził tak z pół godziny, po czym spytał mnie, kto to był Karol Kautsky. Odparłem, że słyszałem o podobnym nazwisku w związku z ostatnią olimpiadą w Berlinie i o ile sobie dobrze przypominam, to facet ten zdobył złoty medal w skoku o tyczce. Bosman parsknął na to krótkim, jasnym a złym śmiechem. Studemann nalał. Wypiliśmy. W ciemnościach opalone twarze wyglądały jak dwie czarne plamy, rozbłysłe pasmami zębów i siwizną kucharza.

Studemann zaczął znowu. Tym razem o kobietach. Opowiadał o najrozmaitszych dziwkach od Nordcapu do Lizbony i w dół – od Kadyksu poprzez Aleksandrię do Odessy. Bosman dorzucał fachowe uwagi, przeważnie o burdelach w Marsylii i Salonikach. Ja, aby nie pozostać w tyle, przypominałem sobie na gwałt całą przeczytaną literaturę pornograficzną. Naleli. Wypili.

Teraz Studemann nie wytrzymał. Prosto w twarz rzucił mi pytanie: kto ja jestem i po cholere poszedłem na morze?

„Tu cię mam!” – pomyślałem i wolno, przeciągle, czując na razie wszystkie atuty w rękę, opowiedziałem wzruszającą historię o tym, jak zostałem prosto z uniwersytetu (student filologii...) w Paryżu wywieziony na roboty przymusowe do Niemiec i jak mając do wyboru pracę w fabryce albo na morzu, postanowiłem się trochę powłóczyć i być przynajmniej żywiony jak człowiek, a nie marmoladą i kostką margaryny (błogosławiona aprowizacja morska!...) Tym samym zmieniłem kurs o 180 stopni i zniszczyłem opinię, że jestem przemytnikiem portowym, jaka na początku panowała na pokładzie w stosunku do mej osoby. Interlokutorzy okazywali fałszywą litość i potakiwali moim wywodom współczująco. Znow naleli. Wypili i tym razem bosman zaatakował.

Ni stąd, ni zowąd zaczął opowiadać o pewnej awarii, jaką przeżył kiedyś w Zatoce Biskajskiej. Od zatonięcia miał jego i innych wyratować jakiś polski frachtowiec o dźwięcznej nazwie „Robur” i numerze porządkowym. Opowiadał przy tym wiele pochlebnych rzeczy o polskich marynarzach i ich zawodowych umiejętnościach. Potem mówił, jak został zmobilizowany na pierwsze miesiące wojny do marynarki wojennej i brał udział w ataku na Westerplatte z pokładu jakiegoś trawlera. W oleisty sposób chwalił obronę Polaków. Powoli zaczynała mnie brać cholera. W zimny, aż za zimny sposób oświadczyłem, że aczkolwiek matka moja jest Polką, nigdy w Polsce nie byłem i mało się na Polsce i Polakach wyznaję. Studemannowi plątał się już język. Ja też zaczynałem być mętny, mimo że zostawiałem połowę zawartości kubka za każdym razem lub wylewałem sobie resztę na spodnie. Tylko bosman wyglądał, jakby pił ovomaltinę.

Nalał znow i stuknął się ze mną. Studemann kiwał się w sposób wyraźny.

Teraz bosman zaczął gadkę o klubach marynarskich w różnych portach. Były to tak zwane międzynarodowe kluby żeglarskie i wiedziałem o nich, że miały zawsze komunistyczny charakter, a centrala była w Leningradzie. Właśnie o tej centrali opowiadał, twierdząc, że jest jej członkiem i że za to siedział dwa lata w hitlerowskim więzieniu, jak również o jakiejś

pierwszomajowej demonstracji w Hamburgu, w czasie której został przez gestapo zraniony. Zastanawiałem się powoli, już w pijanym widzie, czy kucharz i bosman zadenuncjują mnie po tym wieczorze jako agenta Intelligence czy jako agenta Kominternu. I jedno, i drugie oznaczało kulę. Otrząsnąłem się jednak z tych pijackich refleksji, gdyż partia nie była jeszcze wcale przegrana. Dotąd nie palnąłem żadnego głupstwa. Zrobiłem to dopiero na końcu, ale konsekwencje tej gafy były dużo późniejsze.

W pierwszym momencie bosman spytał mnie wprost, czy nie mam zamiaru narywać przez Norwegię do Szwecji. Parsknąłem mu w nos, żeby nie gadał nonsensów, bo gdybym chciał narywać, to przede wszystkim do Francji, gdzie mógłbym się najlepiej zamelinować. Ale, dodałem nieopatrznie, w Norwegii zostałbym chętnie jakiś czas, bo ciekawi mnie ten kraj i zdaje się, że już mam trochę dosyć pływania.

Na tym się skończyło. Wrzuciliśmy na koję śpiącego Studemanna, skręciliśmy po ostatnim papierosie, bosman – w kunsztowny marynarski sposób, przy pomocy tylko jednej ręki, czego mu śmiertelnie zazdrościłem, bo nigdy nie mogłem się tego nauczyć, i poszliśmy w końcu spać.

Nazajutrz wczesnym rankiem podnieśliśmy kotwicę. Mieliśmy teraz przed sobą najniebezpieczniejszy odcinek drogi. Kristiansand był ostatnim portem w Skagerraku, zaś opuściwszy go, wchodziliśmy w bezpośrednią strefę działania brytyjskich łodzi podwodnych i samolotów Coast Commandu. Na pokładzie panował nastrój minorowy. Po pierwsze – szliśmy bez konwoju. W 44 roku niemieckie arterie komunikacyjne w północnej Europie tak już były naruszone przez angielską ofensywę morską, zwłaszcza na Morzu Północnym i wschodnio – północnym Atlantyku, że niejednokrotnie brakło eskorty konwojowej. Widocznie „Charlotte Cords” miała pilny rozkaz osiągnięcia Bergen z ładunkiem, gdyż na konwój nawet nie czekano.

Po drugie North Sea przyjęła nas nielichym sztormem. Fala szła duża i padało rzadko, ale bez przerwy. Zaraz po wyjściu statku zarządzono ostre pogotowie alarmowe. Na mostku stał kapitan i pierwszy, obydwaj w naoliwionych płaszczach, w zapiętych pasach ratunkowych, i lornetowali bez przerwy niebo. Obsługi działka i cekaemów kulily się przy swoich warsztatach pracy w komplecie. Miałem ranną wachtę, masę roboty przy dychtowaniu luków i wind i dużo okazji do samouwielbienia. Przede wszystkim nareszcie czułem się jak prawdziwy żeglarz i w duchu pomiałem niejaki Frankiem Zawadzki, który będąc moim kolegą szkolnym, uciekł w grubo przedpoborowym wieku na morze i przeżył jeden sztorm na wysokości Rozewia. Potem wrócił za sprawą policji i władz szkolnych z powrotem na tę samą ławkę obok mnie i przez ładne kilka miesięcy dawał odczuć swą wyższość, patrzył na mnie z góry, a nawet nabijał się w pewnych momentach z moich lądowych przyzwyczajień. Teraz, po latach, miałem swój rewanż i za każdą falą, oblewającą przedni pokład i moczącą mnie do nitki, odczuwałem głęboką satysfakcję. Wprawdzie mdliło mnie niechudo, lecz kładłem to na karb wczorajszej whisky. Tak mi się to wszystko podobało, i ten dziób to lecący do góry, to zapadający w piętrowe doliny wodne, mokry, pokryty pianą morską pokład, łączny szum wzburzonego morza i niemniej podnieconego wichru, groźne, nawisłe

niebo i cała, cała sceneria, którą dotąd oglądałem tylko na filmach, że chwilami zastanawiałem się na serio, czy morze nie było moim istotnym powołaniem. Ukrytą tęsknotą mojej duszy, odsłonięciem własnej niezbadanej jaźni, taki, powiedzmy, zew krwi, jak to się kiedyś mawiało. Nieregularne, odrapane i pokraczne nadbudówki, mostki i wentylatory „Charlotte Cords”, tak niepodobne do swych śnieżnobiałych odpowiedników z „Batorego”, teraz dopiero odsłaniały mi swą celowość w walce z żywiołem, swe bohaterstwo frachtowego statku, tak że powoli rodziło się w mym sercu przywiązanie do tego starego pudła. Dopiero gdy urwany przez wicher z liny blok dźwigowy wyrznął mnie zdrowo w ucho, a paznokiec złamał mi się przy naciąganiu persenningu, moja wezbrana miłością do morza i statku dusza zaczęła się powoli uspokajać i uczucie przysło. Zateęskniłem nawet gwałtownie za małym domkiem z ogródkiem, gdzieś w górskiej okolicy, koło Rabki, za gromadką jasnowłosych dzieci, które otaczałyby mój fotel (tylko nie bujany) i baczyły na mój spokój, gazetę i miękkie pantofle.

Inne zgoła refleksje nasuwał mi stan alarmowy na pokładzie i zatroskane spojrzenie, jakim wodzili kapitan i Goebel po niebie. Nie miałem nic przeciw jak najszybszemu zobaczeniu chłopców z RAF – u i ich maszyn, ale nie w tych okolicznościach. Uważałem, zresztą całkiem logicznie, że nic nie zmieni się w planach strategicznych i sposobie prowadzenia ofensywy morskiej wszystkich Lordów Admiralicji, o ile „Charlotte Cords” zostanie storpedowana, względnie zbombardowana, w kilka dni później, kiedy ja będę już stał pewną stopą na lądzie. Muszę przyznać, że uznałbym za nietakt, gdyby moi brytyjscy sprzymierzeńcy postąpili inaczej.

Po całym dniu takiego kiwania się z falą mijaliśmy Stavanger od steuerbord. Przed nami był Atlantyk wraz z wszelkimi swymi humorami i swą wielkością. Mój podziw dla samego siebie urastał do niebywałych rozmiarów. Pływać na Atlantyku w czasie sztormu, w charakterze marynarza, a nie pasażera – o tym nie śnił chyba sam Franek Zawadzki w swoich najśmielszych marzeniach.

Położyłem się na koję i od czasu do czasu bijąc głową o żelazną ścianę burty w takt kołysania, zasnąłem szczęśliwy i dumny. W nocy, mniej więcej na wysokości Haugesund, weszliśmy w labirynt wysepek fiordów i poszarpanych brzegów Hardangerviddy. Taka żegluga pod osłoną brzegu dawała nieco zabezpieczenia przed nalotami, nasuwała jednak przy sztormowej pogodzie niebezpieczeństwa nawigacyjne. Kapitan zaryzykował lawirowanie. Rano, gdy wyszedłem na pokład, płynęliśmy już Hardangerfiordem. Obsada mostku była nie zmieniona, tylko zamiast po niebie lornety ślizgały się po morzu w poszukiwaniu peryskopu. Podobno angielskie submarine’y miały specjalne skłonności do melinowania się w fiordach i atakowania w najbardziej zacisznych i osłoniętych miejscach. Szliśmy także na półparze, ze względu na pogodę, z lekka zaprawioną mgłą.

Inaczej wyobrażałem sobie wycieczkę na fiordy i oglądanie słynnego ze swych uroków Hardangerfiordu z leżaka pokładowego S/S „Kościuszko” albo S/S „Sobieski”. Niezbadane są drogi i statki, na jakich dopływa się czasami do norweskich fiordów. Na razie stałem oparty o reling i oglądałem Hardangerfiord z pokładu niemieckiego frachtowca węglowego

„Charlotte Cords”, rozmyślając przy tym intensywnie. Ale przedmiotem mych myśli nie były ani egzotyka, ani dostojne piękno wspaniałego fiordu. Pod koniec dnia „Charlotte Cords” przycumować miała w porcie Bergen. Należało powziąć jakąś decyzję i obmyślić plan działania. Gdy bosman odgwizdał mnie na wachtę, dał w rękę brudną ścierkę i sidol i kazał czyścić mosiężne okucia na śródkręciu, decyzja była powzięta i plan był gotów.

W Madrycie odbywają się co tydzień walki byków. W Chicago żuje się gumę. W Chamonix jeździ się na nartach, w Karlsbadzie pije się gorzką wodę przeczyszczającą, na Florydzie okrągły rok praży słońce, a w barze na Marszałkowskiej pije się wódkę. Są to pewniki, stany i objawy normalne, w idealnej zgodzie z właściwym porządkiem rzeczy we wszechświecie. W Bergen pada deszcz. Normalnie i codziennie – pada deszcz. Gdy nie pada, wszyscy czują się nieswojo. Dlatego gród ten cieszy się sympatią meteorologów całego świata i stanowi obiekt westchnień wszystkich instytutów przepowiadania pogody. W Bergen nie ma pomyłek w meteorologicznych horoskopach. Latem, zimą i o każdej innej porze roku można tam z czystym sumieniem przepowiedzieć opady deszczowe na następny dzień. Jeśli nie pada z rana, to będzie lało po południu. Z pewnością. Niezawodnie.

Bergen leży nad niedługim, szerokim, usianym wysepkami fiordem. Oglądane od strony morza, przypominałoby jakieś miasto południowego wybrzeża Francji, gdyby nie wieczna deszczowa firanka. Leży przytulone do stromej, wysokiej, nawisłej nad portem góry. Na stoku pełno kolorowych domków o czerwonych dachach.

Jest to drugie, co do wielkości, miasto Norwegii po Oslo. Duży, wygodny port o głębokich basenach; rozbudowane keje i nabrzeża świadczą dobrze o obrotach portowych. Staliśmy długo na redzie, czekając na holownik, pilota i wprowadzenie do portu. W basenach leżało wiele niemieckich parowców, widać było także szwedzkie frachtowce, zaopatrzone w ochronne znaki neutralności.

„Charlotte Cords” przycumowano przy nabrzeżu węglowym. Zaraz też zaczęła się szaleńcza praca. Na pokład weszli, pod eskortą niemieckiej straży przybrzeżnej, tak zwanej Kustenzepolizei, norwescy robotnicy. Zabrali się, wraz z nami, do rozbicia luków. Nakierowano krany i dźwigi, pokładowe windy zaniósł się jazgotem i zaczął się wyładunek.

Norwegowie wyglądali czysto i przyzwoicie. Zdrowe, wysokie, kościste chłopcy o niebieskich oczach, jasnych włosach, poubierani w granatowe drelichowe fartuchy robocze i gumowe buty. Próbowałem zagadnąć jednego po angielsku. Nie chciał mówić, bał się prowokacji.

Gdy zwróciłem się do drugiego w czystej niemczyźnie, popatrzył na mnie z ironią i udał, że nie rozumie, chociaż dałbym głowę, że rozumiał. Dopiero gdy rzekłem do trzeciego w typowo sea-pidgin, ogólnocudzoziemsko-żeglarskim żargonie: – Churchill – all right, Hitler – Scheisse, moi – Francais, Norvegien – o'key! – uśmiechnął się do mnie radośnie, pokazując końskie zęby, i powiedział:

– Javel, tak.

Myślałem, że zgodził się ze mną po polsku, i spojrzałem nań z podziwem.

Potem okazało się, że „tak” oznacza po norwesku „dziękuję” i z miejsca przeraziłem się norweskiej uprzejmości, która każe dziękować nawet za zgodność poglądów.

Do jednego przyznawali się Norwegowie z chęcią: z żarciem było u nich krucho. Kraj biedny, skalisty, skazany przed wojną na duży import środków żywnościowych, biedował mocno pod niemiecką okupacją. Jedyne, co pozostało, to ryby, kraby i wielorybia słonina, toteż jedzono

te ryby we wszystkich możliwych postaciach, robiąc nawet ciastka z dorsza. Widziałem z deku, jak Studemann, ze swobodą i wdziękiem prawdziwego Niemca, gania snujących się zbyt blisko kambuza, dumnych potomków wikingów.

Jeżeli chodzi o wikingów, to zaraz po przybyciu do Bergen nabrałem do nich głębokiego szacunku. Nie tyle dla ich słynnych zdolności żeglarskich, ile dla ich budowniczego kunsztu. Niedaleko basenu, w którym stała przycumowana „Charlotte Cords”, wznosiły się ponure, romantyczne ruiny z grubo ciosanego kamienia. Jak mi opowiadano potem, w tymże basenie leżała przed kilku miesiącami niemiecka szkuta, wyładowana amunicją dla rozszanych w tych stronach niemieckich garnizonów przybrzeżnych, zawierająca między innymi 60 ton dynamitu. Otóż norwescy sabotażyści z ruchu oporu wysadzili cały ten ładunek w powietrze. Skutki były fantastyczne. Domy, stojące po drugiej stronie basenu, a więc w odległości ponad pół kilometra, prawidłowo straciły równowagę, w całym Bergen wyleciały szyby, natomiast znajdujące się zaledwie o kilkadziesiąt metrów od miejsca wybuchu dostojne ruiny zamku Harald Pięknowłosego z XI wieku nawet nie drgnęły. Kilka kamieni przesunęło się tylko z miejsca na miejsce. Oto co znaczy solidna robota wikingowska z wczesnego średniowiecza.

Pod wieczór, po skończonej wachcie, cała załoga stała w kolejce do kwatermistrza po wypłatę w norweskich koronach. Czyści, wymyjni i wyczesani, poubierani w odświętne szatki. Wszyscy z litrem wódki i papierosami z morskiej aprowizacji w kieszeni, bo tych cudów w Norwegii nie było, wygarniali się na ląd, na dziewczynki. Miałem cały szereg propozycji wspólnego spędzenia wieczoru. Moi Włosi z kubryku zachęcali mnie do zwiedzenia pewnego lokalu, w którym, według ich entuzjastycznej relacji, urzędowała cud piękności Neapolitanka. Opisywali jej wdzięki, unosząc ekstazy żrenice i składając ręce jak do modlitwy, dodając przy tym z naciskiem, że bardzo tanio bierze. Wybierali się w czwórkę i zachęcali mnie do zajęcia piątego miejsca. Gdy odmówiłem – byli głęboko dotknięci w swych patriotycznych uczuciach i przejawiali niedwuznaczną ochotę, aby nadać realne kształty swemu oburzeniu. Dopiero gdy im wytłumaczyłem, że szukam tu pewnej Francuzki, przymrużyli porozumiewawczo każdy jedno oko i uściskawszy mi z wylaniem prawicę, poszli na ląd spełnić swój patriotyczny obowiązek, gwizdząc zgodnie „Santa Lucia”. Nie byli widocznie na tyle szowinistami, aby nie uznać bezapelacyjnej wyższości Francuzek nad ich rodaczkami.

Także Studemann, ubrany w cynobrowe kamasze, frakową koszulę z czarną muszką i piękny zielony pulower, zaofiarował mi swą pomoc przy zwiedzaniu Bergen. Odmówiłem tłumacząc, że jestem zmęczony i zostanę na pokładzie pierwszego wieczoru.

Bosman miał wachtę, ale nigdzie go jakoś nie było widać, chyba spał. Studemannowi śpieszyło się bardzo, jak każdemu marynarzowi po rejsie, do pójścia na ląd, więc nie namawiał mnie długo i poszedł. Mignął mi jeszcze w wypucowanym odświętym mundurze Heinz, który też coś do mnie wołał przesadzając w dwóch skokach trap, ale zbyt się śpieszył, aby zaczekać na odpowiedź.

Kapitałny jest zawsze pęd na ląd, gdy tylko statek przycumuje i spadnie kotwica. Człowiek

doznaje jakby gorączki na myśl o tym pierwszym zejściu, nie może doczekać się chwili dotknięcia stopą ziemi, i pomaszerowania przed siebie bez ograniczania się do pewnej ilości metrów kwadratowych pokładu. Wachta dyżurna pierwszego wieczoru po przycumowaniu jest tragedią dla każdego marynarza.

Gdy wszyscy już polecili na zbity łeb, poszedłem się odmeldować do dyżurnego oficera. Goebel był pijany ze zmartwienia, że musi siedzieć w pierwszy wieczór, i nawet nie zwrócił uwagi na to, że idę ostatni, późno i zupełnie sam, co nie należy do żeglarskiego zwyczaju. Gdy schodziłem po trapie, ktoś zawołał na mnie z burty:

– Baw się dobrze!

Spojrzałem w górę. Oparty o reling stał bosman i patrzył na mnie z ledwie dostrzegalną ironią.

„O, w mordę bity – pomyślałem – to ty za mną patrzysz i widzisz, kiedy idę i jak idę!... Może zechcesz jeszcze zobaczyć, dokąd idę? All right...” Bosman włączył się do partii jako ktoś groźny. Dobrze. Zagramy z bosmanem. I aby gra była prawidłowa, spojrzałem mu w oczęta i z miłym uśmiechem odparłem:

– Dziękuję. Postaram się jakoś zabawić... – potem podciągnąłem szerokie marynarskie spodnie i poszedłem wolnym, swobodnym krokiem wzdłuż szyn kolejowych nabrzeża. Czuję się jak bohater sensacyjnej powieści, w jednym z ostatnich rozdziałów. Gdy odwróciłem się, aby spojrzeć na statek, widziałem jeszcze, jak bosman wchodzi do kajuty Goebela.

Ciekawie układają się drogi młodego neofity morskiego w nieznanym porcie. Jakby nie maszerował krętymi portowymi zaułkami o drewnianych, zmurszałych chodnikach, zawsze trafi do knajpy. Dzielnica portowa Bergen jest dostatecznie egzotyczna i malownicza, aby móc włóczyć się po niej godzinami. Drewniane domki i spichrze nad kanałami, pamiętające hanzeatyckie czasy, latarnie uliczne, jakby wycięte z dekoracji w music-hallu, i sceny, odgrywane pod nimi, wszystko to dawało przeżycia same w sobie. Szwendając się z rękami w kieszeniach, pozornie bez celu, miałem jednak cel, który uświadomiłem sobie znakomicie. Musiałem znaleźć jakiegoś Polaka. O tym celu wiedział również dobrze ów dobry dżin, mój duch opiekuńczy z „Tysiąca i jednej nocy”, który tak nieomylnie wiódł mnie przez kręte uliczki, aż wprowadził do szynku Knuta Olsena, gdzie poznałem Alfonsa Kminka.

Błogosławiony ów Alfons Kminek udzielił mi, przy wyciągniętych z mojej kieszeni pół litrze machandelu, informacji, wskazówek i rad, które wytyczyły moją drogę życia w Królestwie Norwegii.

Poznanie odbyło się w sposób niewymuszony.

Po wejściu do brudnej, ciemnej knajpy oparłem się o kontuar i zażądałem piwa. Ogromny, zwalisty jak bryła skalna, Norweg, który wypełniał przestrzeń między kontuarem i półkami, nalał mi piwa i spytał wskazując paluchem, jak żerdź od płotu, na mnie:

– Tysker (Niemiec)?

– No, ikke (nie)! – odparłem trzęsąc głową w straszliwym oburzeniu.

– Who are you? – indagował dalej, tym razem po angielsku.

– Gównu cię to obchodzi – zakończyłem konwersację po polsku, raz, aby się przekonał do reszty, że rzeczywiście nie jestem Niemcem, po drugie, że zaczynał mnie już denerwować. Na dźwięk tych słów z głębi podniosła się jakaś postać średniego wzrostu, ubrana nie tyle z waszecia, ile z rybacka, o smętnych, niebieskich oczkach, perkatym nosie i najeżonym blond wąsiku pod nim. Pan ten podszedł żeglarskim, kołyszącym się krokiem do mnie, popatrzył mi długo i tkliwie w oczy i zapytał, zaciągając z lekka:

– Co ty tu robisz?

Muszę przyznać, że podobny sposób witania rodaka w okolicach Koła Polarnego na Półwyspie Skandynawskim wyprowadził mnie trochę z równowagi. Powitania ziomeków na dalekiej obczyźnie mają być nacechowane entuzjazmem, a nie objawiać się w formie idiotycznych pytań. Toteż odparłem niedbale:

– Czekam na siedemnastkę...

– To ty z Warszawy – zaopiniował pewnie mój rozmówca. Na to zgodziłem się bez wahania. Usiedliśmy i Kminek opowiedział mi swe dzieje.

Urodził się w Wilnie z rzadką w tamtych okolicach namiętnością do morskich przygód, jako potomek całkiem lądowego stolarza meblowego. Jeszcze w mocno szkolnym wieku uciekł do Gdyni i odtąd pływał na polskich statkach. Po 39 roku wrócił do Wilna, zaś w czasie okupacji stał na czele obiecującego przedsiębiorstwa szmuglerskiego na linii Wilno-Kłajpeda. Właśnie w Kłajpedzie nakryli go raz Niemcy i skuli solidnie mordę aż do utraty przytomności. Ocknął się jednak nie w obozie koncentracyjnym, ale w kotłowni jakiegoś frachtowca, już na pełnym morzu. Zawdzięczał to temu, że znaleźli przy nim książeczkę morską, a w Kłajpedzkim Urzędzie Morskim panował akurat wtedy chroniczny brak załóg dla niemieckich parowców.

Rejs szedł do Norwegii i Kminek odbył go jako pałac. Norwegię znał trochę ze swej poprzedniej kariery, szedł więc na ląd z mocnym postanowieniem dyskretnego unikania w przyszłości niemieckiej marynarki handlowej. Traf chciał, że bogowie skrzyżowali drogi jego z drogami pewnej jasnowłosej i błękitnookiej córki dalekiej północy, o dźwięcznym imieniu Ingrid i nie ustalonym zawodzie. Ingrid pochodziła z Narviku, gdzie w 40 roku była zaręczona z bliżej nieokreślonym Tadzkiem z Brygady Podhalańskiej, który brał udział w bohaterskim zdobyciu tego miasta i między innymi zdobył Ingrid. Po tym bojowym wyczynie ów Tadzio wycofał się wraz z resztą Ekspedycyjnego Korpusu Alianckiego i Brygady Podhalańskiej do Szkocji pozostawiając biedną Ingrid w nieutulonym żalu, nie tyle za narzeczonym in persona, ile za polskim sposobem miłowania i intensywną krzepą uczuć, właściwą polskim żołnierzom, a będącą, według relacji Kminka, w wielkiej u Norweżek estymie. Toteż spotkawszy Alfonsa, Ingrid uznała, że jedynym środkiem ukojenia trawiącej ją nostalgii będzie przyciśnięcie tegoż Kminka do zdrowo rozwiniętej piersi tak, aby go nie puścić już nigdy, już nigdy... Kminek tylko szukał takiej okazji. Zamelinował się u dziewczyny, która miała domek w Bergen, wyrobił sobie lewe papiery, poduczył się trochę po norwesku i z czasem puszczać się zaczął z norwesкими rybakami na połowy na rybackich kutrach. Przyznał mi się szczerze przy tym, że kusilo go machnąć kuterkiem na Wyspy Szetlandzkie,

mimo że Niemcy pilnowali jak cholera, a stamtąd do polskiej marynarki w Anglii, ale ostatnio Ingrid powiadomiła go, że coś się tam klei w konsekwencji ich pracy doświadczalnej nad amelioracją europejskiego typu antropologicznego przez skrzyżowanie elementu słowiańskiego ze skandynawskim. Postanowił więc czekać, nawiązał kontakty z norweskim Hjemmefronten (Ruchem Oporu), pomagał Polakom, którzy z rzadka, ale czasami zawieruszyli się w te strony, i z czystym sumieniem twierdził, że czy z Norwegami, czy z Polakami, to wszystko jedno – aby bić Niemca w zadek. Na koniec, wysłuchawszy mych dziejów i zapytań, oświadczył poważnie:

– Czy tak, czy siak, narywaj z pokładu i melinuj się u pyklingów.

Pyklingi był to obrazowy synonim Norwegów, ze względu na namiętą skłonność tego narodu do śledzi. Zwrotu tego używała cała międzynarodowa brać marynarska we wszystkich językach, zaś Polacy, jak się później przekonałem, ze szczególnym zamiłowaniem. Przyznać trzeba, że po polsku brzmiało to imponująco.

– Jeżeli możesz się urwać legalnie – ciągnął Kminek – to znaczy na jakąś prawidłową chorobę albo dolegliwość, to wal do marinearcta i niech cię zrobi niezdolnym do morskiej służby. Wtedy zostaniesz w Bergen i zanim szkopy zdążą się tobą zaopiekować, przyjdź tu do Olsena. Już my cię pchniemy na melinę. Jeśli urwiesz się na siłę, to też smaruj od razu tutaj.

Podszedł do zwalistego Norwega i coś z nim pogadał. Olsen pokiwał głową potakująco.

– Gdybyś znalazł się w Oslo przypadkiem, bo nigdy nic nie wiadomo – kontynuował Kminek, wróciwszy do mnie – to idź na Storgata, ulica łatwa do znalezienia, bo największa w portowej dzielnicy, znajdź bar „Rio Rita” i pogadaj z właścicielem. Taki jeden Johannsen. Powiedz, że Alfons Kminek cię przysyła, on ci wszystko obłatwi. Nic nie pisz, wszystko pamiętaj. No, morda ich niemiecka twarz, daj piątkę, bracie, i może się jeszcze spotkamy. Pożegnaliśmy się serdecznie i wylewnie, rozbiwszy wprzód na szczęście pustą butelkę po machandlu. W wytworny sposób prosiłem Kminka, by pozdrowił panią Ingrid ode mnie, jak również i całą spodziewaną progeniturę, co wprawiło go w zadowolone zażenowanie. Pożegnałem z pewnymi rewerencjami Olsena, który skrzywił toporny pysk w ponurym grymasie, mającym oznaczać życzliwy uśmiech, i poszedłem wprowadzać w życie nieocenione przykazania Alfonsa Kminka.

Trzeba było działać szybko i to atakować samemu. Wiedziałem, że wyładunek potrwa jeszcze dwa dni, a zatem później „Charlotte Cords” wychodzi pusta do Oslo, gdzie dostanie nowy ładunek, najprawdopodobniej cement, z kursem na jakiś niemiecki port. Wiadomości te pochodziły od Heinza, a przeciwlotnicza na ogół była dobrze poinformowana. Na powrót do Niemiec nie mogłem przystać w żadnym razie. Nie lubiłem cofać się. Należało przeto spróbować trochę zmarkierować na początek, a przyprawione dolegliwości to była moja specjalność. Kiedyś, w gimnazjum jeszcze, zламаłem lewą rękę w jakimś meczu hokejowym. Ręka ta została źle złożona i zrosła się z bardzo widocznym defektem na całe życie. Postanowiłem spróbować tej szansy. Nazajutrz robota wrzała jak cholera, statek tonął w chmurze czarnego pyłu, gdy pukałem do drzwi kapitańskiej kajuty.

– Wejść!

Wszedłem, mnąc czapkę w rękach. Obawa i nieśmiałość biły z całej mej postaci.

Kapitan w pidżamie siedział w fotelu. W kajucie gorąco nie do wytrzymania. Pogoda była duszna i ciepła, zaś wszystkie iluminatory szczelnie zamknięto ze względu na kurz węglowy, unoszący się z luków nad pokładem.

Wszechmocny wydawał się jeszcze ciężko zamroczony po jakimś wczorajszym pijaństwie.

Przymrużył swoje świńskie gały i warknął:

– Czego?

– Panie kapitanie – zacząłem cicho i łamiącym głosem. Przeszłowałem z nogi na nogę i gniotłem czapkę niemiłosiernie, a w najwidoczniejszy sposób. – Przyszedłem prosić o odokrętowanie i zwolnienie z pracy. To jest za ciężkie dla mnie. Byłem głupi i przeliczyłem się. To jest ponad moje siły.

Uniósł się groźnie:

– Zwariowałeś! Teraz, w powrotnym rejsie, kiedy mi tak brak załogi. Zresztą zabronione jest zwalnianie zaokrętowanej w niemieckim porcie załogi. Mogę to zrobić tylko po powrocie, w jakimś niemieckim porcie. A teraz poszedł precz, do roboty.

– Panie kapitanie, jeśli chodzi o odokrętowanie, to tu jest też niemiecki urząd morski i da się załatwić. Ja naprawdę byłem głupi, jak podpisywałem musterrolę. Nie wiedziałem, co podpisuję.

– Ale podpisałeś! Teraz leżysz. Mogę zrobić z tobą wszystko, bo podpisałeś – świńskie oczy śmiały się do mnie złośliwie.

– Panie kapitanie – zagrałem mym głównym atutem. – A ta ręka!

– Jaka ręka? – obruszył się.

Wystawiłem mu przed nos lewą rękę z widocznym defektem w przegubie i czekałem z wyrazem twarzy umierającego człowieka, który skręca się z bólu.

– Ta ręka. Lewa. Jestem inwalidą drugiego stopnia, z lewą ręką totalnie niezdolną do fizycznej pracy.

– Ty, przestań się wygłupiać z tą ręką, bo będzie źle... – nasrożył się.

– Jak Boga kocham, kapitanie, to nie śmiech. Nie mogę pracować tą ręką. Niech pan patrzy, jaka bezwładna... – rzeczywiście ręka nagle zwiśla bezwładnie. – Ja muszę do doktora, kapitanie.

– To po coś się okrętował z taką ręką, idioto!

– Nie wiedziałem, że morskie powietrze i wilgoć tak mi podziałają na szpik. Kapitanie, niech mnie pan ratuje, ja tu dostanę gruźlicy kości!

– Jakiej gruźlicy?

– Kości.

– Nie ma takiej gruźlicy, durniu – wściekł się już nie na żarty.

– Jest, kapitanie. Niech pan zajrzy do Duden-Lexicon-Handbuch, to się pan przekona – nie miałem zamiaru ustępować.

– Paszoł won, do roboty, bo ci skuję pysk. Dostaniesz krankenschein i pójdziesz do lekarza.

Jak cię tam zbadają, to ruski miesiąc popamiętasz. Ale pływać u mnie będziesz, żebyś choć miał jednym palcem tylko ruszać, ty...

Na tym się skończyło. Kapitan rozsierdził się na dobre i potem cały dzień wszystkich rugał. Sama rozmowa nie dawała pomyślnych horoskopów na dalszy rozwój sprawy. Niemniej jednak po południu drugi oficer dał mi zaklejoną kopertę i kazał z nią iść do lazaretu marynarki wojennej, gdzie mieli mi zbadać rękę. Musiałem się śpieszyć, gdyż tego wieczoru należałem do dyżurnej wachty.

W szpitalu przyjął mnie marinearct. Był to opasły szkop w randze kapitana fregaty, z wielkim, krościatym nosem i świdrującymi oczkami. Z koperty wyjął krankenschein i jakiś list, który przeczytał, i pokiwał głową. Potem zbadał mi dość dokładnie rękę i orzekł, że nic mi nie jest i że młodzi Niemcy niejednokrotnie bez ręki nawet idą na front, walczyć za ojczyznę. Na to zwróciłem mu uwagę na moją słabą konstrukcję fizyczną i na to, że praca na morzu jest ponad moje siły. Kazał mi się rozebrać, po czym oświadczył, że słabiej ode mnie zbudowani Niemcy giną obecnie masami na polu chwały, wobec czego nie rozumie, dlaczego ja nie miałbym zginąć w falach Atlantyku, czego mi zresztą bynajmniej nie życzy. Spróbowałem z sercem, ale zbadał i orzekł zupełnie szczerze, że działa jak dobry motor Diesla. Chciałem mu podsunąć jeszcze płuca, ale znając swoje, bałem się, że się w końcu zdenerwuje i da mi w szczękę. W duchu od początku przyznawałem mu rację we wszystkim i nawet byłem trochę wdzięczny, bo zawsze, jakkolwiek by było, jest przyjemnie być zdrowym i słyszeć o tym od doktora. W końcu spokojnym tonem postawił diagnozę, że jestem śmierzącym leniem i markierantem, i nie omieszkał wpisać tej opinii na odcinek krankenscheinu, który musiałem zwrócić kapitanowi.

Wychodząc z gabinetu rozmyślałem już intensywnie nad wytworzoną sytuacją. Gdy pierwszego wieczoru schodziłem na ląd, nikt nie podejrzewał mnie jeszcze o chęć zostania w Norwegii czy uciezki. Po dzisiejszej rozmowie z kapitanem odsłoniłem, do pewnego stopnia, przyłbicę. Próbowałem zostać legalnie. Teraz mogą zacząć mnie pilnować, a jutro leżymy ostatni dzień w Bergen. Może już się teraz urywać? Nie wrócić na statek. Póki jestem sam w mieście – walić do Olsena. Może to jest ostatnia szansa? Czort tam z walizką i rzeczami, pójdę tak, jak stoję, tym bardziej że dokumenty i forszę mam przy sobie.

Wolno schodziłem po schodach gmachu lazaretu, z wzrokiem spuszczonej w dół. Gdy stanąłem na dole i podniosłem oczy, przede mną stał bosman.

Uśmiechał się z ledwo dostrzegalną drwiną w oczach i pokazywał mi zabandażowany kikut jednego ze swych obciętych palców.

– Zaczynało ropieć, to poszedłem do lazaretu, aby mi przemyli. Wracasz na statek? – spytał mnie.

– Nie. Mam jeszcze coś do załatwienia w mieście – odparłem patrząc mu prosto w oczy.

– Dziewczynka... – uśmiechnął się domyślnie. – To nic, przejdziemy się razem. Mam ochotę trochę się powłóczyć i czegoś napić.

Był tylko w spodniach i niebieskiej koszuli roboczej. W tylnej kieszeni przeczuwałem raczej, niż widziałem maszynę, a instynkt nigdy mnie jeszcze nie zawiódł. Teraz nie ulegało

wątpliwości, że bosman pilnował mnie od czasu wyjścia do lazaretu. Bezmyślne dwa zdania, wypowiedziane pod koniec pijatyki u Studemanna, przyniosły obecnie owoce. Bosman podejrzewał mnie i był najgroźniejszym przeciwnikiem w rozgrywce. Czułem intuicyjnie, że pracuje na spółkę z Goebelem.

Poszliśmy razem. Naprzód zaprowadziłem go do jakiejś knajpy, gdzie był tłok, po to, aby się do niego w tym tłoku przycisnąć. Instykt mnie nie zawiodł. Miał rewolwer. Nie miało sensu pozbywać się go siłą. Był biały dzień, ulice pełne Niemców, miasta prawie nie znałem i wcale nie byłem pewny, czy w gorączce ucieczki trafię do Olsena. Poza tym bosman był to chłop nie ułomek, na pewno nie słabszy ode mnie, w dodatku uzbrojony. Wróciliśmy na statek. W podnieconym nastroju odwaliłem tego wieczoru swoją dyżurną wachtę.

Na pokładzie szła robota wyładunkowa do zapadnięcia zmroku. Jasne było, że statek będzie gotów do drogi następnego dnia. Ten następny dzień był ostatnią szansą. Oczywiście liczyłem na przeszkody i to nie były jakiego kalibru, zastanawiałem się tylko nad ich rodzajem. Wiedziałem, że jutrzejszego wieczoru nastąpi gremialna pijatyka całej załogi, z wyjątkiem wachtowego maszynisty, dwóch już z tego powodu zrozpaczonych marynarzy i jednego palacza. Byłoby naruszeniem najświętszej morskiej tradycji, gdyby zabroniono mi pójścia na ląd w ostatni wieczór przed niebezpiecznym rejsiem. Przypuszczałem tylko, że dadzą mi obstawę, ale formy jej nie mogłem przewidzieć. W każdym razie nastawiony byłem na ostatni akt rozgrywki.

Nazajutrz, z samego rana, kapitan pojechał na odprawę konwojową, gdyż mieliśmy iść w konwoju. Około dziesiątej wyładunek został zakończony. Podnieśliśmy kotwicę, odcumowano nas i „Charlotte Cords” zaholowana została na redę, gdzie formował się konwój. Natychmiast też spuszczone szalupę, która miała utrzymać kontakt z brzegiem, odtransportować idących do miasta i przywieźć ich z powrotem, pijanych w drobny mak. Kapitan wrócił około południa, po czym zrobiliśmy statek „klar”, to znaczy gotowy do drogi. Luki zostały zabite, pokład sprzątnięty, wszystko umocowane, powiązane i zapięte. Po czwartej chłopcy zaczęli wymykać się na ląd. Pogoda była wspaniała i, o dziwo, w Bergen świeciło słońce. Wyszedłem z kubryku umyty i przebrany w czystą koszulę i zwykłą bluzę roboczą. Miałem przy sobie wszystkie najpotrzebniejsze rzeczy, pieniądze i dokumenty. Przechyliłem się przez reling, aby stwierdzić, czy łódź jest przy trapie. Była. Wolnym krokiem poszedłem do trapu. Przy wysokim otworze w burcie, gdzie zaczynał się trap, stał bosman i zagradzał mi drogę.

– Nie pójdziesz dzisiaj na ląd – rzekł twardo. Patrzył mi przy tym wrogo w oczy. Miał złe, ściemniałe źrenice.

Cofnąłem się o krok. Serce waliło mi jak młotem. Zaczyna się. Tylko ostrożnie i bez głupstw.

– Jak to? – wycodziłem. – W ostatni wieczór?

– Tak to. Rozkaz kapitana.

Z tyłu czułem czyjś wzrok. Odwróciłem się. Na przednim pokładzie stał kapitan i Goebel. Patrzyli na mnie uważnie, rozkraczywszy nogi i z rękami w kieszeniach.

Bez słowa odwróciłem się i poszedłem do nich. Na pokładzie pojawiło się już kilku z załogi

i z przeciwniczej. Zbliżali się powoli do nas, wężąc awanturę.

– Czy to prawda, że zabronił mi pan wyjścia na ląd, kapitanie? – spytałem siląc się na spokój.

– Tak – odparł zaczepnie.

– W ostatni wieczór? Muszą być jakieś ważne powody? – pytałem natarczywie.

Zbliżył się do mnie o krok. Górował nade mną wzrostem o głowę.

– Są... – warknął.

Z boku usłyszałem jadowity, wściekły syk:

– Ty polska świnió!

Odwróciłem się nagle. Przed sobą miałem zmętniałe z pasji, ohydne, czarne oczy Goebela.

– Ty polska świnió! – bluznął charkoczącym wrzaskiem kapitan powtarzając za Gobelem.

Pierwszy cios trafił mnie w szczękę. Bił kapitan. Usiłowałem zachować jakąś osłonę rąk.

Rozbili, bijąc na zmianę, w brzuch i w twarz. Jeden celny prosty Goebela powalił mnie na pokład.

Leżąc, poczułem pod ręką kawał żelaza. Łom od zabijania luku. Niech się dzieje, co chce.

Stali nade mną gotowi do dalszego bicia. Krew zalewała mi oczy. Krew i pasja. Niech mnie zabijają, ale...

Skoczyłem na równe nogi z łomem w rękę. W tej samej sekundzie ktoś chwycił mi z tyłu ramiona w żelazny uchwyt. Jednocześnie do ucha wionął mi szybki szept:

– Nie bij! Daj to! Daj się bić!

Poznałem Griszkę, rosyjskiego palacza.

Wyłuskał mi łom z ręki, odrzucił i puścił. Rzucili się na mnie znowu. Ostatkiem świadomości rozumiałem prośbę Griszki. Potem straciłem przytomność.

IV

Ocknąłem się w więzieniu okrętowym. Była to malutka ciupka nad halą maszyn, sformowana ze stalowej podłogi i schodzącego się z nią sufitu, z jednym, zakratowanym iluminatorem. Zasadniczo był to magazyn farb i pędzli, okolicznościowo tylko służył jako zakład karny. Kubatura tego wnętrza była tak oszczędna, że chociaż nie odznaczam się bynajmniej imponującą postawą, nie mogłem ani wstać, ani usiąść, ani położyć się. Znalezienie więc dogodnej pozycji dla umiejscowienia mej fizycznej osoby w przestrzeni stanowiło najpoważniejszy na razie problem. Głowa bolała mnie jeszcze od bicia, zaś nieustanny, ogłuszający stukot, dochodzący z pobliskiej hali maszynowej, rozsadał wprost czaszkę. Te początkowe impresje oraz skraweczek starego komiśniaka i butelka słodkiej wody, które to przedmioty zauważyłem obok siebie, pozwoliły mi z czystym sumieniem stwierdzić, że okrętowe więzienie ustępuje pod względem komfortu i wygody znanym mi więzieniom lądowym. Miało jedną tylko przewagę. Pływało. To było wszystko.

Odgłos maszyn i skrawek zewnętrznego świata, widziany z mego iluminatora, pozwoliły mi skonstatować, że posuwamy się pełną parą naprzód i jesteśmy najprawdopodobniej już na otwartym Atlantyku.

Przede wszystkim zjadłem chleb i popiłem wodą. Na razie jeszcze mnie nie zabito, pracować nie potrzebuję, nie ma więc powodów do nagłej rozpacz. Ostatnie słowo zaś jeszcze nie zostało powiedziane i nie z takich matni... Ale co tu się chwalić. Już miałem przystąpić do szczegółowej analizy wydarzeń i obecnej sytuacji, gdy w żelaznych drzwiczkach zazgrzytał klucz i pojawiła się głowa, a potem górna część tułowia mego kapitana. Wyglądał odświeżony, zadowolony i prawą rękę trzymał na wysuniętej z kieszeni kolbie rewolweru. Widocznie odeszły go złe humory na jakiś czas po wyładowaniu się na mnie.

Wstać, mimo najszczerzej chęci, nie mogłem, więc przyjąłem go siedząc, pozdrowiwszy pogodnie.

– Dzień dobry, kapitanie.

Popatrzył na mnie zdziwiony, ale widocznie nawet moja bezczelność nie mogła wyprowadzić go ze stanu głębokiej równowagi i szczęśliwości.

– Dzień dobry – odparł z przyzwyczajenia.

– Aleś sobie biedy napytał – zaczął kiwając protekcyjnie głową, gestem mającym wyrażać współczucie. – Pewna teraz kula w łeb.

– Za co, jeśli można wiedzieć? – spytałem z głębokim zainteresowaniem.

– Jak to, za co? – zachnął się. – Bunt na otwartym morzu! Niemieckie prawo morskie karze to, w czasie wojny, śmiercią!

– Kapitanie – rzekłem z wyrzutem – pomówmy poważnie. Kto się zbuntował?

– Co znaczy, kto... Ty, draniu – zaczął się denerwować.

– Fe, kapitanie, skopał mnie pan, we dwójkę z pierwszym – podkreśliłem silnie to „we dwójkę” – i jeszcze mi pan zarzuca bunt. Chciałem tylko pójść ostatniego wieczoru na ląd.

Przecież pan jest marynarzem. Wie pan, co ostatni wieczór oznacza.

– To racja. Ale tyś chciał uciec.

– Ja? Uciec? – cała moja zdemolowana twarz wyrażała najbardziej bezgraniczne zdumienie, na jakie ją było stać. – Gdybym chciał się zerwać, to zrobiłbym to pierwszego wieczoru. Ja chciałem tylko pożegnać jedną dziewczynkę, z którą byłem pierwszej nocy.

– Tak, dziewczynkę, znamy się na tym. A zresztą będziesz także odpowiadał za odmowę pracy i markieranctwo.

Tym razem nie odpowiedziałem nic. Było jasne, że kapitan przekaże mnie najbliższej placówce gestapo, a jeśli miałem już za coś odpowiadać i być skazany, to najlepszy był ostatni zarzut. Spuściłem tedy głowę ze skrucą i wyglądałem jak grzesznik przyznający się do winy. Rozumowałem słusznie, gdyż zakończył on wizytę następującymi słowami:

– A zresztą, kto cię tam zna. Gestapo w Stavanger już się przekona, coś zrobił i coś ty za jeden, Francuz, Polak, czy inna cholera. Powiedzą ci tam dokładnie, za co cię powieszają. A teraz, masz.

Wrzucił mi korkowy pas ratunkowy i zatrzaskał drzwi, przekręcając kilkakrotnie klucz.

Na ręcznym zegarku kapitana zauważyłem ósmą godzinę. Bergen musieliśmy więc opuścić około piątej nad ranem. Przez mój zakratowany iluminator, który wychodził na przedni pokład pod schodkami koło prawej burty, widziałem otwartą przestrzeń oceanu. Znaczyło to, że idziemy w dużym konwoju, który nie przemyka się fiordami, lecz odbił się nieco od brzegów i wali Atlantykiem. Fakt ten wprowił mnie w dobry humor. Duże konwoje ściągają Anglików. Nie będą chyba trzymać mnie zamkniętego w czasie bitwy. A jak trafi – to wóz albo przewóz, jeśli się wyratuję, to uniknę przynajmniej obcowania z gestapo i urwę się od razu, a przecież nie wszyscy giną przy storpedowaniu. Przypomniałem sobie, że w drodze do Bergen prosiłem w duchu Anglików o odłożenie storpedowania „Charlotte Cords” na kilka dni. Teraz mogli zaczynać. Nie miałbym nic przeciwko temu, a nawet byliby mile widziani. Rozmyślenia przerwało ciche psyknięcie. W iluminatorze widniała przyciśnięta do krat twarz Griszki koczegara. Za nim dostrzegłem jednego z moich Włochów. Wsuwali mi przez kratę wałówkę, świeży chleb z margaryną, pudełko sardynek i kubek z gorącą kawą. Ponadto Grisza donosił szeptem:

– Nie bój się. Zsadzają cię w Stavanger, a tam musisz już sam patrzeć, abyś się wykaraskał. Twoje szczęście, żeś nie uderzył, bo bosman, który nie bił cię, stał z boku i trzymał odbezpieczony rewolwer w ręku, czekał tylko na to. Zakatrupiłby cię bez słowa, bo taki jest morski zakon, że jak uderzysz kapitana na pokładzie, to kaput z tobą. Mają prawo zatłuc cię na miejscu. A żarcia ci jeszcze przyniesiemy.

– Dziękuję, Grisza – wionąłem wdzięcznym szeptem.

– Ni cholery tam. Patrz, aby cię nie wykończyli w Stavanger. A jak przejdiesz, to fartuj się dalej. Good luck – dodał po angielsku, bo to był bity chłop, ten Griszka koczegar, wysmarowany po wszystkich portach. Jego smągła twarz, z czarnymi od węgla cętkami, wyrażała szczerą troskę. W czasie całego mego pobytu na „Charlotte Cords” rozmawiałem z nim zaledwie kilka razy, gdyż Griszka albo siedział na dole w kotłowni, albo spał,

a w Bergen urwał się na dwie noce i całe trzy dni na dziewczynki. Pochodził z Leningradu i serdecznie nienawidził Niemców.

Nażarłem się i odpoczywałem. Myślałem o bosmanie. Ten był najniebezpieczniejszy. Kapitan to głupie bydlę, Goebel to sadysta i niemniejsze, lecz wcale niegłupie bydlę, ale mało zależało mu na czymś innym poza biciem. Bosman co innego. Od początku widocznie śledził mnie i podejrzewał. Chciał nie tylko położyć mnie, ale przed tym wszystko o mnie wiedzieć, wszystko ze mnie wydobyć. Jasne było, że to on naprowadził Goebela i kapitana na myśl, że gram jakąś podejrzaną rolę i że mogę próbować ucieczki. On, niewątpliwie, poinformował ich o rozmowie w kajucie Studemanna i o tym, że chciałbym odokrętować się i zostać w Norwegii. On wreszcie napuścił obydwu na mnie, a potem czekał chłodno, obliczając słusznie pewne momenty psychologiczne, na to, aby zabić mnie w absolutnej zgodzie z prawem. Interwencja Griszki uratowała mi życie. Ale porachunki pomiędzy bosmanem a mną pozostały jeszcze do wyrównania.

Refleksje te przerwały blade oczka Studemanna, które śmiały się do mnie drwiąco spoza krat iluminatora.

– No cóż, siedzisz, synku – szydził wolnomyślny materialista.

– Studemann – rzekłem z poważnym uśmiechem, nie pozbawionym pewnej melancholijnej zadumy – jak się kiedyś spotkamy po śmierci, w co ty nie wierzysz, to opowiem ci wiele ciekawych rzeczy. A jak się spotkamy jeszcze przed śmiercią, to zapamiętasz sobie to spotkanie do śmierci.

– Bezczelna polska mordą – zasyczał tolerancyjny ateista.

Po czym zaczął trzepać jakiś dywanik umyślnie o mój iluminator, tak że gryzący, brudny kurz wypełnił dusząco moją, i tak niezbyt przewiewną, klitkę. Był to przeraźliwie niemiecki gest, godny całkowicie niemieckiego filozofa.

No i zaczęło się. Musiało to być gdzieś na wysokości Haugesund, około czwartej godziny, właśnie wpadłem w gorączkową półdrzemkę w bliżej nieokreślonej pozycji (coś pośredniego między przykucnięciem a figurą tańca, zwanego kozakiem, gdyż jedna noga musiała być wyciągnięta), gdy rozległo się wycie syren u nas i na innych statkach konwoju.

Jednocześnie uderzono w alarmowy dzwon, co oznacza: „Wszyscy na pokład”. Kadłub statku przebiegło nerwowe drżenie, setki alarmowych dzwonek elektrycznych. Po pokładzie zatupotały nogi. Drzwi moje otwarły się z trzaskiem, stanął w nich Goebel z rewolwerem w ręku.

– Wychodź! – warknął.

Złapałem korkowy pas i w dwóch skokach po żelaznej drabince byłem na pokładzie. Aż zatoczyłem się pod wrażeniem nabranego w pełnym oddechu świeżego powietrza. Jednym rzutem oka ogarnąłem spokojne morze o małej fali, dość pogodne niebo w lekkich, strzępiastych obłoczkach i konwój. Szło siedem statków, cztery naładowane, trzy, wśród nich „Charlotte Cords”, puste. Jako eskortę widać było dwa torpedowce, jeden na czele, a drugi zamykający, i jeden trawler pośrodku od backbord. Statki szły jeden za drugim, ale nie w kilwaterze, tylko z odchyleniami do stu metrów na boki. Wszystkie były większe od

naszego, miały mniej więcej po 4-5 tysięcy ton.

Z tyłu, tuż za sobą, miałem lufę rewolweru Goebela. Weszliśmy na prawy dek śródokręcia, a potem na trap prowadzący na mostek. Cholera, prowadził mnie w centralny punkt statku, najbardziej newralgiczne, mózgowe miejsce.

Na mostku, w sterówce, stał kapitan, drugi oficer i bosman, wszyscy w hełmach i schwimmwestkach. Zza koła sterowego mrugnął do mnie porozumiewawczo pewien marynarz. Belg z Antwerpii. Cieszył się, że zaraz będą łać szkopów, a jednocześnie obawiał się, aby sam przy okazji czego nie oberwał.

Nikt na mnie nawet nie spojrzał, tylko Goebel kazał mi stanąć w kącie i rzekł:

– Jak zrobisz jeden podejrzany ruch, to... – pogroził przy tym znacząco splotką.

Z nawigacyjnego mostku wszystko widać było jak na dłoni. Na pokładzie statków panował gorączkowy ruch. Umacniano i dychtowano wszystkie przedmioty. Artyleria przeciwlotnicza w pełnym umundurowaniu, hełmach i schwimmwestkach oblepiła swe narzędzia pracy, z których pościągano już pokrowce. Rozluźniono bloki szalup ratunkowych, szlauchboty i ramy blaszanych pływaków, które służyły za koła ratownicze.

Łądu nie było widać, co oznaczało, że odbiliśmy daleko na Atlantyk. Oznaczało to także przekreślenie części moich planów. Nie miało sensu skakanie do wody w czasie zamieszania. Gdyby „Charlotte Cords” wyszła cało z bitwy, to natychmiast zawiadomią odnośne ośrodki. Wyłowią mnie wtedy, zanim osiągnę brzeg, i nie poprawi to bynajmniej mojej sytuacji. Jeśli zaś statek zostanie trafiony, to wtedy i tak znaję się w wodzie.

W charakterze trupa albo jeszcze żywy. I wtedy mam szansę. Jeżeli zaś w dodatku zatłuką jeszcze moich specjalnych prześladowców, jak kapitana, Goebela czy bosmana, to wtedy mogę nawet dać się wyratować przez Niemców. Sprawa na razie pójdzie w zapomnienie, a zanim sobie przypomnę, postaram się w międzyczasie udać na indywidualne zwiedzanie Norwegii.

Prowadzący torpedowiec rozpoczął nadawanie jakichś sygnałów świetlnych. Ręka kapitana, oparta o telegraf maszynowy, wykonała dwa energiczne ruchy i strzałka stanęła na „Full”. Oznaczało to pełną parą naprzód. Konwój usiłował się wymknąć.

Jednocześnie wszystkie lornety, karabiny maszynowe i lufy szybkostrzelnych działek na wszystkich statkach uniosły się do góry, godząc w południowo-zachodnią stronę nieba. Spodziewano się więc nalotu od steuerbord.

Na początku był szum. Delikatny, platynowy warkot motorów niewidzialnych maszyn. Potem wysoko, wysoko, ale nie specjalnie daleko, ukazało się sześć ledwie dostrzegalnych punkcików. Lornety przyłgnęły do nich jak zahipnotyzowane. Cekaemy zanosły się grzechotem krótkich, urywanych, jakby ostrzegawczych serii.

– Trzy Mosquito 4-11 torpedowe. Osłona myśliwska, trzy Thunderbolty – meldował bosman. „Oho – pomyślałem – to wykształcony chłopak, ten bosman.” Nie podejrzewałem go nawet o takie umiejętności, jak znawstwo samolotów nieprzyjaciela.

No i zaczęła się zabawa. Trzy dwumotorowe samoloty spikowały gwałtownie i przy ogłuszającym ryku motorów: rozległo się szybkie miarowe bicie niemieckich działek,

przypominające wyciąganie korków z butelek. Trzy jednomotorowe Thunderbolty pozostały w górze. W odległości kilkuset metrów od konwoju jakby się zmiłygowały. Ułamek sekundy, jakby zamknięcie silników, i dwumotorowe Mosquito kładły się w czysty łagodny ześlizg po to, aby w oszalamiającym tempie przemknąć kilkanaście metrów nad błyskającymi i dymiącymi ze wszystkich rur statkami konwoju. Częsteczką ułamka sekundy, jaką wyły nad nami, wystarczyła, by wszyscy w sterówce mimo woli przysiedli. Cud, że nie zawadziły o jakiś maszt albo komin.

Looping, beczka, ogromne koło nad nami i znów ta sama historia, atak od prawej burty, od prawego boku konwoju. Ale jeszcze nic nie zostało zrzucone. Mosquito idą w nie zbitym szyku, we trójkę, między masztami swych ofiar, mając na sobie skoncentrowany ogień siedmiu frachtowców i trzech jednostek marynarki wojennej. Patrzyłem jak urzeczony na to brawurowe, a zarazem flegmatyczne macanie, ustawianie się we właściwej pozycji do zadania niezawodnego ciosu.

Konwój usiłuje zmienić kurs o kilka stopni. Na próżno. Za następną parabolą samoloty znów są prawidłowo i prostopadle do prawych burt konwoju. Thunderbolty chodzą sobie wolno, wysoko w górze.

Znów koło nad nami. Już zaczyna być nudne, gdy nagle Goebel drze się:

– Tam! Torpeda!

Widać pienistą smugę po torpedzie zrzuconej w odległości najwyżej dwudziestu metrów od drugiego frachtowca konwoju. Wyładowany. Musieli stwierdzić w górze. Dla statku nie ma ratunku. Potężny wybuch okrywa wszystko rudoczarnym całunem dymu i ognia. Drugi szturman wypada ze sterówki i gwizdże przeraźliwie na ludzi. Rzucają się do szalupy na śródkręcie. Samoloty ciągle kołują nad nimi, ciągle w ten sam sposób. Nawet już nie liczę kół. Działka i cekaemy biją bez przerwy.

– Druga! – wyje kapitan.

Pienista smuga – tym razem kilka metrów od sąsiedniego statku, idącego w odległości kilkudziesięciu metrów od nas. Siła eksplozji obala nas na podłogę. Belki lecą na nasz pokład. Pierwszy trafiony statek ma wyrwaną całą prawą burtę i obróci się zaraz do góry kilem. Widać ludzi skaczących do wody. Teraz opada zasłona dymna z drugiego. Idzie błyskawicznie na dno. Widocznie był wyładowany czymś ciężkim. Już widać tylko rufę z wymalowaną nazwą statku i portem macierzystym: – „Celia” – Bremen. Dokoła pływają belki, różne drobne przedmioty i trupy. Żyjący – gorączkowo usiłują odpłynąć jak najdalej od wiru – tego leju, który utworzy się za chwilę, gdy rufa zniknie pod wodą. W tej sekundzie dostaje torpedę, w samą halę maszyn, idący na czele konwoju torpedowiec. Ogłuszająca eksplozja. „Celia” znika. Drugi szturman i kilku marynarzy spuszcza nareszcie szalupę. Mosquito zrzuciły wszystkie torpedy. Krążą teraz wysoko w górze. Tylko dwa. Jeden został strącony i płonie na falach o jakieś dwa kilometry od konwoju. Teraz pikują Thunderbolty. Będą atakowały z broni pokładowej, z sześciu ciężkich karabinów maszynowych, jakie mają wmontowane w skrzydła. Jednocześnie dwa Mosquito zniżają nieco lot i sieją wzdłuż konwoju masę podłużnych, drobnych drążków. Bomby zapalające. Jedna pada na dziób

„Charlotte Cords”. Bucha wysoki płomień. Thunderbolty schodzą od strony rufy i siekają, świszcząc ogłuszająco, gradem kul. Zuim, zuim, zuim – słychać z każdej strony. Wszyscy kładą się na podłogę i szukają osłony, nawet obsługa broni przeciwlotniczej. Thunderbolty przeszły. Bosman wyrывa mnie za ramię ze sterówki. Ma skręconą wściekłością, rozżartą walką twarz.

– Do roboty! Wszyscy! – krzyczy wskazując ogień na dziobie. Gwiżdże na ludzi, którzy biegną już ku przedniemu pokładowi. Spadamy raczej niż zbiegamy z mostku. Thunderbolty formują się w górze do nowego ataku, ale tylko dwa. Jeden musiał dostać, gdyż go nie widzę. Jezus, Maria! Czuję, że coś się szykuje! Bosman ma okazję załatwić się teraz ze mną. Trudno... Albo on mnie... Dopadamy kubryku. Odrywam żelazne drzwi. Wpadamy razem po stalowej drabinie na górę dziobu przed podniesioną wspólnym wysiłkiem żelazną klapę. Ogień, dym, nic nie widać. Bosman ma jakiś szlauch czy gaśnicę i zaczyna pryskać. Jesteśmy tylko we dwójkę. Serce wali mi jak młotem, nie z wysiłku, z podniecenia. Chwytam za jakąś żelazną sztangę, duży drąg, aby go usunąć ze środka ognia. Siedzi luźno. Przeszywa mnie pewna myśl jak olśnienie. Widzę wszystko jasno i pewnie. Thunderbolty zeszyły już do nowego ataku. Wałą prosto na „Charlotte Cords”. Od rufy. Może dziesięć metrów nad statkiem. Nawet metra pokładu nie ominie siekanina pocisków. Bosman stoi na samym krawężniku dziobowego wzniesienia. Dwa metry pod nim – przedni pokład. Wokoło nas bure kłęby dymu. Z mostku nic nie widać, jak ja nie widzę mostku. Gorące żelazo drąga parzy mi ręce. Patrzę po raz ostatni na bosmana. Jedną ręką trzyma szlauch, drugą łapie się za tylną kieszeń spodni. Teraz!... Bosman pada ciężko, z jękiem, na pokład. Drąg pcham za burtę. Sam rzucam się w ostatniej chwili w otwór klapy kubryku. Thunderbolty już wiszą nad statkiem. Ziu, ziu, ziuuuu – zająkliwa ulewa pocisków zalewa wszystko, każdą otwartą powierzchnię. Klekoce metalowy grad o żelazną ścianę kubryku. Przeszły. Wychyłam się ostatkiem sił. Rozbiłem sobie mocno głowę przy upadku. Na pokładzie, dwa kroki od drzwi kubryku, leży przesekcionowany angielskimi seriami trup bosmana. Leży twarzą do pokładu. Twarz ta jest tak zmasakrowana przez kule, że nie widać na niej nawet śladów uderzenia. Cofam się do kubryku i robi mi się niedobrze. Z rozbitej głowy cieknie obficie krew. Ocknąłem się w swej więziennej klitce. Na głowie miałem prawidłowy opatrunek. Było szaro, godzina najwyżej czwarta nad ranem. Szliśmy wolno na pół pary, tłoki w maszynie pode mną poruszały się leniwie. Widocznie zbliżaliśmy się do Stavanger.

Powoli uświadomiłem sobie przebieg wczorajszych wypadków. Jedno było jasne...

„Charlotte Cords” ocalała, widocznie pożar na dziobie nie był groźny i został po nalocie ugaszony. O bosmanie nie myślałem wiele. Walczyliśmy ze sobą na móżgi i na mięśnie. Dlaczego? Nienawidził mnie po prostu i już. Szans równych nie mieliśmy przy starciu, a jeśli przegrał... Miał cały czas te same myśli co ja; wyciągnął mnie ze sterówki w czasie nalotu, aby się ze mną załatwić. Poza tym był uzbrojonym Niemcem, podczas gdy ja bezbronnym cudzoziemcem. Zdaje mi się, że wygrałem o sekundę, sięgał już do tylnej kieszeni spodni. Niepokoiła mnie natomiast ostatnia runda, która nadchodziła teraz.

Około ósmej stanęliśmy na redzie portu w Stavanger. W jakiś czas potem drzwiczki

otworzyły się i stanął w nich drugi oficer.

– No, chodź – rzekł.

Wyszedłem na pokład. Zaprowadził mnie do kubryku, gdzie spakowałem swoją walizkę.

Potem wyszedł ze mną na pokład.

Przed trapem, który już był spuszczonej po prawej burcie, stał kapitan, Goebel i jakiś podoficer w mundurze Kustenzolizei, policji przybrzeżnej.

– To ten – powiedział kapitan.

Feldfelbel spojrział na mnie po niemiecku.

– Idziemy – rzekł.

Zeszliśmy po trapie do stojącej przy burcie motorówki; kapitan, policjant i ja. Policjant wyjął rewolwer z kabury i pogroził mi:

– Gdybyś spróbował...

Motorówka powoli odbiła od burty. Cała załoga „Charlotte Cords” wyległa na pokład. Oparci o reling przedniego deku wymachiwali mi przyjaźnie na pożegnanie moi Włosi, Griszka i inni „auslanderzy”. Obok nich stała dalej grupa artylerzystów. Kiwali smutnie głowami. Na deku śródkręcia widziałem Studemanna, dwóch oficerów mechaników i Goebela. Ci uśmiechali się złośliwie. Ostatnim spojrzeniem obrzuciłem brudny, obdarty kadłub węglowca „Charlotte Cords” z Rostoku, łajby, na której odbyłem mój chrzest morski.

Przepełniliśmy koło innych statków konwoju. Chociaż wyszły cało z bitwy, były trochę popalone i widocznie ucierpiały. Potem przybiliśmy do molo koło kapitanatu portu. Tam też mieścił się posterunek policji przybrzeżnej.

Wprowadzili nas do jakiegoś pokoju. Feldfelbel dostał jeszcze w korytarzu jakiś nagły rozkaz i zdażyłem zauważyć, jak nagle złapał coś i skoczył do stojącego przed bramą auta.

Wyjeżdżał. Było mi to bardzo na rękę.

Zostaliśmy we dwójkę. Kapitan milczał. Odeszła go jakoś werwa po wczorajszym ataku.

Wyglądał niezbyt zadzierzyście, tak jakby myślał o czekających go jeszcze atakach.

Do pokoju wszedł jakiś młody oficer policji. Wyświeżony i pachnący, w odprasowanym mundurze. Miał czysto wygoloną twarz i idiotycznie błękitne, zadowolone z siebie oczęta.

Patrząc na niego uświadomiłem sobie, że jest dziś niedziela.

– O co chodzi? – spytał uprzejmie.

Kapitan ocknął się z melancholijnej zadumy i rozpoczął wyliczanie moich przestępstw. Bunt, odmowa wykonywania roboty, markierowanie, awantura z oficerami na otwartym morzu, chęć ucieczki do Szwecji, zamiar ucieczki w Norwegii, doniesienie bosmana, który właśnie wczoraj poległ bohaterską śmiercią za ojczyznę, szacherki z obywatelstwem, paszportem, narodowością – i w ogóle wróg. Wróg Niemiec – oto wszystko, a na to nie trzeba dowodów. Wystarczy spojrzeć na twarz i w oczy.

Oficerek notował coś piąte przez dziesiąte i nader powoli na jakimś formularzu. Potem spojrział mi na twarz i w oczy, aby stwierdzić. Miał tak głupie oczy, że przyszła mi nagle ochota roześmiać się i spytać go, czy stwierdził. Ale trzeba było zacząć działać. Właśnie zabierałem się, w braku obrońcy, do dłuższej przemowy, w której miałem odeprzeć

postawione mi zarzuty i skonstruować żelazny, logiczny dowód mojej niewinności, gdy nagle drzwi otwały się z trzaskiem i do pokoju wpadł bliżej mi nie znany oficer marynarki wojennej.

– Czy jest tu kapitan z „Charlotte Cords”? – wrzasnął z progu.

– Tu! – odwrzasnął kapitan.

– To zbieraj się pan na pokład. Jestem zastępcą dowódcy konwoju. Już podnosimy kotwicę. Sygnalizują falę bombowców wzdłuż całego południowo-zachodniego wybrzeża. Ponadto rozkazy z Oslo. Jak najszybsza koncentracja konwojów w Kristiansand.

– Panie, ja tu mam przewód śledczy. Przestępca! – krzyczał kapitan wskazując na mnie.

– Sami się z nim tu załatwią. Wal pan na pokład, mówię! – krzyczał tamten, a ściślej wrzeszczał, jak to jest u Niemców w zwyczajach, a co oni uważają za rozmowę.

– Rozkaz! – ryknął kapitan. Po czym złapał czapkę i chciał lecieć. Ale przypomniał sobie jeszcze mnie, oparł się rozrzuconymi ramionami o biurko oficerka, zawisł całym korpusem na nim, zachrypiął godząc paluchem we mnie:

– Pamiętaj pan... Wróg!... – i wyleciał jak z procy. Zostaliśmy we dwójkę. Oficerek wyglądał na takiego, co to z karabinem w garści może by sobie i dobrze poczynił w obliczu wroga. Ale była niedziela i oficer ów od początku przesłuchania nie zdradzał dlań specjalnej uwagi. Taka piękna pogoda, niedziela, może jakieś rendez-vous, a tutaj siedź w obliczu wroga i rób łokciowe protokoły.

Wstał, podszedł do okna i długo patrzył na ulicę. Wrócił do biurka, spytał mnie o coś, zapisał i znów do okna, gdzie stał jeszcze dłużej, z rękami w kieszeniach. Widocznie chytry plan działania zrodził się w jego głowie, bo nagle wrócił do biurka i zaczął porządkować coś w szufladach. Rozpychał się przy tym łokciami na blacie tak, że dotychczas zapisane w mojej sprawie arkusze spadły bezszelestnie i harmonijnie na stojący obok stolicek i utonęły w chaosie na nim leżących papierzyk. O błogosławiona systematyczności i porządku niemiecki! Cześć wam!

Po czym wyprostował się i rzekł groźnie:

– Poczekaj tu, zaraz wracam. Żebyś się z tego krzesła nie ruszał.

I poszedł. Błyskawicznie uświadomiłem sobie rozkład budynku. Pokój, korytarz, schody, hall wejściowy i od razu ulica. Przy drzwiach warta. All right!

Minuta, dwie, trzy – jak wieczność. Nikogo nie słyhać na korytarzu. Niedziela. Podnoszę się, łapię za walizkę i do okna. Na ulicy mało przechodniów, ani jednego Niemca. Jednym susem jestem przy drzwiach.

Kroki na korytarzu. Siadam z powrotem. Ręce w ciup, buzia w małdrzyk... Nie, wróć! Cholera! Odwrotnie. Serce mi trochę bije z emocji.

Do pokoju wchodzi jakiś podoficer. Zupełnie nowy. Jest: jest szansa! Teraz albo nigdy?» Naprzód! Ma zaspaną twarz i rozchełstany mundur. Wstaję z walizką w rękę i cała moja postać przejawia rozdrażnione zniecierpliwienie. Tamten patrzy na mnie ze zdziwieniem.

– Co tu robisz, marynarzu? Na co czekasz? – pyta mnie normalnym, urzędniczym tonem.

– Cholera! – wybucham i wszystko drży we mnie z pośpiechu. – Zostałem ranny w czasie wczorajszej bitwy konwojowej. O, niech pan patrzy – wskazuję na obandażowaną głowę. – Dziś odokrętowali mnie i mam jechać do Bergen. Czekam na przepustkę kolejową już z godzinę. Co za traktowanie rannych marynarzy, no niech pan sam powie? Tu jest moja książka morską!

Na biurku leżą moje dokumenty. Tych oficerek nie stracił. Opatrzność jest ze mną.

– No, no – uspokaja szwab. – Zaraz będzie przepustka.

Bierze dokumenty i blankiet, przykłada stempel i wypełnia. Każdy nerw chodzi mi jak struny gitary przy paso dobre. Serce mam w gardle. Trwa to minuty, mnie się wydaje stuleciem.

Daje mi przepustkę i dokumenty.

Nakładam najsilniejsze hamulce woli na nogi, aby nie iść za szybko. Mówię jeszcze „do widzenia” i powoli wycofuję się z pokoju. W mózgu mam lawę pomieszanych myśli, instynktów, nagłych postanowień, ale widzę wszystko trzeźwo i wyraźnie. Powoli mijam wartownika i wychodzę na zalaną słońcem ulicę. Jeszcze trochę! Jeszcze kilkanaście metrów nadludzkiego wysiłku, ostatnie chwile opanowania. Mijam róg i startuję do szaleńczego sprintu o nagrodę wolności na trasie wąskich drewnianych uliczek norweskiego portu Stavanger. Łapię jakichś Niemców żołnierzy i pytam, gdzie jest dworzec kolejowy. Niedaleko. Już go mam.

Jest niedziela. Malutki dworzec, jak podmiejska stacyjka, jest prawie pusty. Stoi jakiś pociąg. Bezcelnie podchodzę do niemieckiego strażnika i pytam, dokąd idzie ten pociąg. Do Oslo. Kiedy? Za dwadzieścia minut. O’kay! Wchodzę do bufetu i siadam przy stoliku. Wstawienie czterech liter wyrazu „Oslo” pomiędzy słowa: „Bestimmungsort” i „Bergen” jest kwestią chwili. Pierwsze jest drukowane, drugie pisane ręką mego mimowolnego dobroczyńcy. Podrobić ółówkiem cztery litery nie jest wielką sztuką.

Pewnie wsiadam do pociągu. Przedtem jeszcze informuje mnie norweski kolejarz, że pociąg do Bergen odejdzie za cztery godziny. Doskonale. W tamtym będą mnie szukali.

W przedziale jest tylko kilku Norwegów. Siedzę jak na węglach aż do gwizdu i ruszenia pociągu. Gdy rusza, podchodzę do otwartego okna i zwisam bezwładnie. Chce mi się tylko spać.

W dole niknie Stavanger, małe miasteczko, pełne drewnianych domków z desek, o oknach jak na Alasce. Leży, zalane czerwcowym słońcem niedzielnego popołudnia. Patrzę nań z wdzięcznością. Właśnie za tę niedzielę. Ostatni dzień wielkiej gry.

Daleko widać błyszczący fiord. Jeszcze dalej – morze. Mam dosyć morza. Dosyć pływania, przygód morskich, Londona, pokładu, Zaruskiego, wantów i buntów na oceanie. Sercem wiszę raczej przy tych norweskich skałach, na które wspina się pociąg. Mam wiele teraz do zrobienia, ale na lądzie, na twardej norweskiej ziemi, w barze „Rio Rita” w Oslo albo na przełęczach nadgranicznych Szwecji.

Niemniej jednak pływałem jeszcze w charakterze siły roboczej. I muszę przyznać, bez specjalnej awersji. Zacząłem nawet rozumieć tych, co kochają morze. Ale to już całkiem inna historia – jak mawiał Kipling.

Oslo – Warszawa, 1945 – 1946 r.

Tübingen ma białe kominy

Gdy uświadamiam sobie teraz całą śmieszność grozę tej historii, przestaję natychmiast o niej myśleć. Po co denerwować się i oblewać gorącym warem na myśl, co by było, gdyby... kiedy i tak jest już po wszystkim. Ostatecznie każdy człowiek ma w swoim życiu kilka takich „co by było” i najczęściej wzdraga się przed uświadomieniem sobie najgorszych konsekwencji swojego „gdyby”. Był to czas, na szczęście krótki i definitywnie zakończony, kiedy realizowałem słodkie marzenia mych szczenięcych lat i byłem marynarzem. Domyśliłby się ktoś w słowach tych jakiejś mizantropii czy zgoła goryczy pod adresem stanu żeglarskiego. Uchowaj Boże! Jest to wspaniałe zajęcie i daje możliwości niezastąpionych przeżyć, ślicznych chwil zamyślonego podziwu dla świata, morza, nieba i ludzi oraz do głębokiego zadowolenia z samego siebie. Do dziś dnia czuję jestem na całą rozległą romantykę żeglarskich akcesoriów, a widok najdrobniejszego nawet okrętowego przedmiotu budzi we mnie sentymentalne wzruszenia. Na statku, w wymiarze życia morskiego, każdy przedmiot ma swój specyficzny, inny od lądowego, wygląd i charakter. Inaczej wygląda i spełnia swe zadanie stół w mesie, inaczej kuchnia i garnki, inaczej przyrząd do spania, czyli koja, a nie łóżko. Lampa na łodzi jest rzeczą statyczną, niezmienną i raczej martwą. Na morzu żyje, tańczy, chyboce i bierze aktywny udział w rozmowie. O wszystkim tym wiedziałem dobrze, gdyż przez czas pewien mej żeglarskiej kariery okupowałem stanowisko człowieka, mającego najwnikliwszy wgląd w sprawy statku, rzeczy i ludzi na nim żyjących, a mianowicie byłem stewardem. Steward... lecz przejdźmy raczej do wypadku „Tübingen”, bo tak można bez końca.

Latem czterdziestego czwartego znajdowałem się w Oslo, będąc jednocześnie w posiadaniu tak zwanej książki morskiej, czyli najistotniejszego dokumentu, decydującego o mej przynależności do zawodu i dającego mi prawo okrętowania się na statki handlowe wszelkiej przynależności państwowej. Było to ściśle teoretyczne prawo, równie iluzoryczne jak wszystkie prawa pisane i niepisane czasu tej wojny. W praktyce wszystkie urzędy morskie w Norwegii obsadzone były przez urzędników niemieckich, pozostających w najściślejszym kontakcie z gestapo, przy czym istniał przymus meldowania się w takim urzędzie w trzy dni po opuszczeniu pokładu. Flota norweska z drobnymi wyjątkami znajdowała się po stronie alianckiej, zaś w norweskich portach stały wyłącznie frachtowce niemieckie lub pracujące dla Niemców. Szwedzi płynęli zawsze ze skompletowaną załogą i nie wolno im było uzupełniać w norweskich portach. Na wodach Bałtyku, cieśnin, Morza Północnego i Atlantyku czyhały na frachtowce niemieckie brytyjskie samoloty torpedowe i radzieckie łodzie podwodne. Podczas gdy każdy nalot aliantów na miasta niemieckie przyjmowało się z entuzjazmem, na morzu sprawa była nieco skomplikowana. Trudno jest żywić gorące uczucia sojusznicze widząc biegnącą prosto w siebie torpedę. W momencie takim następuje szereg gwałtownych nieporozumień psychicznych i w końcu człowiek nie wie, czy ma chcieć, aby torpeda trafiła w niemiecki statek, na którym sam siedzi. Oczywiście, w takim układzie rzeczy należało starać się o właściwe miejsce dla siebie. Hasłem dnia było tedy: za

żadną cenę na morze!

Co za przedziwna, niezbadana, tajemnicza siła sprawia, że ludzie się ze sobą spotykają lub rozmijają? Kto potrafi odkryć jej prawa, zbadać jej mechanizm, wyjaśnić elementy jej działania, wykryć ogólne prawidłowości ją cechujące? Nikt – rzecz jasna i jak świat stary i szeroki przywykliśmy do niej nie przywiązywać większej wagi, co w konsekwencji mści się na nas okrutnie lub szyderczo. Uważamy spotkania z ludźmi za normalność, zdaje nam się, że krzyżówki i płatanina dróg ludzkich to zwykły układ rzeczy i tylko kiedy spotkanie jakieś ma zgoła wstrząsające bytem naszym, złe, dobre, lub dziwaczne skutki, wtedy decydujemy się nazwać je złym, dobrym lub dziwnym przypadkiem. W tym naszym stosunku do zagadnienia tkwi jakaś bezradna, bierna naiwność i dopiero, kiedy przychodzą na nas chwile olśnienia, korzmy się przed zupełną niepoznawalnością owej siły i wpadamy w drugą krańcowość, bąkając nieśmiało o wszechwładnym, absolutnym Przypadku, rządzącym światem i życiem. Popadamy wtedy w bałwochwalstwo absurdu i nonsensu, zapominając o tym, że nasza niezdolność poznania i wymierzenia tej siły nie oznacza jej ślepoty. Wspomniane olśnienia przychodzą do nas najczęściej w kinie, kiedy najbzdurniejsza nawet komedia omyłek zdolna nam jest objawić syntezę działania owej tajemniczej siły; oglądaliśmy już nieraz jakże absurdalnie smutne, a zarazem realistyczne fakty, gdy poszukujący się od wielu lat i tęskniący za sobą ludzie mijają się w drzwiach obrotowych wielkiego hotelu, otarłszy się niemal łokciami i nie spostrzegłszy się wzajemnie. Czasami nazywamy idiotycznym przedstawiony nam artystycznie fakt, z którego wynika, że w milionowym skupisku miejskim ktoś znalazł czy spotkał kogoś najbardziej sobie potrzebnego i koniecznego; i ta ocena jest najdalej posuniętą naiwnością, realizm bowiem takiego zdarzenia jest najcodzienniejszego gatunku. Musimy sobie tedy jasno powiedzieć: istnieje jakaś potężna moc, stykająca ze sobą ludzi, której zbadać ani wyjaśnić nie możemy, której za ślepa i bezmyślną uważać nam nie wolno – a która posiada nie ulegającą żadnej wątpliwości własną, wewnętrzną logikę działań. Jedyną postawą, godną człowieka, jest tedy uznać w tej sile swego sprzymierzeńca, zaufać jej, uwierzyć w nieskończone bogactwo jej możliwości i bezgraniczną, nie liczącą się z niczym potęgę. Co do mnie, to chwila, w której potęga ta zetknęła mnie z panem Schmitzem, stanowiła chwilę jedyną i niepowtarzalną, właśnie ten precyzyjnie wybrany moment, w jakim tylko mogło zacząć działać ruchome pasmo przyczyn i skutków. Wszedłszy do biura urzędu morskiego przy Stortingsgata w Oslo, skierowałem się do solidnego, dębowego kontuaru, na którym widniała tablica: „Uzupełnianie załóg”. Po drugiej stronie kontuaru stało dwóch niemieckich urzędników; jeden z nich, niski, szpakowaty i wygolony, mówił właśnie:

– Proszę cię, Schmitz, tylko pięć minut, zaraz wracam.

Pan Schmitz miał długi nos, ciemne, załzawione oczy i nosił czarne biurowe zarękawki.

– Mój drogi, ale ja mam tyle roboty...

– No, pięć minut, Schmitz, bądź kolegą – powiedział szpakowaty, poklepał Schmitza po plecach i odszedł.

Wyciągnąłem moje papiery z kieszeni i położyłem przed Schmitzem na kontuarze.

– Przyjechałem ze Stavanger. Oto moja książka żeglarska i skierowanie. Co mam robić? Schmitz spojrział na mnie niechętnie i łzawo. Wziął do ręki papiery, przeczytał.

– W porządku. Dam panu kartkę do Domu Żeglarza. Odpocznie pan trzy dni i dostanie pan przydział na statek. Dlaczego pana zdjęli z „Charlotte Cords”?

– Pokłóciłem się z kapitanem.

– Co za nonsens – uśmiechnął się Schmitz – na niemieckich węglowcach cudzoziemscy trymerzy nie kłócą się z kapitanami. To byłoby za wiele.

– Panie Schmitz – zacząłem poważnie i z uczuciem – przepraszam, że pozwalam sobie nazwać pana jego nazwiskiem, które przypadkiem dane mi było usłyszeć; otóż panie Schmitz, czyż nie zdaje pan sobie sprawy z tego, kogo ma pan przed sobą? Czy ja wyglądam na zejmana albo trymera? Jestem ofiarą wojny, pomyłką, nieporozumieniem, wrakiem ludzkim. Muszę to panu powiedzieć, gdyż wyczuwam w panu bratnią duszę, artystę tak jak ja, tylko uwięzionego za biurkiem, jak ja jestem przykuty do trymerskiej szufli. Efekt tego nieprzytomnego strzału był piorunujący. Oczy Schmitza zaszyły autentycznymi łzami.

– Niemcy są w piątym roku wojny – szepnął – ja muszę za biurkiem, pan musi na morze. Biedny. Istotnie jestem muzykiem, kompozytorem. Jak pan to poznał?

– My, artyści – rzekłem, przy czym oryginalny skurcz melancholii uszlachetnił mi rysy – ech, co tu dużo mówić... Pańskie oczy, panie Schmitz, powiedziały mi prawdę.

– A pan?

– Jestem architektem.

Coś jakby rozczarowanie odbiło się na twarzy Schmitza. Szybko jednak oświadczył:

– Architektura. Poezja linii, kolumn, zasad. Piękna rzecz. Teraz już nie miałem żadnych wątpliwości, że jest trzecim fagocistą w drugorzędnym zespole kameralnym i komponuje bez żadnych szans sukcesu.

– Panie Schmitz, ja nie pójdę na morze. Nie przetrzymam następnego rejsu. Obowiązkiem pana jako artysty, wrażliwego artysty, jest pomóc mi.

W głębi hali biurowej ukazał się szpakowaty. Podszedł do biurka i spojrział na mnie ostro.

– Znowu jeden z tych cudzoziemskich partaczy. Dziękuję ci, Schmitz, już ja to dokończę, jeszcze raz dzięki. Wasze papiery – krzyknął w moją stronę.

– Chwileczkę, kolego Kluge – powiedział Schmitz – zabieram z sobą tego człowieka. To jest steward, a na „Harvestehude” prosili o stewarda. Dotychczasowy zachorował ciężko i został odesłany do kraju.

Schmitz wznosił się na wyżyny poświęcenia i bohaterstwa w imię kultu Apollina. Sprawiało mu to widoczną przyjemność, twarz mu się ożywiła, oczy zabłysły. W moim seebuchu stało jak byk „trimmer”, a nie „steward”, zaś gigantyczne kłamstwo Schmitza otwierało przede mną wonne i lazurkowe perspektywy, podobne do wizji muzułmanina odurzonego peyotlem i śniącego właśnie o rozkoszach ogrodu Allacha.

– Proszę bardzo, kolego Schmitz – rzekł Kluge z uśmiechem, który mówił wyraźnie, że sprawia mu to czystą przyjemność odstąpić ten brudny łach, to znaczy mnie, swemu

drogiemu koledze, gdyby bowiem chodziło o niego, to wpakowałby mnie natychmiast na pierwszy lepszy frachtowiec z cementem. Cement oznaczał koniec, czyli nieuchronną śmierć w razie storpedowania; ładunek cementu to był wyrok, a Kluge wyglądał na takiego od wyroków.

Kiedy w dwie godziny później, schodząc ze stacji Nordstrand pod Oslo ku fiordowi, ujrzałem w dole „Harvestehude” na długich cumach, fala ciepła opłynęła mi serce. Różni maryniści różnych literatur i języków różnie mówią o statkach. Przyrównują je do przyjaciół i rasowych zwierząt, personifikują ich jestestwa, obdarzają je życiem duchowym. Zapytany o istotę statku odpowiedziałbym chyba: statek do dom. Gdy pomiędzy statkiem a jego załogą wytworzy się owa więź mieszkaniowej przynależności, wtedy dopiero w sercach ludzkich występują objawy prawdziwego przywiązania, zrozumienia i miłości do konglomeratu belek, żelaznych spojeń, nitów, mosiądzu i desek obdarowanego nazwą i pochodzeniem z macierzystego portu. Na widok „Harvestehude”, leżącej cicho i spokojnie pod jasnym kloszem nieba na szarozielonej tafli fiordu, pojąłem z błogim zadowoleniem, że jej zadaniem jest spełniać rolę cichego, przytulnego domu, odległego od rozgardiaszu bitew konwojowych. Z miejsca też przysiągłem sobie, że uczynię wszystko, by ten urzekający dom na wodzie pozostał mym domem do końca wojny, której groźne oblicze szczyrzyło się tuż obok. Od lewej burty „Harvestehude” ciągnęło się bowiem ponure cmentarzysko statków; leżały, spięte żelaznymi klamrami, wszystkie o równym mniej więcej tonażu i o jednakich okaleczeniach: wyrwane burty, strzaskane kominy, smutny chaos splątanych belek, przewodów, przewróconych masztów, pogiętych relingów. I tylko na prawym skrzydle, wyżej niż inne wraki, leżało pięć tysięcy ton „Harvestehude”, której nadbudówki tylnego pokładu, a zwłaszcza kubryk rufowy, wykazywały ślady jakiejś poważniejszej awantury; mimo to jednak coś takiego wisiało nad statkiem, co mówiło wyraźnie, że na tym pokładzie, wbrew umrzykowemu sąsiedztwu, gości radość i wesele. Czy był to dym z kambuza świadczący niedwuznacznie, że tu gotuje się strawę i chyba nienajgorszą, czy facet w pasiastej koszulce gimnastycznej, który zwrócony ku lądowi stał na dolnym pokładzie śródokręcia przed sztalugą i w najoczywistszy sposób malował norweski krajobraz – dość, że „Harvestehude” tchnęła spokojem, dosytem i jakąś gigantyczną kombinacją. Pełen najlepszych przeczuć zawołałem tedy przyjaźnie „Ahoi”, co miało oznaczać, że czekam na lódź. Po wspaniale długim trapie zeszła więc wolno jakaś postać i leniwie wiosłując zbliżyła się do skalnego brzegu, na którym stałem z workiem żeglarskim na ramieniu i drewnianym kuferkiem przy nogach – obrazek równie klasyczny jak kiczowaty na wszystkich sentymentalnych pocztówkach z wszystkich portów świata. Przy bliższym poznaniu postać okazała się zwalistym chłopem o topornym pysku, modelowanym przez dobrotliwego Stwórcę siekierą i to chyba najtępszą, jaka była na składzie. Stał w szalupie, wypluł szczątek papierosa do wody i rzekł: – Nowy steward, co?

– To ja – odpowiedziałem nie bez kokieterii.

– Jestem bosmanem, na imię mi Georg. Witaj, stewardzie.

Ostatnie słowa zabrzmiały jakoś szekspirowsko a przy tym bardzo mile. Skłoniłem się tedy

grzecznie i przerzuciłem do łodzi bagaż oraz siebie. Płynąc do trapu podziwiałem sterczące w górę kilkanaście metrów burty; statek z wyrwanym przez torpedę steuerbordem – bo tylko taka możliwość zachodziła, skoro backbord był widoczny, czyściutki i nie uszkodzony – otóż taki poharatany statek nie może tak wysoko leżeć na wodzie po prostu jak zdrowy, nie wyładowany frachtowiec. Coś w tym tkwiło niejasnego, ale pożytecznego.

– Wysoka burta, długi trap – westchnąłem od niechcenia.

– A wysoka – potwierdził pogodnie Georg przybijając do kratownicy trapu. – Piękny trap – dodał beztrąsko. W głosie jego nie było najmniejszego podejrzenia, że mógłbym za czymś węszyć. Musieli być zupełnie pewni swego ci zejmani z „Harvestehude”.

Na dolnym pokładzie midshipu trwało nadal studio malarskie. Artysta nosił szorty, a jego czarne, podkrążone oczy, oliwkowa cera i krucze, tłuste włosy znamionowały południowca. Obrzucił mnie taksującym spojrzeniem i rzekł zaczepnie:

– Steward, hę?

– Tak, to ja. Przyjemnie maluje się w taką pogodę, co? Bo dobrze to chyba nie.

Musiałem się jakoś bronić, a na płótnie rzeczywiście widniał koszmar w kolorze. Plastyk spojrzął na mnie z zainteresowaniem i powiedział daleko łagodniej:

– Ledwie gówniarz przyszedł, a już się stawia. Norwegowie kupują, a przecież trzeba z czegoś żyć. Grasz w skata?

– To cię nie uratuje – powiedziałem – już lepiej maluj tę tapetę. Nie gram w skata.

– Steward – odezwał się Georg, który usiadł na luku i skręcał papierosa – zgadnij, jakiej narodowości jest ten oto smarownik?

„Smarownik” było w tym wypadku zręczną grą słów, albowiem mogło to oznaczać i rzeczywistą funkcję południowca w hierarchii maszynowni, i jego znęcanie się nad pędzlem.

– Diabli go wiedzą. Włoch, Portugalczyk, Hiszpan, Grek?

– Nie – Georg uśmiechał się z wdziękiem, którego ekspresja mogłaby przyprawić o szok nerwowy co słabszą jednostkę – on jest Szwajcar. Z Tessinu. I osiemnaście lat na morzu.

– Powinien zostać admirałem floty szwajcarskiej. Niech Bóg ma w opiece jego i jego flotę. Szwajcar uśmiechnął się bez gniewu. Uważał się za unikat i nie bez słuszności. – Idioci – szepnął w naszą stronę, lecz słowo to miało znaczenie przyjazne i niemal pieszczotliwe.

Powoli schodzili się ludzie „Harvestehude”, by obejrzeć nowego stewarda. Aktorów tego wejścia na scenę było wszystkiego sześciu, jeśli nie liczyć Georga i Szwajcara. Z kambuza wysunęła się szczupła, wysoka sylwetka jasnowłosego cooka – hamburskiego pijaka o widocznym zapaleniu spojówek. Podał mi milcząc rękę, spojrzął przeze mnie jak poprzez przestwór oceanów i znikł w kambuzie, śpiewając fałszywym barytonem: „Unter den roten Laternen von Sankt Pauli...” Nad głową moją oparł się o poręcz schodni pewien zażywny pan w średnim wieku, w szortach, z obnażonym, pełniutkim brzuszkiem i miękką pierśią, wysmarowaną kremem „Nivea”. Właśnie wstał z leżaka, zamachał mi przyjaźnie ręką i powiedział:

– Nazywam się Mehring. Jestem pierwszy. Po obiedzie przyjdziecie do mnie podpisać

musterrolę. Tymczasem good luck – i dodał szybciotko – chciałem powiedzieć: powodzenia. Ta błyskawiczna ucieczka od angielszczyzny usprawiedliwiona była zbliżeniem się kwatermistrza, ponurego dziadygi, w czapce z imponującym, złotym galonem, błyszczącego ponadto z daleka srebrną odznaką partyjną. „Aha – pomyślałem – więc pierwszy oficer to miazmat, czyli element rozkładowy, zaś kwatermistrz reprezentuje tu zdrowego ducha NSDAP i żelazne ramię Führera.”

– Dlaczego nie przysłali Niemca? – spytał oschle kwatermistrz.

– Wszyscy niemieccy stewardzi, zarejestrowani w Seeamcie w Oslo, polegli na polu, a raczej na falach chwały za wodza, naród i ojczyznę – odparłem służbiście.

– Proszę więc, aby moja kajuta była dokładnie sprzątna. Mam zwyczaj sprawdzać codziennie, czy kurze zostały starte.

Dotknął palcem daszka i oddalił się. Poznałem jeszcze pierwszego mechanika o wyglądzie podstarzałego amanta filmowego w roli oficera marynarki i marynarza Kowalskiego, który miał wygląd warszawskiego łobuza i zapowiedział mi z miejsca:

– Tylko nie myśl, że ja jestem Polak. Ja z miasta, z Królewca. Jak ja mogę być Polak, kiedy urodziłem się w mieście. U nas Polacy są tylko ze wsi.

Wreszcie na górnym pokładzie zbliżył się do relingu sam kapitan Arnstein. Skinął mi głową, lecz nie rzekł słowa, wyglądał przy tym bardzo ładnie w nieskazitelnie białym tropikalnym uniformie, zapiętym pod szyję, fason: 1880, „Dzieci kapitana Granta” – do którego świetnie pasowała siwa bródka hiszpanka. Ten czcigodny wygląd według conradowskich wzorów rozwiął się przy pierwszym obiedzie, kiedy captain okazał się całkiem nadgniłym staruszką, który płaczkliwym głosem prosił mnie, abym mu przyniósł dodatkową porcję kompotu. Poszedłem do kambuza i powiedziałem o tym cookowi, ale ten rzekł twardo:

– Powiedz tej starej łajzie, że nie ma kompotu.

– Idź mu sam powiedz – zdenerwowałem się widząc na stole świeżo otwartą i ledwie napoczętą puszkę z kompotem. – Ja nie powiem.

Cook spojrział na mnie lekceważąco, wzruszył ramionami i krzyknął w korytarz, prowadzący do salonu:

– Panie kapitanie! Nie ma kompotu. Koniec z kompotem. – Po czym rzekł do mnie. – Trzeba go krótko trzymać, bo jest łakomy, a łakomstwo to brzydka przywara.

Natomiast w sprawie nocnika kucharz utrzymywał, że kapitan postępuje słusznie. Okazało się bowiem, że mając dobrze urządzone klozet na mostku, kapitan robił systematycznie siusiu do wielkiego porcelanowego nocnika ze szlaczkiem w kotwice i żaglowce pod pełnymi żaglami. Byłem dogłębnie oburzony, stwierdziwszy to pierwszego dnia, ale cook i Georg, którym ujawniłem swoje rozgoryczenie, nie przyznali mi słuszności.

– To, widzisz, jest jego kapitańskie prawo. Kapitan na przyzwoitym statku musi mieć nocnik, bo inaczej to żaden kapitan. A Arnstein to kapitan jak się patrzy: kiedyś, przed pierwszą wojną, znany był jako nawigacyjny na całym południowym Atlantyku.

W ten sposób zaczęły się piękne dni Aranjuezu. „Harvestehude” była zbudowana przed czterdziestu laty w jakiejś angielskiej stoczni jako półpasażerski na regularną linię i nosiła

wszędzie cechy miłego, solidnego komfortu, z jakim w tych dobrych, starych czasach budowano statki. Ciężkie, dębowe poręcze, glazurowane boazerie w mesie – już wiecie chyba, jak to wygląda. W latach trzydziestych pływała pod flagą Kompanii Hamburg-Süd na trasie Wilhelmshafen – Rio. W kabynie śródokręcia, którą otrzymałem – a tak, bo wszyscy tu mieszkali teraz w kajutach, o kubryku mowy nie było – zachował się jeszcze podzwrotnikowy wentylator, który włączałem w czasie mych południowych sjest, a którego podniecający szmer ułatwiał barwne marzenia o egzotycznych nastrojach. Rano sprzątałem cztery oficerskie kajuty i podawałem śniadanie, gwizdząc rozgłośnie: „Oczy dziewcząt z Colombo”, co należało do rytuału i usposabiało do mnie przyjaźnie mych zwierzchników; co kilka chwil wzdychałem przy tym nabożnie na intencję nigdy nie dość błogosławionego pana Schmitza. Z pełną satysfakcją zabierałem się następnie do półgodzinnego obrządku w „pendree” – mesowej spiżarni – która była moim królestwem i którą utrzymywałem w stanie wzorowego ładu. Nigdy nie mogłem dość się nacieszyć równymi rzędami słoików z dżemem truskawkowym i sztucznym miodem, kostkom pierwszorzędnej margaryny w lodówce i nieskazitelnym platerem. Otrzymywaliśmy pełne „U-bootsverpflegung”, czyli najwyższą wojenno-morską stawkę zaopatrzenia, a jak tego dokonywali moi patroni leżąc w bezpiecznym fiordzie na nie kończącej się wilegiaturze – tego nie doszedłem nigdy. Dość, że zadowolony z nich i z siebie rozkładałem sobie leżak na przednim luku, respektując z należyty szacunkiem oddalenie od leżaka pierwszego oficera, który kładł się na górnym deku. Po dziesięciu dniach opalony byłem w ładnym, morelowym odcieniu, którego zalety dyskutowaliśmy z pierwszym. W tym czasie cook gotował obiad, nie przestając cały czas narzekać, że jest jedynym ciężko pracującym człowiekiem na tym parszywym pudle. Z cookiem zaprzyjaźniłem się bardzo – był to pogodny abnegat o wrodzonej inteligencji, pełen czułych sentymentów i pasji dobrego ubierania się, a przy tym doskonały kucharz. Po obiedzie i zmyciu naczyń kładłem się w swej kajucie, gdzie przy szmerze wentylatora czytywałem Fichtego z okrętowej biblioteki. Fichte, aczkolwiek w tych warunkach stanowił lekturę wręcz humorystyczną, pomagał mi utrzymać pewien pion moralny w odmęcie błęgiego lenistwa, markieranctwa i wyszukanej gnuśności. Próbowalem kiedyś, siedząc na stole w kambuzie, poinformować o tym cooka; powiedział, że jestem kretyn, że katońską surowość i romantyczny zapach filozofa ma gdzieś i że taki Fichte na pewno nigdy nie zastanawiał się nad tym, co zrobić zamiast makaronu ze słoniną na kolację, a co jest rzeczywiście problemem zasadniczej wagi. Trudno było nawet odmówić słuszności temu amoralnemu cookowi – relatywiście, albowiem makaron ze słoniną, podany trzy razy z rzędu, mógł wywołać apokaliptyczną awanturę. Przy stole oficerskim w salonie panowała bowiem ciężka atmosfera; wyjąwszy pierwszego i chiefa – mechanika, którzy utrzymywali ze sobą towarzyskie stosunki, jako że przyjaciółki ich w Oslo były z kolei przyjaciółkami – góra oficerska „Harvestehude” nienawidziła się wzajemnie. U podstaw tej nienawiści i podejrzliwości tkwiła obawa, aby nie zostać odkomenderowanym na inny, pływający statek. Jedynym ich zainteresowaniem była ewentualna data zakończenia wojny bez względu na wynik, o czym nie mówili jednak nigdy przy hitlerowcu kwatermistrzu, który, rzecz jasna,

najbardziej bał się zdjęcia z pokładu, a musiał nieustannie robić bezczelnie dobrą minę do bardzo złej gry. Jedyne, co mobilizowało solidarność wszystkich czterech, było zagadnienie remontu. Co kilka dni przebiegali się w ciemne, błyszczące odznaczeniami uniformy i płynęli do Oslo na namiętne konferencje z lokalną filią Oberkommando der Handelsmarine, na których celem ich zgodnych wysiłków było przekonywanie tamtych biurowych baranów, że „Harvestehude”, mimo groźnych i poważnych uszkodzeń, nadaje się do remontu, a w tym celu musi mieć część załogi na pokładzie, a owa część musi istnieć w nie zmienionym składzie z kucharzem, Szwajcarem, Georgiem, Kowalskim i stewardem y compris. Po każdej konferencji chief mechanik przebiegał się w granatowy kombinezon i wraz z bosmanem, Kowalskim i smarownikiem stukali trochę młotkami po zardzewiałych rurach i innym żelaziwie w maszynowni, lukach i na pokładzie, po czym mył ręce i jechał wraz z pierwszym do Oslo, do swych zaprzyjaźnionych przyjaciółek, skąd wracali nazajutrz dopiero i na ciężkim gazie. Kowalski z Georgiem siadali do nie kończących się partii skata, Szwajcar malował, kapitan z kwatermistrzem lokowali się wygodnie w słomianych fotelach na mostku, przystępując do powściągliwej, lecz wyczerpująco dokładnej rozmowy o środkach przeczyszczających, a cook i ja przebiegaliśmy się w wytworne garnitury z niemieckich pokrzyw, aby natychmiast po zmyciu statków ruszyć do Oslo na tak zwane nocne życie, czyli szał. Cook upijał się przy tym jak carski oficer, awanturował się, parł ku niebywałym a wyrafinowanym atrakcjom i za każdym razem wypadał mi z łodzi, gdy późnym wieczorem wracaliśmy na pokład; nie utopił się jednak nigdy, gdyż był to człowiek w gruncie rzeczy rozsądny.

Taka cudna, słoneczna, margarynowa, leżakowa idylla na fiordzie przy pełnych racjach tytoniowych i alkoholowych, z niezawodną wieprzowiną i „irish stew” z puszki na obiad, nie mogła trwać za długo. Nosilem w sobie głęboką świadomość życiowych rekompensat i im wspanialsza była rzeczywistość, tym spokojniej i pewniej oczekiwałem nieuchronnych siedmiu lat chudych. Tym razem zaczęło się od przypadku, wcielonego w małą akrobatkę Uschi, która stanęła pewnego popołudnia na skalnym brzegu fiordu i zawołała o łódź. Leżeliśmy właśnie wszyscy na perseningu tylnego luku, nieprzyzwoicie syci po obiedzie i zupełnie rozpląnieni w lenistwie, Gdyby wołającym był admirał Dönitz albo sam duch Nelsona, jeszcze klóciłibyśmy się, kto ma podjąć morderczą wędrówkę kilku metrów do trapu i zdobyć się na śmiertelny wysiłek wiosłowania dwudziestu metrów do brzegu, ale smukła sylwetka kobieca w kolorowej jedwabnej szmatce, stojąca na skalistym wykrocie jak owa z piosenki Marianna, czekająca przybijającego do portu kochanka, podziałała na nas jak dynamit skojarzony ze środkiem na wywołanie swędzenia. Stoczyliśmy się do szalupy wszyscy w piątkę i popłynęliśmy do brzegu. Ushi przywitała się grzecznie i spytała, czy na „Harvestehude” pracuje niejaki Kunze z Rostoku, palacz. Zasmuciła się szczerze, gdy okazało się, że nie pracuje, ale rozpogodziła się natychmiast, kiedy nadmieniliśmy, że nie ma co się martwić o jakiegoś brudnego smolucha i że każdy z nas wart jest co najmniej kilkunastu Kunzów, na co najlepiej wskazują nasz wykwinny styl bycia i nasze odpasione pyski. Taka dowcipna konwersacja doprowadziła Uschi do zwierzeń; okazało się, że jest ona

z pochodzenia wiedeńską Czeszką, z zawodu akrobatką, że została zmobilizowana jako telefonistka, że ma dziecko, chłopczyka, że nie ma męża, że lubi solone fistaszki, że wprawdzie jedno jej niebieskie oko jest nieco większe od drugiego na skutek jakiejś nieudanej operacji, ale że mężczyznom to się bardzo podoba i mówią, że to ma swój urok. Chcieliśmy zabrać Ushi na statek, ale na górnym deku stał oparty o reling kwatermistrz i typał na nas złym okiem. Na genialną myśl wpadł tedy cook: spytał mianowicie Uschi, czy ma jakieś koleżanki, a otrzymawszy odpowiedź twierdzącą – zaproponował urządzenie wieczorem wesołego pikniku na tym oto brzegu, co w niczym nie powinno wzbudzić obiekcji kapitana. Właśnie poprzedniego dnia otrzymaliśmy nasze tygodniowe racje bremeńskiego machandlu, zwanego popularnie fuzlem, więc projekt cooka spotkał się z ogólnym entuzjazmem.

Wieczór był wspniany pod względem meteorologicznym, wyrzuciliśmy tedy na brzeg mnóstwo koców, kieliszków, szklanek i aprowizacji i udaliśmy się na stację Nordstrand po gości. Uschi nie zawiodła – przybyła na czele niewielkiej ekipy składającej się z dwóch kelnerek jakiejś oficerskiej stołówki i jednej stenotypistki z Organisation Todt. Były to grubawe, źle umalowane Niemki, bardzo wesołe i wypalające niezmiernie mnóstwo naszych papierosów. Zeszliśmy więc rozbawionym korowodem na brzeg fiordu; jasnogranatowe niebo zapowiadało jedną z owych pozbawionych ciemności nocy, tak częstych latem na tej wysokości geograficznej. Przysnąć trzeba, że nieodzowna dla takich imprez atmosfera wytworzyła się z miejsca. Na „Harvestehude” spał kapitan, pierwszy i chief pojechali zaraz po kolacji do Oslo, ledwie zaś rozstasowaliśmy się na brzegu, zeszedł na ląd kwatermistrz, uśmiechnął się do nas krzywo, przypatrywał się chwilę z uwagą Uschi i poszedł w kierunku stacji, co wskazywało na to, że jedzie do Oslo na piwo. Czuliśmy się zatem jak we własnym salonie i to bardzo pięknie urządzone. Fuzel, rozprowadzony do szklanek, zniknął nader szybko, wyzwalając z naszych wnętrz różne tęsknoty, uczucia i talenty. Już wkrótce Szwajcar błagał z płaczem stenotypistkę, aby pozwoliła mu się malować, cook śpiewał: „Keine Angst, Rosemarie”, łaskocząc jedną z kelnerek, która zanosila się śmiechem, wołając, że jest najbardziej łaskotliwą kelnerką Trzeciej Rzeszy. Georg wyjął swe dowody osobiste i skrupulatnie badał, czy ma jeszcze stary i nieważny paszport Wolnego Miasta Gdańska, do którego to dokumentu przywiązywał niezwykłą wagę, a Kowalski, objąwszy wpół drugą z kelnerek, palącą przytomnie papierosa za papierosem, rozglądał się niespokojnie, nie wiadomo za czym. Uschi trzymała się blisko mnie, powiedziała, że się jej podobam, i spytała, czy mam ochotę ocenić jej akrobatyczne wykształcenie, na co przystałem z entuzjazmem, wobec czego wykonała ona świecę, mostek i jeszcze kilka figur, których produkcja nie nastroczałaby trudności jakiegokolwiek uczennicy niższej szkoły rytmoplastycznej w Krotoszynie. Wobec jej opowiadań o występach w berlińskiej „Scali” zachowałem się taktownie i powściągliwie, napomykając zręcznie, że ma śliczne jasne włosy, co daje daleko więcej szczęścia w życiu niż najbłyskotliwsza kariera w polu zawodowym, a co przynajmniej odpowiadało prawdzie. Na początku wieczoru, jak to w takich wypadkach bywa, wszyscy mężczyźni palili się do Uschi i emablowali ją na wyścigi,

kiedy jednak po zastrzyku alkoholu zarysowały się konkretne sympatie i skłonności, jedynym moim rywalem został Heinz, szesnastoletni jung pokładowy, o którym dotąd nie było ani słowa. Otóż Heinz bawił na przeszkoleniu lokalnej Hitlerjugend, kiedy ja przybyłem na „Harvestehude”, a wrócił na dzień przed omawianym jubilem. Był to spokojny, tępawy, jasnowłosy chłopak z Lubeki, bez szczególniejszych znamion. Uschi wywarła na nim oszałamiające wrażenie, siedział więc naprzeciwko nas, pił wódkę, nic nie mówił, nie odrywając tylko swych krowich oczu od Uschi, co nie wpływało bynajmniej dodatnio na swobodę mego samopoczucia. W końcu jednak fuzel robił swoje, Szwajcar oświadczył, że słońce pali nieznośnie i że trzeba się wykapać, Uschi pytała się, czy można tu zawiesić trapez, bo ma mi coś specjalnego do pokazania, a ni stąd, ni zowąd pojawił się kwatermistrz i uczynił rzecz wstrząsającą, bo zamiast minąć nas i popłynąć na statek, jak przystało oficerowi niemieckiej marynarki handlowej i członkowi partii, usiadł na kocu i zaczął pić wódkę. Już wkrótce cook łomotał kwatermistrza po plecach i nazywał go starym łotrem, jednym z tych, którzy prowadzą Niemcy w otchłań klęski, kwatermistrz uśmiechał się krzywo i nieszczerze, twarz rozmazywała mu się pod uderzeniami fuzlu i tylko oczy jego tkwiły w Uschi jak w urzekającym obrazie. Zrozumiałem, że mam przed sobą wypadek szczególnego starczego „coup de foudre”, że ten hitlerowski Hulot z Kilonii ogarnięty został wielką, może ostatnią namiętnością, wobec czego najspokojniej w świecie pochyliłem się ku Uschi i zacząłem ją całować. Nie pamiętam, co było dalej, dość że obudziłem się około godziny jedenastej rano na ławce, na peronie stacji Nordstrand, pod surowymi i wrogimi spojrzeniami norweskich kolejarzy. Zbiegłem na brzeg, pełen śladów nocnego szaleństwa, i wskoczyłem do łodzi. Przy trapie złapał mnie Kowalski, który zaciągnął mnie do maszynowej schodni i tam opowiadał, jaki sądny dzień panuje na statku od rana. Kapitan, obudzony przez hałasy na pokładzie, zeszedł w pidżamie na dół, a zwabiony śpiewem kobiecym udał się do kajuty Heinza, w której Uschi leżąc na koi, śpiewała na cały głos: „Kann die Liebe Sünde sein?”, a Heinz, klęcząc na podłodze, wpatrywał się w nią z zachwytem. Nastąpiła piekielna awantura, kwatermistrz odwiózł Uschi na brzeg i miał jakoby oświadczyć, że to steward sprowadził tę dziewczynę na pokład w celach deprawacyjnych. Tarłem czoło zdruzgotany tym wszystkim, a co najgorsze – trudno mi było temu zaprzeczyć, skoro niewiele pamiętałem, co się działo, a wszystko na świecie jest możliwe. Kiedy o zwykłej porze nie podałem śniadania, kapitan wściekł się i kazał pierwszemu jechać do urzędu morskiego po nowego stewarda. Zmaltretowany przez wódkę i ponury jak noc zabrałem się do sprzątanania czując, że padłem ofiarą jakiejś podłej intrygi. Sprawa wyjaśniła się cokolwiek w kambuzie tuż przed obiadem, kiedy Heinz czkając z podniecenia oświadczył, że to on przywiózł Uschi; nie wydawało się to jednak ostatecznym rozwiązaniem problemu, bo sam Heinz nigdy by na taki pomysł nie wpadł.

– Ty wszarzu – zgrzytnąłem – to dlaczego nie idziesz do starego i mu tego nie powiesz?!

– Bo się boję – pisał Heinz, zaraz jednak dodał arogancko – a tobie to niewiele pomoże. Trzymany w ręku talerz z zupą pomidorową posłałem Heinzowi na twarz, co było jedyną moją satysfakcją. Wstrząsnął się, jakby chciał rzucić się na mnie, ale dał spokój bojąc się

czegoś twardszego niż kolorowa ciecz z kluskami. Wszyscy trzymali się pazurami tego statku, jako Polak pozycję miałem najsłabszą, widocznie więc mnie było sądzone odpokutować upojne chwile zeszłej nocy. Po południu pierwszy wezwał mnie na mostek, wręczając mi moją musterrołę i skierowanie do urzędu morskigo, przy czym powiedział z żalem:

– Coś ty, chłopcze, narozrabiał z tą dziewczyną?

– To nie ja, panie Mehring, jak pragnę zdrowia. Powiem panu szczerze i otwarcie, jak ojcu, kto ją sprowadził: to kwatermistrz, ten drań, ale jak mi się przed nim bronić i udowodnić moją niewinność...

Oczy pierwszego stały się okrągłe ze zdumienia, a potem zwęziły się w bardzo złośliwej radości.

– No, to good luck, chłopcze. Już my tu cię pomścimy.

W ten sposób wymierzyłem pierwsze uderzenie rewanżowe, na chybił – trafił co prawda, lecz raczej skutecznie. Rzecz jasna – były to moje nie sprawdzone jeszcze domysły, lecz ja mam intuicję w tych sprawach. W każdym razie uruchomiłem dobry motorek plotek na pokładzie, którego działalność może w dostatecznym stopniu obrzydzić życie kwatermistrzowi przez długie miesiące. Siedzieliśmy więc smutni w czysto sprzątniętym kambuzie – cook, Georg, Szwajcar, Kowalski i ja – i piliśmy steinhagera na pożegnanie. Ze stojącego pomiędzy rondlami radia rozlegały się rytmicznie „My guy comes back” i „American patrol”, roznoszone w ekscytujących synkopach przez saksofony orkiestry Glenna Millera, jako że zawsze słuchano tu zakazanych stacji. Wszyscy przypominali sobie intensywnie kolejność wypadków ubiegłej nocy, białe plamy niepamięci rozciągały się jednak tak rozległe w świadomości każdego z nas, że nie sposób było zrekonstruować jakąś logiczną całość.

– Zapamiętajcie moje słowa – powiedziałem na koniec – ta cała historia z Uschi to sprawka kwatermistrza.

Pożegnaliśmy się czule, Georg i cook odprowadzili mnie na stację Nordstrand i już niebawem wraki, cementarzysko, skalny brzeg fiordu i „Harvestehude”, niknąc za zakrętem toru, przeszły do rekwizytów mych wspomnień.

Oczywiście, zamiast do urzędu morskigo, pojechałem do Uschi. Mieszkała nie opodal Lille Torget, w dzielnicy przesiąkłej wonią śledzi, kanałów portowych i atmosferą powieści Johanna Bojera, w małym, dość brudnym hoteliku, zarekwiirowanym przez władze okupacyjne. Nie było jej w domu, czekałem ponad dwie godziny, wreszcie przyszła w towarzystwie jakiegoś podoficera lotnika, którego zresztą zaraz lojalnie na mój widok pożegnała. Zmartwiła się bardzo, kiedy opowiedziałem jej konsekwencje wczorajszych radości, albowiem miała naprawdę dobre serce ta Uschi. Pięknym gestem zaofiarowała mi gościnę u siebie na czas nieograniczony, co w praktyce sprowadzało się do trzech dni, w tym bowiem czasie musiałem się meldować w Seeamcie. Siedziałem wobec tego przez dwa dni w owym hotelu, czytając Anatola France’a, którego zniszczoną „Gospodę pod Królową Gęsią Nóżką” znalazłem gdzieś w kącie nory, zwanej tu westybulem; ostatniego

zaś wieczoru poddałem Uschi badaniu śledczemu i w krzyżowym ogniu pytań doprowadziłem ją do nabrzmiałego skruczą wyznania, z którego wynikało, że Heinz przywiózł ją na pokład za poduszczeniem kwatermistrza, przy tym dziadyga w szalupie, w czasie jazdy, nakazał wszystko zwalić na mnie. Zeznając to Uschi precyzyjnie pochyliła głowę w poczuciu ogromnej swej winy, co pozwoliło dość efektownie rozsypać się jasnym włosom, a odsłonić inne fragmenty jej smukłego ciała. Trzeba było jednak zakończyć tę groteskową rywalizację z jednym starcem i z jednym wyrostkiem, zgrzytnąłem więc ostentacyjnie zębami i przybierając postawę typu: ponury, mściwy Hiszpan, oświadczyłem: – No, to teraz już ja tego starego łobuza urządzę!...

Było to cczą przechwałką, albowiem w mojej sytuacji nikogo nie mogłem urządzać, a już najmniej kwatermistrza. Niemniej jednak słowa te osiągnęły pewien skutek i wyciągnęły au clair nową stronę problemu, bo oto naraz Uschi rzekła całkiem ozięble:

– Proszę cię, tylko bez głupstw, dobrze? Pan kwatermistrz jest bardzo przyzwoitym człowiekiem, ma mnóstwo zaoszczędzonych kart żywnościowych i wcale nie jest taki stary, jakby się wydawało.

Wobec powyższego spakowałem swój worek, rzuciłem tklive spojrzenie na wystrzępiony tom France'a, w którym zawarte były tak mądre słowa o wszystkich Uschi od początku do końca świata i czule pocałowałem na pożegnanie jasnowłosą akrobatkę w policzek.

– Bądź zdrowa, Uschi, dziękuję ci za te trzy dni. Jesteś wspaniałą dziewczyną, albowiem można się nie obawiać żadnych niespodzianek z twojej strony. Poza tym spotykając się z kwatermistrzem, nie zapominaj o Heinzu. On też może mieć swoje walory.

I opuściłem Uschi, gwizdząc z cicha „Je suis seul ce soir...” Dwa skrzydlate duszki szczęścia unosiły się nad moją głową, kiedy wchodząc nazajutrz do urzędu morskigo ujrzałem pana Schmitza na miejscu pana Kluge, który był tym razem, jak się okazało, chory. Pan Schmitz znał już całą aferę i bardzo był nią przybity, wzdychał dość nieporadnie i robił mi dyskretne wyrzuty jako artyście. Powiedziałem mu, że prawdziwych artystów zawsze spotyka taki los, podczas gdy nędzni pacykarze – co było chwytem nielojalnym w stosunku do Szwajcara – odpoczywają sobie na fiordach, i dodałem jeszcze, że padłem ofiarą nędznej intrygi tak jak Beethoven. Nie miało to wszystko żadnego sensu, ale Schmitz zaczął rozpytywać o intrygę, wobec czego oświadczyłem, że ja już taki jestem, że wolę cierpieć niewinnie, ale nic nie powiem, zupełnie jak Beethoven. W końcu zaproponowałem, aby wypytał przy okazji pierwszego oficera Mehringa, który wie wszystko, a mnie dał skierowanie na jakąś analogiczną do „Harvestehude” melinę w imię ochrony artystów. Schmitz wziął to sobie do serca, szukał długo wśród kablogramów z całego zachodniego wybrzeża, wreszcie powiedział:

– Jest. Okręt szpitalny „Tübingen”. Leży do pojutra w Stavanger. Potrzebują stewarda. Zrobiło mi się trochę nieswojo, lecz fakt, że mam kontynuować karierę stewarda, był sam w sobie niezmiernie pozytywny.

– Zgoda – odparłem – ale niech mi pan pozwoli się zastanowić. Jestem wrażliwy i jęki rannych mogą mnie przyprawiać o bicie talerzy.

Schmitz był nieoceniony, zgodził się na zastanawianie, co było w Seeamcie zdarzeniem nieprawdopodobnym, udałem się przeto do baru „Rio Rita” na Skippersgata, w którym czekali na mnie cook i Georg przy stoliku nakrytym mokrą od piwa bibułą.

– „Tübingen”, osiem tysięcy ton, półpasażerski z Bremy, pływał przed wojną do Ameryki na stałej linii, teraz przerobiony na szpitalny – poinformował mnie Georg, usłyszawszy o propozycjach Schmitza.

– To nie jest zła myśl – rzekł cook po znaczącym namyśle – pomówmy szczerze: to jest dla ciebie szansa. Te szpitalne chodzą do Szwecji, do Malmö i tam wyładowują transporty rannych, których wiezie się następnie promem do Danii i kolejną na dół. Urwiesz się więc z pierwszego rejsu w Malmö i już masz spokój.

Byłem wdzięczny cookowi za tak jasne postawienie sprawy. Ostatecznie był przecież Niemcem.

– Masz rację – powiedziałem – trzeba będzie tak zrobić.

– Sami cię zawiozą – dodał Georg, który jako gdańszczanin nie miał sprecyzowanego poczucia przynależności narodowej, a czuł ogromną awersję do Hitlera za to, że toczą wojnę zniszczył mu brutalnie jakieś kwitnące przedsiębiorstwo szmuglerskie w gdańskim Nowym Porcie... – „Tübingen” jest wyraźnie cechowany, cały biały, ma białe kominy i czerwony krzyż na śródkręciu. Da Bóg, Anglicy wam niczego nie wsadzą w Skagerraku. Miałem wątpliwości co do moralnych hamulców lotników brytyjskich na widok okrętów szpitalnych, ale możliwości odkryte przez cooka miały znaczenie decydujące. Ostatecznie – popłynąłem do Norwegii, aby dostać się do Szwecji. „Tübingen” więc spadał w samą porę z samego nieba na łagodnym, rozczulającym spadochronie. Otworzyły się naraz perspektywy, o których przedwczoraj jeszcze nie śniłem, a Schmitz urastał w mych oczach do wymiaru dobrotliwego Anioła Stróża.

Nie znam nic bardziej w świecie tajemniczego i przypadkowego niż przedział kolejowego wagonu. Znikąd, z niebytu, z pustych przestrzeni kosmicznych zjawia się naraz sześciu ludzi, którzy nie mieli dotąd zielonego pojęcia o swoim wzajemnym istnieniu, po to, aby usiąść na malutkiej przestrzeni obok lub naprzeciwko siebie i interesować się sobą wzajemnie przez kilka lub kilkanaście godzin. Cóż ja mogłem wiedzieć o ponurym Norwegu w samodzielnym wzorzystym swetrze, który siedział wciśnięty w kącie przedziału, kiedy tam wszedłem na Dworcze Zachodnie w Oslo. Mruknąłem coś na przywitanie, facet odmruknął, usadowiłem się naprzeciw niego, przy czym uderzył mnie ogrom jego rąk, podobnych w proporcjach do rakiet tenisowych. Takie ręce wywołują na ogół nieprzyjemne skojarzenia, ale mało mnie one obchodziły, tak jak obojętnym był mi fakt zjawienia się w przedziale starszej pani w czarnym słomkowym kapeluszu, systemu „aptekarska spacerowa”, oraz pewnego grubawego blondyna, w nieprzemakalnym płaszczu, o wyglądzie buchaltera przebranego za detektywa. Nietrudno było zresztą wyczuć, że nie jestem Norwegiem, a Norwegowie uważali w czasie okupacji wszystkich cudzoziemców za Niemców, co bardzo utrudniało osobiste kontakty, szczególnie w miejscach publicznych. Zwracanie się do nich po niemiecku było bezcelowe, gdyż udawali, że nie rozumieją, angielski uchodził za prowokację

i tylko śmiałe ataki w stylu: „Hitler – Scheisse! Roosevelt – o’kay! Moi – Polak!” dawały pozytywne rezultaty, o ile nie trafiło się na Norwega quislingowca, który za taką allokację prowadził prosto na gestapo. Znając więc delikatność sytuacji wtuliłem się w róg ławki i marzyłem w oderwaniu o białych kominach „Tübingen”. Ten statek zsyłał mi najlepszy z mych opiekuńczych dżinów, wcielony w pana Schmitza; moje położenie w Norwegii stawało się coraz cięższe, w końcu musiałbym znów ruszyć na morze albo z powrotem do Rzeszy – zaś ta alternatywa była nie do przyjęcia. Zamiast więc ucieczek przez górskie przełęcze, ukrywania się w lasach, wymykania się tropiącemu mnie gestapo i walki z nieufnością Norwegów nadpływał majestatycznie „Tübingen”, który bez żadnej szarpaniny przewiezie mnie luksusowo do Szwecji, abym tam, pożegnawszy się ironicznie z kapitanem i rzuciwszy pogardliwe spojrzenie portretowi Hitlera w mesie, zeszedł na ląd, witany entuzjastycznie przez licznie zgromadzonych Szwedów. Tak mi się przedstawiały te rzeczy w drzemliwych rojeniach na twardej ławce, w których „Tübingen” zmieniał się w skrzydlaty jacht precudnej piękności, o dziwacznych, ogromnych, śnieżnobiałych kominach, większych od kadłuba i masztów. Zdołałem jeszcze zauważyć, że Norwegowie zabrali się do jedzenia wafli – klasycznego pożywienia norweskiego w podróży – i zasnąłem. Kiedy ocknąłem się, za oknami było już ciemno. Jechaliśmy wolno; w mdłym, ciemnoniebieskim świetle zaciemnionej lampy drzemali moi współpodróżni. Byłem głodny, a zarazem uświadomiłem sobie, że mam przed sobą jeszcze około dwudziestu godzin takiej jazdy, czyli w sam raz tyle czasu, aby wstąpić na pokład „Tübingen” na jakieś trzy godziny przed opuszczeniem portu. Zastanowiłem się przez chwilę, co mnie zbudziło, głód czy jakaś myśl o czasie, dzielącym mnie od Stavanger, kiedy poczułem na sobie coś gniotącego jak ciężar kota na piersiach pogrążonego we śnie. Z przeciwległej ławki jarzyły się w niebieskawych ciemnościach przerażająco jasne, bardzo dziwne oczy: nie sposób było odróżnić w nich białka od tęczęwki, tkwiły we mnie świetlicie jak dwa odległe, zimne reflektory, oświetlające samolot próżno usiłujący wyrwać się z ich kręgów. Norweg w swetrze, o rękach jak „slasengery”, pochylił się ku mnie i szepnął kilka słów po norwesku. Odpowiedziałem, że nie rozumiem, przy czym niespodziewanie dla siebie samego użyłem angielszczyzny, czego nigdy nie czyniłem, przedkładając niechęć ze strony Norwegów nad posądzenie o prowokację. Norweg pochylił się jeszcze i spytał łamanym angielskim, kto ja jestem. Odpowiedziałem, że jestem Polakiem, na tym skończyła się nasza konwersacja, Norweg wstał – jak się okazało, miał chyba ze dwa metry wzrostu i głową sięgał ponad półki – podszedł do drzwi, przekręcił zatrask, zamykając je od wewnątrz, po czym zaczął budzić aptekarzową i buchaltera. Przecierali oczy, zdumieni i zaskoczeni, kiedy zaś Norweg zaczął im coś klarować po norwesku, głosem tępym i przyduszonym, na twarzach ich odbiło się tak wyraźne mimo zaciemnienia przerażenie, że poczułem się nad wyraz nieswojo. Zauważyłem też, że buchalter o wyglądzie detektywa, siedzący ze mną na jednej ławce, przysuwa się ku mnie nieznacznie. Ośmielony tym, że Norweg w swetrze powtórzył kilkakrotnie słowo „polakk”, wskazując na mnie i dodając przy tym „good boy”, zbliżyłem się do buchaltera i spytałem go z cicha po niemiecku:

– Panie, czego on chce?

– Dobry Boże – odparł drżąc buchalter – on chce zabić Hitlera!

– To dzielny chłopiec. Może potrzebuje pieniędzy na drogę i prosi o sfinansowanie tej imprezy?

– Nie. On chce, abyśmy mu pomogli...

Norweg w swetrze trzymał aptekarzową za kołnierz płaszcza i tłumaczył coś z werwą tej kobiecie, która zbliżała się w oczach do ataku histerycznego. Mimo całej grozy sytuacji zacząłem gryźć wargi, aby nie wybuchnąć śmiechem, co mogło się skończyć wyrzuceniem mnie przez okno, ale myśl o buchalterze i aptekarzowej, jako o zamachowcach na Führera wyciskała mi łzy radości z oczu.

– O Boże! – jęczał buchalter – to wariat! Co robić?

Norweg w swetrze wstał w całej swej rozpiętości i wymachując raketami zaczął jakieś głośniejsze przemówienie.

– On mówi, że jeśli mu nie damy pomocy, to się z nami załatwi – tłumaczył zesztywniały buchalter. – On mówił, że jesteśmy zdrajcy, że on jest Peer Gynt, że popłynie wpływ do Niemiec, że jest potomkiem Haralda Pięknowłosego, że utopi zęby w czyjejś piersi, że dawno nic nie jadł... Ja dłużej nie mogę... Oooo!...

Tu buchalter osunął się na podłogę i stracił przytomność, w przeciwieństwie do aptekarzowej, która skoczyła z nagłym krzykiem na równe nogi i złapała za hamulec. Teraz dopiero zaczęło się piekło: pociąg stanął, Norweg w swetrze zatoczył się na aptekarzową, na korytarzu rozległy się podniecone hałasy, ja rzuciłem się do drzwi, usiłując błyskawicznie otworzyć zatrzask, Norweg w swetrze zamachnął się jedną ze swych raket w moją stronę, wskutek czego zostałem zasmeczowany pod samo okno i przestałem się orientować w wydarzeniach. Podnosząc w jakiś czas później prawą powiekę, ujrzałem wokół siebie bardzo małą poczekalnię dworcową, a obok siebie norweskiego policjanta. Lewego oka otworzyć nie mogłem w ogóle, okazało się bowiem tak fantastycznie podbite, że jeszcze przez długie tygodnie sygnalizowało z dala brany przeze mnie udział w wydarzeniach gwałtownych i bezkompromisowych. Zerwałem się tedy od razu na równe nogi z ławki, na której leżałem, podczas gdy małomiasteczkowy, różowy na pysku i bykowały policjant uśmiechał się do mnie uspokajająco i porozumiewawczo. Na moje pytanie, gdzie jestem, odparł, że w Porsgrund, dodając ze zmrużeniem oka, że u przyjaciół. Zaczynała mnie powoli ogarniać panika, czułem, że wpadłem w jakąś nową, dziką aferę, co okazało się nie bez podstaw, ze słów bowiem mojego nowego opiekuna wynikało, że mają mnie tu za polskiego wariata, który wraz z norweskim wariatem zamierzał dokonać zamachu na Hitlera. Taką o mnie opinię urobiła aptekarzowa na stacji w Porsgrund, gdzie poskromiono w końcu Norwega w swetrze. Ponieważ zaś w pociągu nie było ani Niemców, ani quislingowców, Norwegowie zajęli się mną z sympatią, w Porsgrund znajdowało się znakomite sanatorium dla nerwowo chorych, w którym postanowiono doprowadzić mnie do stanu normalności. Przez chwilę zastanawiałem się nad nie najgorszą ewentualnością spędzenia reszty wojny w takich norweskich Tworkach, szybko jednak doszedłem do wniosku, że gestapo by mnie

tam bez trudu odnalazło i gruntownie uleczyło za pomocą skutecznych, choć nie zawsze naukowych metod. W każdym razie mój zamierzony rejs na „Tübingen” wisiał na włosku – od chwili zatrzymania się pociągu pod Porsgrund straciłem już przeszło cztery godziny, a w perspektywie miałem jeszcze oczekiwanie na następny pociąg. Należało więc działać szybko, o ile chciałem ratować me plany. Spojrzałem więc zimno na norweskiego buraska w mundurze, oświadczyłem mu, że jest pacan, że ciężko odpokutuje, chroniąc wrogów Führera przed sprawiedliwością niemiecką, którą im wymierzyć należy bez względu na ich stan mentalny, i dodałem, że jeśli się natychmiast ode mnie nie odczepi, to zadzwonię po Küstenpolizei, która mu pokaże, co znaczy zatrzymywać śpieszące na pokład załogi. Pocziwy policjant osłupiał, zaczął coś jąkać, ale nie uczynił gestu nawet, gdy spokojnie zabrawszy worek i kuferek, wyszedłem z dworca po to, aby dopiero nie wiedzieć, co dalej czynić. Stojąc na niewielkim placu pogwizdywałem sobie bezmyślnie: „Siekiera, motyka, piłka, supeł, ale ja dostałem w...”, co bardzo zainteresowało pewnego przechodzącego właśnie młodzieńca o wybitnie zadartym nosie, odzianego w skórzane spodnie, otomańską kurtkę i wytworną cyklistówkę z podgiętym daszkiem. Pan ten obrzucił mnie radosnym spojrzeniem i rozpoczął następujący, zwięzły, a jakże treściwy dialog:

- Polak?
- Z Warszawy.
- Z Radomia. Zejman?
- Zejman. Szofer?
- Szofer. Dokąd potrzebujesz?
- Na Stavanger. Dokąd lecisz?
- Właśnie w tamtą stronę. Mogę cię podrzucić do Arendal.
- W dechę, panie kolego. Kiedy?
- Za godzinę prujemy.

Za godzinę leżałem więc otulony w plandekę na lorze wielkiej ciężarówki firmy MAN, wyładowanej płytami korkowymi i kablem, i pruliśmy do Arendal, a pruliśmy tak dobrze, że byliśmy na miejscu w niespełna trzy godziny. Chłopcu z Radomia podałem do szoferki paczkę tytoniu, uśmiechnął się przyjaźnie, uściskał mi mocno rękę i powiedział:

– No, fartuj się dalej, panie kolego, i dobrego powietrza.

W słowach tych była zawarta cała serdeczna życzliwość wysokiej próby, na jaką stać jest ludzi, nie przedstawiających się sobie wzajemnie. Wpadłem więc, pełen nadziei, na dworzec w Arendal po to, aby dowiedzieć się, że wszystko na próżno. Mój pociąg odszedł godzinę temu, następny idzie za osiem godzin, a dopiero z Kristiansand, odległego o ponad sześćdziesiąt kilometrów, kursowały dwa dodatkowe pociągi do Stavanger. Poszedłem bez żadnej rozsądnej przyczyny na peron, jakby tknięty napadem dworcowego somnambulizmu, i oto ujrzałem pociąg pod parą z tablicami „Oslo-Stavanger”, jedynie z małym dodatkiem: „Tylko dla wojska”. Cóż mógł jednak znaczyć dla mnie ten dopisek, kiedy trzeba było grać va banque. Rzecz jasna – wskoczyłem do pierwszego wagonu za tendrem, gdy tylko pociąg ruszył. Myślę, że każdy człowiek postąpiłby w ten sposób i wcale by na tym źle nie wyszedł.

Widziałem w życiu różnych żołnierzy: bohaterskich żołnierzy i tchórzliwych żołnierzy, smutnych i rozbawionych, brutalnych i rycerskich, upojonych zwycięstwem, obojętnych abnegatów i przygniecionych klęską, tępych i sprytnych, pełnych krzepy i przesiąkniętych defetyzmem – ale nigdy w życiu nie widziałem tylu na raz szczęśliwych, zadowolonych z życia i z siebie żołnierzy jak w owym pociągu z Arendal do Stavanger. Pociąg nabrzmiały był szczęściem i radością, pękał wprost od piosenek, piwa i butterbrotów ze sztucznym serem. Wszyscy wszystkich klepali po plecach, wołali „prosit”, winszowali sobie wzajemnie jak na chrzcinach i to podobno tak od trzech dni bez przerwy. Tajemnica tej euforii była prosta: oto 117. pułk strzelców heskich, przygotowany do wyjazdu na front wschodni, dostał naraz rozkaz obsadzenia baz w środkowej Norwegii. Było to coś jakby przeniesienie z ogarniętego dżumą miasta do zacisznego pensjonatu dla bogatych starców w idyllicznej, górskiej okolicy. Oczywiście – przyjęty zostałem z wszelkimi rewerencjami, mowy nawet nie było o jakichkolwiek prześladowaniach. W wagonie toczyła się właśnie wartko rozmowa na tematy sportowe, do której natychmiast włączyłem się z całą energią i oddaniem, jakie zaimponowało moim rozmówcom. Byli to przeważnie faceci w średnim wieku, taki wybrakowany landsturm, świeżo oderwany od sklepów kolonialnych i stacji benzynowych, z dużym sentymentem wspominaliśmy więc stare mecze Schalke 04 z wiedeńską Admirą czy Rapidem oraz przewagi Harbiga na bieżni i von Cramma na kortach. Myśli moje krążyły jednak nieustannie wokół możliwego spóźnienia, należało przeto coś przedsięwziąć, aby takiej ewentualności uniknąć. Ni stąd, ni zowąd w nagłym natchnieniu opowiedziałem więc zebranym równie sportową, jak bezsensowną historię o zakładzie, jaki zawarłem z pewnym facetem, siedzącym w tej chwili w pociągu osobowym z Oslo do Stavanger. Zakład miał jakoby polegać na tym, że podjąłem się osiągnąć Stavanger w tym samym czasie co tamten, dając mu jeden pociąg fory. Opowiadanie to podziałało na sportsmenów z Hessen-Nassau jak Waleriana na kota. Wszyscy zgodnie orzekli, iż z chwilą, kiedy znalazłem się w ich pociągu, mój honor sportowy stał się ich honorem sportowym, że nasze losy są wspólne i odtąd razem będziemy walczyć o nasz wspólny sportowy sukces. Poczęto tworzyć różne koncepcje przyśpieszenia biegu pociągu, jeden z najbardziej zapalonych sportowców poszedł przez tender do lokomotywy, skąd wrócił niebawem, donosząc, że maszynista Norweg słyszeć nie chce o zwiększeniu tempa. Na te słowa pewien feldfelbel z Gustavsborg oświadczył, że nie na to wiosłował on w regatowej ósemce FSC Ruderverein, która zdobyła w trzydziestym piątym mistrzostwo środkowego Menu, aby jakiś parszywy Norweg zawałał mu tu całe, pierwszorzędne i jedyne w swoim rodzaju kolejowe zawody, po czym odpiął kaburę, dobył automatycznego waltera i powędrował tą samą drogą przez tender. Argumenty jego musiały być dość przekonujące i niewątpliwie zdołał on zapalić ducha sportowego w starym maszyniście, gdyż naraz nasz dychawiczny schleppzug zaczął przeć przed siebie ledwie dotykając szyn, jak nie przymierzając „Latający Szkot” albo „Błękitny Express”. Martwiłem na myśl, co się ze mną stanie, jeśli ogarnięty żądzą zwycięstwa maszynista zapomni w sportowym szale o elementarnych prawach kolejnictwa i zechce przegonić idący przed nami pociąg. Tymczasem jednak wszyscy sportowcy z Hassen-

Nassau byli zachwyceni, darli się przez okna, dopingując nie wiadomo kogo i śpiewali z całego serca „Es geht alles vorüber...”, mając zdaje się przede wszystkim na myśli Hitlera i wojnę. Przez Kristiansand przemknęliśmy jak pociąg-widmo, zostawiając na peronie rozdziawione ze zdumienia twarze zawiadowcy i bahnschutzów oraz mnóstwo „Hurrah!” i „Allez!”, wyrzuconych z naszych okien. Norweg zupełnie oszalał, tak że kiedy po kilku godzinach wpadliśmy na dworzec w Stavanger, na pusty tor na szczęście, zahamował z trudem dopiero kilkadziesiąt metrów za peronami. Z tylnych wagonów drugiej klasy biegli ku lokomotywie oficerowie, z lokomotywy zaś sportowcy wynosili na rękach bladego, ślaniającego się maszynistę, składając sobie wzajemnie nową serię gratulacji, co wykorzystałem, by dyskretnie zniknąć w dworcowej ubikacji, z której przedostałem się na tyły dworca i popędziłem ku portowi. Kręte uliczki Stavanger nie otwierały dobrego widoku na port, toteż dopiero dobiegłszy do kapitanatu ujrzałem wychodzący właśnie w morze piękny, biały statek, z czerwonym krzyżem na śródkręciu, o białych kominach. Cichy jęk wyrwał się z mej piersi – identycznie taki sam jęk, jak w milionie innych opowieści tego typu w tym samym miejscu. Usiadłem na kuferku, z głową w dłoniach i z zupełną pustką w myślach, sercu i żołądku, spoglądałem za białymi kominami, lśniącymi w słońcu na tle zatoki. Wszelkie słowa i czyny były zbyteczne – „Tübingen” mijał dalekie falochrony awanportu, a wraz z nim przepływała tamtędy moja Wielka Szansa.

– Niech pan się tylko nie rusza – posłyszałem naraz obok siebie jakiś głos – o tak, jeszcze moment. Pozwoliłem sobie zrobić panu już dwa zdjęcia, potrzebne jest mi jeszcze jedno en face. Dziękuję. Jest pan wolny. Wyglądał pan wspaniale, urzekająco, jak uosobienie żeglarskiego losu, jak sam żeglarski smutek. Będzie z pana znakomita okładka, którą zatytułujemy: „Tęsknota za bezmiarem oceanu” albo „Po awarii”. Pan pozwoli, że się przedstawię: Rudi Sperl, fotoreporter „Berliner Illustrierte”, obecnie sprawozdawca wojenny. A teraz chwila wyznań: właściwie dlaczego pan się martwi?

Wszystkie te słowa wypowiedział smukły, młody człowiek w mundurze marynarki wojennej, z imponującym Rolleiflexem na piersiach. Poczujęm doń od razu sympatię, aczkolwiek raził mnie w nim brak zsuniętego z czoła, miękkiego kapelusza, kolorowego, rozluźnionego krawata przy rozpiętym kołnierzyku i butów na słoninie. Mundur nie był jego skórą.

Opowiedziałem mu o mych troskach, uśmiechnął się z wdziękiem.

– Ha, ha, ha, mój stary przyjacielu, oto koniec twych zmartwień. Dowiedz się zatem, że „Tübingen” płynie do Kristiansand, skąd pojutrze dopiero pójdzie do Malmö. Wiem o tym z godnego zaufania źródła, to znaczy od pewnej ciemnowłosej pielęgniarki imieniem Erika, którą dziś wczesnym rankiem odprowadziłem z żalem na pokład. Za trzy godziny masz wygodny pociąg do Kristiansand, a tymczasem chodźmy na obiad.

Obiad zjedliśmy w restauracji najwytworniejszego w Stavanger hotelu „Atlantic”, który z zewnątrz przypominał urząd gminny w Klarysewie, ale w środku był całkiem niczego. Menu było nader urozmaicone: przystawka ze śledzia, zupa rybna, kotleciki ze szprotów, budyń z dorsza. Rudi miał w kieszeni pół litra duńskiej anyżowki, która ułatwiła nam mocno zbliżenie, tak że pod koniec obiadu układaliśmy plany wydawania własnego periodyku,

poświęconego sprawom morskim, ze szczególnym uwzględnieniem portowego życia nocnego. Trudności nastęczały się tylko odnośnie języka, wobec czego postanowiliśmy zapełniać nasze pismo wyłącznie materiałem fotograficznym, w odpowiednio przejrzystym układzie. Ponadto Rudi umiał wróżyć z ręki i powiedział mi, że wisi nade mną w tej chwili wielkie niebezpieczeństwo, z którego wyjdę cało i zdrowo. Ucieszyło mnie to bardzo i znów ujrzałem siebie po szczęśliwym rejsie zstępującego z godnością z trapu „Tübingen” na nabrzeże w Malmö. Ledwie zdażyłem na pociąg do Kristiansand, przy czym Rudi robił mi zdjęcia do ostatniej chwili, to znaczy kiedy wskakiwałem do pociągu w biegu i machałem mu przez okno chusteczką.

Pomny na przedwczorajsze doświadczenia wolno taszczyłem swój worek i kuferek przez korytarz wagonu, wybierając pieczołowicie przedział i unikając jak ognia Norwegów w samodziiałowych, wzorzystych swetrach. Zresztą wybór mój był z góry przesadzony, gdy tylko dostrzegłem przez jedną z szyb bardzo ładną dziewczynę – oprócz niej znajdował się w przedziale jeden jeszcze pasażer. Wszedłem więc z grzecznym uśmiechem na ustach i pogwizdując z cicha, lecz z uczuciem „Pattendrai” usadowiłem się obok dziewczyny, a naprzeciw pana, który był najwidoczniej pastorem – na co wskazywał okrągły, biały kołnierzyk, wieńczący pod marynarką czarny, pastorski gors – jednym z tych zażywnych, czerstwych na twarzy pastorów w pumpach, którzy chodzą na dalekie turystyczne wycieczki, z plecakiem i w podkutych butach, a których chłopięce, błękitne oczy tak otwarcie spoglądają na świat spod przyprószonej siwizną czupryny. Jeśli zaś chodzi o dziewczynę, to wyglądała ona ze swymi niebieskimi oczami, czerwonymi ustami i bladą cerą jak norweski sztandar narodowy. Przez chwilę przyglądaliśmy się sobie wszyscy we troje wzajemnie, przy czym zauważyłem ślady jakiegoś zmęczenia na twarzy dziewczyny, wreszcie wtuliłem się w ką, aby odespać wczorajszą noc, a pastor wyjął z walizki książkę, której tytuł postarałem się ze starego przyzwyczajenia odczytać.

– Wszelki duch Pana Boga!... – zawołałem na widok tego tytułu – to pan... pastor... znaczy się, rozumie po polsku?

Jasne, chłopięce oczy spojrzały na mnie spokojnie, jakby fakt ten był najnormalniejszym zjawiskiem w środkowej Norwegii.

– Cieszę się, że spotkam polakka – odparł poprawnie, ale chłodno i z rezerwą – ja rozumie po polsku. Polski język to moje... if you understand, it's my hobby, how do you say that in polish? Nie wiem jak to być po polski.

I na potwierdzenie tego, jak powinno się traktować swoje hobby, odczytał mi z trzymanego w ręku „Pana Tadeusza” wstęp do księgi czwartej, łamiąc sobie język, krztusząc się fatalnie i czerwieniejąc z wysiłku. Po tym wdaliśmy się w dłuższą rozmowę, bardzo rzeczową i wyzbytą wszelkiej serdeczności, przy czym pastor od czasu do czasu tłumaczył zaciekawionej tym wszystkim dziewczynie, o co chodzi, zupełnie jak na szkolnej wycieczce do muzeum, ta zaś uśmiechała się do mnie coraz życzliwiej. Na przeszkodzie dalszej konwersacji stanęły tunele, niezwykle częste w tej górzystej części Telemarken, przez którą właśnie jechaliśmy, tunele bowiem wytworzyły zgoła nową sytuację w przedziale. Gdzieś

w trzecim czy czwartym z kolei tunelu, sam nawet nie wiem, jak i kiedy, bo na pewno nie rozmyślnie, znalazłem się dosyć blisko Sølveig – o którym to imieniu młodej damy poinformowany zostałem nieco później. W tunelu szóstym czy siódmym nastąpiło zupełnie niewytłumaczalne z logicznego punktu widzenia zetknięcie się mojej prawej dłoni z lewą dłonią Sølveig, a w dziewiątym czy dziesiątym jakiś kompletnie absurdalny odruch zbliżył do siebie nasze głowy. Świeżość warg Sølveig ustokrotniona była w swym uroku oryginalnością sytuacji. Pastor drzemał w przeciwległym rogu nie reagując na częste zmiany jasności dnia w tunelową ciemność; zresztą siedzieliśmy z Sølveig twarzami w kierunku jazdy i owe błyskawiczne odrywanie się naszych głów od siebie na pierwszy ton szarości w oknie, oznaczający wyjście z tunelu, dodawał wszystkiemu posmaku szlachetnej emocji. Tunele ciągnęły się aż do Kristiansand; na pewien czas przed końcem podróży, gdy Sølveig wyszła na chwilę z przedziału, pastor ocknął się, wyjął z portfela wizytówkę, na której dopisał coś ołówkiem, i podał mi ją ze słowami:

– Jadę dalej, do Oslo. Jeśli pan będzie mnie potrzebował kiedyś, w jakiegokolwiek sprawie, to proszę mnie poszukać pod tym adresem. Poza tym radzę unikać całowania się w przedziałach trzeciej klasy, gdyż jest to niewygodne, bołą potem plecy, a przy tym robi pan to niezręcznie i zawsze o ułamek sekundy za długo.

Słowom tym nie towarzyszył żaden uśmiech ani jakikolwiek akcent ironii, sympatii czy ciepłego zainteresowania. Ta doskonała, obojętna rzeczowość sprawiła, że nie poczułem się zdruzgotany. Pożegnałem się grzecznie i chłodno, co pastоровi spodobało się najwyraźniej, i opuściłem pociąg wraz z Sølveig, która także wysiadła w Kristiansand. Wieczór był ciepły i pachnący; zostawiłem bagaże na dworcu i postanowiłem odprowadzić Sølveig do domu, zanim poszukam noclegu. Szliśmy więc najprzód wąskimi, drewnianymi uliczkami wśród piętrowych domów z desek i po drewnianych chodnikach, aż doszliśmy do niedużego domku z drzewa, leżącego w ogrodzie, nieco za miasteczkiem, na zboczu górskim nad samą zatoką, lśniąca teraz spokojnym, fioletowosrebrnym odblaskiem północnego nieba. Spoza zaciemnionych okien domku lśkały ukradkiem blaski lampy i dochodziła muzyka radiowa; wszystko razem sprawiało wrażenie takiej przytulności, że ciężkie westchnienie wydarło się z mej piersi, a łza o mało co nie zabłysła mi w oku. Zacząłem się żegnać, gdy naraz Sølveig powiedziała cicho:

– Zaczekaj. Muszę z tobą pomówić.

Usiedliśmy więc pod żywopłotem i Sølveig mówiła szybko i cichutko:

– Posłuchaj: spodziewam się dziecka...

Włosy zjeżyły mi się na głowie.

– Ależ, Sølveig!... – jęknąłem – to chyba wykluczone...

– Nie – uśmiechnęła się blado – zachowuj się rozsądnie i oszczędź dowcipów mnie i sobie.

W Stavanger znałam pewnego młodego Francuza, nazywał się Jean Moniot i pochodził z Gentilly pod Paryżem, może znasz tę miejscowość, może tam byłeś? Wiesz – zwykła historia, zakochałam się, on był taki czarujący, taki inni niż nasi chłopcy. Dwa tygodnie temu skończył się jego okres pracy przymusowej i odesłali go do Francji. Widzisz, ja bardzo

kocham moją rodzinę i oni mnie kochają, i ja naprawdę nie chciałabym im robić zmartwienia. Mój ojciec taki miły staruszek, jest trzydzieści lat inspektorem na poczcie, tu w Kristiansand, wszyscy go znają, lubią, szanują. Ja cały czas mówiłam w domu, że wychodzę za mąż za Jeana, zresztą on chciał się nawet ze mną ożenić, kiedy to wszystko tak nagle się skończyło i zostałam sama z tym swoim kłopotem.

– To wszystko jest bardzo smutne, Solvejg, ale w czym ja ci mogę pomóc?

– Nie wiem, czy mnie zrozumiesz, ale kiedy wszedłeś do przedziału gwizdząc tę francuską piosenkę, zupełnie jak Jean, pomyślałam sobie, że możesz mi oddać przysługę, ogromną przysługę, mnie i mojemu ojcu, i mojej rodzinie. Widzisz, chodzi tylko o to, abyś ty przyjechał zamiast Jeana, na dwa dni chociaż, na dzień, na parę godzin, ale niech mój ojciec zobaczy mojego narzeczonego, niech poklepie go po ramieniu i wypali z nim razem fajkę przy stole. Na świecie jest wojna, mój narzeczony może wyjechać na tydzień i nie wrócić nigdy, zostawiając mnie z dzieckiem, trudno, gorsze rzeczy mogą dziś spotkać każdego, ale niech moi rodzice otrzymają swoją satysfakcję, niech ujrzą prawdziwego narzeczonego z krwi i kości, który przyjechał wraz z ich Sølveig do ich domu...

– Sølveig – rzekłem zduszonym głosem – to jest bardzo ładne i szlachetne z twojej strony i chciałbym ci pomóc, ale ja muszę, słyszysz – ja muszę jutro w południe znaleźć się na pokładzie statku, który nad ranem wpłynie do Kristiansand. Ja muszę, dziewczyno, to jest moja ostatnia szansa i nie mogę niestety nic dla ciebie zrobić, nie mogę ryzykować niczym... nie mogę, rozumiesz?...

Widocznie było coś takiego w moim głosie, co sprawiło, że oczy Sølveig stały się naraz bardzo tklive i mokre od łez. Pocałowała mnie lekko w policzek i pociągnęła w kierunku furki w żywopłocie. Zdażyłem jeszcze spojrzeć na zegarek: było wpół do dziesiątej, trzecia noc z kolei zapowiadała się burzliwie, jeśli nie bezsennie. Od razu też zostałem wciągnięty w wir spraw zupełnie obcych i trudnych dla mnie do strawienia w tym tempie, jako że dopiero przed dziesięcioma minutami stałem się Jeanem Moniot, mechanikiem samochodowym z Gentilly. Wraz z otwarciem drzwi małego domku otoczyły mnie twarze, nastroje, słowa i spojrzenia jakby z sentymentalnego filmu, którego stałem się bohaterem, a który zarazem oglądałem, siedząc rozparty w kinowym fotelu. Ojciec Sølveig był szczupłym staruszkim o szlachetnej twarzy naukowca – zdarzają się w Skandynawii tacy urzędnicy pocztowi o wyglądzie profesorów uniwersytetu. Nosił przy tym niebieskie szelki, klepał mnie bezustannie po ramieniu i od razu nabił dwie świetnie przepalone fajki, które ćmiliśmy przy stole, w kręgu rodzinnej lampy, pamiętającej chyba czasy wczesnej młodości Bjørnsena. Oczy mamy promieniały poprzez okulary w metalowej oprawce; od razu też zaczęła się gorączkowo krzątać, postawiła na stół mnóstwo rzeczy, podsuwała mi to pyszny serek owczy, to wyborną galaretkę, to kruche ciasteczka, napelniła pokój zapachem świeżej bielizny pościelowej, przysuwała, poprawiała, słała, czyściła, częstowała. Smukły, jasnowłosy brat imieniem Knut wypadł zaraz z domu po niejaką ciotkę Ingrid, jedyną w rodzinie osobę, która jakoby znała francuski. Ciotka ta leciwa, lecz jeszcze w pretensjach, nadbiegła co tchu w nieprawdopodobnym kapeluszu, kupionym podobno w Paryżu w roku

1923, i od razu zameldowała mi, że ona jest tres contente de me voir i spytała czy aimez-vous la Norvege, przy czym dalej nie mogła wykrztusić ani słowa, a tym bardziej zabawiać mnie w moim rodzinnym języku. Tymczasem mnie zaczynały się coraz bardziej podobać te konfitury, śnieżnobiała pościel, bujające fotele, wyszywane w domu poduszki, chleb w odwiecznym koszyczku, serwetki przy nakryciu, na ścianie portrety przodków, którzy poświęcili życie dla chwały norweskiej poczty królewskiej, ten cały dobry, kolorowy domek znad dalekiego, cichego fiordu – cały wytęskniony przez lata awantur miąższ poczciwej, drobno – mieszczańskiej egzystencji. Niejasne projekty pozostania w tym miejscu aż do końca wojny uwierały moją świadomość jak ziarnka żwiru w bucie w czasie uciążliwego marszu. Coraz bardziej czułem się Jeanem Moniot z Gentilly, zacząłem nawet opowiadać, jaki to ze mnie un mecano formidable, co ja potrafię w moim fachu dokonać – i dopiero te bezczelne kłamstwa otrzeźwiły mnie nieco, jako że z trudem przychodziło mi dotąd odróżnić karburator od maszynki do mielenia mięsa. Spłoszone, dziękczynne spojrzenia siedzącej w milczeniu Solvejg doprowadzały mnie również skutecznie do przytomności, ale kiedy staruszek wyciągnął dwie butelki norweskiej „drammer”, mocnej kminkówki przedwojennej, chowanej dotąd na dzień zbliżającego się zwycięstwa nad Niemcami – wtedy pękły wszelkie tamy. Oświadczyłem lojalnie, że nazajutrz te hitlerowskie świny wysyłają mnie transportem do Francji, ale że dziś należy do nas i okoliczność tę trzeba należycie wykorzystać. Wprawdzie ciotka Ingrid upierała się, że Francuzi piją wino i tylko wino, ale obrzuciłem ją lodowatym spojrzeniem i natychmiast obciągnąłem dwa solidne haki ku przerażeniu zgromadzonej rodziny, po czym odśpiewałem ku rodzinnemu zachwytowi „Ah, si vous conaissiez ma poule!” z repertuaru Maurice’a Chevalier, a potem, z rozpędu – „Rozkwitały pęki białych róż”, który to tekst wzbudził słuszne podejrzenia ciotki Ingrid, rozwiane moim przytomnym wyjaśnieniem, że jest to piosenka korsykańska w specyficznym narzeczu, którego nauczyłem się od swego wuja Korsykanina. Przypominam sobie jeszcze, że klepałem długo i dość mocno starego ojca po ramieniu i zażądałem jeszcze jednej fajki, dzięki czemu dojrzałem w jego oczach budzącą się ku mnie miłość, oraz że kilkakrotnie wznosiłem toasty na cześć króla Haakona VII, jego rodziny i wszystkich rodzin w Norwegii. Obudziłem się nazajutrz w małym mansardowym pokoiku na pierwszym piętrze; zegarek mój stał, ale musiało być jeszcze wcześniej. Skoczyłem do okna, skąd rozciągał się doskonały widok na niewielki port w Kristiansand. „Tübingen” nie było na redzie, wobec czego położyłem się z powrotem do łóżka i zasnąłem. Powtórnie obudziła mnie Sølveig i to przy nakładzie pewnego wysiłku.

– Już późno – rzekła – wstawaj. Boję się, czy wszystko jest w porządku z twoim statkiem. Żaden dziś rano nie wchodził do portu. Taka ci jestem wdzięczna.

– Która godzina?

– Pierwsza. Na jaki statek czekasz?

– „Tübingen”. Ma białe kominy.

– Żaden taki nie stoi na redzie.

Czułem w powietrzu nieszczęście. Szybko pożegnałem się z wszystkimi, ucałowałem

Sølveig ostentacyjnie, mamę z wdzięcznością, staruszka z sympatią, brata Knuta z przymusem i pobiegłem do kapitanatu portu. W filii urzędu morskiego siedział jakiś krostowaty urzędnik w tyrolskich spodniach i dłubał w nosie.

– Jestem mes – steward, skierowany przez Seeamt Oslo na „Tübingen”. Co jest z tym cholernym statkiem? Gonię go po całym zachodnim wybrzeżu.

– Tylko bez krzyku, dobrze? – nie dał się krostowaty. – Trzeba było się tu zjawić o ósmej rano, to bylibyście już na pokładzie. Znamy takie numery. Jak się nie chce komuś pływać, to zawsze się spóźni. Ale do czasu – zrobimy w końcu porządek z tą całą waszą międzynarodową bandą.

Kolana ugięły się pode mną.

– Przecież nie stawał na redzie?... Ja naprawdę chcę, muszę pływać na „Tübingen”...

– Nie tym razem. O, właśnie wraca szalupa...

Podszedł do okna, z którego widać było ciągnącą do nabrzeża motorową szalupę policji przybrzeżnej.

– Na litość boską! Gdzie stała ta straszliwa łajba?...

– Zaraz za cyplem – złagodniał urzędnik drapiąc się w owłosione łydki – nie wchodził na redę, nie wiem nawet dlaczego, to nie moja rzecz.

– A może by tak szalupa jeszcze raz...

– Słuchajcie, steward, nie bądźcie dzieckiem. Wiem, że tam was oczekiwali, miałem awizo i pytanie, czy jesteście gotowi. Nie było was na czas, więc trudno, możemy najwyżej skoczyć na wieżę i zobaczyć, jak już daleko odpłynęli.

Skoczyliśmy. Z wieży kapitanatu, za pomocą lornety, ujrzałem raz jeszcze białe kominy, uciekające przede mną na pełne morze. Wraz z nimi uciekała bezpowrotnie Wielka Szansa. Musiałem tym razem wyglądać jak żywy obraz pod tytułem „Rozpacz żeglarza”, mówiąc stylem Rudiego, gdyż nawet krostowaty był pod wrażeniem.

– Co wam tak zależy na tym szpitalniaku? – spytał podejrzliwie.

– Pływa na nim pewna pielęgniarzka, brunetka, imieniem Erika. Uczucie, rozumie pan... – uśmiechnąłem się blado i melancholijnie.

– Dam wam nowe kartki żywnościowe i bilet do Oslo. Ostatecznie nie jeden „Tübingen” we flocie i nie jedna Erika na świecie. W Oslo dadzą panu jakieś nowe pudło, a nową Erikę sam pan sobie znajdzie – zakończył dojrzałe.

O to właśnie chodziło, o nowe pudło, na jakie w żadnym wypadku nie mogłem przystać.

Stałem otępiały przy kontuarze, podczas gdy krostowaty wypełniał druczki. I co teraz?

Gdzież jest nowy Rudi z nową, ratującą wszystko ideą, dlaczego nie zjawia się teraz, w odpowiedniej chwili? Dlaczego nie zjawia się jakiś nowy szofer z Radomia, nowi sportowcy z Hessen-Nassau, nowy pan Schmitz? Nikt się jednak jakoś nie zjawiał, natomiast krostowaty poprosił mnie o paszport. Kiedy go wyjmowałem z kieszeni, wypadł na podłogę mały, podłużny kartonik, podniosłem go i przeczytałem:

SIGURD HEIERVANG

Pastor w Trondheim

oraz dopisane ołówkiem: „przez dwa tygodnie – Oslo, Oscarsgate 32”. W błyskawicznym skrócie przypominałem sobie słowa pastora, wypowiedziane na pożegnanie, intonację głosu, jakim je wypowiadał, i jak w olśnieniu pojąłem znaczenie owego sformułowania: „w jakiegokolwiek sprawie”. Kładąc wizytówkę na powrót do kieszeni, wiedziałem już, co zrobię: jedyny, słuszny plan działania był gotów, słońce znów jasno świeciło nad głową, a świat ciągle jeszcze wydawał mi się boiskiem piłkarskim, na którym umiejętny przebój, kondycja fizyczna i odrobina szczęścia decydują o sukcesie.

Drogę do Oslo przespałem w spokoju, odrabiając znaczne zaległości. Rano, prosto z Dworca Zachodniego, udałem się na Oscarsgate, gdzie dowiedziałem się, że pastor Heiervang wyjechał na dwa dni do Lillehammer. Była to drobna i niegroźna komplikacja, mnie zaś podobała się ruchliwość pastora; taki latający duchowny dawał pewne gwarancje fachowości w zamierzonej przeze mnie wyprawie na szwedzką granicę. Oczywiście – mowy być nie mogło o meldowaniu się w Seeamcie, co z kolei wykluczało nocleg w Domu Żeglarsza. Pozostawała Uschi – jeśli tli w niej najniklejsza choćby iskierka uczucia, należało iskierkę tę rozdmuchać tak, aby zabłysła kilkudniowym płomieniem do czasu załatwienia sprawy z pastorem.

Przyznać trzeba, że Uschi stanęła na wysokości zadania i zachowała się z godnością. Powitała mnie swobodnie, lecz bez wylewności, co miało oznaczać, że wszystko między nami skończone, ale że nic nie stoi na przeszkodzie poprawnym stosunkom towarzyskim. Spytała, kto mi tak oporządził oko, i wyraziła gotowość opatrzenia mnie kompresem z octanu glinu. Kiedy wyłuszczyłem jej moją prośbę, zamyśliła się głęboko, po czym rzekła: – Sytuacja nie jest prosta. Widzisz – ja się teraz kocham. To jest wielka miłość w stylu prawdziwego romantyzmu i kto wie, czy nie skończy się związkiem dozgonnym. Mój narzeczony jest matem w intendenturze, a w cywilu zajmuje się badaniem wierszy na uniwersytecie w Heidelbergu. Taki doktor od poezji, rozumiesz, ciągle czyta mi jakieś wiersze różnych facetów, których nazwiska ciężko jest zapamiętać. Poznaliśmy się w kinie. On mówi, że najbardziej podoba mu się we mnie moja tkliwość i wrażliwość na uduchowioną poezję, której nie mają za grosz współczesne dziewczęta, i zapewnia mnie, że jestem szlachetna i niezdolna do niskiej zdrady, tak częstej w naszej zmaterializowanej epoce. Myślę, że ma rację i poznał się na mnie doskonale. Skoro więc chcesz tu zostać na parę dni, mogę powiedzieć, że jesteś moim kuzynem Alojzem z Wiednia, a Ernest, to jest mój narzeczony, na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu, a nawet ucieszy się z poznania członka mojej rodziny.

Rzecz jasna – przystałem skwapliwie na wszystko i przy najszczęśliwszych intencjach. Powiedziałem też Uschi kilka ciepłych i wzniosłych słów o tym, jak cieszę się, że wreszcie na jej drodze życia pojawił się właściwy człowiek, któremu będzie ona mogła zawierzyć kwiat i skarbczyk swoich czystych uczuć i który nie nadużyje jej szlachetnych porywów. Dodałem przy tym, że oszałamiająca nagłość tej miłości i narzeczeństwa jest najlepszym

dowodem wysokiego gatunku sentymentów, jakimi płoną ich dwa serca, oraz świetną gwarancją na przyszłość. Uschi była bardzo wzruszona, oświadczyła mi, że zawsze wiedziała, iż zostaniemy oddanymi przyjaciółmi, i dodała, że żałuje, iż nie jestem naprawdę jej krewnym, bowiem dobrze jest mieć rodzinne oparcie w takich ludziach jak ja.

Napomknąłem jeszcze mimochodem o kwatermistrzu, co wywołało pogardliwy uśmiech na twarzy Uschi, która opowiedziała mi o tym, jak ten wstrętny starzec, przyniósłszy miesięczną kartkę żywnościową na mięso plus kilka paczek papierosów i dwie puszkę skondensowanej śmietanki, dał jej do zrozumienia, czego się po niej spodziewa. Oczywiście – został odpowiednio potraktowany, to znaczy wyrzucony na zbitą twarz, przy czym Uschi miała jakoby krzyknąć, że jeśli będzie ją nadal napastował za tę odrobinę koleżeńskiej pomocy żywnościowej, to zastrzeli go jej narzeczony, który jest romantykiem. Na tym się skończyło, a wieczorem poznałem narzeczonego Ernesta, który był bardzo chudy, wysoki, miał nieczystą cerę, nosił okulary, wzdychał ciężko, wpatrywał się w Uschi wzrokiem dobrego jamnika i kilkakrotnie zacytował Hölderlina, a potem Mörikego. Na mnie spoglądał uprzejmie, lecz początkowo nie wiedział, jaką zająć względem mnie postawę; dopiero kiedy Uschi wyciągnęła butelkę kirschu, gdy kieliszki zostały spełnione – przy czym ja piłem ze szklanki do mycia zębów z cynobrowego plastiku, doskonale nadającej się do nadużyć na moją korzyść – i kiedy zacząłem długo i obficie opowiadać o dzieciństwie Uschi, o mojej nad nią opiece i o wspólnych igraszkach dwojga złotowłosych kuzynów w Parku Ratuszowym – wtedy Ernest spojrzął na mnie z prawdziwie rodzinną sympatią. Piliśmy więc długo – Ernest mało i z objawami niechęci. Uschi powściągliwie, a ja na całego – za pomyślność młodej pary, po czym odśpiewaliśmy wspólnie: „Abends auf der Heide”. Ernest poszedł, Uschi posłała mi na podłozie rodzaj barłozku z brudnej bielizny i koców i usnęliśmy w miłym poczuciu rodzinnej przynależności.

Nazajutrz nie ruszałem się przezornie z domu i dopiero trzeciego dnia postanowiłem pójść na Oscarsgate. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że Seeamt poszukuje mnie już przy pomocy policji. W brudnej dziupli, uchodzącej za hotelowy hall, siedział norweski sprzątac, pełniący jednocześnie funkcje portiera. Skinął na mnie, kiedy schodziłem ze schodów.

– Jakiś oficer marynarki pytał przed piętnastoma minutami o pannę Uschi i jej narzeczonego – poinformował mnie obojętnie.

– Czy jest stąd drugie wyjście? – spytałem spokojnie, chociaż serce zaczęło we mnie łomotać jak na minutę przed gwizdkiem, rozpoczynającym mecz. Słowami tymi otwierałem wielką partię pomiędzy gestapo a mną, oczywistym było bowiem, że Norweg jest konfidentem.

– Jest – powiedział po chwili i wskazał drogę.

W korytarzu, wiodącym na podwórze, usłyszałem jeszcze, jak Norweg podnosi słuchawkę telefonu. Nie było chwili do stracenia. Wyrząłem ostrożnie z bramy, która wychodziła na tę samą ulicę, co główne wyjście. Uliczka była pusta, musiałem ryzykować te kilkanaście metrów trotuaru do następnej ulicy, prowadzącej na wielki, ożywiony plac o nazwie Lille Torget. Słońce zalewało uliczkę jasnym blaskiem, koszula lepiała mi się do pleców z gorąca

i emocji. Szybko ruszyłem z bramy i zbliżałem się już do rogu, kiedy z tyłu, tuż na karku, usłyszałem:

– Hallo, steward, co to, nie przywitacie się ze swym dawnym oficerem?

Jednocześnie ręka kwatermistrza ujęła mnie dość krzepko pod ramię, a zgryźliwy głos ciągnął dalej:

– Otóż i narzeczony, wychodzący od narzeczonej. A oko kto ci tak oporządził, czy nie jakiś inny narzeczony? I nie zastrześliłeś go? Przecież jesteś narzeczony romantyk, jak mi to oświadczyła twoja narzeczona. Jak wam smakowała śmietanka?

W głosie kwatermistrza znać było histeryczną wściekłość na tle zazdrości. To należało wykorzystać, to była szansa. Nie zatrzymując się ani na chwilę w marszu ku Lille Torget zacząłem układowie:

– Drogi panie kwatermistrzu, jest pan tym właśnie człowiekiem, którego najbardziej życzyłem sobie teraz spotkać. Niech mi pan nie pochlebia, nie jestem narzeczonym Uschi, która w tej chwili myśli tylko o panu. Proszę sobie wyobrazić, że dostała się ona w szpony pewnego jasnowłosego brutala o nieprawdopodobnie szerokiej piersi, chłepczącego z grymasem triumfu pańską śmietankę. Właśnie wczoraj Uschi powiedziała mi, że tęskni niezmiernie za ową życiową solidnością poważnego człowieka, jaka tchnie z pańskiej osoby przy bliższym poznaniu. Zawrzyjmy tedy ze sobą sojusz dla pokonania tej blond – bestii, która zwie się samozwańczo narzeczonym Uschi, a wtedy wróci ona do pana, a mnie odda wreszcie moje pieniądze.

Ostatni strzał siedział w samym środku tarczy. Kwatermistrz spojrzał na mnie podejrzliwie, lecz z bezmierną Schadenfreude w oczach.

– To ciebie ona też nacięła, ta Uschi? I to na forszę?

– Mnóstwo pieniędzy – powiedziałem chyląc smutnie głowę, co sprawiło kwatermistrzowi istną rozkosz – a teraz do widzenia, drogi kwatermistrzu. Mogę się z panem umówić na popołudnie, gdyż obecnie śpieszę się bardzo.

– O nie, mój syneczku – uśmiechnął się krzywo kwatermistrz – nie pożegnamy się teraz, lecz pójdziemy razem do Seeamtu, gdzie oczekują cię od kilku dni w związku z aferą „Tübingen”. Nie zapomnij, że jestem niemieckim oficerem, a ty – brudnym, polskim markierantem, uciekającym od roboty. I jeszcze uprzedzam cię, że mam broń przy sobie... Szliśmy więc w milczeniu aż do Lille Torget. Kiedy opłynął nas potok przechodniów, kwatermistrz zaczął się oglądać za jakimś niemieckim autem. Trzeba było działać.

– Ty stara świniu – powiedziałem nagle i cicho – rozwalę ci makówkę następnym razem, a tymczasem – zadatek!

I kopnąłem go z całych sił w kostkę. Zawył z bólu i zaczął podskakiwać na jednej nodze, podczas gdy ja prulem najwspanialszym życiowym sprintem, lawirując wśród oniemiałych Norwegów. W sekundę później zgiełk ulicy rozdarł strzał i krzyk o pomoc po niemiecku. Mój tor biegu zaczął błyskawicznie pustoszeć, pędziłem wolną ulicą, czując z tyłu pogoń.

U wylotu Brugtgate zamigotały niemieckie mundury, z tyłu tupwały w pościgu niemieckie buty. Walka stawała się beznadziejna. Chciałem minąć nadbiegających od Storgata

quislingowskich policjantów, gdy z boku wynurzyło się kilku niemieckich lotników. Byłem sam na środku puściutkiej ulicy, widoczny jak mucha na łysinie, w kilka sekund później zwała się więc na mnie lawina mundurów, krzyków, ramion i uderzeń.

Odwieziono mnie w triumfie na Victoria Terrace, do gmachu gestapo. W krótkiej, gwałtownej i obfitującej w epitety rozmowie z pewnym Oberscharführerem SS zarobiłem kilkanaście miesięcy obozu koncentracyjnego za złośliwe uchylanie się od pracy. Jako świadkowie oskarżenia zeznawali pan Kluge z Seeamtu i kwatermistrz. Pan Kluge oświadczył, że jestem stary łotr i markierant, znany dobrze urzędowi morskemu, kombinator wymigujący się od pracy, gdy tyłu szlachetnych młodych ludzi ginie na wszystkich frontach. Kwatermistrz potwierdził to wszystko z naciskiem. Dwa dni przesiedziałem na Victoria Terrace, po czym przewieziono mnie do kacetu (Grini) pod Oslo. Tam to, oddając rzeczy do pakamery, dostałem ataku tak radosnego i pokrzepiającego śmiechu, jakim nie śmiałem się od dawna i rzadko kiedy potem. Oto, podnosząc z podłogi starą niemiecką gazetę sprzed kilku dni w celu opakowania nią butów, przeczytałem, co następuje:

OKRĘT SZPITALNY ZATOPIONY!

Statek szpitalny „Tübingen”, osiem tysięcy ton, wpadł na minę magnetyczną w Skagerraku i zatonął wraz z całym transportem i załogą.

Warszawa, marzec 1952 r.

Część druga

Amulet, czyli zła wiara

Ja jestem przesądny i wcale się z tym nie kryję. Wierzę w kabałę, horoskopy, trzynastkę, czarne koty, linię życia na lewej dłoni, swędzenie nosa i ręki, odpukiwanie w suche drzewo, talizmany i przynoszące szczęście przedmioty, spluwanie trzy razy, złe sny (niemowlęta, wypadające zęby etc.), szczęśliwe i nieszczęśliwe cyfry, wróżby z drobnych przypadków, zakaz podawania ręki przez próg, lusterko, dzwonienie w ucho, wstawanie z łóżka prawą nogą, kominiarza, garbusa, piątek i poniedziałek oraz mnóstwo innych rzeczy całkiem już intymnej natury. Wydaje mi się, że gdybym w to wszystko nie wierzył, życie – to zwykle tuż – obok – życie – byłoby uboższe i nudniejsze. Nie twierdzą pyszałkowato, że wszystkie wróżby się sprawdzają, co to, to nie, lecz z radością i pokorą witam każde pieniądze, jeśli dzień przedtem odczuwałem swędzenie lewej dłoni, co – jak wiadomo – oznacza liczenie monet lub banknotów. Czuję się wtedy podwójnie zadowolony i podniesiony na duchu; jeżeli zaś przychodzi mi po znaczącym swędzeniu dłoni prawej coś płacić – wtedy przygnębienie me rozjaśnia płomyk mądrej i pełnej wiedzy melancholii, dzięki któremu wiem, że nie jestem przedmiotem ślepych i nie awizowanych igraszek losu.

Toteż historia, którą opowiadał mi kiedyś pewien znajomy antykwariusz, umocniła mnie raczej w tym wszystkim, mimo swych racjonalistycznych tendencji. Potrafiłem wyłuskać z niej element tak szlachetnego zabobonu, że antykwariusz ów spojrzał na mnie z niesmakiem. Było mi z tego powodu trochę nieprzyjemnie, albowiem kocham antykwariuszy i antykwariaty, wszelkie sklepy ze starzyzną i dziwnościami, które – moim zdaniem – stanowią najlepszą metrykę kultury miasta lub kraju. Narody ubogie w antykwariaty są narodami ubogimi w kulturę; żyłem wśród takich narodów i żał mi ich było, pewna sfera cennych wzruszeń, nastrojów, zachwyceń, owego dziwnego ciepła wokół serca na widok starego talerza lub pistoletu pozostanie im zawsze obca. Warszawa, być może, nie nosiła w sobie antykwarycznej i starosklepowej przepastności Wiednia, Paryża czy Rzymu, zawsze jednak przedstawiała bardzo atrakcyjny teren łowów. Są miasta o jakiejś naturalnej antykwaryczności, czego mieszać, broń Boże, nie należy ze starożytnością lub starym artystycznym pięknem, widocznym wyraźnie w ustalonych przez tradycję, historię i geografie miejscach. W antykwariatach bynajmniej nie same dzieła sztuki leżą, wiszą, wypełniają kąty, urzekający czar antykwariatów tkwi w nagłości niespodziewanych objawień. Z miastami jest podobnie: muszą one kryć w najbardziej nieoczekiwanych miejscach jakieś najbardziej nieoczekiwane cuda; w studniach czynszowych, odrażających kamienic, jak w mrocznych, brzydkich sklepikach, błyskać muszą nieoczekiwane objawienia stylowego piękna i oryginalności jak ów bezcenny barokowy dwór polski w pewnym przedwojennym, obskurnym podwórku przy ulicy Chmielnej. O takich i innych rzeczach i wspominkach z nie zburzonej Warszawy gawędziliśmy z mym znajomym antykwariuszem godzinami całymi w jego ocalałym po wojnie sklepiku. Cudownie było siedzieć w starych, połamanych kurdybanach lub empirowych fotelach o podartym atlasowym pokryciu, bawić się starotureckimi kindżałami, przerzucać broszki, monety, witrażyki w ołowiu, pomorskie

świętki, cudaczną porcelanę, litewskie krucice, śląskie szkło, zakurzone, stare litografie, brzydkie i ciekawe warszawskie sztychy lub choćby puste, kunsztowne ramy. Nasze brudne z grzebania w starzyźnie ręce i chciwe, nigdy niesyte wrażeń oczy pasowały nas na ludzi sobie bliskich; byliśmy jednej krwi – jak mawiał Kipling – z tej samej dżungli przeżyć i doznań. W chwilach odpoczynku rozprawialiśmy o pływaniu, albowiem mój antykwariusz był krzepkim staruszkim, kąpiącym się codziennie latem, w bardzo pasiastym kostiumie, w Wiśle. Karierę swą rozpoczął jako rzeźbiarz, zdobył sobie nawet w swoim czasie ogólnokrajowy rozgłos, po czym utrzymywał salon sztuki w dobie moderny. Kiedyś był pozytywistą, hołdował postępowi, i z czasów tych pozostała mu niezachwiana wiara w nauki ścisłe i całkowitą możliwość wyjaśnienia świata oraz członkostwo honorowe Warszawskiego Towarzystwa Cyklistów, którego był współzałożycielem jako jeden z pionierów ruchu fizycznego na świeżym powietrzu. Stopniowo przemienił się w rasowego, rdzennego antykwariusza, który najbardziej znienawidził wyzbywania się nagromadzonych rupieci w drodze naturalnej sprzedaży. Była jakaś antynomia pomiędzy jego jasną, utylitarną filozofią a ciemnymi siłami fanatycznego przywiązania do swej sklepowej starzyzny, której to sprzeczności nie potrafił w żaden sposób wyjaśnić. Być może, że ona to właśnie sprowadziła nas kiedyś na ścieżkę rozmowy o talizmanach.

– Oczywiście, cały ten kult martwych przedmiotów, obdarzanych przez ludzi urojonymi właściwościami, mam za nic – powiedział wtedy stary antykwariusz czyszcząc jakąś przedziwną wenecką bransoletkę – a któż jest bardziej ode mnie powołany, aby mieć w tym względzie dojrzały sąd... – dodał nieco zagadkowo po chwili.

– Co za bzdura! – zawołałem porywczo, gdyż w dniu tym naładowany byłem bardziej niż kiedykolwiek uwielbieniem dla tajemnicy – wszystkie przedmioty wokół nas bytują bynajmniej nie biernie, ale wpływając na zjawiska, zdarzenia, ludzkie losy. Osobiście żywię najgłębszy szacunek dla kilku mych starych koszul i chustek do nosa, których pomyślne ingerencje w me życie są dla mnie faktem niewątpliwym. Mają one zapewnione miejsce w mym ruchowym dobytku bez względu na ich przydatność, traktuję je jak starych przyjaciół. Moja pierwsza narzeczona, która nie miała zrozumienia tych rzeczy, porzuciła mnie, gdyż nie pozwoliłem użyć owych kochanych strzępów popeliny na szmatki do okien. Ta dziewczyna miała w sobie pańską oschłość bez pańskiej inteligencji; jej krótkowzroczność jest wybaczalna, pańska – irytująca, albowiem nie dostrzega pan, że przeznaczeniem tych wszystkich wspaniałych, osobliwych, pięknych przedmiotów, tu przez pana nagromadzonych, był żywy, czasem przemożny udział w losach ludzkich. Te jatagany, medaliony i kielichy stwarzane były przez pełnych uczucia rzemieślników – artystów z gorącą myślą o ich oryginalnej, bogatej w treść wędrówce przez ludzkie ręce i ludzkie przypadki, miały one budzić pożądanie, uszczęśliwiać lub niszczyć. Jestem przekonany, że każdy lichtarz i każda farfurka w tym sklepie ma na swym koncie pokaźną liczbę zbrodni lub dobrodziejstw, spełnionych w czasie swej wędrówki po świecie.

– Najciemniejsi mistycy każą się panu kłaniać – uśmiechnął się ironicznie antykwariusz. Jego rzadka, siwa bródka i szare oczy były samą złośliwą radością i triumfem nad mą

ciemnotą. – Dziecinnieje pan, młodzieńcze, radzę wrócić do Andersena, który miał przynajmniej dar poetyckiej lekkości w traktowaniu tych zagadnień, wzbudzających w panu już tylko bezsensowną zapalczliwość. Ostatnia wojna winna była pana nauczyć, że człowiek zależy wyłącznie od człowieka, a nie od przedmiotów czy innych rzeczy, i że decydująca o życiu jest przede wszystkim wikłanina tych międzyludzkich zależności, która powinna być ciągle rozplątywana i naprawiana, a nie jakieś metafizyczne błąkanie się w mrocznym, martwym i niewiadomym.

– Do widzenia – powiedziałem sztywno, wciągając wolno i z urazą rękawiczki. Dosyć miałem tej filozofii, równie starej, zakurzonej i zbutwiełej jak leżące tu osiemnastowieczne resztki mebli, a pozbawionej ponadto ich wdzięku. – Co zaś do tych staromiejskich akwafort to kupię je, jak tylko dostanę pieniądze. Proszę odłożyć kilka z nich dla mnie, o ile może to pan uczynić bez zadatku.

– Typowe dla was, mętnych spirytualistów – zgrzytnął staruszek – nic dla was nie znaczy dowód, uzasadnienie czyichś myśli. Gwiżdżę na pański zadatek, proszę wziąć wszystkie akwaforty i to zaraz! Zgadzam się na uregulowanie należności w życiu przyszłym, które dla pana nie podlega dyskusji, co ostatecznie mogę uwzględnić w mych handlowych kalkulacjach. I pomyśleć, że już miałem się zabrać do parzenia ostatnich gramów cejlońskiej herbaty w pańskim ulubionym imbryku, ale skoro pan woli arogancję i dogmaty, to proszę bardzo, wolna droga...

– Nie jestem spirytualistą, a tym mniej mętnym – rzekłem z godnością, lecz daleko mniej pewnie – dowodów zawsze słucham chętnie, bez względu na to, czy są poparte herbatą, z samego umiłowania dialektyki...

Był to nieładny chwyt z mej strony; całą jego nielojalność poczułem niebawem, gdy ze skrucą i ze smakiem popijałem nalany mi z ślicznego, starochińskiego imbryka wonny, gorący napój. Stary antykwariusz górował nade mną wyrozumiałością i głębią swych sympatii, jego triumf był pełny, choć milczący, mnie zaś ciężko było się przyznać do porażki. Siedział więc w zniszczonym, wytartym wolteriańskim fotelu o jednej krótszej nodze i patrząc na mnie na pół szyderczo, na pół dobrotliwie mówił:

– Kiedy pan zaczął o talizmanach, przypomniała mi się pewna historia, która rozegrała się tu przed kilku laty. Miała ona w sobie jakąś dziwną tragiczność, fatalną i przesyconą gestami, a także wzmożoną o jedność miejsca jak w klasycznych pantomimach o nieodwracalności losu – co mówię, rzecz jasna, przez czystą w stosunku do pana przekorę. Pamięta pan zapewne te czasy, zaraz po zwycięstwie, kiedy wstrząśnięte i przeorane wojną społeczeństwo ujrzało przed sobą nowe życie i łapczywie się na nie rzuciło. Takie czasy sprzyjają pionierstwu, przedsiębiorczości i pogardzie dla kodeksu karnego i rzeczywistości – te trzy cechy epoki sprzęgły się znakomicie na szerokich połaciach kraju. Szybkość wydarzeń i chaos pojęć utrudniały bliższe rozpoznanie, gdzie kończy się mściciel krzywd narodu, a zaczyna kryminalista, kto buduje, a kto łowi w mętnej wodzie; pociągi bez szyb i ławek i usiane lejami artyleryjskimi szosy pełne były osobników żądnych zysku za wszelką cenę, wielbiących użycie i przemoc, a nade wszystko przekonanych o czystości swych

intencji i moralnej słuszności swych akcji. Młode państwo, zajęte bez reszty palącymi problemami polityki i gospodarki, zmuszone było odłożyć interwencję w obyczajność na później; stąd, jak w erze wszelkiej kolonizacji, przestępczość zdewaluowała się do rzędu codzienności, nikt jej nie ukrywał, stanowiła przedmiot potocznych żartów, a nawet przechwałek, jak w owej historii o cyrkowych koniach. Jest to nader pouczająca historia o tym, jak kilku sprawnych młodzieńców trafiło pod Opolem na cyrk, który rozprzedali detalicznie wśród amatorów. Między innymi parę pięknych ogierów sprzedali pewnej aptekarzowej w Kielcach, która odtąd z dumą wyjeżdżała w takim zaprzęgu na spacer. Były jeszcze wtedy na ulicach megafony, ogłaszające komunikaty i nadające płyty; kiedy więc raz rozległy się z nich dźwięki „Marsza gladiatorów”, wykształcone konie, nie bacząc na swój nowy zawód, wspięły się na tylne kopyta i rozpoczęły popis, wysypując aptekarzową z pojazdu. Morał tej historii jest taki, że podobno odtąd aptekarzowa opłacała po kryjomu obsługę miejscowego radiowęzła, aby nadawała owego marsza w czasie jej promenady. Otóż gdy okres tej barwności obyczajów dobiegał końca, wszedł do mego sklepu jakiś silnie zbudowany, wysoki, młody człowiek. Ubrany był z krzykliwą elegancją swego gatunku w długie, lśniące buty, oficerskie spodnie, nowiutką dwurzędową marynarkę z wieczorowego garnituru i bardzo pstry krawat. Na głowie nosił czarny kapelusz, właściwy dyplomatom i stojący w krańcowej sprzeczności z próbką manier i metod, jaką zaprezentował na wstępie. Nie powiedział nawet „dzień dobry”, natomiast wyjął z kieszeni zwartą w pięść prawą dłoń i położył ją nie bez odgłosu na wierzch chippendalowskiej komody.

– Czy wie pan, co tu jest? – spytał wskazując okiem na kułak.

– Nie, aczkolwiek zawsze staram się być dobrej myśli – odparłem dość obłudnie, gdyż ranek był wczesny i ulica dość pusta.

– Pan jest rzeźbiarzem, prawda.

– Tak, ale... – byłem zaskoczony, sprawa zaczynała się wikłać. Zaciśnięta na stylowym meblu pięść była groźbą i tajemnicą, przy czym nie wpływała dodatnio na jasność myśli.

– Mam dla pana zamówienie...

Przemknęło przeze mnie głuche podejrzenie, że nadeszła chwila, gdy szabrownicy zamawiają sobie popiersia w marmurze. Okazało się jednak, że nie o to chodzi.

– ...Chodzi o amulet – kontynuował przybysz.

– Jeśli tylko to – rzekłem z ulgą – to proszę sobie wybrać jakiś talizman z tych drobnych przedmiotów czy ozdób, których widzi pan tu pod dostatkiem. Talizmany to rzecz bardzo osobistego upodobania, tego się nie poleca jak gorsze czy lepsze jabłka.

– O nie, nie rozumiemy się. Mnie zależy na amulecie, to co innego. Amulet trzeba zrobić na zamówienie i specjalnie dla kogoś, tylko wtedy ma on siłę i przynosi szczęście. Nauczył mnie tego jeden marynarz, który był w Kongo i wie, jak się robi amulety u plemion murzyńskich. Amulet musi być zupełnie prywatny, tak jak to na przykład...

Podciągnął rękaw znad zaciśniętej pięści. Na muskularnym przedramieniu wytatuowana była kudłata głowa kobieca, serce, sztylet i słowa: „Kochaj, bo...”

– Ten wzór zrobił mi jeden specjalista w Szczecinie. Oryginalny, tylko dla mnie i dlatego

przynosi szczęście.

Miałem wątpliwości co do oryginalności wzoru, których jednak nie zakomunikowałem na głos.

– Ależ ja... – zacząłem znów niepewnie i wtedy mój dziwny klient rozwarł palce. Duża, sękata dłoń pełna była złotych dziesięciodolarówek.

– Chciałbym, aby mi pan z tego coś zrobił. Drugie tyle dla pana.

Na to nie mogłem przystać. W ostatecznej konkluzji byłoby to zaopatrywaniem takich panów w narzędzia zawodu. Nie miałem zamiaru zajmować się sprzedażą lub fabrykowaniem łomów czy „raków” do kas pancernych ani ich psychicznych odpowiedników. Pozostawały pertraktacje.

– Proszę pana, nie jestem jubilerem i nie zdołam przetopić złota. Ale wzruszył mnie pan swą wiarą w szczęśliwe przedmioty. Mam tu u siebie pewien osobliwy posążek egipskiego kapłana imieniem Imhotep – przypuszczalnie liczy on około trzech tysięcy lat. Nie nosiłem się wprawdzie z zamiarem jego sprzedaży, lecz w tym wypadku mogę to uczynić. Proszę go sobie obejrzeć, może się panu spodoba, zaznaczam przy tym, że już sam wiek tej figurki stanowi o jej niezwykłości i dowodzi utajonych w niej mocy.

Ze stojącej w głębi sklepu sekretary wydobyłem dziwaczną statuetkę. Był to niewielki odprysk diorytu, przedstawiający starca. Dwaj moi przyjaciele, mocni w egiptologii, sprzeczali się niegdyś żywo na temat tej postaci: jeden z nich utrzymywał, że jest to Imhotep, kapłan i święty mędrzec z czasów króla Dżesera, drugi widział w nim samego faraona Amen-em-heta z XII dynastii. Co do mnie, to skłonny byłem przypuszczać, że starzec pochodzi z okolic Himmelpfortgasse w Wiedniu, gdzie podobne starożytności fabrykowało się w swoim czasie z maestrią i na pęczki. W każdym razie posążek był niezwykły, jeśli nie urzekający. Miał z grubsza ociosany, sztywny, niezręczny korpus w staroegipskiej, trójkątnej spódniczce, kapłański strój głowy i martwą, a pełną złośliwości i wyrazu twarz o niskim czole, płaskim nosie i ciężkich, podłużnych powiekach.

Oczy mego klienta rozbłysły pożądaniem. Nie wiem dlaczego, ale Imhotep jakby zapalił w nim nieomylną pewność, że oto zjawił się od dawna poszukiwany sprzymierzeniec.

Dziwność, złośliwa brzydota figurki i jej przypuszczalny wiek musiały się złożyć na zaufanie do jej możliwości, które naraz jakby opanowały tego człowieka bez reszty. Wrzucił niedbale złote monety do kieszeni i wyciągnął z szacunkiem rękę po Imhotepa.

– A czy pan... – spytał cicho – wierzy w moc tego amuletu?...

– Ja nie wierzę, lecz jeśli pan wierzy, to wszelkie moce zaczynają funkcjonować – zaryzykowałem otwartą drwinę.

– Wierzę, bardzo wierzę... – powiedział tak żarliwie, że zrobiło mi się trochę nieswojo.

– W antykwariatach panuje przesąd, że nie wolno się targować, gdyż kupione po targach przedmioty nie przynoszą szczęścia – ironizowałem coraz wyraźniej, lecz bezskutecznie.

Wyjął gruby plik tysiącłotówek i zapłacił bez słowa wygórowaną cenę, jaką rzuciłem dla sondy raczej niż z chęci zysku. Poczęstował mnie jeszcze papierosem, dobytym z ciężkiej złotej papierośnicy, błysnął drogim sygnetem – wszystko to tchnęło paskarskim, lecz nader

realnym bogactwem – i poszedł unosząc Imhotepa.

Minęło kilka miesięcy i zapomniałem już o tym nieco śmiesznym epizodzie. Nadszedł listopad, błotnisty, ponury, wietrzny, pełen śniegu z deszczem w owym roku. Któregoś wieczora szykowałem się do opuszczenia sklepu, gdy w pewnej chwili ujrzałem za szybą okienną jakąś bladą, zmiętą twarz, śledzącą mnie uporczywie. Chwiejny odbłask lampy ulicznej i zmętniała od deszczu i mgły szyba nadawały twarzy tej, jakby oddzielonej od tułowia i zawieszanej w ciemnej próżni, charakter upiorny i gorączkowy zarazem. Byłem uderzony tym niesamowitym widokiem, stan mój przeszedł w prawdziwe przerażenie, kiedy obok twarzy za szybą ukazał się jakiś niewyraźny przedmiot, tańczący bezsensownie przed moimi oczyma: jasnym było, że człowiek z ulicy chciał mi w ten sposób coś pokazać.

Dostrzegając moją reakcję, wszedł do sklepu. Był to osobnik o wyglądzie ostatniego żebraka, ogarnięty w brudne strzępy starego płaszcza, z jakimś łachmanem miast szalika wokół szyi, z jego rozerwanych butów ciągnęły się niechlujnie unurzane w błocie szmaty.

– Czy pan mnie poznaje? – spytał schrypłym głosem. – Czy pan widzi, jak ja wyglądam? Oczywiście, że go poznałem. Pokiwałem głową, nie mogąc wydobyć z siebie głosu.

– Niech go pan zabierze – rzekł wyciągając ze swych łachmanów Imhotepa – niech go pan weźmie z powrotem. Od trzech dni jadę do Warszawy na stopniach i dachach pociągów, aby go panu oddać. Bez biletu i bez jedzenia. Widzi pan, co on ze mną uczynił? Lecz śnił mi się tydzień temu i kazał się odwieźć do pana. Dokonałem tego wbrew wszystkiemu i powinien mi dać wreszcie spokój...

W głosie jego nie było ani nienawiści, ani wściekłości, ani rozgoryczenia, ani żalu. Był tylko bezgraniczny lęk.

– Zaraz – powiedziałem widząc, że zabiera się do wyjścia bez pożegnania – oto pańskie pieniądze. Z talizmanami tak już jest – dodałem zachęcająco, wyjmując banknoty z szuflady – przyjmę ten posążek z powrotem, ale pan weźmie pieniądze.

W jego sytuacji suma, którą mu zwracałem, stanowiła prawdziwy majątek. Wziąłem diorytową figurkę, wciskając mu banknoty w dłoń. Stał przez chwilę nieruchomo, patrząc tępo przed siebie. Potem szybko odwrócił się, mruknął coś i wyszedł. Kiedy otworzył drzwi – wie pan, te nasze podwójne drzwi, oddzielone malutkim korytarzykiem od drzwi wejściowych – doznałem wrażenia, jakby coś upadło, jakby wychodzący coś rzucił. Ciemno było w tej części sklepu, podeszedłem tam i znalazłem na podłodze niewielką paczkę, owiniętą w gazetę. Szybko wybiegłem na ulicę, wołając: „Proszę pana! Halo! Zgubił pan coś!!...” – ulica jednak była pusta, ciemna, zasnuta wichrem, mgłą i deszczem, roztopiona w błocie. Powróciwszy do sklepu rozwinąłem pakiet; były tam różne dokumenty, dowody osobiste, kennkarty, wszystkie odpowiadały rysopisowi młodego mężczyzny. Nazajutrz odniosłem je do komisariatu milicji i to wszystko.

Zapadła cisza. Dopilem herbatę i spytałem:

– No i co pan z tego wnosi?

– Mój wniosek jest krótki i prosty: przesąd to bzdura. Dopiero zupełna odwrotność zamierzonych w zabobonnym myśleniu skutków uwidacznia cały bezsens zabobonu.

– Drogi panie, z uporem godnym racjonalisty upraszcza pan wszystko, co się wokół pana dzieje. Pańska historia ma dla mnie dwojaki sens: jeden nader moralny, drugi – wręcz optymistyczny, przy czym oba mają pozytywne znaczenie. Nie ulega wątpliwości, że bohater pańskiej opowieści to przestępca, oszust, złodziej, voleur du grand chemin, a w najlepszym razie jakiś aferzysta lub hochsztapler. Otóż dla pana moce tajemne, utajone w posążku, o ile takowe istniały, są czymś amoralnym, wyzbytym jakiejkolwiek orientacji pomiędzy dobrem i złem. W tym tkwi błąd, bo cóż nas właściwie uprawnia do takiego sądu? Dla kogoś, kto przyjmuje istnienie tych mocy, nie może być obojętne i pozbawione znaczenia, w jakim kierunku mają one działać i na jakie sprawy wpływać. Z losów posiadacza Imhotepa wynika niedwuznacznie, że ów kawałek diorytu, o ile nosił w sobie jakąś moc wpływania na sprawy ludzkie, to bynajmniej nie zamierzał popierać swymi możliwościami przestępstwa, kradzieży lub rozboju – co przecież bardzo dobrze o nim świadczy. Znam śliczną średniowieczną opowieść o talizmanie wykutym przez szatana, który to talizman pomagał zbrodniarzowi we wszystkim, niemniej jednak ściągał go na dno upadku i nie uchronił od kary ostatecznej; stąd morał, że nie ma talizmanu, który przynosiłby szczęście, służąc celom wszetecznym. Brak panu wiary w moralność nadprzyrodzoną, stąd trudności w pojmowaniu tych rzeczy, podczas gdy – jak widać ze zdarzeń – pański kapłan musiał być mędrce cnotliwym, miał daleko głębszą świadomość tych spraw niż pan, wyboru dokonał konsekwentnie i jasno, nie bawiąc się w skomplikowane działania. Ale spójrzmy na to wszystko od strony optymistycznej i budującej; ostatecznie nie uważam, aby Imhotep przyniósł pańskiemu klientowi zdecydowaną klęskę, aby go zniszczył. Zmusił go do porzucenia pewnego sposobu życia poprzez szereg jakichś dotkliwych porażek, to prawda, lecz tym samym ukazał mu chyba niskość pewnych postępów i nicość pewnych dążeń. Możemy sobie pozwolić na próbę konstrukcji dalszego ciągu: porzucone dokumenty wskazują na chęć zerwania z dotychczasowym życiem, pieniądze, zwrócone przez pana, umożliwiają skromny, lecz uczciwy start, rozpoczęcie wszystkiego od nowa. Pewnego dnia rozplynięty w deszczu, mgłę i ciemnościach nędzarz, skatowany przez przeciwności losu przestępca, wynurza się w słoneczne przedpołudnie na tej samej ulicy już jako uczciwy, szanowany obywatel, sumienny referent lub magazynier, otoczony gromadką jasnowłosych dzieci i szukający u pana kryształowego wazonu dla żony na rocznicę ślubu. Stanowiłoby to niezgorszą robotę zacnego Imhotepa, któremu trudno byłoby wtedy odmówić udanej i celowej operacji, mimo drastyczności i mylnych początkowo pozorów podjętych środków. W tym ujęciu przypisywałbym tej statuetce wręcz błogosławiony wpływ na losy jednego z ludzi – po prostu przyniosła szczęście, była dobrym amuletem...

– Proszę zabrać swoje akwaforty – rzekł lodowato stary antykwariusz. Był naprawdę zły i miał mnie już zupełnie dosyć. – Aż wstyd, żeby zdrowy, wysportowany i umiejący posługiwać się radiem młody człowiek mógł dopatrywać się takich idiotyzmów w martwym kawałku diorytu podejrzanego proweniencji.

Pożegnałem się grzecznie i wyszedłem. Nie chciałem już tłumaczyć, że według mnie Imhotep mógł pochodzić nie tylko od wiedeńskich specjalistów, lecz mógł być wystrugany

przez stolarza z Radzymina i że to nic dla mnie nie zmieniało z jego talizmanowej substancji, bowiem zapomniane w kieszeni opakowanie od wedlowskiego cukierka też może przynosić szczęście.

W kilka dni potem wyjechałem do Zakopanego. Pogoda była prześliczna. Któregoś przedpołudnia pojechałem na Gubałówkę; słońce grzało, śnieg skrzył się uroczo, w powietrzu pachniało wiosną. Nie śpieszyło mi się do zjazdu, odbiłem się od tłumy wczasowiczów i narciarzy, złożyłem z nart rodzaj leżaka i położyłem się w promieniach słońca, w krystalicznie czystej atmosferze, w przejrzystym błękicie, w blaskach, barwach, jasności – w samej radości istnienia. Kiedy przymknąłem oczy, radość ta dzwoniła mroźnie i szkliście, smakowała jak najwonnejsze muśnięcie na wargach. Wszystko to było proste, rzeczywiste, piękne, bliskie i zrozumiałe – cały ten mój ludzki świat, równie mój i ludzki w potędze widniejących przede mną złotolazurowych szczytów tatrzańskich z odległej głębi bezchmurnego nieba, jak i w znajomym zapachu narciarskiego smaru wokół mych policzków. Wtedy – nie wiem przez jak zawile i nieodcyfrowane skojarzenia – przyszedł mi na myśl staroegipski kapłan. Pod przymkniętymi, przesyconymi blaskiem słonecznym powiekami zadrgało mi wyobrażenie jako brzydkiej figurki, takiej, jaką opisał mi stary antykwariusz. Zapragnąłem naraz jakiejś bliżej nieokreślonej pomocy w najbliższej przyszłości, jakiegoś niczym nie tłumaczącego się znaku czy rozjaśnienia, nie wiadomo skąd – czekały mnie ważne rozstrzygnięcia po moim powrocie do Warszawy. Otworzyłem oczy i dławiący dreszcz przerażenia skoczył mi do gardła. Tuż obok mnie ciemniała na śniegu postać starej Cyganki. Jej pomarszczona twarz koloru starej skóry zwrócona była do mnie, czarne oczy patrzyły uważnie i przymilnie. Nie mogłem pojąć, jak to się stało, że nie słyszałem jej kroków.

– Dajcie parę groszy, pane, biednej Cygance... – wyciągnęła rękę wprawnym gestem – nie odmawiajcie, pane...

– Dam – powiedziałem wolno i z naciskiem, otrząsnąwszy się z wrażenia – dam nawet parę złotych, Cyganko, ale powróćcie mi, dobrze...

– Ja nie wróżę, pane – rzekła surowo. – Ja wierzę w Boga... Z jej oczu znikł uśmiech i prośba. Było mi bardzo wstyd. Jak nigdy w życiu.

Warszawa, luty 1952 r.

Jonathan Miller

Jonathana Millera poznałem w jednym ze średnich miast fabrycznych na Zachodzie. Był to okres nadzwyczajnych osiągnięć naszego ciężkiego przemysłu. Dzień za dniem padały rekordy wydobywania węgla, metody produkcji ulegały gwałtownym przemianom, w ciemnych sztolniach kopalń ludzie dokonywali rzeczy niesłychanych, a co za tym idzie – ciekawych. Cały kraj interesował się owym patosem, zabarwionym szlachetną sensacją, jaki płynął z życia naszych hut i stalowni. Byłem wtedy w Zagłębiu specjalnym korespondentem jednej z gazet stołecznych. Starłem się formułować na papierze wysiłek, trud i przeżycia, jakie cechowały każdy dzień pracy, i wyciągać z faktów tych wnioski o charakterze dziennikarskim. Miało to przedziwny smak narodowej doniosłości i sportowego podniecenia, symbioza zaś tych dwóch cech dawała to, że ludzie w Warszawie, Białymstoku, Elblągu i Rzeszowie z zainteresowaniem i niecierpliwością rozpoczynali czytanie dziennika od takich właśnie informacji i wiadomości. Codziennie wieczorem udawałem się na dworzec kolejowy, gdzie wrzucałem kopertę z korespondencją do warszawskiego pociągu.

Dworzec kolejowy w tym mieście nie różnił się od licznych dworców, powstałych pod koniec ubiegłego wieku na Śląsku. Był dwupiętrowy w swej centralnej partii, rozłożysty, obszerny i wygodny. Rozbudowana sieć torów, kilka peronów i później dorobione przejścia podziemne na każdy z nich, duże dépôt i przestawnia dla lokomotyw wskazywały na to, że stacja była węzłowa i ważna. Pierwsze lata po wojnie, lata wielkiej bitwy polskich kolejarzy o doprowadzenie kolejnictwa do stanu normalnego, nie wyszły samemu dworcowi na dobre. Były ważniejsze rzeczy w grze niż dbałość o czystość i oświetlenie, zaś liczne rzesze repatriantów, walczące twardo z czasem i przestrzenią o swe własne miejsce na ziemi, śpiące na tym dworcu i gotujące strawę, nie mogły liczyć się z jego wyglądem. Nikt zresztą nie miał o to do nich ani do kolejarzy pretensji. Przyjdą czasy, gdy aktualnym i palącym problemem stanie się estetyka dworców kolejowych w skali ogólnopolskiej. Na razie przeto dworzec miał swe historyczne prawo być brudny i zapuszczony, pełny kurzu, śmiecia, połamanych framug, ławek i wybitych szyb. Na tle takiego właśnie dworca sylwetka Jonathana Millera stawała się czymś naturalnie przyciągającym wzrok. W Millerze, w przeciwieństwie do patetycznie brudnego dworca, uderzała tandetna, najzwyczajniejsza czystość. Niezmiennie, każdego wieczora, wyglądał jakby dopiero co wyszedł z taniutkiego magazynu lub pralni. Nosił czysto wyprane i wyprasowane koszule i najtańsze, najbardziej nudne krawaty, jakie kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć. Miał zawsze czyste ręce i starannie ogoloną twarz, wydawał przy tym zapach taniego lizolowego mydła, jakiego używa się do dezynfekcji ludzi, zwierząt, i różnych przedmiotów. Wszystko to tchnęło niemczyzną i protestantyzmem, lecz bez tendencji krystalizowania się w określony typ ludzki. Ci, którzy dużo w życiu podróżowali, wiedzą dobrze, że na przykład w południowej Francji można spotkać najrdzenniejszego Prowansalczyka, który wygląda i zachowuje się jak Szkot, a jednak Szkotem nie jest. Z równym powodzeniem w Norwegii zdarza się natknąć na Skandynawa o aparycji i reakcjach Neapolitańczyka i przykłady takie mnożyć

można w nieskończoność. Te powikłania nie stanowią bynajmniej o przynależności do narodowego typu. Po to, aby być Szkotem, Neapolitańczykiem albo protestanckim Niemcem, nie wystarczy wyglądać, zachowywać się, a nawet posiadać wewnętrzne cechy charakterystyczne danego typu. Trzeba jeszcze chcieć być i przynależać, i ta podważana przez różne nacjonalistyczne teorie okoliczność decyduje, moim zdaniem, o narodowych różnicach. Wszystko w Jonathanie Millerze sprzysięgło się, aby uczynić zeń Niemca i protestanta. Urodził się na Śląsku pod niemieckim władaniem, wychowywał się w środowisku niemieckim i protestanckim, otoczenie zaszczerpiło w nim mnóstwo wielkich zasad i drobnych upodobań, których źródłem był niemiecki mieszczański styl życia i ortodoksyjnie protestancki komentarz do Pisma Świętego. Nawet imię i nazwisko jego tchnęły opowieścią biblijną ze szkółek niedzielnych i kilkunastoma pokoleniami dobrych, rzemieślniczo-teutońskich protoplastów. Jego bezbarwne, jasne oczy, schludnie, gładko zaczesane, nic nie mówiące włosy i przyjemna, drewniana twarz nie nastroczały na pozór żadnych wątpliwości. Opanowane ruchy i przeciętna sylwetka dopełniały obrazu uderzającej przeciętności, zwyczajności i całkowitej wymierności typu. A przecież coś nie zgadzało się w tym prostym i niezawodnym na oko rachunku. Jakiś trybik przeskoczył wadliwie w skomplikowanej maszynie dziejowej, produkującej pokolenia i przeznaczenia. Jonathan Miller sam dobrze nie wiedział, kiedy to było i jak, lecz gdzieś, daleko w tyle, ktoś był Polakiem i katolikiem, i od tamtego czasu tak już pozostało. Drobnomieszczańscy rzemieślnicy, kupcy i urzędnicy nie mają swych rodowodów jak węzłaste sznury peruwiańskiego pisma, na których każdy supeł mówi coś określonego. Nie mają portretów przodków, o każdym z których mogliby udzielić konkretnych informacji. W rodzinie Jonathana Millera katolicyzm i polskość wkorzenione były od wieków, zaś rozsądek i umiar pozwalały je przez wieki przenosić. Nie było w Millerach nigdy żarliwej wiary ani heroicznego patriotyzmu, chętnie obcowali ze swym niemieckim i protestanckim otoczeniem, przejmując odeń zapobiegliwość i twardość. Ale w domu, na własny użytek, mówili i myśleli coś innego. Nie gnili po więzieniach za sprawę ani nie demonstrowali bezużytecznie, lecz swego trzymali się i nie puścili. Dziadek Millera był pruskim urzędnikiem miejskim, głosował za Bismarckiem, ale w domu gościł czas dłuższy powstańca z 63 roku, któremu udało się zbiec przez granicę i uniknąć internowania. Ojciec utrzymywał doskonale stosunki z niemieckimi sąsiadami. Jonathan nie płonął ogniem wiary, ani nie konspirował, ale abonował pisma Związku Polaków, póki były legalne. Później miał licznych niemieckich przyjaciół, bardzo dobrą posadę i nie odczuwał potrzeby narodowych manifestacji. Sprawy polskości i katolicyzmu nie były dlań w życiu najważniejsze, ale były, istniały i nie nastroczały żadnych wewnętrznych konfliktów. Gdy przyszedł Hitler, Jonathan przestał abonować gazety, lecz nie przestał myśleć po swojemu i wiedzieć swoje. Nikt go nie aresztował ani nie prześladował, a gdy wybuchła wojna, poszedł do służby pomocniczej, jako że miał żylaki. Po wojnie miał przed sobą jedną, prostą drogę. Wrócił do swego miasta, wydoskonalił swą wąż polszczyznę i zajął stanowisko prokurenta-księgowego wielkich państwowych zakładów hutniczych. Wkrótce zyskał sobie opinię poważnego i cenionego autochtona. Był spokojny,

solidny, umiał dużo, znał swój zakres pracy, był pozytywny i pożyteczny. Nie odznaczał się żadnymi nadzwyczajnymi zdolnościami, kariera jego była z góry ograniczona możliwościami, co nie wpływało w żadnym stopniu na jego wewnętrzną równowagę. W takim samym stopniu nie miały wpływu na ten nieco bezmyślny, statyczny spokój jego drobne antypatie i sympatie. Miał rdzennym Polakom wiele do zarzucenia. Nie lubił hałaśliwości i niechlujstwa, blagierstwa, niesolidności, kolorowej, strzępiastej fantazji w smutkach i radościach tych nowych przybyszów z centralnej Polski i zza Bugu. Drażniła go zbytnia piękność lub zbytnia brzydota ich kobiet i przesadne zapuszczenie lub przesadna inteligencja ich mężczyzn. To wszystko nie mogło jednak wyrócić lub zmącić jego spokoju i głębokiego przekonania o tym, że jest Polakiem, bez względu na to, czy mu się tak podoba, czy nie. Nawet nie zdawał sobie sprawy, ile w nim było obcości, lecz właśnie ta nieświadomość była najlepszym gwarantem jego dobrego samopoczucia, a mojej pewności, że jednak w końcu wszystko się wyrówna.

A przecież był w nim jakiś ton fałszywy w stosunku do typu, który przedstawiał, ton, którego przez długi czas nie potrafiłem zdefiniować. Gdy zauważyłem go na dworcu po raz pierwszy, wywołał we mnie jedynie refleksję śmiesznego kontrastu, jaki stanowiły jego tanie, lecz błyszczące, wyczyszczone buty i schludny paltocik, w stosunku do romantycznego rozgardiaszu peronów. Stał, jak anachronizm, na tle wpół zdrapanego gotyckiego napisu, mając obok siebie rozchełstanego milicjanta, z niedbale przerzuconą przez ramię pepeszą, istnego zagończyka z baczkami wokół klasycznie poleskiej czy wołyńskiej twarzy. Pociąg do Warszawy wtoczył się na peron, wyrzucił z siebie tłum potykających się, gniotących i pchających okrytych tobołami podróżnych, wchłonał innych i odbił w kłębach pary. Jonathan Miller zaczekał, aż wszystko uspokoiło się i ucichło, rozglądał się przez chwilę, jakby kogoś szukając, włożył ręce w kieszenie płaszcza i poszedł ku wyjściu. Był wtedy w jego postawie leciutki akcent smutku czy niepokoju. Nazajutrz znów powtórzyło się to samo. Pomyślałem, że ktoś, na kogo czeka, jest stanowczo nie w porządku, zmuszając go do powtórnego fatygowania się na dworzec. Po czterech dniach rzecz stała się interesująca. Zachowanie się tego człowieka w średnim wieku, o rzucającej się w oczy przez swą przeciętność powierzchowności, nabrało dla mnie jakiegoś zagadkowego sensu.

Niezmiennie rozglądał się poszukująco wokół, niezmiennie pochylał się lekko w akcencie smutku czy rozczarowania. Spotkałem go kiedyś w dzień, na ulicy. Wtedy nie budził żadnych refleksji, pasował w swej niepozorności doskonale do ulicy, nie odróżniał się niczym od innych. Mijając go zajrzałem z bliska w spokojne, nieco tępe, jasne oczy. Chyba nie poznał mnie, lecz w oczach tych dostrzegłem płytką życzliwość. Tak zresztą patrzył na każdego, prawdziwa bowiem natura człowieka najlepiej jest uchwytna w oczach mijanego na ulicy przechodnia. Na dworcu, owym niepowtarzalnym, a tak typowym dla tych ziem dworcu, stawał się dopiero pełnym, dźwięczącym kontrastem. Dworce były pierwsze naprawdę polskie na Ziemiach Odzyskanych i dlatego tam Miller odcinał się od otoczenia w sposób zasadniczy. Nikt na to jednak nie zwracał uwagi. Dla kolejarzy, żołnierzy, repatriantów, pionierów, milicjantów, szabrowników Miller nie przedstawiał nic odrębnego. W tej magmie,

komponowanej z niewiadomej – x elementów, nie mogło być odrębności, zawierała ona w sobie wszystkie możliwe możliwości i sylwetka cichego, nic nie czyniącego człowieka nie ściągała niczych zdziwionych spojrzeń. Dla mnie sylwetka ta stała się po tygodniu obsesją. Kim jest ten człowiek i czego szuka? Codziennie stał o tej samej godzinie wieczornej w tym samym miejscu i codziennie opuszczał dworzec z niczym. Przeciskałem się przez tłum, aby znaleźć się bliżej niego, czasami spojrzenia nasze spotykały się wtedy; jak na ulicy, znajdowałem w jego oczach ową spokojną, standaryzowaną, płytką życzliwość, będącą niewątpliwie naturą tego człowieka, stanowiącą z pewnością jego życiową postawę. Gdy wychodził na przeddworcowy plac, krok jego był już przeciętnym krokiem jednego z milionów, ów ledwie odczuwalny smutek ulatniał się bezpowrotnie. Gryzłem wargi ze złości, nic bowiem tak nie męczy jak ulatująca, rozpraszająca się w mroku, niesformułowana impresja. Kim był ten człowiek? Co sobą przedstawiał? Na pewno niczym, przeciętniakiem, zerem, nudziarzem, a może matołkiem. Fakty, że tanie buty błyszczą, tandetna koszula jest czysta, a facet ma niemiecką facjatę, nie stanowią jeszcze powodów do opowieści. Zaś smutek, rozczarowanie, niepokój w postawie – przywidzenia bujnej wyobraźni. A to, że jest co dzień, stoi, czeka, nie wiadomo na co – mój Boże, tylu ludzi w tych czasach wystaje na dworcach, nie wiadomo po co, a w końcu okazuje się, że robią całkiem konkretne rzeczy. W następnym tygodniu poznałem Jonathana Millera. Nie potrafiłbym nawet w tej chwili powiedzieć, jak to się stało. Każdy z nas nawiązywał na pewno w życiu pokaźną ilość takich znajomości, poczętych od jednego przypadkowo rzuconego słowa, lub od wspólnego kierunku drogi w miejscach publicznych. Wyszliśmy z dworca razem, Jonathan stał niezdecydowany, lecz ja natarczywie zaproponowałem mu wspólne wypicie kawy. Odtąd natarczywość moja stanowiła najistotniejszą cechę naszej rozmowy. Wstąpiliśmy do leżącej po drugiej stronie dworcowego placu kawiarni. Był to ciemny, zapuszczony lokal, pełen stłoczonych stolików o marmurowych blatach, tanich krzeseł i blaszanych popielniczek, w jakie przedwojenni niemieccy fabrykanci tanich mebli zaopatrywali wszystkie kawiarnie w środkowej Europie, od Malmö, poprzez Pragę i Sofię, aż po Kretę. Kelner spytał się nas, czego sobie życzymy do picia, a gdy usłyszał, że kawę, przestał się nami interesować. Kawiarnie w niedużych miastach nie mają żadnego ideologicznego usprawiedliwienia, nikt nie przychodzi do nich na kawę, zaś wszyscy na piwo, wódkę lub ciastka. W ten sposób tracą one swój istotny sens. Kiedy uczyniłem powyższą uwagę, Jonathan Miller uśmiechnął się nieobowiązująco. Mógłbym przysiąc, że ani nic nie zrozumiał, ani nic go to nie obeszło. Wobec tego powiedziałem, że nie dosłyszałem jego nazwiska przy wzajemnej prezentacji. Powtórzył:

– Miller. Jonathan Miller – co pobudziło mnie tylko do bezwstydnego, impertynenckiego dalszej indagacji. Na pytanie, czy jest Niemcem, odpowiedział spokojnie, rzeczowo, że nie, że autochtonem. W ogóle wykazywał grzeczną, lecz pełną rezerwy, monosylabową powściągliwość. Ja natomiast miotałem się w sposób co najmniej głupi. Zadawałem najgłupsze, nabrzmiałe niecierpliwością pytania i nie dowiadywałem się niczego. Wreszcie zrozumiałem: to proste, ten człowiek nie ma nic do powiedzenia. Ale w chwilę potem były już

wątpliwości: no dobrze, lecz skąd ta cała skoncentrowana, płytka niemieckość, podkreślona najwłaściwszym dla tego koncentratu imieniem, a tu polskość, tutejszość i te godziny na dworcu, ten smutek – nie-smutek, niepokój – nie-niepokój, głupie, spokojne oczy i zagadkowość. Albo ten człowiek robi ze mnie wariata, albo ja sam jestem lekko stuknięty, szukając okruchów serca w karburatorze. A może jest jakieś tertium datur, że nikt z nikogo wariata nie robi, tylko o tym nie wie. Może on sam o sobie czegoś nie wie? A może co innego? Ale co? W ostatecznej rozpaczy złapałem za leżącą na sąsiednim stoliku szachownicę i zaproponowałem partię szachów. Miller zgodził się i to było wyjście. To była metoda powolnego drażenia przy szachach. Obydwaj lubiliśmy tę grę i odtąd graliśmy co wieczór, po wyjściu z dworca, przez resztę mojego pobytu. Szachy są grą powolną i syntetyzującą. Do każdego pociągnięcia dołącza się wiele pierwiastka osobistego, mówi się rzeczy najrozmaitsze, najprostsze wynurzenia. Sam nie wiem kiedy, zarzuciwszy poprzednią natarczywość, dowiedziałem się tego wszystkiego o Millerze i jego rodzinie, co tyczyło polskości i wiary, drobnych radości i smutków familijnych i całego patati i patata zwykłego życia buchaltera wielkiego przedsiębiorstwa. Był kawalerem, mieszkał ze swą starą matką, ojciec już nie żył. Byli znajomi, owszem, były zainteresowania, trochę sport, trochę śpiew chórally w towarzystwie śpiewaczym. Ambicji nie było, poza chyba chęcią wygodnego, spokojnego, dostatniego życia, czego przecież nie można nazwać ambicją. Interesował się życiem społecznym, czytał gazety i tygodniki, odgrywał pewną rolę w organizacjach zawodowych, miał swoje wyrobione zdanie na temat wojny, pokoju, sojuszu, produkcji i współzawodnictwa. Był optymistą. Wierzył, że stopa życiowa się podniesie i że im, Ślązakom – autochtonom, uda się w końcu nawiązać braterskie stosunki z repatriantami. Że różnice z czasem zatrą się kompletnie, tylko niech oni nie będą tacy niechlujni, ci rodacy, niech mniej się upijają i tak nie krzyczą, a wszystko się ułoży. A dlaczego bywa na dworcu? Tego pytania nie zadawałem nigdy. Wytworzyła się jakby zakazana strefa rozmowy. Na peronie kiwaliliśmy sobie tylko głowami, lecz nie zbliżyliśmy się do siebie wzajemnie i wszystko odbywało się tak jak przed zawarciem znajomości. Rozmowa zacząć się mogła dopiero po opuszczeniu terenu dworca. Ani na peronie, ani w podziemnym przejściu pod peronami, ani na schodach, ani w poczekalni, ani w głównym hallu, lecz dopiero na placu przed dworcem. Nie znosiłem tej milczącej konwencji, lecz moja bezczelność załamywała się na progu owej sfery. Przez gardło nie mogło mi przejść pytanie, co oznacza ta cała dworcowa komedia czy tragedia w życiu człowieka, które poza tą periodyczną codzienną chwilą leżało przede mną jak rozwiązana, łatwiutka krzyżówka. Nic w życiu tym nie było tajemniczego ani niezwykłego – wszystko zwykłe, proste, przeciętne, nudne. Tylko ten dworzec i przyjście pociągu i odejście pociągu, i rozglądanie się wokół, i nieuchwytny cień szlachetnego smutku w zwulgaryzowanym schemacie egzystencji, taśmowej i seriowej kopii milionów takich jak on. Zbliżał się dzień mojego wyjazdu. W czasie rozgrywanych partii Miller zdradzał coraz więcej chęci zbliżenia. Spytał o mój warszawski adres.

– Czy lubi pan otrzymywać kartki z powinszowaniami na święta? – interesował się – bo ja

bardzo. To takie przyjemne.

Nie zachwycała mnie perspektywa otrzymywania kiczowatych pocztówek, ale jakżebym mógł go urazić. Moja ciekawość Millera, jak ją sam nazywałem, opadała powoli. Cóż, jeszcze jedna z multitudy oglądanych w życiu twarzy i podawanych rąk. W wigilię wyjazdu ciekawość ta doznała jednak świeżego, ostrego bodźca. Był wieczór jak wszystkie poprzednie, Miller stał na swoim zwykłym miejscu, nadszedł warszawski pociąg. Jak co dzień przewalił się tłum pasażerów w kierunku przejść do miasta. Wracalem z rękami w kieszeniach z miejsca postoju wagonu pocztowego, który, jak wiadomo, umieszczony jest zawsze tuż za tendrem lokomotywy. Był to spory kawałek drogi po długim i w tym miejscu odkrytym peronie. Mżył lekki kapuśniaczek i z przyjemnością myślałem o ciepłym wnętrzu kawiarni, o jaśniejszym kręgu światła, do którego przysuniemy wraz z Millerem stolik z szachownicą, i o filiżance gorącej kawy. Już z daleka zauważyłem jednak zmianę w regule codzienności. Jonathan Miller pochylał się nad chłopcem w wieku lat czternastu najwyżej, którego cała postać wyrażała nędzę, bezradność i opuszczenie. Zbliżałem się powoli, dochodząc aż do schodów podziemnego przejścia. Oparłem się o drewnianą poręcz i czekałem, co z tego wyniknie. Miller obejmował chłopca ramieniem i coś mu przedkładał. Przyjrzałem się bliżej chłopcu, dzieliła nas w tej chwili odległość może piętnastu metrów. Moje pierwsze wrażenie nędzy i nieszczęścia ustąpiło znacznie widoczniejszej cwaniakowatości i aktorstwa. Wyrostek był oberwany i brudny, to prawda, wszystko w nim jednak mówiło o jednym z tych małych kozaków, których życie uczyło zdobywczej odporności poprzez nieustanne kopniaki od losu i ludzi. W tej chwili najwidoczniej grał, a nawet zgrywał się wobec pochylonego nad nim Millera. Nigdy bym nie uwierzył w jego miny i płacz, którym markował żal i trwogę. Jego, z trudem powściągane, gesty małego awanturnika wskazywały wyraźnie, gdzie należy szukać zasad życiowych tego potencjalnego złodziejzka. Wojna i ciężkie miesiące powojennego bezhołwia produkowały tysiącami tych przyszłych zdobywców lub bandytów. Problem dzieci bezdomnych, gwardii glinianek i notorycznych włóczęgów kolejowych nie jest ani nowy, ani specjalnie niebezpieczny; od dawna wypracowane są metody rozwiązywania go, a zresztą literatura światowa byłaby uboższa o kilka arcydzieł, gdyby autorzy ich w dzieciństwie nie mieli możliwości zetknięcia się z tym problemem w sposób jak najbardziej osobisty. Ale cóż wspólnego mógł mieć Jonathan Miller z tym małym włóczęgą? Czekałem, kiedy ręka chłopaka poszuka kieszeni płaszczka Millera i zbada jej zawartość, lecz to nie nastąpiło. Natomiast skierowali się razem ku wyjściu. Wyszedłem za nimi z dworca po to, aby zobaczyć, jak znikają w słabo oświetlonej perspektywie ulicy. Dzisiejsza partia szachów, ostatnia partia, była stracona. Siedziałem przeto sam przy kawie i zastanawiałem się nad nową hipotezą, wynikłą z dzisiejszych faktów. Nie wydawała mi się ona prawdopodobna. Wszyscy znani mi dotąd homoseksualiści byli ludźmi wysokiej inteligencji, odznaczali się swoistą fantazją i finezją, a więc cechami będącymi żywym i ciągłym zaprzeczeniem Jonathana Millera. Tak się nie pochyla nad młodym chłopcem homoseksualista. W sylwetce Millera pochylonego i kładącego rękę na ramieniu oberwańca nie było nic z owej quasi-

męskiej, trochę śmiesznej i trochę krępującej kokieterii pederasty. Był to raczej czerwinkorzysty ruch opiekuna i społecznika. Ale skąd w Millerze te instynkty? Nazajutrz przed południem pozałatwiałem wszystkie swoje sprawy zawodowe, zaś po południu spakowałem rzeczy. Było już ciemnowo, jak to na jesieni, i właśnie kończyłem domykanie walizki, gdy ktoś zapukał do drzwi mego pokoju. Wszedł Miller i przywitał się poprawnie. Zdziwiło mnie to w pewnym stopniu, gdyż nasza dworcowo – szachowa znajomość nie posiadała dotąd takich bliższych momentów, konkretyzujących się w odwiedzinach czy jakiegokolwiek bądź innej styczności poza peronem i kawiarnią. W tym też tkwiła jej oryginalność, na zniszczeniu której, tuż przed samym końcem, bynajmniej mi nie zależało. Nie było jednak na to rady i poprosiłem Millera, aby usiadł. Zrobił to grzecznie i powściągliwie, po czym powiedział:

– Wyjeżdża pan.

– Tak – odparłem – wszystko na to wskazuje, co pan tutaj widzi.

Odczekał chwilę, jakby chcąc coś powiedzieć. Nie podtrzymałem rozmowy, pakując drobiazgi do podręcznego neseseru. Korciło mnie, aby spytać o wydarzenia wczorajszego wieczora, lecz była to strefa zakazana naszą milczącą umową.

– Szkoda – odezwał się znów i umilkł.

– Ja też żałuję – pośpieszyłem z rewerencjami. – Zawsze będę bardzo mile wspominał nasze wspólne partie szachów. Pan jest dobrym graczem i miłym partnerem.

– Widzi pan – zaczął i coś się w nim znów zacięło. Po chwili: – Ja mam pana za mądrego i doświadczonego człowieka – wskazał przy tym na małą maszynę do pisania, stojącą na stole, jakby ona była świadectwem mojej mądrości i doświadczenia.

– Bardzo panu dziękuję. Ale... czy mógłbym panu może w czymś pomóc? – zapuściłem delikatną sondę.

– Tak – rzekł powoli – tak. Chociaż, czy ja wiem? Tutaj nie ma mowy o jakiejś pomocy, tu trzeba tylko powiedzieć, czy tak jest dobrze, czy źle lub co się o tym sądzi.

– Aha. Lecz ja się nie czuję uprawniony do słuchania wyznań o charakterze spowiedzi. Czy był pan z tym u księdza? – próbowałem nadać lekki, żartobliwy ton głosowi, chociaż cała dawna ciekawość, obudzona na nowo i ustokrotniona w napięciu, zbiegła się w mych uszach i oczach.

– Byłem – odparł poważnie, biorąc dialogową fintę za dobrą monetę. – U bardzo mądrego, dobrego księdza. Zrozumiał mnie i współczuł. Kazał mi żałować i powiedział, że jeżeli moja skrucha będzie szczerą, to wszystko będzie dobrze. Ale to mało. Żałowałem szczerze i to czyniło moje życie jeszcze bardziej ciężkim.

Było to słuszne i pełne prostoty. Spowiedź bardzo często nosi w sobie niebezpieczeństwo pozbycia się wyrzutów sumienia tanim kosztem. Poczułem do Millera nagły przypływ sympatii, co jednak nie przeszkadzało temu, że byłem wręcz zakłopotany i nie wiedziałem kompletnie, co powiedzieć. Wybrałem najbrutalniejszą metodę.

– Ktoś do pana przyjechał wczoraj. Czy jakiś krewny? – spytałem, łamiąc za jednym zamachem wszelkie nasze konwencje i milczące umowy. Według dotychczasowej praktyki

Miller powinien byłby się zmarszczyć i pominąć to milczeniem. Stało się jednak inaczej. Twarz mu się rozjaśniła i podchwycił natychmiast:

– Nie, żaden krewny. Wie pan – okradł mnie.

– Nie stanowi to dla mnie żadnej rewelacji, o ile ja się znam na tej kategorii chłopców. Natomiast pana zadowolenie z tego faktu jest w równej mierze nieoczekiwane, jak interesujące.

– To przecież dobrze, że mnie okradł. Zresztą wziął niewiele, zaledwie stare żelazko elektryczne i ćwiartkę boczku. Inni brali więcej.

– Znaczą się, że już pana i inni okradali?

– Aha, kilku było takich. Ale jeszcze inni byli bardzo porządni. Z tymi jest gorzej. Zawsze się czuję bardzo niewyraźnie z takimi. Moja matka woli, jak nie kradną, ale ona o niczym nie wie. Uważa mnie za rodzaj dobrego misjonarza i bardzo się tym chwali w gronie swoich kumoszek.

– Jonathanie Miller – powiedziałem – lubię wymawiać pańskie imię, więc niech pan tego nie bierze za okrzyk wzruszenia, ale rzecz muszę, że nic z tego wszystkiego nie rozumiem. Jak panu wiadomo, dziś jadę, nie mam jednak jeszcze biletu i muszę zanieść walizkę na dworzec. Proszę mnie odprowadzić, a trudno sobie wymarzyć lepsze miejsce do rozmowy niż nasz niezastąpiony dworzec.

– Chętnie – zgodził się i niebawem opuściliśmy mój hotelowy pokój, w którym wszystko odpychało tak, jak te same rzeczy odpychają w innych małych, prowincjonalnych hotelach na całym świecie.

Osuła nas rzadka mgła dżdżu i atmosfera wieczoru w średnim przemysłowym mieście. W średnim, a nie dużym czy małym, bo każde z tych rodzajów posiada swoją atmosferę. Szliśmy słabo oświetloną ulicą, wzdłuż nie kończących się murów i płotów fabrycznych, zakończonych wystającym żelaziwem, z rozpiętym wzdłuż drutem kolczastym.

Gdzieniedzie pstrzyły się brudne plamy afiszów w chybotliwym świetle rzadkich latarni. Hałdy węgla i koks sterczały stożkowato ponad murami i płotami, raczej wyczuwalne niż widoczne w ciemnościach i mgle. Miller szedł milcząco. Niósł moją maszynę do pisania i małą walizeczkę. Krok miał jakby sprężystszy niż zwykle. Gdy spojrzałem z boku na jego twarz, znalazłem na niej wyraz natężonego namysłu, jakby trawienie jakichś myśli. W pewnej chwili zatrzymał się i zwrócił do mnie przodem.

– Jak pan myśli – rzekł – na takiej ulicy i w taką pogodę można zrobić jakieś świństwo, prawda, co?

Nie był to ten sam Miller, którego dotąd znałem. Pocziwy przeciętniak zmienił się w jakiś konduktor naładowany niespokojną energią. Poczuliśmy nieswojo przez ułamek sekundy, lecz minęło to zaraz. W jego głosie nie było ani goryczy, ani brawury. Było raczej cierpienie.

– Można – mruknąłem rozgrzeszając i poszliśmy dalej.

Dworzec był pusty o tej porze. Wykupiłem bilet i przenieśliśmy bagaż na peron. Nie było zimno. Chodziliśmy tam i z powrotem po peronie, tkwiąc w postawionych kołnierzach deszczowych płaszczów. Od czasu do czasu nurkowaliśmy w mleczną parę podstawianych

lokomotyw. Stukot zmienianych wagonów i inne odgłosy stacji kolejowej stanowiły najlepszy akompaniament dla słów Millera. Chwilami traciliśmy z oczu nasze twarze. Głosy nasze brzmiały jak z dalekich odległości, wspierane echem. Wszystko to czyniło z rozmowy tej dwugłos dwojga ludzi, którzy się wzajemnie szukają wśród ciemności. Z mgły, dżdżu i pary padło pytanie:

– Czy ja wyglądam na drania?

– Zadaje pan bezkompromisowe pytanie, Jonathanie Miller – odparłem po dłuższej chwili. – Myślę, że w każdym człowieku tkwi kawałek drania, a w najlepszych tylko promile. Ale te są. Wartość człowieka polega jednak nie na tym, ile gramów, czy milimetrów draństwa ma w sobie, lecz w jakim stopniu potrafi uniknąć czynienia draństw innym. Zaś przy ocenie na oko zachodzą często największe nieporozumienia. Tu trzeba sprawdzać dokładnie.

– Ja sprawdziłem. Siebie samego. Zupełnie mimowolnie, ale to było okropne.

– Wierzę panu. Takie rzeczy są straszne.

– Nie staram się w żaden sposób usprawiedliwić. Owszem, była kobieta w tej grze. Stąd łatwo o efektowne zrzucanie winy na inne rzeczy, poza samym sobą. Na afekt, zaślepienie, namiętność, słabość. Ale przecież to wszystko, aczkolwiek jest w nas samych, nie stanowi jednak najbardziej wewnętrznego, najgłębiej tkwiącego momentu. To samo mógłbym zrobić z tysiąca innych powodów, bo to tkwiło po prostu we mnie. Do dziś boję się tylko tego nieoczekiwanego i nieprzeczuwanego, co we mnie było i przeze mnie się ujawniło.

– Ma pan rację. Tego się można bać.

– Przed wojną pracowałem we Wrocławiu. Byłem tam na praktyce jako goniec a potem ekspedient w wielkiej firmie wyrobów metalowych. Nie zarabiałem wiele, lecz nie czułem z tego powodu zmartwienia. Wie pan, ja należę do bardzo skromnych ludzi. Zapewne zauważył pan całą moją drobnomieszczańskość i powszedniość i niech się panu nie zdaje, że ja o niej tak samo dobrze nie wiem jak pan. Jako młody człowiek byłem taki sam. Nie miałem wielkich zainteresowań ani wielkich namiętności, ubierałem się skromnie i źle, nie byłem snobem. Przystawałem z małymi ludźmi i nie gnębiły mnie żadne tęsknoty za czymś większym. Byłem nieśmiały, lecz wcale z tego powodu nie cierpiałem. Mój ojciec był organistą w małym, niedalekim mieście, lecz proszę nie czynić z niego w swej wyobraźni jakiegoś zapoznanego talentu i wzniosłej na prowincji duszy. Był zawsze bardzo złym organistą i nie miał nigdy żadnych ambicji artystycznych. Najchętniej przystawał z drobnymi rzemieślnikami i sklepikarzami, lubił zajrzeć do kieliszka i nigdy nie pozbył się kłopotów finansowych. Odziedziczyłem po nim jego mentalność i upodobania. Najlepiej czułem się wśród sąsiadów w tym niedużym mieście. Interesowałem się kuchennymi plotkami i najbardziej bałem się odmian i niespodzianek. Tymczasem życie w wielkim mieście nie pozwala na stanie w miejscu. Albo spycha w dół, albo wynosi do góry, utrzymanie środka rzadko komu się udaje. Mnie wyniosło do góry, nawet, przyznam się panu bez udziału mojej woli. Wiodłem cichy, skromny żywot młodzieńca z pryszczami na twarzy, spędzającego swe niedziele w towarzystwie śpiewaczym, gdy firma, w której pracowałem, wchłonięta została przez wielki koncern metalurgiczny z Nadrenii. Mój szef, awansując, pociągnął mnie za

sobą. Zapisano mnie na kursy buchalterii, po ukończeniu których stałem się wykwalifikowanym kontystą. Nikt nigdy nie twierdził, że jestem zdolny i sprytny, ale wszyscy chwalili moją sumienność, uczciwość i solidność. Okazuje się, że jest pewien odcinek życiowej kariery, który można przeżyć za pomocą tych trzech właściwości. Nie jest on wielki, ale zawsze wystarczał, aby doprowadzić mnie do stanowiska nadbuchaltera i całkiem pokaźnej sumy miesięcznej pensji, co przy moich dwudziestu kilku latach stanowiło niemałe osiągnięcie. Czy byłem z tego powodu szczęśliwy? Bynajmniej. Pieniądze w niespodziewanych ilościach niosą ze sobą szereg skomplikowanych problemów takim ludziom jak ja. Przede wszystkim ściągają nowych znajomych, a nawet przyjaciół. W naszej firmie pełno było owych silnych, zaczepnych młodych ludzi w kolorowych krawatach i pstrych marynarkach, którzy, będąc gorzej ode mnie sytuowani, czuli się nieskończenie ode mnie wyżsi. Wcale nie pragnąłem zmieniać tych ich przekonań, lecz oni, gardząc mną, szukali nieustannie ze mną kontaktu. Oddawałem im palmę pierwszeństwa bez walki, lecz oni, biorąc palmę, chcieli walki i nie omieszkiwali mnie w niej upokarzać. Na każdym kroku piętnowali wszystko, co robiłem i jak wyglądałem, ogłaszając to za brzydkie, głupie, płaskie, nudne. Zgadzałem się z nimi w zupełności, uznawałem ich wyższość, ale pragnąłem tylko tego, co mnie się podobało. Okazało się to niemożliwością, gdyż miałem pieniądze. Gwałtem więc sprzedawali mi swój rodzaj humoru i swoje gusta, modele garniturów i recepty na zabawę. Wszystko to w zamian za drobne pożyczki, jakich musiałem im udzielać w myśl Ogólnej wiary, iż zarabiam o wiele za dużo jak na moje umiejętności wydawania. Płakałem z wściekłości, widząc, jak nikną moje pieniądze za rzeczy, których nie cierpiałem i nie chciałem mieć. Ciągnęli mnie ze sobą na wrzaskliwe mecze piłki nożnej, na których dostawałem bólu głowy i mdłości, albo na przedstawienia teatralne, dla mnie nudne i niezrozumiałe, na których zaśmiewali się z dowcipów, dla mnie w ogóle niedostrzegalnych. Pod ich terrorem kupiłem mały popularny samochód na spłaty, marząc w skrytości, że będę nim co tydzień udawać się do mojej rodziny, będę popijać z sąsiadami niedzielne piwo i grać w kręgle. To były marzenia, w rzeczywistości bowiem musiałem jeździć na modne plaże nad Odrą, na pływalnie, lub na krępujące campingi, na których czułem się źle i byłem powodem ogólnej wesołości. Nie potrafiłem pływać czałkiem ani nie mogłem zmusić się do włożenia szortów, moja skóra nie znosiła opalenizny, zaś mocny alkohol i dziewczęta w nikłych kostiumach kąpielowych zdawały mi się zaprzeczeniem wszelkiej radości życia. Kiedyś upiłem się na jakiejś koleżeńskiej wieczorynce. Opowiadano mi nazajutrz, że byłem brutalny i napastowałem obecne dziewczęta. Same kobiety, gdy je następnie spotkałem, dodawały, że czyniłem to bez wdzięku, co było w ich oczach jedyną niewłaściwością. Były one dla mnie odrażające, te wymalowane, szczupłe i silne, wysportowane i bezpośrednio studentki i stenotypistki. Pachniały zawsze tytoniem, wodą kolońską i wysiłkiem w tańcu i nie pociągały mnie wcale. Nabijały się ze mnie niegorzej od mężczyzn, nigdy w oczach ich nie znajdowałem krzty współczucia czy zrozumienia. Tolerowały mnie, gdyż ich przyjaciele liczyli na moją niezawodną zdolność do płacenia rachunków. Zresztą nie zależało mi na ich współczuciu czy sympatii. W duszy i w zmysłach nosiłem ideał tęgiej i miękkiej, zasobnej

w ciało i; grube, spięte warkocze córki piekarza z mojej rodzinnej ulicy. Nazywała się Jadwiga, miała jasne oczy, pełne biodra i policzki, i mleczną cerę. Nie lubiła spacerów ani zbyt natarczywych pieszczot, rozpałała mnie swą biernością i miłości z nią nie mogłem sobie wyobrazić inaczej, jak tylko w ciemnym, dusznym, ciasnym od sprzętów pokoju, w wielkim, pełnym kraciastych pierzyn i poduch łóżku. Jeździłem do niej często, mieliśmy się pobrać niebawem. Myśl o nocy poślubnej, w czasie której spełnią się, w sposób zgodny z moimi przewidywaniami, wszystkie ukradkowe i niekompletne dotąd pieszczoty, burzyła mi krew w żyłach i pozwalała lżej znosić moje wrocławskie otoczenie. Był to mój tajny rewanż w stosunku do tych spodziewających się, że stanowią dla mnie niedościgły wzór, i czerpiący z tego przekonania dobre samopoczucie oraz pożyczki. Ja też nimi na swój sposób gardziłem, tak jak gardzi się barbarzyńcami, dla których obcą jest i na zawsze obcą pozostanie prawdziwa rozkosz i szczęście.

Jonathan Miller przestał mówić, przystanął i zapalił papierosa. We mgle zamigotał przytłumiony, jakby owinięty ognik zapalki. Stałem zdumiony i zaskoczony, niemal z rozwartymi ustami, w swym przeogromnym zdumieniu. Ta elokwencja i wnikliwość, te krótkie, świetne charakterystyki i sformułowania, ta umiejętność obserwacji, analizy i wypowiedzi – wszystko to stanowiło dla mnie prawdziwy szok. Skromny, niepozorny, szary Jonathan Miller okazywał się, raz jeszcze w mych życiowych doświadczeniach, wspaniałym dowodem wszystkiego nieprzewidzianego i niewymiernego w człowieku. Ogieniek zapalki nabierał znaczenia symbolu. Czyż nie jest prawdą, że w ręku każdego z ludzi migoce stłumiony, otulony mgłą, ledwie dla nas widoczny płomyk, który zbliżony do tkwiącego w ustach papierosa oświetla właściwe rysy twarzy? Czyż nie jest prawdą, że mgła niewiedzy i dżdżu obojętności zamazuje najczęściej w naszych oczach poszczególne postacie ludzkie, z których każda jest przecież człowiekiem, potrafiącym mówić o sobie samym słowa mądre, dojrzałe, frapujące? Spojrzałem nerwowo na zegarek; pozostawały jeszcze niemal dwie godziny do odejścia pociągu. „Aby tylko zdażył wszystko powiedzieć – pomyślałem – w przeciwnym razie będę musiał odłożyć wyjazd do jutra”. Miller ruszył z miejsca i znów weszliśmy w równy rytm kroków dwóch zarysowanych we mgle konturów, płynących przez peron śląskiego dworca jak przez Pola Elizejskie. Zresztą rozmawialiśmy językiem naszej epoki o rzeczach, o których rozprawia się na tychże polach od zarania wieków. Miller mówił: – Nie danym mi jednak było zaznać koniugalnego szczęścia z Jadwigą, które wydawało mi się szczęściem jedynym. Okazało się, że istnieje inne szczęście i inna rozkosz, nagła, gwałtowna, migawkowa, niespodziewana, zżerająca i niszcząca człowieka, łamiąca najbardziej rozpaczliwe wysiłki, na jakie zdobywa się on, gdy czuje, że tonie w lepkim, dławiącym, a dziwnie przyjemnym szlamie. Robi się czasem rzeczy, o których sądzi się, że są poniżające i głupie, a jednak nie przestaje się ich robić, dziwiąc się samemu sobie, skąd bierze się owa satysfakcja w doznawaniu tych rzeczy, których nigdy przedtem nie było w naszych myślach ani zamierzeniach. Nie pamiętam już gdzie i kiedy poznałem Urszulę. Mogło to być na meczu czy na dansingu, w kawiarni, lub na urodzinach, u znajomych. Nie zwróciłem na nią żadnej uwagi, była jedną z wielu podobnych, niczym od nich się nie

różniącą. Tak samo lubiła wódkę i dzikie, jęczące melodie taneczne, tak samo była wątpa i mocna zarazem i piersi jej rysowały się tak samo wyzywająco pod obcisłym, barwnym pulowerem. Może tylko oczy jej patrzyły na mnie wyraziściej, z ostrzejszą drwiną z początku, i zęby, białe, zdrowe zęby w pełnych, grubo pociągniętych szminką wargach, częściej odślaniały się w ironicznym uśmiechu. Przez długi czas byliśmy znajomymi, kłanialiśmy się sobie na ulicy i spotykaliśmy się przy wspólnych, towarzyskich okazjach. Poza tym ignorowałem ją zupełnie i przysięgam, że nigdy nie prześladowały mnie nocne pragnienia, których Urszula byłaby sennym wyobrażeniem. Ale kiedyś zauważyłem jej baczny, jakby zamysłony wzrok, jakim na mnie patrzyła. Innym razem znaleźliśmy się obok siebie na jakiejś wycieczce. Rozmawialiśmy, nie pamiętam nawet o czym, lecz wiem, że w rozmowie tej nie było żadnych dowcipów lub gry słownej, która jedynie była w stanie wywołać w tym środowisku zainteresowanie lub śmiech. Zacząłem darzyć Urszulę pewną sympatią, z przyjemnością stwierdzałem jej obecność, starałem się być niedaleko niej na plaży i w kawiarni. Ona zaś była coraz bardziej uczynna, Uprzejma i rozsądna. „Gdyby nie ta wypacykowana twarz i pozbawiona wszelkich prawdziwych powabów szczupłość, to kto wie, całkiem – całkiem kobieta”, rozmyślałem o niej w biurze, w czasie pracy; było to jednak raczej notowaniem wrażeń niż konkretnym zainteresowaniem. Aż kiedyś spotkaliśmy się na urodzinach jednego z naszych wspólnych znajomych. W małym, jednopokojowym kawalerskim mieszkanku przestrzeń wypełniona była po sufit roześmianymi twarzami dziewcząt, dymem z papierosów, zapachem alkoholu, mężczyznami bez marynarek, opalonymi ramionami obejmujących się w tańcu par i hałaśliwymi dźwiękami jazzu. Przyjmołem to już wtedy jako rzecz normalną, zło konieczne, które musi się stać udziałem każdego samotnego buchaltera, zarabiającego więcej, niż potrafi wydać i zaoszczędzić. Byłem już w takim stanie wzmówionej hipnozy, że uważałem przebywanie w tym środowisku za społeczną konieczność. W dal odpłynęły niedziele w kółku śpiewaczym, a wyjazdy do rodziny stawały się coraz rzadsze. Musiałem chyba znajdować jakieś upodobanie w tym wszystkim, skoro nie zmieniając wyglądu, instynktów i przekonań, ciągnąłem w stronę tych ludzi. Moje wejście z naręczem butelek reńskiego wina wywołało burzę radości i śmiech. Ludzie ci nie zmieniali swego stosunku do mnie, stałem się jednak dla nich, poza moją finansową użytecznością, naturalnym elementem ich rzeczywistości. Szybko też wstawiłem się, zmuszany do licznych, ponad me możliwości, toastów. Nie mógłbym powiedzieć, aby alkohol był mi obcy i wstrętny, ale mam słabą głowę i picie nie sprawia mi specjalnej przyjemności. Tam jednak było czymś tak prostym i koniecznym jak powietrze. Znalazła się przy mnie Urszula, z którą zacząłem tańczyć. Po raz pierwszy tańczenie tych bzdurnych i zawstydzających tang sprawiło mi przyjemność i to bardzo szczególnego rodzaju. Wszystkie dziewczęta, które dotąd ze mną tańczyły, czyniły to w sposób najzupełniej obojętny, nie przestając śmiać się i żartować, trzymając me ramię jak drewniany mebel, narzekając na mą niezręczność lub klepiąc mnie pobłażliwie po plecach. Urszula czyniła to tego wieczoru inaczej, tak jakby sprawiało to jej najżywszą przyjemność. Wtulala się we mnie w sposób, który początkowo wywołał we mnie zażenowane refleksje,

potem zaś zmusił mnie do zrytmizowania mych nieporadnych, płaczących się kroków. Zacząłem naprawdę tańczyć, po raz pierwszy w życiu. Szukałem mym policzkiem jej rozgrzanej zabawą i alkoholem twarzy i przyciskałem mocno jej piersi do swojej. Wśród ogólnych salw śmiechu zrzuciłem marynarkę i zdjąłem mój sztywny, przypinany, niemodny kołnierzyk. Musiałem wyglądać jak pijany zakrystian, lecz wszystkim bardzo to się podobało, mnie zaś najwięcej. Zdało mi się naraz, że jestem nieokiełznanym hulaką, że to jest moja prawdziwa natura, a wszystko dotąd było śmiesznym nieporozumieniem. Piłem wprost z butelki, początkowo bawiłem wszystkich, lecz gdy urodziny poczęły nabierać cech orgii, przestano na mnie zwracać uwagę. Wtedy Urszula wyciągnęła mnie do korytarza, narzuciła mi na plecy marynarkę i niepostrzeżenie wymknęliśmy się z mieszkania. Na dole stał mój tani dwuosobowy samochód. Wsiadliśmy doń, Urszula z pewną obawą ze względu na mój stan, lecz ja, wbrew pozorom, nie czułem w sobie nic z alkoholowej otępiałości, niejasności lub zmęczenia. Przeciwnie, w głowie miałem przejrzysty, wspaniały szum, prowokujący do jakichś nie znanych mi dotąd, niebywałych rzeczy. Jechaliśmy wolno szerokimi ulicami parkowej dzielnicy, jakby płynąc przez pachnące, późnowiosenne powietrze, ciemne i rozbłysłe gwiazdami. Zatrzymałem wóz i czekałem, sam nie wiedząc na co. Poczulem naraz całą postać siedzącej obok dziewczyny, jej nogi, biodra, ramiona, czułem, że przechyliła się ku mnie, obejmuje i wargi jej oklejają moje wargi, rozwierają je swą mięsistą jędrnością i wprawiają cały mój korpus w stan dotąd nawet nie przeczuwanego drżenia. Widziałem takie pocałunki w kinie, lecz śmieszyły mnie tylko swą afektowaną sztucznością. Nie byłem przecież dzieckiem, całowałem koleżanki z chóru kościelnego w mym rodzinnym mieście, w czasie wiosennych i wieczornych odprowadzań do domu. Nie byłem dzieckiem w żadnej mierze, znałem od dawna żądze szybko zaspokajane przez wiejskie dziewczyny do posług. Całowałem przecież nieraz Jadwigę, dzwoniąc zębami o jej zaciśnięte, drobne zęby i walcząc z jej ręką, broniącą mi dostępu do jej miękkich, obfitych piersi. A przecież mimo to pocałunek Urszuli był dla mnie czymś tak rewelacyjnie nowym, niespodziewanym i wstrząsającym, że w pierwszej sekundzie zwątpiłem w jego realność. Gdy z kolei przechyliłem się ku niej, miękko wtulonej w niewygodny fotelik przy kierownicy, gdy poczułem jej świadomą bezbronność, głębiej jej pocałunku, jej twarde piersi w mej dłoni, wąski pasek ciała pomiędzy końcem pończochy a podciągniętą przy siadaniu spódnicą – wszystko to dawane z krańcową świadomością i poszukiwaniem rewanzu, a nie przez bierność i sytuację – odczułem nagły przyrwy strachu. Był to strach przed skalą możliwości, o jakiej nie śniłem, nie czytałem, nikt mi nigdy nie powiedział. Zrozumiałem w błyskawicznym skrócie, że miłość fizyczna może być nie tylko odprężeniem, jak sądziłem dotychczas, lecz czymś daleko potężniejszym i pochłaniającym, co zmusza do szukania i powoduje rozkosz, dla której słowa: zadowolenie i uspokojenie są pustym, bezwartościowym dźwiękiem. Kto wie, czy nie byłbym szczęśliwszy, gdybym tego nigdy nie poznał i nie doszedł, jak nie wiedzą i nie dochodzą tego miliony ludzi mego pokroju i typu. Ale stało się, poznałem, i wymazać tego nie było można. Bardzo szybko znalazłem się u kresu, lecz całowałem nadal, bez wytchnienia, z zapamiętałą pasją neofity, aż do momentu, gdy spokojne, jasne

oczy Urszuli spojrzały na mnie z pobłażliwą sympatią. „Wytrzymaj sobie usta – powiedziała i roześmiała się – masz całą twarz umazaną szminką. I odwieź mnie wreszcie do domu. Już późno”. Zawiozłem ją więc, wyczerpany, oszołomiony i chyba szczęśliwy. Mieszkała w odrapanej kamienicy w całkiem biednej dzielnicy wielkowiejskich slumsów. Gdy zatrzymałem wóz i chciałem ją objąć, powiedziała krótko: „Nie wygłupiaj się. Dostyc na dzisiaj – a za chwilę dodała: – Jutro jest niedziela. Jeśli nie masz żadnych planów, możemy się wybrać za miasto”. Oczywiście, że nie miałem żadnych planów. Jakże zresztą mogłem mieć plany? Jadwiga, rodzina, koło śpiewacze – wszystko rozsypało się naraz jak zręcznie zbite kręgle. Byłem wściekły na siebie, że to ona, a nie ja, przypomniała niedzielę. To było przecież jasne i nieodwracalne jak słońce na niebie, że pojedziemy w niedzielę razem za miasto.

Nazajutrz leżeliśmy więc na trawie nad brzegiem Odry, o kilkadziesiąt kilometrów od Wrocławia. Na szczęście przywiozłem teczkę pełną kanapek z jajkiem i wędliną oraz kilka butelek piwa. Urszula nie zabrała ze sobą nic oprócz kostiumu kąpielowego i książki. Chciałem zaśpiewać jej znaną i prostą piosenkę Schuberta o maju i wiosnie. Wszyscy w domu i wśród mych dawnych znajomych mówili, że śpiewam ją wyjątkowo ładnie. Po pierwszej zwrotce Urszula rzekła, abym przestał i nie był śmieszny. Poszła się przebrać w kostium i wskoczyła do wody. Nie miałem innej rady i zrobiłem to samo. Woda była strasznie zimna, Urszula odpływała daleko, wracała i zaśmiewała się z mego sposobu pływania, który nazywała stylem archaicznym. Wyszliśmy na brzeg, zziębnięci i zmęczeni i rzuciliśmy się na jedzenie. Jak dotąd nie było mowy o pocałunkach i pieściznach. Moje nieśmiałe usiłowania zamierały w zarodku, byłem bezradny, nie wiedziałem wręcz, jak przystąpić do tego, czego pragnąłem najbardziej. Po jedzeniu Urszula położyła się z książką na słońcu, radząc mi, abym się przespał, skoro nie przywiozłem nic do czytania. Byłem zły i upokorzony, lecz bałem się myśleć o jakiegokolwiek inicjatywie. Widocznie dostrzegła moją osowiałość, gdyż usiadła przy mnie, podciągnęła wysoko kolana pod brodę i zaczęła ze mną rozmowę. Początkowo odpowiadałem machinalnie i bez głębszego zainteresowania. Pieściłem wzrokiem jej smagłe nogi, szczupłe i kształtne, dość wydatne piersi i wąskie biodra. Z czasem zacząłem przysłuchiwać się jej słowom z uwagą. Urszula mówiła o swych studiach. Wiedziałem, że jest zaawansowaną studentką wydziału architektury wrocławskiej politechniki, lecz jej znanstwo i oddanie się tej sztuce, graniczące z fanatyzmem, stanowiło dla mnie ciekawą niespodziankę. Nigdy bym jej nie posądzał o tyle głębi w traktowaniu swych studiów i przyszłego zawodu, przynajmniej to, co dotąd obserwowałem w jej zachowaniu i rozrywkach, nic na ową głębię nie wskazywało. Teraz odsłaniała przede mną, ze znajomością rzeczy, bogaty i skomplikowany świat linii, fasad, budynków, gmachów, przepajała mnie swym gorącym zainteresowaniem dla tych spraw. Bezwiednie przeszliśmy na tematy bardziej osobiste. Urszula opowiadała mi o swym życiu. Była córką artysty-malarza, pijaka i utracjusza, pozbawionego większego talentu i wszelkich skrupułów. Ojciec nie interesował się nią wcale albo w bardzo małym stopniu, matkę straciła w dzieciństwie. Wychowywała się u ciotki pod Wrocławiem w oschłym średniokupieckim środowisku,

przesiąkłym zdawkowym protestantyzmem. Wujostwo kochali ją na swój sposób, ona zaś, poza przyzwyczajeniem i rodzajem przywiązania, niczym nie mogła im się zrewanżować. Ojca kochała mimo wszystko. Zjawiał się raz na kilka lat w rodzinnym Wrocławiu, wprawiał w zgorzszone osłupienie ciotkę i jej męża, córkę zaś przejmował ciągłą tęsknotą za swą kolorową, cygańsko-artystyczną fantazją. Gdy ukończyła szkołę, nastąpiło zerwanie stosunków z domem ciotki. Ciotka bowiem i jej handlowo-luterański mąż twierdzili, że jedynym zajęciem dla niezamożnej sieroty płci żeńskiej jest pielęgniarstwo i domagali się zapisania do odpowiedniej szkoły. Urszula oświadczyła im coś nieprzyzwoitego i zdała z odnaczeniem konkursowy egzamin na architekturę. Odtąd klepała ciężką biedę. Bez żadnego fałszywego wstydu opowiadała mi ile razy była w życiu głodna i jak głód potrafi być dojmujący. „Myślisz, że te fatałaszki, kolorowe swetry i szaliki to elegancja? – mówiła z doświadczonego uśmiechem. – Gdzie tam! To tania tandetka, tylko ładna i odpowiednio noszona. My z architektury albo ci z akademii sztuk pięknych, my mamy smykałkę do takich rzeczy, że wyglądają na nas extra-klasa”. Dziwna rzecz, ale nie czułem dla niej współczucia. Nie kojarzyłem nędzy, głodu i trosk z tą kolorową dziewczyną, która stała się dla mnie naraz nie znaną mi dotąd, grzeszną i podniecającą urodą życia. Nędza, troski i głód to były przecież rzeczy znane w moim rodzinnym środowisku, jakże jednak wyglądały inaczej w tej naszej interpretacji. W zasadzie byłem po stronie jej wuja i ciotki, moim zdaniem mieli zupełną rację. Człowiek powinien kontentować się danym, małym i spokojnym, zaś robić to, co wywołuje powszechny szacunek i uznanie. Cóż zaś jest bardziej godnego szacunku i uznania niż zawód pielęgniarstwa? Lecz gdy wyobraziłem sobie Urszulę bez szminki, jako naturalnie bladą, poprawną siostrę szpitalną, wykrzyknąłem: „Mój Boże! Jak to dobrze, że nie zostałeś pielęgniarzką!” W tej samej chwili przelałem się samego siebie. Nadszedł czas powrotu. Byłem zły, rozczarowany i niespokojny. „Jak to się stało? – myślałem gorączkowo – że żadne z mych półsennych przedstawień i marzeń, na jakich spędziłem resztę poprzedniej nocy po powrocie do domu, a których spełnienia byłem pewien, nie zrealizowało się w czasie dzisiejszego campingu?” Wsiedliśmy do auta. Przed zapuszczeniem motoru próbowałem ją niezręcznie pocałować. Była to daremna, zawstydzająca, nieporadna próba. Nie bronila się, lecz nic w niej nie było z przyzwolenia, a co gorsza – zainteresowania taką ewentualną czynnością. Wycucie śmieszności i wyraźna, znudzona dezaprobatą z jej strony torpedowały jakąkolwiek akcję. Zrezygnowany ruszyłem przed siebie. W kilkanaście minut potem mijaliśmy przydrożną gospodę, rodzaj turystycznego hoteliku, zwykłego przy wielkich szosach. „Może byśmy tu zjedli kolację – zaproponowała z nagłym ożywieniem Urszula – taka jestem głodna!” Zbliżała się ósma godzina. W pustej salce jadalnej usiedliśmy do parówek i piwa. Był to najprzyjemniejszy posiłek w moim życiu. Urszula była czarująca, mówiła tysiące mądrych i niemądrych, ale zawsze ciekawych rzeczy. Interesowała się każdym moim ruchem. Zachowywała się swobodnie i godnie zarazem, jak młoda, rozbawiona dama. Wtedy też uświadomiłem sobie w całej pełni jej urodę, z dumą przypatrywałem się jej wielkim, szarym oczom w szczupłej, smagłej twarzy, jej długim palcom o wąskich paznokciach, które manewrowały szybko

i trochę zachłannie widelcem i nożem, jej smukłym przegubom i fali opadających na oczy, ciemnobrązowych włosów. Doznawałem dziwnej, jedynej w swoim rodzaju satysfakcji plebejusza, służącego wielkiej pani, niewolnika i zdobywcy zarazem. Na myśl, że te palce i ramiona obejmowały mnie wczoraj i pieściły, radość ściskała mi gardło. Czuję się jak bohater kinowego romansu o pani i jej lokaju kochanku, w kinowej, nieprawdopodobnej sytuacji. Po kolacji Urszula powiedziała tym samym co przez cały czas tonem: „A może zostaniemy tu na noc?” – „Jak to?” – nie zrozumiałem w pierwszej chwili. „Po prostu – dorzuciła – prześpimy się tutaj i wrócimy rano do Wrocławia. Odwieziesz mnie prosto na politechnikę, pojedziesz się ogolić, a potem do biura. Aha, temu tutaj gospodarzowi powiesz, że jesteśmy małżeństwem. W podobnych hotelikach nie sprawdzają dokumentów. Mają do licha takich klientów jak my”. Formalności z gospodarzem załatwiłem jak we śnie. W tym samym odrętwieniu wszedłem za Urszulą na górę. Był tam nieduży pokój, w którym stało szerokie drewniane łóżko. Usiadłem na krześle, nie wiedząc co czynić. Urszula rozebrała się szybko i wskoczyła pod kołdrę jak zziębnięta, rozbawiona dziewczynka. „Na co czekasz? – rzuciła spod kołdry – gaś światło i chodź. Nie będziesz przecież siedział całą noc na krześle, ty głuptasie”. To, co tej nocy przeżyłem, było dla mnie objawieniem nowego świata pojęć i doznań; czytywałem nieraz popularne powieści o rozmaitych cesarskich oficerach huzarów, tych arystokratycznych nierobach i nicponiach, którzy zabijali z miłości swe kochanki i popełniali sami samobójstwa. Uważałem to za bzdury, zaś postępowanie takie za najzupełniej nierealne. Moje doświadczenie w zdobywanej dotąd rozkoszy, a nawet to, czego najoptimistyczniej w przyływach najbogatszej fantazji spodziewałem się od Jadwigi, nie pozwalało mi na zestawienie tych spraw z potężnym, przerażającym zagadnieniem śmierci. Można umierać lub zabijać na wojnie, owszem, tego mnie nauczono i stanowiło to dla mnie prawo moralne, wiara w mniejszym już stopniu obowiązywała do takich rozwiązań ostatecznych, lecz zabijanie lub umieranie z miłości czy rozkoszy wydawało mi się czystym nonsensem, niepoważną, nieistniejącą fanfaronadą. Gdy po bezsennej nocy leżałem nad ranem obok stulonej, wyczerpanej, drzemiącej Urszuli, pojąłem naraz sens owych sensacyjnych plotek na ten temat. Z całą moją przyziemną trzeźwością i rozsądkiem zrozumiałem od razu, że od tej nocy będę posłusznym niewolnikiem tej dziewczyny. Jasno dostrzegałem, do czego może to doprowadzić, lecz wiedziałem także, że nie znajdę w sobie sił zdolnych przeciwstawić się namiętności. Namiętność było to pojęcie, które uważałem dotąd za wymysł papierowych ludzi z książek, ludzi nie znających prawdziwych kłopotów, półwariatów, dla których nie istniały problemy codziennego życia. Namiętność wiodła ze sobą zazdrość i upadek, zaś upadek był dla mnie, syna organisty, jedynie konsekwencją grzechu, lub w najgorszym razie – niepowodzenia w interesach. Zazdrość? Ta już była we mnie. Przypomniałem sobie opinię Urszuli o „podobnych hotelikach”. Skąd ona o tym wiedziała? Czy bywała już w podobnych hotelikach z innymi? I ile razy? Zbudziłem ją natrętnym pocałunkiem. Oddała go sennie i leniwie, lecz bez ociągania się. Znów była gotowa do objawiania mi nowych, niepojętych cudów, ta niez mordowana mistrzyni. „Słuchaj – szepnąłem – czy ty mnie kochasz?” „Zwariowałeś – odparła przytomnym pełnym głosem –

skąd ci to przyszło do głowy? A zresztą ty mnie także nie kochasz, mówię ci, zapamiętaj to sobie. Nigdy nie możesz i nie będziesz mnie kochać. Miłość to zupełnie coś innego”. Skończyło się nowym, gwałtownym uściskiem, w którym były nowe objawienia i już akcenty rozpaczy.

Wróciliśmy do Wrocławia. Odwiozłem Urszulę na politechnikę i udałem się natychmiast do wielkiego magazynu konfekcyjnego, gdzie kupiłem wzorzystą, luźną marynarkę i krawat w oślepiających kolorach, taki, jaki nosili moi mężczyźni znajomi. W biurze powitano mnie z pełnym ironii uznaniem. „Cóż, cywilizujesz się – rzekł najbardziej światowy z naszych młodych urzędników, który winien był mi całkiem przyzwoitą sumę – ale dla – czegoś z tego powodu tak zbladł?” Czułem w sobie przepyszne, radosne zmęczenie i pełne zadowolenie z nowych elementów mego zewnętrznego wyglądu. Natomiast Urszula powiedziała wieczorem: „Jesteś skończonym idiotą. Zrzuć z siebie te łachy. Wyglądasz w nich, jak bezrobotny kłown. Wolę cię stokrotnie w twym dawnym ubraniu. To nic, że przypominasz w nim stolarza na niedzielnej wizycie u szwagra, ale za to masz swój własny styl. A styl to bardzo wiele”. Wróciłem więc do dawnej skóry, aczkolwiek było to silnym ciosem w świeżo zakwitłe ambicje. Wylaniały się przede mną inne, daleko groźniejsze problemy.

Odnajmowałem wtenczas pokój w mieszkaniu pewnej bogatej bogobojnej wdowy, dla której byłem uosobieniem wszystkich chrześcijańskich cnót męskich i kawalerskich. Jej piętnastoletnia córka rumieniała się, gdy wychodziłem z ubikacji. Przez dwa lata nie odwiedzał mnie nikt, zaś co rano otrzymywałem identycznie takie samo śniadanie na serwetce ozdobionej wyhaftowaną maksymą: „Wstrzemięźliwość i cnota – to radość i ochota”. Moja gospodyni uważała mnie za wzór sublokatora. Skutki, jakie mogłaby wywołać wizyta Urszuli w moim pokoju, równałyby się rewolucji i trzęsieniu ziemi na raz. Decyzję na taką wizytę powziąłbym chyba tylko w przypiływie najbardziej desperackiej odwagi. Ale co robić? Urszula mieszkała wraz z dwiema koleżankami w ciasnym, niewygodnym pokoiku przy jakiejś niezamożnej rodzinie. Tymczasem już po dwóch dniach doszedłem do wniosku, że jeśli nie dostanę od niej drugiej takiej nocy, to zwariuję w trybie nagłym i nieodwołalnym. Przy pracy popełniałem straszliwe, brzemienne w skutki omyłki. Zachowywałem się jak lunatyk. Na stronicach księgowanych przeze mnie sald, debetów i kont, pokrytych kolumnami liczb, skakały przede mną urojone obrazy i konkretne wspomnienia, w następstwie których arabskie cyfry zaczynały nabierać cech lubieżnych. Najdziwniejsze skojarzenia wywoływały ósemka, szóstka i dziewiątka. Wieczorami, gdy umawiałem się z Urszulą w kawiarni, na godzinę przed oznaczoną porą oczekiwałem już przed kawiarnią. Ponieważ spóźniała się zazwyczaj o pół godziny, oznaczało to dla mnie pięć tysięcy czterysta sekund wypatrywania jej postaci wśród ulicznego tłumu. 5400 sekund rozpaczy, niepewności i zwątpienia. Albowiem niczego nie mogłem być pewny, wszystko wisiało pomiędzy księżycem a moją osobą na ziemi, w kosmosie przyjacielskiej obojętności, z jaką odnosiła się do mnie w ciągu tych dni Urszula. Nie mogłem tego pojąć, wydawało mi się, że to, co przeżyliśmy, łączyło raz na zawsze nas dwoje na śmierć i życie, lecz Urszula najwidoczniej nie była tego samego zdania. Całym swoim zachowaniem jakby ignorowała to,

co pomiędzy nami zaszło. Pod koniec tygodnia zdecydowałem się na rewolucję i trzęsienie ziemi. Zaprosiłem Urszulę do siebie, dodając z błagalną prośbą, że najtrudniejszą rzeczą będzie prześliznąć się przez korytarz, w moim zaś pokoju, jeśli będziemy się odpowiednio cicho zachowywać, nie będzie już żadnych powodów do obaw. Urszula spojrzała na mnie z ironią. „Mój drogi – powiedziała – nie mam zwyczaju odwiedzania mężczyzn potajemnie. Jeśli masz mieć z tego powodu nieprzyjemności, to doprawdy, skórka nie warta wyprawki”. Czułem, jak słowa te zwalają całe gmachy marzeń o rozkoszach raj, snuty przez mnie przez ostatnie kilka nocy. W przypiływie rozpaczy, powodowany raczej intuicją niż wiedzą, zaproponowałem hotel. „To mnie nie znasz – odparła zimno – ja nie jestem z tych, co załatwiają te sprawy w hotelach. A już w żadnym wypadku z tobą. Zresztą w piątek wyjeżdżam na trzy dni z całym klubem w góry”.

To był cios ślepy i bezsensowny. Przez sobotę i niedzielę leżałem bez przerwy na swym łóżku, wypalając nieskończoną ilość papierosów, bez chwili snu przez dwa dni i dwie noce. Myślałem i cierpiałem, zaś im jaśniej i skuteczniej myślałem, tym więcej cierpiałem. Uświadomiłem sobie, że jestem w mocy niezrozumiałych dla mnie potęg, ciemnych i groźnych, dla których nie istnieją prawa logiki i ładu i które oddalone są o całe lata świetlne od tego, co rozumiałem przez słowo „miłość”. Milion razy zadawałem sobie pytanie, jaka była moralna różnica pomiędzy podmiejskim hotelikiem, w którym przeżyłem rzeczy z pogranicza snu i rzeczywistości, a każdym innym hotelem, i milion razy nie znajdowałem odpowiedzi. Gryzła mnie dręcząca, bezsilna zazdrość. Na zewnątrz świeciło słońce, słychać było przyjemny gwar wiosennej niedzieli, ja zaś leżałem nie ogolony w łóżku i tży spływały mi po nieruchomych policzkach na myśl o tej bandzie wesołych i zdrowych drabów z klubu sportowego, którzy w tej chwili oglądają bez krzty nabożnej czci gołe nogi Urszuli w szortach i ocierają się o jej okryte lekką bluzką piersi. Dlaczego słowem nawet nie dała do zrozumienia, że interesuje ją, co ja będę tej niedzieli robić? Dlaczego nawet najmniej obowiązująca propozycja wspólnej jazdy nie wyszła z jej ust? Jedyłą odpowiedzią było zaniepokojone krzątanie się mojej gospodyni, która nie mogła zrozumieć nic z mego zachowania i już dwukrotnie pytała, czy nie jestem chory.

W poniedziałek powlokłem się do biura jak człowiek naprawdę ciężko chory. Ledwie usiadłem przy biurku, zadzwieczętał telefon. W słuchawce wibrował głęboki, uprzejmie rozbawiony głos Urszuli. Wszystko dokoła, ludzie, sprzęty, powietrze, przegrupowało się w mych oczach jak w kalejdoskopie; ponura, czarna kombinacja szkiełek zmieniła się z chrzęstem w jasną, barwną i radosną. Urszula pytała, jak bawiłem się w niedzielę, ta czarownica, po czym oświadczyła, że ma mi coś ważnego do powiedzenia i spytała, czy mogę zwolnić się z biura. W kilka minut potem byłem na oznaczonym miejscu. Opaliła się przez te trzy dni i nosiła jakąś nową, ładną sukienkę. „Źle wyglądasz – powiedziała, lecz nie interesowała się bliżej, jak spędziłem czas – wiesz, myślałam o tobie i zdaje się, że coś wymyśliłam”. Po czym poinformowała mnie, że muszę zmienić mieszkanie i że ona już coś dla mnie ma. Było to najzupełniej nieoczekiwane, a przecież tak cudownie proste. Sam nigdy bym na to nie wpadł. Zgodziłem się też bez wahania. Urszula zaprowadziła mnie do

jednego z tych wielkich, nowoczesnych domów w najnowszej dzielnicy, gdzie na siódmym piętrze obejrzałem mały, wytworny apartamencik, złożony z miniaturowego hallu, jasnego, współcześnie uformowanego pokoju z łazienką i rodzajem balkonu. Czułem się tu jak szewc w chemicznym laboratorium; wszystko to było ciekawe, nawet ładne, ale straszliwie obce. Komorne wynosiło sumę piętnastokrotnie wyższą od tej, jaką płaciłem za swój kawalerski pokój przy rodzinie. Cóż miałem robić? Wynająłem. Jeszcze tego samego dnia wymówiłem mojej gospodyni, która patrzyła na mnie z pełnym wyrzutem smutkiem. Czułem się jak renegat. Z głębi walizki, z pokładów bielizny, wyciągnąłem swoją książeczkę oszczędnościową. Posiadałem sporo zaoszczędzonych pieniędzy, przeznaczonych na ślub z Jadwigą i inne inwestycje. W przyszłości planowałem kupno niezłe prosperującego sklepu kolonialnego w moim mieście. Dotąd suma ta zwiększała się nieustannie, teraz, po raz pierwszy, miałem ją naruszyć. Kupiłem żelazne, składane łóżko, stół, kilka krzesel. Nazajutrz byłem już na nowym mieszkaniu, a wieczorem przyszła Urszula. „To straszne – powiedziała na wstępie – te ohydne sprzęty. Ale nic. Ja to zmienię”. Noc, która nastąpiła, przeszła wszelkie moje wyobrażenia i przeczucia. Byłem małym, głupim zagubionym w błogosławionych ciemnościach uczniakiem, któremu odsłaniano wielkie tajemnice życia. Byłem gotów oddać wszystko, swą duszę, swe siły i ostatni grosz z oszczędnościowej książeczki za trwanie tej wspaniałej nauki. Rano Urszula oświadczyła: „Właściwie nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy mieszkać oddzielnie. Jestem teraz kompletnie bez forsy i zastanawiałam się nawet nad koniecznością przerwania studiów. Zjawiłeś się w samą porę”. Byłem już innym człowiekiem. Przed dziesięciu dniami sytuacja, która teraz wynikła, oraz jej uzasadnienie wydawałyby mi się wstrętne, nikczemne, odpychające i karygodne. Tego ranka uważałem to za cudowne, mało – za jedyne i ożywcze rozwiązanie zagadki bytu. Nastąpiły dwa miesiące, w czasie których liczyły się tylko noce. Dnie były odrętwieniem lub piekłem. Mieszkanie moje zapełniło się sprzętami i ludźmi, których nie cierpiałem i nie rozumiałem. Nienawidziłem kupionych przez Urszulę za moje pieniądze niskich, kokieteryjnych stoliczków i głębokich, klubowych foteli, jedynie szeroki, modny tapczan przemawiał do mnie zrozumiale. Nie znosiłem rozpierających się w fotelach przystojnych chłopców i barwnych dziewcząt w krótkich spódnicach, śmiejących się z najbardziej szanowanych przeze mnie spraw, zaś rozprawiających gwałtownie o rzeczach, które mnie wydawały się śmieszne. Urszula należała do nich, śmiała się z ich dowcipów, pasjonowała się ich sprawami. Dla mnie była antypatyczna i niegospodarna, drażniły mnie jej maniery i poglądy, wszystko zaś, co ja czyniłem, spotykało się z jej pogardliwą obojętnością – Zresztą nie dochodziło między nami nigdy do żadnych scysji. Bałem się jej i słuchałem we wszystkim, wiedziała też o tym dobrze i nie nadużywała swej władzy. Byłem jej doskonale obojętny. Ja też doszedłem w końcu do wniosku, że o miłości z mojej strony nie było mowy. Była tylko ogromna, pochłaniająca namiętność, mój życiowy horyzont kończył się bez reszty na piersiach i biodrach tej dziewczyny. Czasem przychodziły refleksje bolesne, lecz nigdy nie buntownicze.

Natomiast sytuacja finansowa pogarszała się w sposób stały i znamieny. Urszula nie

uznawała jadańia w domu, skoro, jak mówiła, można to było wygodniej załatwić. Wygoda ta pochłaniała mnóstwo pieniędzy. Komorne nadwątlało moją pensję, zaś owa tania elegancja Urszuli okazała się mitem, gdy tylko można było zastąpić ją drogą i prawdziwą. Nie przeczę, Urszula potrafiła ubrać się jak skończona dama. Mówiła, że nigdy w życiu nie miała możliwości wykazania swych talentów na tym polu i że teraz nie powinienem jej żałować tych drobnostek. Drobnostki pochłonęły samochód, który z jakiegoś specyficznego powodu Urszula nie uważała za niezbędny, i wstrząsnęły depozytem. Zaczęło przeświecać dno. Moje nowe życie nie pozostało bez wpływu na pracę. Wszyscy wiedzieli o nim, podziwiali moje współczesnienie i życiową przebojowość, ale zarazem skończyły się gratyfikacje i premie za solidność i przykładową pracę, której już nie mogłem z siebie dać, ja, niewolnik zmysłów, jak w zeszytowej powieści. Wydatki zaś rosły nieproporcjonalnie do wpływów. Jednocześnie zaczęła mnie drażnić straszliwa myśl: co będzie, gdy skończą się pieniądze? Kiedyś spróbowałem nieśmiało przeciwstawić się jakimś żądaniom finansowym Urszuli i napomknąłem cicho, że jestem w kłopotach pieniężnych. „Taaak – rzekła Urszula przeciągle i chłodno – tego się nie spodziewałam”. Po czym dodała jakby w zamyśleniu: „A ja przecież muszę skończyć studia...”. Ogarnęło mnie drętwe przerażenie. Nie to było ważne, że skonkretyzowały się me najtajniejsze podejrzenia o istotnym znaczeniu mojej osoby w tym związku, nie to, że brutalnie postawiony zostałem przed brzydota pewnej prawdy o tej dziewczynie, lecz możliwość jej utraty po wyczerpaniu się środków stanowiła dla mnie groźbę śmiertelną. Upadłem tak nisko, że gotów byłem świadomie za to płacić, aby tylko zatrzymać ją przy sobie. Problem zwęził się. Chodziło już tylko o posiadanie pieniędzy, a więc te musiałem zdobywać za wszelką cenę. W kilka dni potem, gdy sobie to dogłębnie uświadomiłem, zjawił się Willy.

Urszula przedstawiła mi go jako swego byłego narzeczonego. „To mój pierwszy naręczony” – powiedziała dokładnie. Nie wnikałem bliżej w określenie, tak jak nigdy nie wiedziałem, ilu tych naręczonych było. Na początek wystarczyło mi, że Willy stanowił moje krańcowe przeciwstawienie i był tym wszystkim, czym dokładnie ja nie byłem. Wysoki, silnie zbudowany, stale uśmiechał się owym miłym, otwartym uśmiechem współczesnych, młodych i zadowolonych z życia chłopców. Był zawodowym piłkarzem o międzynarodowym rozgłosie, ostatnio czołowym zawodnikiem jednego z węgierskich klubów zawodowych. Przyjechał do Wrocławia opromieniony sportową sławą i olśniewający barwnością swych zagranicznych szalików, koszul i kapeluszy. Uśmiechnął się do mnie serdecznie i nie wyczułem w nim bynajmniej wrogości czy chęci odebrania mi mojego szczęścia. Niebezpieczeństwo tkwiło w Urszuli, a nie w Willym, bowiem ani on, ani ja nie zdecydowaliśmy. O wydarzeniach decydowała Urszula.

Jeszcze tego samego dnia, całkiem przypadkowo, podsłuchałem fragment ich rozmowy. „Skąd wytrzasnąłaś takiego?” – pytał Willy głosem, w którym nie było pogardy, lecz rodzaj przyjacielskiej drwiny. „Proszę cię, tylko bez nabijania się – odparła Urszula – on wcale nie jest taki głupi, przynajmniej w pewnych rzeczach. Ma w sobie dużo ciekawej, małomiasteczkowej witalności”. Przelknąłem ślinę z gorzką satysfakcją. Tego samego

wieczora zapłaciłem duży rachunek za kolację powitalną na cześć Willy'ego. Bankructwo zbliżało się nieuchronnie, a wraz z nim sytuacja komplikowała się tragicznie. Następną noc Urszula nie spędziła w domu. Wracała we dnie, nie mówiła nic o tym, gdzie była. Zresztą o nic też nie pytałem. Wiedziałem, jaką odpowiedź, jasną i prostą, bez kłamstw i usprawiedliwień, otrzymam, gdy spytam, więc po co? Po nocach szalałem z tęsknoty. Gdy po kilku dniach wybraliśmy się znów we trójkę na kolację, Willy nie wykazywał w stosunku do mnie żadnego zakłopotania, natomiast wiele uprzejmej życzliwości. Urszula wróciła ze mną. Podejrzywałem głucho, że uczyniła to za namową Willy'ego, i byłem mu nawet trochę wdzięczny. Najprostsze, zaszczerpane mi przez rodzinne środowisko kryteria złego i dobrego rozpadły się we mnie w niepojęty sposób. Odtąd musiałem zdobywać pieniądze na wystawne kolacje, dansingowe szaleństwa i pijaństwa. Musiałem za wszelką cenę, gdyż od czasu do czasu Urszula z najobojętniejszą swobodą oświadczała, że dziś śpi w domu, i wtedy otrzymywałem swoją dawkę narkotyku. Brzydziłem się samego siebie, lecz to nie pomagało nic. Książeczka oszczędnościowa stała się odległym wspomnieniem, zacząłem pożyczać. Wkrótce wyschły wszystkie źródła i możliwości pożyczkowe we Wrocławiu. Wtedy pojechałem do domu.

Przyjęli mnie tam wrogo. Wiedzieli o wszystkim, lecz pomoc czy współczucie mogłoby być ostatnią konsekwencją tej wiedzy. „Jak ty wyglądasz! – krzyknął mój ojciec. – Mieszkasz z jakąś lafiryndą i co się z tobą stało? Jakżeś postąpił z Jadwigą!” Jadwiga – mój Boże, uświadomiłem sobie z całą ostrością, że nie myślałem o niej od niepamiętnych czasów. Wypadła ze mnie przed wiekami i na wieki jak wymazana gumką kreska, pokryta inną, grubą, ołówkową linią. Ale cóż obchodziła mnie Jadwiga i zdanie mojego ojca o moich postępkach? Nie zależało mi na czymś zdaniu, dobrej radzie czy litości, potrzebowałem pieniędzy. Gdy powiedziałem o tym ojcu, zawołał ostro: „Zwariowałaś! My tu żyjemy biednie, lecz w dobrych obyczajach, a ty chcesz pieniędzy na twoje bezeceństwa!...” Nie powiedział: „Idź precz!”, lecz i tak sam sobie poszedłem. Nie mogli mnie zrozumieć i nie miałem o to do nich pretensji. Gorzej, że nie dostałem ani grosza. Trzy godziny do odejścia pociągu włożyłem się w jesiennym deszczu po tym mieście. Wiedziałem, że nie mam po co wracać, nie potrafiłem jednak nie wrócić. Nie marzyłem, nie buntowałem się, nie modliłem, nie usiłowałem upić się, oszołomić, zapomnieć. Nie błagałem Boga o cud uwolnienia mnie z męki, gdyż wiedziałem, że cudów nie ma, tak jak nie miałem w tej chwili pieniędzy. Jasne było dla mnie to, że jedynie ona może mi pomóc, odchodząc ode mnie raz na zawsze. Było to jednak rozwiązanie równe zabójstwu. Poza nim widziałem już tylko czarną, bezkształtną plamę, żadnej przyszłości. Nie wierzyłem w życie i jego możliwości.

W pociągu stanąłem w pustym korytarzu. Stukot kół wybijał w mym mózgu uporczywie „nic-nic-nic... Nie-mam-pieniędzy-nie-mam-pieniędzy...” Dalej nie mogłem sięgnąć myślą. Czuję dreszcze i jakąś wzbierającą we mnie chorobę. Patrzałem tępo na jedyną oprócz mnie osobę w korytarzu. Był to młody, może czternastoletni chłopak, siedzący na małym drewnianym kufierku, typowy syn wiejski, jadący do miasta. Wszystko w nim wskazywało, że podróż ta jest wielką przemianą w jego życiu. Miał na sobie tanie, odświętne ubranie,

ciężkie, toporne, ale nowe buty i czystą, świeżo wypraną, barchanową koszulę w ordynarną kratkę. W ciężko sformowanej, zdrowej, rumianej twarzy tkwił perkaty, niezgrabny nos i małe, twarde oczy. „Na pewno – myślałem – jest to jeden z tych, którego rodzina wysyła do terminu czy do szkoły rzemieślniczej, by zdobywał lepszą przyszłość. Głupie, chłopskie nasienie! Ten tępy prostak spodziewa się, że wytrwałą pracą zdobędzie sobie miejsce w życiu, że zależy to tylko od niego, że wróci pełen wrażeń i pieniędzy do swej wsi, aby spokojnie profitować. Nie wie, co to znaczy wielkie miasto i jego pokusy, ten piekielny młyn obcego środowiska, który zmiążdżył już tylu i zmiążdży i jego”. Pomyślałem sobie, że kilka lat temu musiałem tak samo wyglądać, jadąc tym samym pociągiem w tym samym kierunku i ożywiony tymi samymi nadziejami. I proszę, oto ja dzisiaj, po latach pracy i dorobku... Gdyby mi ktoś wtedy powiedział, co się ze mną stanie, nie mógłbym w ogóle pojąć jego słów, nie znanych memu realnemu światu prostych potrzeb i doznań, światu kawałka chleba z masłem, kubka kawy, twardego łóżka, pieca i prostodusznej moralności. A ten jedzie, jak bezmyślna ćma, w tysiące nieszczęść, których powstawania i rozwoju w sobie samym nawet nie jest w stanie przeczuć.

Chłopiec wyjął z kieszeni jakieś starannie złożone papiery i przez chwilę przeglądał je z uwagą, jakby sprawdzając ich obecność. Złożył je schludnie, z wieśniaczą zapobiegliwością i włożył do kieszeni. Potem wyjął portfel. Musiała to być jego wielka duma i osiągnięcie, ten tani, zwyczajny ceratowy portfel, jaki za grosze nabyć można w każdym straganie pasmanteryjnym, gdyż trzymał go nieledwie czubkami palców, w wielkim poczuciu wagi tego przedmiotu. Z przegródki wystawały końce dwóch banknotów. Były to dwie pięćdziesięciomarkówki, skrupulatnie zgięte i świeże. Wysunął je i przyjrzał im się z widocznym szacunkiem, z miłością nieledwie, tym dwóm kawałkom papieru, oznaczającym w tej chwili dla niego wszystko, teraźniejszość, przyszłość i wstęp do realizacji zamierzeń. Na widok pieniędzy coś się we mnie ocknęło. Refleksje ustąpiły uczuciu. Pieniądze! Sto marek – a więc dwa dni, z grubsza licząc, z Urszulą i z Willym. I być może – dwie noce z Urszulą. Pieniądze za wszelką cenę, tak, muszę je mieć. Uświadomiłem sobie w tej chwili, że jeśli dotąd nie przyszło mi do głowy, aby kraść czy rabować, to tylko dlatego, że byłem słaby, tchórzliwy i nieporadny. Nie czułem się na siłach, aby coś w taki sposób osiągnąć. Tutaj zaś był rzadki wypadek mojej przewagi pod każdym względem. Byłem niewątpliwie silniejszy fizycznie, bardziej doświadczony i śmielszy od tego chłopca, to przecież leżało w naturze rzeczy. Oczywiście, mowy nie mogło być o innym układzie sił, układ ten wykluczał wszelkie ryzyko, ryzyka zaś bałem się zawsze w moim życiu najwięcej. I wtedy przyszła mi do głowy myśl najpodlejsza: jaka przedziwna mądrość rządzi życiem! Przecież zabierając mu te pieniądze robię w gruncie rzeczy dobry uczynek sobie i jemu, działam dla swojego i jego dobra, zmuszając go do powrotu, zawrócenia z drogi, panicznej ucieczki do własnej gleby. Tak, tak, życie jest dobre i mądre, gdy pozwala mamie się własnym sensem. Kiedy dojeżdżaliśmy do Wrocławia, byłem dogłębnie przekonany o swym posłannictwie.

Wyszedłem za nim z dworca. Chłopak szedł wolno, wyraźnie niezdecydowany. Na placu

przed dworcem przystanął. Był widocznie pod wrażeniem wielkomiejskiego ruchu. W siąpiстым deszczu, na mokrej jezdni, wśród wilgotnego, ciemnego, nieprzejrzystego powietrza krzyżowały się reflektory aut, tramwaje, dzwonki, klaksony, tłum ludzki. Chłopiec był zbity z tropu. Stał, rozglądając się niepewnie, mglisty wieczór nie pozwalał na dowierzanie własnemu wzrokowi. Podeszedłem doń szybko i spytałem, dokąd chce iść. Poznał we mnie współpasażera z wagonu, we wzroku jego nie było zaufania, za to była bezradność. Wyjął jakąś kartkę z zapisanym adresem i wymienił ulicę. Powiedziałem, że idziemy w jedną stronę i że go zaprowadzę. Ruszyliśmy z miejsca. Przez kilka minut zadawałem pytania, na które chłopiec odpowiadał lakonicznie i niezręcznie. Nie był gadatliwy. Pochodził z wioski niedalekiej od mego miasta. Do Wrocławia przyjechał na naukę i praktykę w dużych warsztatach ślusarskich. Trafność mych obserwacji i sądów przejęła mnie gorączkową radością. Czułem przy tym, że coś nie jest w porządku z moim sercem i mózgiem, drżałem na całym ciele. Ciemność i mgła pokrywały wszystko. Byłem tak skoncentrowany na mojej najnowszej koncepcji działania i tak przejęty umacnianiem słuszności tego, co miało się stać, że myśl o przyczynie wszystkiego, o Urszuli i nocach z nią, o tych, które były i o tych, na które czekałem, znikła gdzieś niedostrzegalnie. Narastało we mnie coś nowego. Oczywiście, nie szedłem w kierunku pożądanego przez chłopca adresu. Prowadziłem go w długie, słabo oświetlone, fabryczne ulice, rozciągnięte wzdłuż niemych o tej porze zabudowań i gołych, mokrych murów. Nie spotykaliśmy na swej drodze nikogo. W pewnej chwili przystanąłem obok wysokiego drewnianego płotu, w mdłym kręgu zawieszanej wysoko latarni. Dalej ulica ginęła w zupełnym mroku. Chłopiec przystanął również, nie wiedząc, o co chodzi. Złapałem go za marynarkę. „Oddaj pieniądze!” – usłyszałem swój własny głos. W ustach czułem suchą żółć. Oczy chłopca, blisko moich, wyrażały niepojęte zdumienie, dopiero w sekundę potem rozbłyły rozpaczliwym przerażeniem. Zaczął się bronić z dużą siłą krzepkiego wyrostka. Przyparłem go do mokrych desek i z całej siły uderzyłem kilkakrotnie na ślepo, w twarz i brzuch. Skulił się, jęcząc piskliwie. Bijąc, wyszarpnąłem mu portfel z wewnętrznej kieszeni marynarki. „Ty gówniarzu! – krzychałem – wracaj do swojej wsi! Jeszcze mi kiedyś podziękujesz za to, co dla ciebie zrobiłem...” Chłopak wyrwał się z mojego nacisku. Raz jeszcze dostrzegłem jego zapuchłą twarz i małe oczy, ziejące bezsilną, chłopską nienawiścią. We mgle i sykim świetle wyglądał strasznie. Szybko porwał z bruku swój kuferek i zaczął uciekać w stronę, z której przyszliśmy.

Poszedłem prosto przed siebie, w wilgotną czarność. Nie myślałem o niczym, szedłem szybko, nie czułem zmęczenia. Nie wiem, jak długo szedłem zupełnie ciemną ulicą. Wszystkie myśli i uczucia wymiotło ze mnie do czysta. Byłem pusty, kompletnie pusty, jakby wypruto ze mnie całe wnętrze i została tylko najbardziej zewnętrzna powłoka, ciało, skóra, ręce, nogi, ubranie. Przede mną znów zamigotały światła i za chwilę znalazłem się na oświetlonej ulicy. Krok za krokiem zbliżałem się do coraz ludniejszych dzielnic. Przechodnie, samochody, tramwaje, ludzka obecność wokół znaczyła się coraz wyraźniej. Wtedy przyszło pytanie: co ja zrobiłem? – a wraz z nim automatyczna odpowiedź: świństwo. Ohydne,

brudne, niskie świństwo, plugawe draństwo ostatniego rzędu. Wyrządziłem straszliwą krzywdę słabszemu od siebie człowiekowi, zabiłem własnymi rękami jego nadzieje i jego przyszłość, zabrałem mu jego życiową szansę, a co najgorsze – znieprawilem, zdeptałem i obrzuciłem błotem to wszystko, co chłopak ten myślał i widział o świecie i życiu. Dlaczego to uczyniłem? Dlaczego? I tu przyszło wielkie, oczyszczające zdumienie. Nie potrafiłem znaleźć odpowiedzi, dlaczego to zrobiłem. Przecież chyba nie dla Urszuli, tej dziwki, i jej łóżkowego lunaparku? A więc dlaczego? Mój Boże, nie potrafię już znaleźć słów na określenie tego, co się ze mną działo. Wiem tylko, że było coś radosnego w tym bezdennym chaosie i upadku: radosna świadomość małości własnych nieszczęść i pożądań wobec ogromu cudzej krzywdy.

Pobiegłem z powrotem na miejsce pod latarnią, wołałem na głos, jak wariat, oczywiście na próżno. Teraz, po tylu latach rozpamiętywań, rozumiem, dlaczego febrę leczy się chininą, która wzmaga dreszcze i dygotanie chorego. Ten brudny czyn i związana z nim krzywda – to była moja chinina, lecząca konwulsyjnymi drgawkami z dławiącej mnie od miesięcy febry. Jak szalony wpadłem do pierwszego z brzegu komisariatu. Cud, że mnie wtedy nie zatrzymano, musiałem przecież strasznie wyglądać, rozpalony, rozdygotany, mokry. Pytałem, czy nie znaleźli młodego chłopca, który zaginął, mój krewny, kuzyn, brat. Dyżurny policjant patrzył na mnie podejrzliwie, ale pozwolił mi odejść. Pobiegłem do mego mieszkania. Urszuli nie było. Spakowałem swoje rzeczy, rozmontowałem meble tak, aby gotowe były do natychmiastowego wyniesienia. Pracowałem całą noc. Nad ranem umyłem się i poszedłem do owych warsztatów ślusarskich, których adres zapamiętałem. Rozpytywałem o chłopca, jeszcze go tam nie było. Było to ryzykowne, lecz wtedy nie zdawałem sobie dokładnie sprawy z możliwych konsekwencji. Pozostawiłem dlań kopertę z portfelem, pieniędzmi i małą kartkę, na której napisałem: „Przebacz mi”. Było to śmieszne, głupie, melodramatyczne i cikliwe, lecz czyż zna pan człowieka, który nie ma w sobie choć odrobiny śmieszności, głupoty i cikliwego sentymentalizmu? Wróciłem do domu, zaś w pół godziny potem przyszła Urszula. Powiedziałem jej krótko: „Zabieraj swoje rzeczy i wynoś się”. Musiało coś być we mnie, czego dotąd nie znała, a co podziało na nią widocznie, gdyż spojrzała na mnie z podnieceniem i ogromnym zainteresowaniem. Pytała o coś, lecz nie wyrzekłem więcej ani słowa. Spakowała swoje rzeczy do dwóch dużych walizek, gdy się tu zjawiła, miała tylko jedną, małą. Powiedziała, że przyśle po te walizki. Chciała się ze mną pożegnać. Popatrzyłem na nią jak na obcego człowieka i rzekłem: „Do widzenia”. Powiedziała: „Nie spodziewałam się tego po tobie”. W głosie jej nie było żalu czy złości. Był tylko wielki podziw.

W ciągu dwóch dni sprzedałem wszystko. Poprosiłem mego szefa, aby mnie przeniósł do jakiejś małej filii. Poszedł mi na rękę. Rozpocząłem tak zwane nowe życie. Z jedną, zasadniczą zmianą. Od czasu do czasu wychodziłem na dworzec, by patrzeć, co się dzieje z młodymi chłopcami, wychodzącymi samotnie z pociągu. Teraz, po wojnie, gdy tyle jest bezdomnych dzieci i sierot, chodzę codziennie. Wielu takim już pomogłem. Czasami mnie okradają, lecz nie mam za to do nich żalu. Uważam to raczej za rodzaj smutnej

sprawiedliwości.

Mgła przerzedziła się zupełnie, za to padał drobny, rześisty deszcz. W migotliwych kropelkach i lśniąącym gumowym płaszczu Jonathan Miller wyglądał jak świeżo wmyty. Za pięć minut miał nadejść mój pociąg.

– Dlaczego mi to pan wszystko opowiedział? – spytałem z lekka zachrypłym po długim milczeniu głosem.

– To proste – odparł po namyśle – proszę mi powiedzieć, czy uważa pan tę całą historię z Urszulą za grzech niewybaczalny, za jakąś kwalifikującą mnie moralnie podłość?

– Chyba nie – burknąłem – to może się każdemu przytrafić.

– A całą sprawę z chłopcem?... Czy według pana postąpiłem w tym wypadku podle?

– Tak. To było najgorszego gatunku świństwo. Postąpił pan jak ostatnie ludzkie bydło.

– Widzi pan. Wiedziałem, że pan tak odpowie, i na takiej odpowiedzi zależało mi nieskończenie. Ksiądz, któremu spowiadałem się, potępił w równej mierze jedno i drugie. Kazał mi się kajać i żałować za jedno i za drugie w równym stopniu. Ja jednak oddzielałem wyraźnie i czuję się winnym tylko za drugie, jako za konsekwencję pierwszego. Musi być jakaś gradacja świństw w świecie, póki nie jesteśmy jedną, wielką gromadą chodzących, jedzących, śpiących i kochających się ideałów. Kiedyś rozmawiałem z pewnym cnotliwym i bogobojnym protestantem. Opowiedziałem mu tylko o chłopcu, pierwsza część była i tak poza granicami jego rozumienia życia. Powiedział mi, że powinienem złożyć większą sumę na jakiś przytułek dla opuszczonych wyrostków i wtedy osiągnę spokój. Zazdrościłem mu łatwości, z jaką kwitował problem sumienia. Ja chciałem dawać żywą pomoc żywemu człowiekowi, a nie uspokajać się, patrząc na dyplom honorowy za filantropię. Innym razem zwierzyłem się przy wódce pewnemu cynikowi. Oświadczył, że cała sprawa Urszuli to przyjemna słabość z mojej strony, dopiero zabierając chłopcu pieniądze postąpiłem jak prawdziwy mężczyzna. Było to oczywiście idiotyczne i nie do przyjęcia. Szukałem człowieka, który by zrozumiał tę prostą prawdę, że najłatwiejszym, najbardziej bezmyślnym wyjściem jest kłaść znaki równania pomiędzy rzeczami. Że namiętność w swym źle nie równa jest krzywdzie, zaś krzywdy nie sposób wyrównać we własnym sumieniu pieniędzmi. Pan to pojął i dziękuję panu za tę odpowiedź.

– A jednak coś się nie zgadza w pańskim rachunku, Jonathanie Miller. Czy myśli pan, że nie czując urazy ani nie dążąc do ukarania okradających pana chłopców naprawia pan wyrządzoną kiedyś krzywdę? Chyba nie. Jest to jakieś wykrzywione zastosowanie zniekształconej zasady „oko za oko, ząb za ząb” do własnej, źle pojętej pokuty. Wydaje mi się, że przez to nic pan nie naprawia.

– O, nie – uśmiechnął się Miller. – Myślałem o tym wiele. Jest to ciągły trybut dla prawdy, którą kiedyś sam w sobie odkryłem. Przypomina pan sobie: owa radosna świadomość małości własnych pożądań wobec cudzej krzywdy. Doszedłem do wniosku, że jeśli jednemu chłopcu chociaż nie przejdzie przez gardło kęs skradzionego z mojej spiżarni boczką, gdy pomyśli, że może mi wyrządził krzywdę, że postąpił źle płacąc przestępstwem za

życzliwość, wtedy ja naprawdę coś w tym świecie naprawiam. To jest właśnie mój skromny wkład. Bo widzi pan, ja mimo wszystko, co w życiu widziałem, wierzę w świat i ludzi. Wiele widzieć i wiedzieć to niekoniecznie oznacza, że trzeba odrzucić optymizm.

Nadszedł pociąg. Miller pomógł mi wstawić walizki. Pożegnaliśmy się krótko, lecz ciepło, jak dwaj ludzie, którzy wzięli od siebie wszystko, co było do dania i brania. Stałem w oknie pociągu. Wśród tłoczącego się na peronie tłumu tkwił na swym zwykłym miejscu schludny, przeciętny i pospolity Jonathan Miller. Trwał w swej wyzwalającej, optymistycznej ekspiacji.

Warszawa, 1948 r.

Rower, czyli zemsta moralności

Jest to zupełnie nieprawdopodobna historia i gdyby nie fakt, że byłem jej bardzo bezpośrednim świadkiem, nigdy bym sam w nią nie uwierzył. Zaczęła się tak, że szedłem wolnym krokiem przez wielką halę Dworca Głównego w Sztokholmie, gdy podszedł do mnie jakiś zgoła obdarty facet, który rzekł jęklwym głosem:

– Co łaska, litościwa osobo, jeszcze dziś nic w ustach nie miałem... – To mówiąc wyciągnął po datek prawidłowo brudną rękę.

– Panie – rzekłem zdumiony – czy nie pomylił się pan cokolwiek w szerokości i długości geograficznej? Nie mam zwyczaju śnić chodząc, a pan wydaje mi się regularnym, warszawskim żebrakiem, co zarówno ze względu na narodowy charakter pana osoby, jak i na pana zawód, stanowi w Szwecji zjawisko raczej niezwykle.

– Owszem – uśmiechnął się żebrak nieco melancholijnie – toteż rzadko kiedy nagabuję Szwedów. Uważam na cudzoziemców, starając się zwracać do nich w ich rodzinnym języku. Czasami się myślę, ale na ogół robi to doskonale wrażenie. Do pana – tu skłonił się z niejaką wytwornością – miałem szczerą przyjemność zwrócić się w naszym wspólnym języku ojczystym. Gazeta wystająca z pana kieszeni i zaczepny wzrok, jakim obrzuca pan wszystko napotkane na obcym dworcu, powiedziały mi prawdę.

Rzeczywiście, w kieszeni mego płaszcza tkwiła jeszcze warszawska gazeta. Co do wzroku, nie poczułem się dotknięty, gdyż agresywność uchodzi w przekonaniu niemal wszystkich Polaków za zaletę. Natomiast żebrak o refleksyjności wolterowskich bohaterów i gestach światowca zainteresował mnie znakomicie. Był bardzo obdarty, to prawda, lecz w zapuszczeniu tym był pewien styl, jakby całkiem umyślnie pielęgnowany. Nie wydało mi się jednak, aby ta bezsprzeczna dekoracyjność miała być jednym z akcesoriów branżowych; wynikała ona raczej z bezinteresownego przejęcia się rolą, pewnego rodzaju artyzmu, jaki cechuje ludzi wysokiej klasy życiowej we wszystkim, co robią. Facet powiedział sobie widocznie w pewnej chwili „teraz będziemy się trudnić żebraniem przez taki a taki czas”, a więc robi wszystko, aby to mu się nie znudziło. Nie przeczę, warunki także mogły go do tego zmusić, tym niemniej istota założenia pozostaje ta sama.

– Proszę pana – rzekłem, jak mogłem najobojętniej – mam do pociągu około trzech godzin, albowiem przejeżdżam tylko przez Sztokholm. Czy nie zechciałby pan napić się ze mną filiżanki kawy?

– Mój Boże – powiedział z lekką ironią – jestem wzruszony tymi objawami sympatii. Mam nadzieję, że to bynajmniej nie solidarność narodowa powoduje panem w tej chwili.

– Ma pan rację. Po ostatniej wojnie i jej migracyjnych skutkach unikam raczej objawów solidarności narodowej za granicą.

– A czy nie wstydzi się pan usiąść ze mną w kawiarni?

– Mój panie, już sam fakt, że nie dałem panu jałmużny, dowodzi zapewne, iż nie należę do powierzchownych konwencjonalistów. W Warszawie, być może, zastanowiłbym się nad sytuacją. W Sztokholmie, jestem pewien, będą mi tylko zazdrościć oryginalnego

towarzystwa.

– Przekonał mnie pan – rzekł z ponownym, lekkim ukłonem i za chwilę już szliśmy w kierunku Kungsgatan.

W eleganckiej herbaciarni, zgodnie z moimi oczekiwaniami, przywitały nas raczej zaciekawione spojrzenia. Przyjrzałem się w pełnym świetle memu towarzysowi. Mógł liczyć dobrze ponad 30 lat i miał twarz i oczy człowieka, któremu myślenie nie jest rzeczą obcą. Chodziło tylko o gatunek tego myślenia.

– No i cóż? – powiedziałem wyczekująco.

– Oczywiście – odparł, zaciągając się głęboko papierosem – mogłem się tego spodziewać. Ciekawość starego, wytrawnego zbieracza interesujących historii, he? Cóż, ja nie mam nic do ukrywania, przeciwnie, taka kawiarniana spowiedź może mi przynieść ulgę, a może i dobrą radę.

– Wybuch wojny – zaczął – zastał mnie w Gdyni, gdzie stałem na czele pewnego, doskonale prosperującego przedsiębiorstwa. Nie twierdzę, iż przedsiębiorstwo to miało większe znaczenie ekonomiczne niż społeczne, i to społeczne w bardzo określonym kierunku. O nie, bądźmy szczerzy, gospodarczy ciężar gatunkowy mojego interesu był nikły, cóż bowiem może znaczyć mały, czysty i leniwie prowadzony sklepik tytoniowy w skali obrotów wielkiego portu. Nawet fakt, że w sklepie tym można było zawsze otrzymać przemycały z całego świata tytoń, nie stanowił istotnej jego treści. Szmugiel tytoniowy, a więc drobny mankament w stosunku do obowiązujących praw, był niewinną, pełną wdzięku fasadą. Wszyscy wyżsi oficerowie gdyńskiej policji portowej zaopatrywali się w moim sklepie w ukryte pod ladą „Camele” i „Abdullahy”, klepiąc mnie przy tym porozumiewawczo po ramieniu. „Gdybyśmy mieli do czynienia tylko z takimi, jak pan...” – mawiali z pobłażliwym uśmiechem, w chwili gdy ja celebrowałem misterium sprzedaży przemyconej paczki papierosów najgroźniejszym przedstawicielom władzy.

Za sklepem był niewielki, ładnie urządzony pokój, w którym najmilszy mi szczegół stanowiła całkiem zasobna biblioteka. Kochałem te książki, będąc z nimi związany rozlicznymi węzłami. W kartach niektórych z nich kryły się konosamenty ładunków milionowej wartości, przekazy frachtowe, stanowiące fortuny najróżniejszych centrów finansowych Warszawy, Budapesztu, Pragi, Wiednia, routy i punkty odbioru towarów o niewielkiej kubaturze, za to o znaczeniu całożyciowych dorobków. „Des affaires louches” – powie pan, jak mówią we Francji w takich wypadkach. Owszem, ale to nie wszystko. Moje uczucie do książek miało także rys najczystszej wdzięczności za rzeczy niematerialne. Z książek tych czerpałem wiarę w samego siebie i słuszność moich życiowych założeń. W oparciu o nie budowałem moją etykę i moralność, mój światopogląd. Nie był on skomplikowany, ten światopogląd, a tym bardziej nowy. Stanowił po prostu system doskonale usprawiedliwiający wszystkie moje instynkty, doznania i rozumowania od lat najwcześniejszych, a co najważniejsze – dawał stempel logiki i słuszności temu wszystkiemu, co od wielu lat robiłem. Co zaś robiłem? – spyta pan. To proste: kradłem. Najzwyczajniej w świecie kradłem i to z niezwykłą maestrią. Przyzna pan chyba także, że z książek, usprawiedliwiających, a nawet

gloryfikujących kradzież można skomponować prześliczną bibliotekę.

Wyznam panu, że chwilami dziwiłem się sam sobie, skąd wzięła się we mnie owa pasja wewnętrznej legalizacji mych postępów. Byłem synem warszawskiego sklepikarza z ulicy Kruczej. Chodziłem do dobrego gimnazjum, odznaczając się w nim ponoć inteligencją i zdolnościami. Przez cały okres młodości dostrzegałem wyraźną sprzeczność pomiędzy życiem a marzeniami mego ojca. Pragnął się wzbogacić, handlując skrupulatnie i uczciwie towarami kolonialnymi. Jego pragnienia wydawały mi się godne pochwały, sposób ich realizacji sprawiał wrażenie głębokiego nieporozumienia. Gdy rozglądałem się wokół, stwierdzałem z łatwością, że wszyscy kradną, w mniejszym lub większym stopniu hamowani przez strach lub brak kwalifikacji. Przez krótką chwilę zastanawiałem się, czy tak jest dobrze, czy błąd nie tkwi w układzie stosunków międzyludzkich, szybko jednak doszedłem do wniosku, że nie jest to wcale błąd, a istota życia, i że tak nie jest źle, a właśnie bardzo dobrze. Uwierzyłem w doktrynę wzajemnego pożerania się istot żyjących i dostosowałem ją do swych spostrzeżeń. W wyniku tych rozmyślań zrozumiałem, że kradzież jest skutkiem postępu cywilizacji, wyższą formą zdobywania przewagi nad bliźnim i niszczenia go, że jest przywilejem mądrzejszych i zręczniejszych i że jest swego rodzaju szlachectwem. Komplikowanie się form kradzieży – oto prawdziwa historia cywilizacji! Uczciwość stanowiła dla mnie religię ludzi słabych i mało wartościowych. Miałem żal do Nietschego, że cofnął się w pół drogi i nie sformułował tej prawdy.

Niebawem też opuściłem dom rodzinny i zasłynąłem jako jeden z najzręczniejszych złodziei w Warszawie. Pracowałem sam i wkrótce znał mnie cały świat przestępczy stolicy.

Warszawscy jubilerzy drżeli na wspomnienie mego pseudonimu, byłem nieuchwytny, tropiącą mnie policję uważałem za przeciwników, których celem jest nie ochrona własności innych, lecz zniszczenie mnie jako swego konkurenta w walce. Zachłystywałem się poczuciem indywidualnej mocy. Z czasem porzuciłem kradzież i zająłem się oszustwem w wielkim stylu. Doszedłem do wniosku, że stanowi ono jeszcze wyższy stopień rozwojowy, matematyczną antytezę uczciwości, pełną pasjonującego, myślowego wysiłku.

Spekulatywność współczesnych wielkich afer wydała mi się równorzędną czystej filozofii, wyżywałem się w niej umysłowo i twórczo. Osiedłem w Gdyni jako drobny kupiec i cichy epikurejczyk. Mój tryb życia, naturalny zresztą i niewymuszony, spokojne wieczory nad książką i wykwinne przyjęcia dla niewielu przyjaciół, ładny zbiór antyków i niewinne, opanowane rozrywki urobiły pozytywną o mnie opinię w mieście. Niebawem przedsiębiorstwo me rozrosło się do gigantycznych rozmiarów. Mały sklepik tytoniowy stał się centralą sieci, obejmującej Rotterdam i Luleaa, Bahía-Blanca, Sajgon i Marsylię. Rzecz jasna, stałem się człowiekiem bardziej niż bogatym, mogłem sobie pozwolić na luksus nieposiadania żony i częstego oddawania się rozmyślaniom w wygodnym fotelu przy butelce łagodnego sherry.

Wojna zburzyła to wszystko. Czuję głęboki wstręt do polityki i do polityków. Ich działalność uważałem za rodzaj najprymitywniejszego przestępstwa. Wszelka przemoc budziła we mnie odrazę, była zaprzeczeniem postępu cywilizacji, której przecież najwyższym wcieleniem była

dla mnie zręczność i finezja złodzieja czy oszusta. Polityka niosła ze sobą zbrodnię, zaś zbrodnia to regresja, to pochod wsteczny w kierunku ery kamienia łupanego. Zbrodnią, przemocą, morderstwem gardziłem zawsze i strzegłem przed nimi czystości swoich rąk. Wszystko się we mnie burzyło na widok Niemców, którzy uosabiali idealnie politykę zbrodni. W nowych warunkach, gdybym rozpoczął działalność przeciwko Niemcom, musiałbym z czasem zejść do roli Janosika, taka zaś rola wydawała mi się zawsze tania i melodramatyczna. Z łatwością tedy przenieśliem się do Szwecji.

Rzecz jasna, byłem nadal człowiekiem bardzo zamożnym. W Szwecji posiadałem znaczny majątek, piękną willę i wszystkie akcesoria wygodnego życia. Przez pierwszy okres czasu studiowałem pilnie nowe otoczenie i doszedłem do wniosku, że los nie mógł mnie lepiej umiejscowić. Szwecja wydała mi się terenem misyjnym, jakby czekającym na moje przybycie i moją działalność. Rychło też sprecyzowałem w sobie przekonanie, że przysłowiowa uczciwość mieszkańców tego kraju jest sztuczną, wymuszoną dyscypliną, stanowiącą przestarzały kaganiec na drodze do rozwoju prawdziwego życia. Z żartobliwym zapalem i w przeświadczeniu, że raczej bawię się, niż pracuję, przystąpiłem do organizacji czarnej giełdy w Szwecji. Pewne sukcesy w sensie zysku były do zanotowania, stanowiły one jednak wynik ograniczonej spekulacji w licznej grupie uchodźców politycznych i wojennych, jacy napłynęli do Szwecji w początkach lat czterdziestych. Kilkuset Szwedów, którzy dali się wciągnąć w orbitę nielegalnej gry giełdowej, nie zabawiło w niej długo, z wyjątkiem kilku, kompletnie zrujnowanych, dla których powrót na pozycje wyjściowe stał się niemożliwy. Gdy koło walutowego obrotu straciło zupełnie na atrakcyjności, wziętem się do odbudowy kontaktów przemysłowych, przystosowałem je do warunków wojennych i skonstruowałem czarny rynek towarowy. Po pierwszym okresie powodzenia szmuglowanych specyfików, spirytualiów i drogiego tytoniu, po kilku zręcznie zorganizowanych hausach i bessach brylantowych i narkotykowych, stwierdziłem z zainteresowaniem, że zasadniczą masę społeczeństwa szwedzkiego czarny rynek nic a nic nie obchodzi. Zniżałem ceny do minimum, ponosząc przy tym ogromne straty. Chciałem przepoić szarego Szweda pragnieniem kupna oryginalnej szkockiej whisky, a szarą Szwedkę rozplomienić nadzieją zdobycia oryginalnych perfum Coty'ego za psie pieniądze. Ankiętowe rozmowy, przeprowadzane przeze mnie przy każdej okazji, wykazały mi, że wysiłki moje idą na marne, że szarzy Szwedzi bynajmniej tego wszystkiego nie pragną, że oburzają się dogłębnie na ludzi, sabotujących zakazy rządowe, uważają ich działalność za szkodliwą i wierzą, iż skoro państwo postanowiło pewnych rzeczy nie sprowadzać – obywatel powinien obejść się bez nich dla swego własnego dobra.

Ta syta, tępa, ograniczająca się do posiadania małego, lecz dozwolonego, uczciwość wzburzyła mnie do głębi. Nie potrafiłem pojąć, jak można kontentować się danym i nie pożądać tego, co nie swoje. Legalizm Szwedów wydał mi się tragicznym przesądem, ich uczciwość – krańcową głupotą. Postanowiłem wydać walkę na śmierć i życie klimatowi etycznemu, jaki panuje w tym kraju na co dzień. Zapadłem w swoje domostwo, po dniach całych obmyślałem w mym gabinecie gigantyczne plany walki z uczciwością. Wreszcie plan

był gotów. Postanowiłem wywołać powszechny kryzys zaufania wzajemnego i zacząć od serii wstrząsających kradzieży, które podminowałyby i wysadziły w powietrze leniwy spokój tej ziemi. Opracowałem dokładny schemat działania. W zaciszu mej willi wprawiałem się i trenowałem do zadziwiających akcji, które miały przerazić i zrewoltować opinię publiczną Szwecji.

Jakby dla małego treningu w terenie, przed rozpoczęciem akcji właściwej, postanowiłem okraść niewielki sklep jubilerski przy jednej z głównych ulic Sztokholmu. Muszę tu pana poinformować, iż w swoim czasie byłem niedoścignionym mistrzem kradzieży sklepowej, zwanej popularnie w Warszawie szopenfeldem. Moje wyczyny w kraju i na gościnnych występach za granicą, w największych stolicach Europy, pasjonowały wówczas całą prasę i powodowały napady melancholii szefów zainteresowanych policji. Moim dziełem było wyniesienie z paryskiej firmy Duval et Duval czterech pereł, od którego to czynu zachwiało się kilka jubilerskich dynastii przy rue Rivoli. Technika szopenfeldu znalazła we mnie owego męża, którego przeznaczeniem było uczynić z niej Wielką Sztukę. Słynna akademія złodziejska w Wilnie przy ulicy Straszuna, której absolwenci trzęsą światem przestępczym trzech kontynentów, ofiarowała mi katedrę teorii szopenfeldu, z płacą 1000 dolarów za cykl wykładów. Odmówiłem, lecz wygłosiłem jedną prelekcję w gronie profesorskim, za co zostałem doktorem honoris causa tej, dziś już nie istniejącej, uczelni. Prezydent policji belgijskiej wystosował do mnie prywatny list, pełen słów podziwu, po okradzeniu przeze mnie kilku najbogatszych szlifierzy diamentów w Antwerpii. Po zagwarantowaniu mi absolutnej nietykalności odbyłem z nim dwugodzinną rozmowę, w czasie której ofiarował mi swą fotografię z dedykacją: „Arcymistrzowi – stary detektyw” i zostaliśmy trwałymi przyjaciółmi. Uzbrojony w taką tradycję jechałem na mój trening jak na miłą, od dawna nie praktykowaną rozrywkę. Zrezygnowałem nawet z akcesoriów, nie wziąłem auta, ubrany byłem po sportowemu. Zaopatrzyłem się jedynie w paszport na fałszywe nazwisko, wsiałem na rower i pogwizdując sobie jechałem gwarnymi ulicami Sztokholmu. Po przybyciu na miejsce postawiłem rower na placu przy zbiegu ulic Królowej i Apelbergsgatan i z rękami w kieszeniach wyszedłem na główną ulicę. Otworzyłem drzwi sklepu i wszedłem do środka po to, aby wyjść stamtąd w towarzystwie dwóch policjantów. Tak, tak, wtedy dopiero przekonałem się o względności wszelkich wartości. Poczciwy, różowy i matołkowaty mieszczuszek, trzeciorzędny jubiler sztokholmski, okazał się pierwszym mym pogromcą. Zauważył gest – błyskawicę, gest niklejszy od tchnienia wietrzyka i szybszy od światła, gest, o dostrzeżeniu którego marzyli najwytrawniejsi tropiciele. Następnie wymógł na mnie podniesienie obu rąk do góry za pomocą zręcznie dobytego rewolweru, zamknął wprawnie sklep i szybko skontaktował się z policją. Te pięć minut zmienności losów kosztowały mnie w sumie półtora roku więzienia, nauczyły zaś potęgi relatywizmu.

Czas odosobnienia, którym płaciłem za porażkę, wykorzystałem na rozmyślenia zasadnicze. Raz jeszcze, w dokładnej analizie mego życia i mych czynów, upewniłem się w ich słuszności i słuszności ich założeń. Przypomniałem sobie chwile mej wczesnej młodości,

kiedy odkrywałem oszałamiający smak przestępstwa. Odżywały dawno zapomniane momenty pierwszych nadużyć i pierwszych kradzieży. Przypomniałem sobie, że już jako dziecko cieszyłem się, gdy nie zauważony przez nikogo mogłem wytrzeć usmarkany nos w czysty cudzy ręcznik lub oczyścić buty najpiękniejszymi firankami na wizycie u znajomych. Wywoływałem w sobie wspomnieniami ową niezastąpioną radość, jaka napływała mi do serca po zręcznym przywłaszczeniu sobie jakiegoś przedmiotu, bez względu na to, czy był to krawat przygodnego towarzysza w rozbieralni basenu pływackiego, czy złota bransoletka z lady jubilerskiego magazynu. Przez każdy z tych kilkuset dni więzienia umacniałem w sobie wiarę we własną moc, wyższość i niezależność, każdego zaś wieczoru zasypiałem na więziennej pryczy w błogim przeświadczeniu, że mam rację, i z czystym sumieniem człowieka, który obrał właściwą drogę życia. Toteż gdy wyszedłem z więzienia i przekonałem się, że w międzyczasie służący mój sprzedał willę i zniknął bez śladu, nie czułem doń żalu. Uważałem go za dzielnego człowieka, który wiedząc o mnie wiele i nie chcąc informować policji o moim prawdziwym nazwisku i pozycji, wykorzystał swoją szansę w sposób najwłaściwszy. Co do mnie, musiałem zaczynać od nowa. Byłem jednak pełen energii i radości wewnętrznej, jaką daje wyraźny życiowy cel. Ponieważ mam w sobie wiele sportowego ducha, wraz z owym niezastąpionym „esprit de revanche”, postanowiłem wznowić swą działalność od doszczętnego okradzenia owego jubilera, z którym miałem jeszcze nie wyrównane rachunki. W tym celu ucharakteryzowałem się znakomicie, co należało do mych nie wymienionych jeszcze talentów, i udałem się tam, pełen radosnego nastroju walki o słuszną sprawę. Idąc wolno przez ulicę Królowej stanąłem w pewnej chwili przed najzupełniej dla mnie nieoczekiwanym zjawiskiem. Proszę sobie wyobrazić, że mój rower, na którym przyjechałem na ten sam placyk przed dwudziestu miesiącami, stał, spokojnie oparty o stojak, w tym samym miejscu, w którym go własnoręcznie postawiłem. Podeszedłem bliżej, przecierając oczy ze zdumienia, lecz fakt ten okazał się najzupełniej realny. Przede mną stał mój rower, nieco zardzewiały od deszczów i zakurzony, lecz ten sam. Trzeba zaś panu wiedzieć, że był to piękny rower, najlepszej marki angielskiej, bardzo drogi i modny, oraz wyposażony we wszystkie możliwe ulepszenia, dynamy, lampki sygnałowe, reflektory. Ponadto w torbie bocznej – wie pan, tu w Szwecji używa się takich bocznych torb bagażowych – a więc w takiej torbie pozostawiłem około 500 koron w drobnych banknotach. Przypomniałem sobie jeszcze w więzieniu o tych pieniądzach, które leżały tam od czasu jakiejś wycieczki. Teraz drżącymi rękami odpiąłem torbę i drżąc wewnętrznie wyjąłem z niej 500 koron i jeszcze kilka drobiazgów jak złota papierośnica i także zapalniczka.

To był cios! Uderzenie w równej mierze zbawcze jak niszczące. 500 koron stanowiło wtedy pensję miesięczną dobrze zarabiającego urzędnika. W mojej sytuacji suma ta mogła okazać się zbawienną jako poważny kapitał zakładowy. Lecz z drugiej strony te same 500 koron, leżące przez 20 miesięcy w samym centrum ożywionej ulicy i nie zabrane przez nikogo – to był cios w moją życiową koncepcję. Stałem nad rowerem, nie wiedząc, co czynić. Moja drapieżna energia walki, energia zemsty i świadomego dążenia uległa jakiemuś

gwałtownemu rozkładowi. Po dziesięciu minutach postanowiłem zabrać pieniądze i rower, po następnych dziesięciu doszedłem do wniosku, że byłaby to moja największa życiowa klęska. Wiedziałem już dobrze, że dziś nie zdobędę się na rozprawę z moim jubilerem. Ostatecznie zostawiłem wszystko na miejscu. „To niemożliwe – powtarzałem sobie – dziś, jutro, lub pojutrze znajdzie się jakiś rozsądny człowiek, który to wszystko zabierze...”

Odtąd przychodziłem na róg ulicy Królowej i Apelbergsgatan codziennie. Byłem niezdolny do jakiegokolwiek przedsięwzięcia. Utraciłem sens istnienia, a co za tym idzie – zaufanie we własne siły. Bałem się, że zawiodą mnie nerwy, gdy przystąpię do jakiegokolwiek akcji, i załamie się jak nowicjusz. Godzinami wystawałem na ulicy, wpatrując się w rower jak zahipnotyzowany. Zacząłem go nienawidzić. Wywiązała się pomiędzy nami jakby milcząca walka, straszliwe zmaganie pomiędzy rowerem a mną. Lżyłem go, jak lży się w myślach osobistego wroga, stojąc odeń oddalony o kilka kroków. „Ty świnio – powtarzałem – mógłbym cię zgruchotać na drobną kupkę starego żelastwa, ale nie, nie jestem przecież głupcem, twoim przeznaczeniem jest być ukradzionym wraz z forszą, jaka tkwi w twojej torbie...” Drżałem na myśl, że może być w końcu sprzątnięty przez służbę uprzątnięcia miasta i że ogłoszą o nim w gazetach, w rubryce rzeczy zagubionych. Z przerażeniem otwierałem poranne dzienniki i z niezmierną ulgą stwierdzałem codziennie, że tak się nie stało. Po nocach śniłem niezmiennie, że widzę, jak do roweru skrada się skulona postać ludzka, szybkimi, ukradkowymi ruchami wyjmując z torby pieniądze, ogląda się na wszystkie strony, wskakuje na siodelko, i odjeżdża pędem, w obawie przed pościgiem. Budziłem się, pełen błogiej radości, że wszystko jest w normalnym rzeczy porządku, że znów świat kręci się wokół słońca, a nie na odwrót, jak to czynił przez ostatnie kilka dni. Zrywałem się i biegłem na ulicę Królowej, aby stwierdzić, że rower jest, stoi, i przeczy najcudniejszym sennym marzeniom. Usiłowałem odeń uciec. Uciekałem na najdalsze krańce miasta, do odległych, pustawych parków, siadałem na ławkach i układałem precyzyjne, niezawodne plany wspaniałych kradzieży. Podrywałem się z ławki pełen nowych sił i optymizmu i biegłem do miasta. Wtedy nogi poczynały same zmierzać ciągle tą samą drogą, u kresu której sterczał w ulicznym stojaku samotny, zardzewiały, szerniały rower. Raz zdecydowałem się na wyjazd ze Sztokholmu. Kupiłem bilet i wsiałem do pociągu. Na minutę przed odjazdem wypadłem jak oszalały z dworca i pobiegłem na ów nieszczęsny róg. Zdało mi się naraz, że już jest po wszystkim, że roweru nie ma, że nie mogę wyjeżdżać, nie wiedząc o tym wielkim zwycięstwie. Ale rower był. I były pieniądze, i papierośnica, i zapalniczka.

Powoli wyczerpał się zapas pieniędzy, jaki zwrócono mi przy wyjściu z więzienia. Do zarobkowania nie byłem zdolny, ja, biedny wrak człowieczy, któremu naraz cała ludzkość i pogląd na nią uciekł z ziemi na księżyc i tam stanął do góry nogami. Et, me voila – jak mówią Francuzi.

Skończył, zapalił papierosa i uśmiechnął się do mnie. W uśmiechu tym ironia walczyła o lepsze z rozpaczą. Czuję się mocno zakłopotany. Cóż tu powiedzieć człowiekowi, który utracił złudzenia? Nie zmienia istoty rzeczy fakt, że zachodzi tu dziwne zjawisko utraty złudzeń a rebours, sama treść straty gruntu pod nogami, straty własnego poglądu na świat

jest dostatecznie tragiczna i może prowadzić do katastrofy. Ten biedny człowiek przesadził nieco w negatywizmie, lecz zdarzyło się to już niejednemu na świecie. Gorzej jest, że ze swych początkowych, pesymistycznych stwierdzeń wyciągał zbyt daleko idące wnioski, lecz to stanowi już problem indywidualnych przeznaczeń.

– Proszę pana – rzekłem nieśmiało – a czy nigdy nie wziął pan pod rozwagę okoliczności, że ludzie mogą być uczciwi, no, powiedzmy – ze względów całkowicie altruistycznych, ot tak, z poczucia równowagi moralnej, z prostej świadomości złego i dobrego albo nawet z popędu serca?

Spojrzał na mnie przeciągle. W jego oczach ustępowała wyraźnie rozpacz, a pozostawała sama ironia.

– To dobre, co pan powiedział. Przecież pan sam w to nie wierzy. Pan chce tylko w to uwierzyć. Zbiera pan bukiet komunałów, którymi chce mnie pan przekonać, odnosząc przy tym skutek całkiem odwrotny od zamierzonego. Czy uważa pan, że uczciwość ludzką można jakoś uzasadnić? Czy sądzi pan, że gdyby nie było strachu przed karą, to jakakolwiek gromada ludzka mogłaby w ogóle zrozumieć pojęcie uczciwości?

Zrobiło mi się całkiem nieswojo.

– Wie pan co – powiedziałem – proszę mi pokazać ten rower. Z chęcią go sobie obejrzę. To zawsze podnosi na duchu.

Skłonił głowę z niesmakiem. Zapłaciłem i wyszliśmy na rozjarzoną światłami Kungsgatan. Mijając bogate wystawy jubilerskie i portale banków mój obdarty towarzysz obrzucał je wzrokiem doświadczonego myśliwego. Skręciliśmy w ulicę Królowej. Zbliżając się powoli do skrzyżowania, żebrak pochylił się w przód, natężając wzrok. Zbladł i usta zaczęły mu drżeć. Złapał mnie za rękę i szepnął:

– Nie ma go!

Dochodząc do pustego o tej porze placzyku, widziałem już wyraźnie pusty, wieloprzedziałkowy stojak uliczny. Z człowiekiem obok mnie działy się dziwne rzeczy. Trząsał się i ręce latały mu jak w febrze.

– Proszę mi dać papierosa – szeptał gorączkowo – oddam panu zań tysiąc. Za miesiąc wyprawię na pana cześć bankiet w najdroższej restauracji Sztokholmu. Skończyła się obsesja roweru! Wygrałem! Triumfuję! Jutro zaczynam od nowa. A jednak ja miałem rację. Za tydzień będę jednym z najbogatszych ludzi w tym przeklętym, głupim kraju. Zapraszam pana do mojego pałacu, którego adres niebawem panu przyślę. Będziemy pili sherry i rozprawiali przy kominku o wiecznym, niezmiennym, ludzkim Złodzieju...

Od ciemnego muru po przeciwległej stronie ulicy oderwała się jakaś postać. Przechodziła ulicę prosto w naszą stronę. Był to wysoki, tęgi mężczyzna w jakimś uniformie. Podeszedł do nas i przyłożył palec do czapki. Potem rzekł kilka słów, z których z trudem zrozumiałem, że pyta, czego tu szukamy. Mój towarzysz milczał.

– Roweru – powiedziałem łamanym szwedzkim językiem – tu stał nasz rower.

Szwed zaczął coś tłumaczyć. W natłoku wyrazów przestałem się orientować. Ze zdumieniem stwierdziłem tylko, że żebrak cofa się do tyłu, patrząc przerażonym wzrokiem

w Szweda. Nagle odwrócił się i zaczął biec. Po chwili zniknął nam z oczu.

Szwed był przerażony do ostatnich granic. Na szczęście znał trochę niemiecki. Jąkając się z niepokoju pytał, co się stało memu towarzyszowi. Było mi bardzo głupio, gdyż nie wiedziałem, jak mam mu to wytłumaczyć. W każdym razie obróciłem kilka razy palcem przy czole, co jest międzynarodowym określeniem tego samego zjawiska. Szwedowi tłumaczyło to niewiele i denerwował się nadal. Był nocnym stróżem tej dzielnicy i jak się okazało, nawet hipoteza lekkiego szmergla u zbiegłego nic a nic go nie uspokajała.

– Ale dlaczego tak go poruszyło – powtarzał – kiedy mu powiedziałem, że rower jest do odebrania? Nawet wariata taka wiadomość nie powinna wyprowadzić z równowagi. Bo widzi pan, ja ten rower wziąłem. Żal mi się zrobiło maszyny, tyle czasu stoi, pomyślałem sobie: wezmę go i oczyszczę. Nie wiem, dlaczego właściciel po niego nie przychodzi, ale jak przyjdzie, to przynajmniej znajdzie go w porządku. I tak nie mam co po nocach, w czasie dyżuru, robić, to chociaż będzie trochę zajęcia. Była tam forsa, papierośnica i zapalniczka, ale wszystko jest, znajdzie pan na miejscu.

– Proszę pana – rzekłem po chwili milczenia, w czasie której Szwed bez ustanku kręcił głową – niechże mi pan powie tak szczerze: rower stoi tu od dawna, nikt się po niego nie zgłasza, niszczeje na deszczu.... Czy nie przyszło panu na myśl, żeby go sobie po prostu zabrać?

– Nie.

– Ale dlaczego? Czy nie potrafi pan powiedzieć, dlaczego pan tego nie zrobił?

– To takie proste – uśmiechnął się szeroko Szwed – przecież ten rower nie jest mój.

Warszawa 1949 r.

Część trzecia

Zwycięzać znaczy myśleć

1

Zimą 195... roku odbyło się w Warszawie spotkanie pięściarskie pomiędzy drużynami Warszawy i Poznania. W tym czasie trudno było bardzo o pomieszczenie, nadające się do urządzania zawodów, toteż imprezy takie odbywały się przeważnie w hali gier sportowych jednego z ośrodków kultury fizycznej w śródmieściu stolicy. Ta hala nie była ani specjalnie duża, ani wygodna, zaś kierownictwo jej dostawało białej gorączki i nerwowej wysypki na dwa dni przed taką każdą bokserską awanturą, po czym płakało ze wściekłości przez całe dwa dni po niej. Nie należy im się dziwić, tym ludziom z kierownictwa, gdyż boks liczy w Warszawie rzesze niezbyt delikatnych miłośników, którzy z kolei nie liczą się wcale z parkietem hali do koszykówki, deptają, niszczą i na nic nie zwracają uwagi. Raz, na tej samej sali, zapaliły się przewody od ringowych jupiterów, przechodzące tuż obok wypełnionej ludźmi galerii, akurat w czasie walki Szymury z jakimś Czechem. Oczywiście nikt nawet nie zwrócił uwagi na płomień, natomiast najbliższy stojący pomachali trochę czapkami, jakby w celu gaszenia, nie przestając zresztą ani na chwilę krzyczeć do Szymury: – Lej go, Franek!...

Pożar, widząc że na nikim nie czyni wrażenia, sam wygasł.

Przy takiej determinacji warszawskich kibiców, którzy dla obejrzenia meczu gotowi są do aktów wszelkiej odwagi, organizacja każdej imprezy jest zadaniem nie lada, a bezpieczeństwo urządzeń stanowi rzecz zupełnie względną. Ten mecz Warszawa – Poznań miał jednak szczególnie burzliwą inwokację, gdyż poza nadmiarem sprzedanych biletów i wynikającym stąd ścisaniem w ciasnych przejściach, pewna grupa młodych ludzi dokonała całkiem specjalnej akcji celem dostania się na widownię. Chłopcy ci nagłym uderzeniem przerwali kordon straży porządkowej przy wejściu, wbiegli do gmachu, po czym zmylili pogoń, rzucając się w stronę przeciwną niż hala, w której miały się odbyć zawody. Obiegłszy gmach, przedsiębiorczy młodzieńcy usiłowali wyłamać drzwi prowadzące na widownię od zupełnie innej, zamkniętej strony, co wskazywało zarówno na ich nieugiętą wolę oglądania zawodów, jak na ich rozmach i znajomość gmachu ośrodka. Niestety, jak zwykle w takich wypadkach, ślepy los pod postacią przechodzącego woźnego pokrzyżował ten śmiały, a zarazem misterny plan. Woźny zaalarmował porządkowych, ci – milicję, nastąpiła krótka szamotanina w ciemnym korytarzu, w wyniku której większa część grupy uderzeniowej zdołała uciec, zostawiając w rękach porządkowych dwie miotające się postacie. Schwytyanych zaprowadzono do małego pokoiku kierownictwa, w którym oczekiwał już trybunał, złożony z kierownika, dwóch woźnych, przedstawiciela związku bokserskiego i podoficera milicji. W pełnym świetle okazało się, że przyłapani są jeszcze bardzo młodymi ludźmi, jeśli nie rzec: wyrostkami. Obydwaj ubrani byli z bardzo taną i tandetną niedzielną elegancją, ich ręce, szyje, uszy świadczyły o zupełnej pogardzie dla fizycznej czystości, natomiast włosy mieli długie, spadające na kark, hojnie wysmarowane brylantyną i kunsztownie zaczesane na boki. Wraz z ich wejściem woźnym ośrodka złowrogo błysnęły

oczy, a ręce zaczęły drżeć niespokojnie, co oznaczało chyba, że gdyby nie obecność wyższych władz, to oni by już tym lamusom pokazali. Nie było w tym nic dziwnego, skoro wziąć pod uwagę to, co zazgrzytał z miejsca jeden z woźnych:

– My tu, cholera, całe dni i noce sprzątamy, pucujemy, staramy się, żeby było gdzie grać i trenować, a tu przychodzi kilku takich łapciuchów jak te, i łamią, taka ich mamusia, drzwi, rozwalają szyby, poręcze i drabinki. Ja bym ich w mordę, jednego z drugim, tak, żeby ich nauczyć trochę kultury.

I uczynił niedwuznaczny gest w stronę wyrostków, podjęty zresztą z entuzjazmem przez drugiego z woźnych. W pokoju powstało wielkie zamieszanie, wszyscy chcieli coś powiedzieć, mówili naraz i starali się wzajemnie przekrzyczeć, jeden z wyrostków skulił się pod ścianą, drugi stał dość hardo, nawet zaczępnie, milicjant rozdzielał, działacz bokserski wygrażał, i tylko kierownik siedział, patrzył i nic nie mówił. Wreszcie pięść jednego z woźnych wylądowała na policzku skulonego w kącie, na co drugi z chłopaków doskoczył do woźnego, krzycząc:

– Zostaw go, ty!...

I zaprawił woźnego baranem w podbródek, zostawiając mu na twarzy i krawacie plamę z brylantyny. Wtedy dopiero powstało zamieszanie co się zowie, w którym obydwaj woźni i milicjant dosunęli kilka wychowawczych razów złapanym i już zabierali się do dalszego ich kształcenia, gdy powstał kierownik i zagrzmiął:

– Dosyć tej karuzeli! Bić nie wolno!

Pisząc: „powstał”, trudno jest oddać przeobrażenie się pokoju z chwilą podniesienia się kierownika z krzesła. Z tego kierownika był kawał chłopca, może nie za wysoki, ale za to niemal tak wysoki jak szeroki, toteż stojąc wypełniał swą postacią obszerną przestrzeń kubiczną. Jednym ruchem oderwał woźnych i milicjanta od wyrostków i powiedział:

– Tu, u mnie, nikt ich nie wychowa, a bić nie ma co. Żeby się później chwalili, jacy to oni bohaterowie? Niech ich pan wylegitymuje – zwrócił się do milicjanta – i zabierze na komisariat. Tam ich możecie podkształcać.

– A tak! – denerwował się działacz bokserski – trzeba raz na zawsze skończyć z tym chuligaństwem! Żadnej imprezy nie można urządzić bez awantur. Biciem się nic nie robi, trzeba inaczej, przez milicję.

Milicjant przysiadł przy stole, wyciągnął blok i rzekł do tego, co się stawał:

– Legitymację.

– Nie mam.

– A co masz?

– Zaświadczenie z pracy.

– Dawaj.

Chłopak wyciągnął z ceratowego portfela kawałek zniszczonego papieru i położył go przed milicjantem. Milicjant patrzył, czytał, obrócił i rzekł:

– Co ty, wariata strugasz czy jak? Bez fotografii ten świstek i sprzed dwóch lat, nie przedłużony. Jeszcze tam robisz?

- Nie.
- A gdzie?
- Nigdzie.

Milicjant popatrzył nań przeciągle i przygryzł ołówek.

- Jak się nazywasz?
- Stolarek Jan.
- Ile masz lat?
- Szesnaście.
- Zawód?

Milczenie. Oczy chłopaka nie uciekają przed wzrokiem milicjanta. Są ciemne, harde, wrogie i odważne, mocno osadzone w ściągłej, umięśnionej, niezupełnie domytej twarzy, po obu stronach perkatego, twardego nosa.

- No?... Co robisz?
- Nic... Tak jestem... w domu, przy starych.

Drugi miał jasne, małe, rozbiegane oczka i był bardzo ugrzeczniwy. Był chłopcem na posyłki w dużym przedsiębiorstwie, nazywał się Kamiol Zbigniew i przyrzekał, że więcej nie będzie. Mówił dużo, z poufałym cwaniactwem, a gdy rozpiął jesionkę, aby wyjąć dokumenty, z kieszeni marynarki wyrzała nie odpieczętowana butelka wódki. Kierownik sięgnął bez słowa, wyciągnął półlitrową flaszkę i postawił na stole. Kiedy milicjant spisał wszystko, wstał i rzekł:

- No, idziemy...

Kamiol spytał z bezczelnym uśmieszkiem:

- Benzynę chyba można wziąć, panie poruczniku?

I sięgnął po butelkę. Wtedy, zanim ktokolwiek zdołał coś rzec, ciężka łapa kierownika spadła błyskawicznie na rękę Kamiola, miażdżąc ją o blat stołu. Kamiol zawył z bólu, kierownik zaś otworzył okno i z całej siły szmyrgnął butelką o cegły. Wódka rozlała się na śniegu, zaś kierownik podszedł do chłopaków i rzekł wolno:

- Uważajcie tylko; jak was drugi raz tu złapię, to sam wam gnaty poprzetrącam. A ty – zatrzymał wzrok na Stolarku – nie kozakuj zanadto. Dłużej będziesz żył.

Oczy Stolarka zwężyły się. Spojrzał na kierownika i spotkał zimne, niebieskie spojrzenie, bez odrobiny pasji czy podniecenia. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem – poważny mężczyzna o barach atlety i szczupły, łobuzowaty wyrostek, po czym Stolarek spuścił oczy i mruknął coś niewyraźnie. Za chwilę milicjant wyprowadził obu chłopaków.

Kierownik wyszedł z pokoju, przeszedł pusty korytarzyk, następnie pilnie strzeżone drzwi, prowadzące z szatni zawodników na salę, i znalazł się w zatłoczonym, zadymionym przedsiönku. Wszędzie wokół siebie miał podniecone twarze i rozbiegane oczy niecierpliwców, których jedyną myślą było znaleźć się jak najszybciej na widowni. Wszedł wreszcie do tego przybytku emocji. Dobre dwadzieścia minut pozostawało jeszcze do rozpoczęcia meczu, lecz sala była już wypełniona po brzegi. Galerie nabite były ludźmi, na ich podłogach siedzieli smarkacze z całej chyba Warszawy, zwieszając wolno nogi pod

żelaznymi poręczami. Stojący w środku ring oblepiony był szczelnie głowami ludzkimi; najbliżej ringu – głowy sędziów punktowych, działaczy sportowych i prasy, za nimi zaraz, a raczej wciskający się nieustannie między nich – najrozmaitsi ludzie, związani od licznych lat z boksem: byli zawodnicy, byli działacze, krewni, przyjaciele i znajomi byłych i obecnych zawodników. Wszyscy ci ludzie klepali się wzajemnie po ramionach, wymieniali serdeczne uśmiechy i nieodzowne: „Kopę lat!”, chociaż widzieli się na poprzednim meczu. Klepali także sędziów, działaczy i dziennikarzy, a już zupełnie promienieli, gdy ci odklepywali w analogiczny sposób. Za nimi – bezimienny tłum, przetkany gdzieniegdzie twarzą kobiecą, przeważnie jednak mężczyzn, młodzieńcy, chłopcy roześmiani i podnieceni, oczekujący z niecierpliwością chwili, kiedy zaczną uwielbiać ujawniającą się na ringu siłę, odwagę, zręczność, bitność – a więc te zalety, które od początków ludzkości wszyscy mężczyźni wszystkich czasów mają w najwyższej estymie. Miałem przyjaciela, znakomitego pianistę, wrażliwego odtwórcę subtelnych nastrojów, który chadzał na mecze bokserskie, rozkoszując się głównie owymi minutami przed rozpoczęciem spotkania. Nurzał się ze specjalnym upodobaniem w tej atmosferze czekania na walkę. „Gdyby w tej chwili – mówił – zjawił się na tej sali Chopin, stanął w drzwiach i posuwał się ku ringowi, wołając: – Ludzie! Ja jestem Chopin! – to myślę, że najbliżej siedzący oświadczyliby: – to bardzo pięknie, panie Chopin, ale siadaj pan i nie zasłaniaj, bo nic nie będzie widać... – Jedynym, co jest w stanie oderwać uwagę mężczyzny od ringu tuż przed rozpoczęciem walki, może być wyłącznie kobieta o pięknie zarysowanych kształtach; ale też nie na długo i tylko młodzieńcy w wieku dojrzewania potrzebują kilku minut więcej dla oderwania wzroku od takiej kobiety”. Wydaje mi się, że w słowach tych tkwi sporo racji.

Kierownik stał w przejściu i rozglądał się wokoło. Chłonał tę atmosferę sali przed meczem po raz tysięczny i pierwszy. Nie było tu dłań tajemnic; wiedział, że ledwie uchwytny błysk w najdalszej części wysoko nawarstwionej ławicy ludzkiej, hen, na galerii, wśród zbitej masy płaszczów i plam twarzy, oznacza krążącą wśród wyrostków butelkę wódki; nawisłe nad balustradą oblicza w tanich cyklistówkach z podgiętym daszkiem, z rozdziawionych ust których padały grubiańskie i głupie okrzyki, miały dlań konkretną, określoną wartość: gardził ich głupotą i prymitywnością, lecz gotów im był wszystko przebaczyć za chwilę wspólnego krzyku na widok wspaniałego, porywającego pięściarskiego pojedynku. Taki widok wyzwalał w nim i w nich jednakże uczucia: uczucia podziwu i uwielbienia dla męstwa. „Dziwna rzecz – rozmyślał kierownik – lecz te minuty przed rozpoczęciem spotkania budzą we mnie zawsze skomplikowane i niepokojące uczucia. Wydaje mi się wtedy, że zmarnowałem życie. Wydaje mi się, że ów dzień, w którym dojrzałem piękno boks i szlachetność jego reguł, kiedy urzekł mnie heroizm ringowych przeznaczeń różnych Fitzsimmonsów, Carpentierów i Kiecalów – był dniem mej największej pomyłki. Za dniem tym poszły długie lata ciężkiej pracy; uczyliśmy szermierki na pięści chłopców z Woli, Ochoty i placu Broni, ucząc ich przy tym dżentelmeństwa, rycerskości i tych wszystkich wyobrażeń o mężczyźnie, jakie zawierał w sobie boks. We wczesnych latach dwudziestych trenowaliśmy w piwnicach odrapanych kamienic Muranova czy Pragi, zanim przyszedł okres zainteresowania boksem, zanim dano

nam obszerne, widne sale instytutów kultury fizycznej i szkół oficerskich. Szczepiliśmy w naszym mieście pojęcie sportowej szlachetności w mozolnych rozmowach z dziećmi wielkomięskich peryferii, dla których siła pięści była bożkiem i najwyższym moralnym prawem, do którego należy się modlić, według którego trzeba żyć. Jak trudno przychodziły te rozmowy nam, młodym zapaleńcom, którzy lepiej odczuwali, niż rozumieli, o tym nikt nie wie, kto nie miał wbitych w siebie kilkunastu par bezczelnych, przedwcześnie dojrzałych, skażonych wódką i nędzą oczu w chwili, gdy za pomocą nieudolnych słów usiłuje się oczom tym ukazać sens dobrego postępu czy uczciwej, zgodnej z przepisami walki. Tyle lat, tyle lat żmudnej pracy, tyle przykładów naprostowanych, a potem znów strzaskanych przez namiętności, wódkę, głupotę młodych przeznaczeń, tyle zmagania, załamania i klęsk po to, aby dziś, tu, na tej sali, znów dostrzec owe bezmiary dzikości i ciemnoty i to samo poszukiwanie najgorszych podniet za cenę cudzej męki. Ileż jeszcze roboty do zrobienia, jak wielkie są kopce młodych serc i umysłów, z których każde należałoby podnieść, oczyścić ze szlamu złych uczuć i przekonań i zaopatrzyć w najpiękniejsze sportowe prawdy, które mówią, że człowiek stojący naprzeciw ciebie to przeciwnik, a nie wróg, że zwyciężać – to znaczy myśleć, a nie ufać potędze mięśni i zajadłości. A przecież patrząc na tych podpitych, głupich wyrostków z galerii i tych podnieconych cudzą siłą cherlawych buchalterów z parteru, nie mogę się oprzeć pewności, że jest coś, co nas wszystkich na tej sali łączy dobrowolnie i szlachetnie. Jest to chyba wspólna nam wszystkim tęsknota za podziwem, za uwielbieniem tych męskich wartości, które za chwilę błysną – przez ułamek sekundy chociażby – między linami ringu. I jeśli zadaję sobie często przez tyle lat pytanie: czy warto nadal bić gołymi pięściami w kamienną ścianę upartej głupoty i złej woli? – to zawsze na kilka chwil przed rozpoczęciem meczu widzę jasno i najlepiej, że warto, że trzeba, że musi się ciągle jeszcze odwalić brudną robotę, aby czasem, kiedyś, jak przy przemywaniu złota, błysnęło wśród błotnistej mazi ziarnko czystego kruszcu...”

Kierownik przesunął się pod ścianę i przycisnął swe potężne bary do gimnastycznych drabinek. W tej chwili ósemka Poznania wyszła na ring. Błysk lamp fotoreporterskich, zmieszana Wrzawa podnieconych głosów, prezentacja zawodników.

-...W wadze półśredniej – Cichoń, Poznań... – obwieszczał spiker zawodów.

Z poznańskiego szeregu wystąpił młody, mocno zbudowany chłopak, o miłej, otwartej twarzy i krótko przyciętych jasnych włosach. Skłonił się energicznym, oszczędnym gestem w prawo i w lewo, po czym podszedł do swego warszawskiego przeciwnika i wyciągnął doń przyjaźnie obie ręce.

– Przyjemny chłopak – rzucił z cicha kierownik.

– Przyjemny, wiadomo: uczeń, jak to u nich w Poznaniu tacy boksują – podchwycił jakiś przygodny sąsiad z boku. I już wymieniali krótkie uwagi, jak to na meczu.

Kierownik miał dziesięcioletniego synka, którego bardzo kochał. Kiedyś w kwietniu Grześ – tak się ów syn nazywał – poinformował ojca, że najgorętszym jego pragnieniem jest obejrzeć pewien film, wyświetlany właśnie w kinie „Ochota”. Kierownik westchnął, zebrał cały zapas przedsiębiorczości i hartu ducha i udał się wraz z Grzesiem z Saskiej Kępy, gdzie mieszkali, na Grójecką – czyli na drugi kraniec Warszawy. Po dwóch niemal godzinach stania w kolejce bilety zostały zakupione i kierownik wraz z Grzesiem zajęli swe miejsca na kinowej widowni.

Jeszcze przed rozpoczęciem seansu kierownik, jak zresztą wszyscy na sali, zwrócił uwagę na grupę rozbawionych wyrostków, którzy o kilka rzędów przed nim wyczyniali najrozmaitsze ostentacje, mające oznaczać dowcip i swobodę zachowania. Te niezwykle humorystyczne kawały polegały na wzajemnym zrywaniu sobie czapek z głów i rzucaniu tychże w najodleglejsze kąty widowni, co zmuszało pozbawionych w ten sposób nakryć czaszki do nieustannego wędrowania i przepychania się przez zatłoczone rzędy krzeseł. Igraszkom tym akompaniował podniesiony i arogancki ton uwag, jakimi czarujący młodzieńcy obrzucali postronnych widzów, którzy wydawali się być niezadowoleni z tych objawów radości życia. Wszyscy ci młodzi ludzie nosili spiętrzone i ufryzowane grzywy wybrylantynowanych włosów, ubrani byli z tanią, brudną elegancją i sami sobie wydawali się być szczytem junactwa, wdzięku i wesołości, która – ich zdaniem – winna budzić ogólny zachwyty. Kiedy światło zgasło, a chłopcy ci nie przestawali się awanturować, wstawać, popychać, zasłaniać ekran, pochylił się ktoś siedzący za nimi i zwrócił im dość ostro uwagę. Uspokoili się nieco, po czym wszystkich pochłonął film.

Światła zabłyśły po dwóch godzinach, tłum ruszył z miejsc i bocząc się posuwał ku wyjściu. Grześ opowiadał coś ojcu, kierownik słuchał jednak mało uważnie. Jego bystre, chłodne oczy błędziły w tłumie, dostrzegając rzeczy trudne do wyluskania, jemu tylko wiadome. Wstrzymał Grzesia za ramię i powiedział:

– Przepuśćmy ludzi. Nie ma potrzeby się tłoczyć.

Tym, który przed filmem zwrócił uwagę wyrostkom, był wysoki student politechniki, wychodzący właśnie w towarzystwie młodej dziewczyny i kolegi. Nieco za nimi posuwali się hałaśliwi młodzi ludzie. Ale nie wszyscy. Dwóch czy trzech szło przed nim, niewidocznie rozmazani w tłumie.

Z tyłu, za kinem, rozciągały się usiane cegłami, nie oświetlone gruzowiska pomiędzy niskimi, wypalonymi domkami. Ludzie rozprasali się szybko i ginęli w ciemnościach. Student wraz z towarzyszami nawet nie spostrzegł, kiedy odizolowany został od reszty publiczności, dążącej ku oświetlonej ulicy Grójeckiej. Nagle otoczyło go pięć czy osiem postaci: jedna z nich zawołała niezbyt głośno:

– To ten!... Inna dodała:

– Ty wszarzu!... Odzywać się będziesz, gdzie nie trzeba...

I momentalnie spadły ciosy i kopnięcia. Napadnięty zgiał się pod uderzeniami, usiłował

zakryć twarz ramieniem, drugi stał blady i zdezorientowany, tylko dziewczyna krzyknęła:

– O Boże!... Milicja!... Pomocy!...

Na Grójeckiej ludzie zaczęli się oglądać, kilku mężczyzn rzuciło się w stronę krzyczącej. Napastnicy rozluźnili natychmiast krąg, kilku znikło w najbliższych ruinach. Jeden jeszcze kopnął, jakby na pożegnanie, pochylonego studenta i syknął:

– Ciiiicho!. Bo cegłą...

Po czym odskoczył zręcznie w ciemność. Natrafił na coś niewidocznego, twardego, od czego nie mógł się już oderwać. Ogromne zdumienie zamigotało mu w oczach. Upłynęły dwie-trzy sekundy, zanim zrozumiał, że trzyma go za ramię jakaś żelaznej siły ręka.

Pierwszym błyskawicznym odruchem chciał uderzyć w środek wyczuwalnego korpusu, którego szerokie bary rysowały się mdło w mroku; był odważny, nie znał uczucia strachu i pierwszy raz w życiu chyba, chcąc uderzyć – nie uderzył. Szarpnął się tylko z całych sił, lecz zaraz instynktownie pojął raczej, niż zrozumiał, że trafił na swojego pogromcę. Od razu też go znienawdził.

Do studenta podbiegli przechodnie, wśród nich – milicjant. Wszyscy mówili głośno, jeden przez drugiego, dziewczyna krzyczała, student przykładał chustkę do opuchniętych oczu. Cała akcja trwała zaledwie kilka minut, nic więc dziwnego, że napadnięci więcej byli przestraszeni i oszołomieni niż poszkodowani. Wreszcie wszyscy poszli w stronę tramwajowego przystanku, dyskutując głośno.

– My się skądś znamy – rzekł trzymający do trzymanego – nie pamiętam tylko skąd?...

– Niech mnie pan puści!...

Oczy wyrostka błyszcząły pasją i nienawiścią, mózg pracował gorączkowo: „Kto to jest?... Jak będzie mnie prowadził na komisariat, to się urwę!... Albo zaprawię go już na ulicy!”...

– Tylko nie machnij ręką, bez awantur, dobrze? – powiedział wolno i spokojnie mężczyzna o szerokich barach, jakby zgadując myśli. – Coś sobie przypominam... Już wiem.

– Niech mnie pan puści, bo zlecą się chłopaki i takie bańki tu panu cegłami spuszczą, że żywy pan nie wyjdzie...

– Tokarek... Talarek... Stolarek! Aha, nazywasz się Stolarek... Tak, to ty... No, dobrze. Tylko nie groź cegłami, bo ci kości połamię i twoim chłopakom też.

– Skąd pan wie, jak...

– Nie twoja rzecz, dość, że wiem. Słuchaj, Stolarek, łobuz jesteś, że ze świecą drugiego takiego szukać i powinienem odbić ci parę plomb na zębach, ale jeszcze tego nie zrobię. Mógłbym cię teraz zaprowadzić do komisariatu, gdzie zarobiłbyś parę miesięcy za chuligaństwo. Ale i tego nie zrobię. Natomiast tak się z tobą umówię: przyjdiesz jutro do mnie do ośrodka, wiesz już gdzie, o godzinie piątej i porozmawiamy ze sobą. O ile zaś nie przyjdiesz, to jak następnym, trzecim i ostatnim razem na mnie najedziesz, wierz mi – przelecisz się albo do więzienia, albo do szpitala. I to na dłużej. A teraz pamiętaj: w Warszawie łatwo się spotkać. Do widzenia.

Pchnął Stolarka lekko od siebie i ujął za rękę małego chłopczyka, który stał obok i z wypiekami na twarzy pochłaniał płonącymi oczyma wszystko, co się tu działo, od

początku do końca. Nie bał się przy tym nic a nic – wiedział, że przy tatusiu nic mu się złego nie stanie.

Godzina piąta jest w takim ośrodku kultury fizycznej czasem największego ruchu i ożywienia. Na wszystkich korytarzach pulsuje młody, wesoły tłumek. Smukli siatkarze i koszykarze w kolorowych spodenkach i koszulkach, o barkach zlanych potem schodzą z sali treningowej, ustępując miejsca innym siatkarzom i koszykarzom. Pływacy w ciepłych dresach nawołują się: „Rozbieraj się! Ubieraj się! Co tak późno?...” Młodzi chłopcy podglądają, przez wydrapane w matowej szybie dziurki, ćwiczące gimnastyczki, nie szczedząc uwag o treści zasadniczej.

Siedziałem właśnie o tej porze w małym pokoiku kierownika ośrodka, który był moim starym, dobrym przyjacielem i którego odwiedzałem od czasu do czasu. Opowiadał mi o swych pracach i swych bołączkach, o swym spokojnym, chłodnym oddaniu młodości, sportowi i wzajemnym tychże powiązaniom, o swym nie gasnącym, wytrwałym zapale dla tych spraw. Z tym zapalem było dość dziwnie: kierownik należał do ludzi, którzy dobrze znali podszewki życia, a już na pewno te wszystkie – brudne, postrzępione i wytarte – jakimi sport był podszyty. A jednak zapal jego nie gasł, nie płonął fanatycznie i gorączkowo – to prawda – ale tlił się ciepłym, ogrzewającym wszystko dokoła płomykiem. Człowiek ten nie miał nigdy dosyć atmosfery sali treningowej i małych, cichych dramatów, jakie w niej się codziennie rozgrywały. Tak było od jego wczesnej młodości, tak już chyba w nim pozostanie do końca życia i żadne przeciwności – w rodzaju nie dostarczonych na czas desek parkietowych czy kozłów gimnastycznych, intryg zazdrosnych o stanowisko konkurentów albo gryzba, który pojawił się nagle w ścianach rozbieralni – nie były w stanie nadwątlić zapasu jego opanowanej, stanowczej energii.

Zbierałem się już do wyjścia, gdy wszedł woźny i powiedział:

– Jakiś chłopak do pana kierownika. Mówi, że pan na niego czeka. Nazywa się Stolarek. Po twarzy kierownika przemknęło zdziwienie.

– Wpuść go – rzekł i dodał w moją stronę: – zostań jeszcze. Zobaczysz coś ciekawego.

Wszedł Stolarek, zdjął czapkę i powiedział:

– Dobry wieczór.

Brzmiało to dość uprzejmie i kierownik poprosił go, żeby usiadł. Stolarek usiadł całkiem przyzwoicie. Wrażenie na mnie wywarł nieszczególne. Widać było, że zadbał o swą powierzchowność, zanim tu przyszedł, uczynił to jednak tak, że wzbudzał co najmniej zabawny niesmak. Ubrany był z ową tanią, niesłychanie tandetną elegancją, wzorowaną na najbardziej szmirowatych aktorach filmowych, koszulę miał ciemną, nieświeżą, ale wyglądał z niej zmięty, kolorowy szalik, najgorsze zaś były bujne włosy, spiętrzone dziwacznie, z tyłu podcięte, nie myte chyba od miesięcy. Widocznie taka już była moda wśród tych chłopców z przedmieść i Stolarek stosował się do niej z rygoryzmem koryfeusza.

Kierownik wziął z biurka paczkę papierosów i poczęstował Stolarka.

– Palisz?

– Dziękuję – Stolarek zapalił i zaciągnął się aż do pępka. Na to kierownik:

– Wódkę pijesz?
– Piję.
– Tak też sobie myślałem. Słuchaj, Stolarek, ja cię tu zaprosiłem, żeby postawić ci jedno pytanie i jedną propozycję. Pytanie brzmi: czy uderzyłbyś cegłą tego studenta, wczoraj, jak groziłeś?
Chłopak zmienił się na twarzy, spojrzał spode łba na kierownika, za chwilę uśmiechnął się. Był to bardzo nieszczery uśmiech i wraz z nim znikła gdzieś cała szorstka naturalność, z jaką zachowywał się dotychczas.
– Skądże znowu, proszę pana... Ja nigdy... To się tylko tak mówi...
– No, dobrze – pokiwał głową kierownik, bawiąc się zapałkami – czy ty, Stolarek, urodziłeś się w Warszawie?
– Tak.
– Na jakiej ulicy?
– Chyba na Karolkowej.
– A gdzie mieszkasz?
– Zupełnie jak w komisariacie, jak Boga Kocham... – uśmiechnął się krzywo Stolarek – mieszkam na... – zawahał się chwilę – ...na Wroniej.
– A po powstaniu gdzie byłeś?
– Gdzieś koło Grójca, u krewnych.
– Co teraz robisz?
– Pracuję.
– Gdzie?
– W warsztacie.
– W jakim warsztacie?
– Przy naprawie platform, wozów, wie pan?...
– Jak cię tu pierwszym razem przyprowadzili – nie pracowałeś, pamiętam przecież.
– A teraz robię, jak pragnę zdrowia. O, jakie ręce... Pokazał ręce, rzeczywiście brudne, o długich, brudnych paznokciach, lecz nie wykazujące specjalnych znamion spracowania.
– No, dobrze. Posłuchaj, Stolarek, wstań teraz, zdejmij płaszcz, marynarkę, koszulę, rozbierz się do połowy.
Stolarek spojrzał na kierownika jak na chorego, wzruszył ramionami, ale wstał. Mruknął:
– Co za szopa, cholera?...
Rozebrał się jednak. W pokoju rozeszła się woń nie domytego, lecz zdrowego, młodego ciała. Chłopak był krzepki, zwięzły, niezbyt szeroki w klatce piersiowej, lecz dobrze wyraźnie umięśniony. Ramiona miał szczupłe, ale twarde, o nie rozwiniętych bicepsach, z których ćwiczenia mogłyby uformować płynne, elastyczne akumulatory sprawności i siły, a z których ciężka, długoletnia, fizyczna praca uczyniłaby tylko sękaty gruzły. Miał świetnie osadzoną, mocną szyję i chudy brzuch o dobrze zarysowanej muskulaturze. Kierownik kazał mu się odwrócić, unieść ramiona, obrzucił krótkim spojrzeniem grę mięśni barków i pleców, po czym rzekł:

– No, to ubieraj się, synu. A oto moja propozycja: zapiszę cię do sekcji pięściarskiej „Kolejarza”. Opiekuję się tą sekcją. Ułatwię ci wszelkie formalności i uprzystępnę świadczenia. Postaram się nawet o załatwienie ci drobnej pożyczki na ekwipunek, o ile będziesz potrzebował. Czy chcesz trenować?

Stolarek wkładał marynarkę; zatrzymał się w połowie i powiedział spokojnie:

– Nie chcę.

– Jak to – nie chcesz?... – w oczach kierownika błysło wielkie zdumienie, które zaraz ukrył. Nie potrafił natomiast skryć lekkiego rozdrażnienia w głosie – ...przecież lubisz chodzić na mecze, patrzeć na boks, tak się wtedy o to darłeś...

– Lubię – przytaknął Stolarek – ale tylko popatrzeć, jak się inni kotłują. Ja z siebie nie będę robił pajaca. Jeszcze jakiś talent we mnie pan znajdzie, a potem rozpocznie się ta cała gonitwa sprzedażna. To nie dla mnie, znam ten numer, już niejednego chłopaka na to wykołowali, że potem zgłupiał.

– Dobrze – powiedział sucho kierownik – w takim razie bądź zdrow. Pamiętaj tylko o tym, co ci mówiłem wczoraj przed kinem na pożegnanie – to obowiązuje...

Stolarek skłonił się sztywno, poprawił dłonią włosy i wyszedł.

– Nic z tego nie rozumiem... – zacząłem, ale kierownik przerwał mi:

– Że ty nic nie rozumiesz, to normalne, ale że ja, stary wyjadacz, nic z tego nie rozumiem, to jest niepokojące. Widzisz – ciągnął zapaliwszy się w sposób widoczny do tematu – wszystkie niemal filmy i powieści o boksie rozpoczynają się z reguły od takiej historii: jakiś trener, menażer czy inny fachowiec natyka się na chłopaka, który błyska w jego olśnionych oczach nadzwyczajnym talentem. Ten talent polega zawsze, ale to zawsze, na tak zwanym ciosie „kończącym”, ścinającym, zwalającym z nóg, jedynym w swoim rodzaju, rasowym, klasycznym, przeczystym ciosie pięściarskim w szczękę, „na punkt”, porażającym rdzeń pacierzowy, po którym uderzony traci przytomność i wali się, jak worek z mąką, na ziemię. O takich chłopcach z dynamitem w pięści śnią powieściowemu i filmowemu fachowcy, marzą w czasie bezsennych nocy, spotykają ich przypadkowo na ulicy, w knajpie, w czasie ulicznej bójki, a potem wiodą ich poprzez ringowe batalie wprost na tron mistrza świata wszechwag. Tymczasem talent w boksie to nie tylko taki cios, to jeszcze coś więcej, czego nikt nigdy na pierwszy rzut oka nie stwierdzi, a co tylko można przeczuć, domyślać się i najczęściej – całkowicie omylić. Słyszałeś moją rozmowę z tym Stolarciem, widziałeś go, na pewno sam też masz jakieś o nim zdanie. Otóż ja ci teraz dopowiem to, czego on nie powiedział, czego nie chciał powiedzieć, co skłamał lub zataił. Urodził się w Warszawie, na Karolkowej; czy ty wiesz, co to była Karolkowa przed wojną? To była dżungla. Dla małego, pięcioletniego pętaka to była dżungla, dzika i pełna niebezpieczeństw, w której panowało prawo silniejszego, kształtujące się w jego małej, nierozumnej świadomości jako prawo najwyższe i najwartościowsze. Na ulicy Karolkowej stały domy i leżały bruki jak wszędzie gdzie indziej w Warszawie, być może domy były brudniejsze i bruki bardziej chropowate, ale nie to było istotne. Ważnym było, że Karolkowa stanowiła centralną arterię warszawskiej przestępczości; oflankowana placem Kazimierza, Towarową, Dziką, stanowiła rezerwat Urke

Nachalników i Szpicbródek, których legendy rozplamieniały wyobraźnię. Czy znaczy to, że kształtowały pokolenie na nieodwołalnych przestępców? Nie, tego nie twierdzą. Różne przyczyny składały się na to, że tak nie było, nie chodzi mi jednak o społeczną stronę zagadnienia – raczej o psychologiczną. Chłopcy z tych ulic wychowywali się w cichym kulcie dla nie liczących się z prawem przestępców, rodzice ich – biedni straganiarze, robotnicy, tragarze, nędzni rzemieślnicy – nic nie czynili skutecznego, aby ten kult rozwiązać, żyjąc sami w atmosferze najróżniejszych zazębien zawodowych, środowiskowych i towarzysko – rodzinnych o sprawy złodziei, włamywaczy, paserów. W czasie rodzinnych uroczystości, imienin, chrzcin, ślubów, w oparach alkoholu, krążyły podania i opowieści, których niezmiennym, wyidealizowanym bohaterem był nóż lub pięść, ulubionym tłem – bijatyka, godnym podziwu ideałem – pewien żołnierz, który w czasie świątecznego urlopu zabił na Czerniakowie kawaleryjską szablą pół weselnego orszaku. Często dochodziło w biednych, ciasnych mieszkaniach do scen, w których ujawniało się prawo silnej pięści w całej swej krwawej krasie. Szkoła usiłowała przeciwdziałać tym wpływom, lecz cóż mogła dokonać szkoła mając przeciw sobie kino. Pamiętasz kino „Bajka” na Żelaznej, kino „Antinea”, kino „Czary”, brudną, zapluta salkę kina „Forum” na Nowiniarskiej?... W tych i niezliczonych innych ciemnych, niechlujnych smrodliwych kinach chłopcy z Karolkowej znajdowali artystyczne, jakże silne uzasadnienie swego poglądu na świat. Romantyczne niemal filmy o kowbojach, Indianach, amerykańskich szulerach i gangsterach, wzruszające swą jednostronnością stare, łotrzykowskie historie, obrazy z czasu ekspansji Hollywoodu zaraz po pierwszej wojnie światowej pochłaniane były po tysiącokrotnie przez najwdzięczniejszych pod słońcem odbiorców. Chłopcy ci nie zauważali jednak szlachetności Toma Mixa i jego walki o prawo, nie dostrzegali tego, że Ken Maynard, Eddie Polo czy Harry Piel są zawsze po stronie dobra i sprawiedliwości, że biją się w obronie słabszych i pokrzywdzonych. Ich szeroko rozwarte z podziwu i uwielbienia oczy widziały tylko, że biją się i to jak jeszcze, jak wspaniale, jak barwnie i zajmująco, za pomocą pięści, noży, rewolwerów, kopniaków i całego bogactwa niewidocznych filmowych tricków i teatralnej umowności, dzięki której każda bójka wypadła tak ślicznie, atrakcyjnie i zajmująco. Chłopcy wychodzili z kina i realizowali swe ideały za najbliższym rogiem słabo oświetlonej ulicy. W ten sposób narastała tradycja pięści, bójki i nieprzytomnego zawadiactwa, w ten sposób Ogród Saski i inne parki warszawskie stały się z czasem istną chłopięcą dżunglą, gdzie ten tylko grał w piłkę, kto miał mężne serce i dostatecznie silne kończyny, aby sobie wywalczyć miejsce. Hegemonia polska w boksie europejskim w latach trzydziestych nie jest rzeczą przypadku, w żadnym bowiem innym kraju pięściarstwo nie natrafiło na tak podatny grunt jak u nas. Polacy mają jakby rozluźnione w przegubach i stawach ręce, a te chodzące lekko ręce wraz z naszą zapalczywością, kłótniowością i nieprawdopodobnymi pojęciami o honorze powodują, że skłonność do bijatyki stanowi u nas coś w rodzaju cechy narodowej. Znamienne jest ponadto, że Polacy lubią bijatykę dla samej radości bicia się, co stanowi raczej unikat w dzisiejszym świecie, i chyba tylko Irlandczycy są pod tym względem do nas podobni. Nie chcę przez to powiedzieć, że inne narody są tchórzliwe, o nie, ale młodzi Francuzi, Czesi

czy Szwedzi, skoro biją się, to zawsze dzieje się to z jakiejś określonej przyczyny i w jakimś bardzo konkretnym celu. Bicie się dla samego bicia, z popędu, z instynktu walki, jest czymś bardzo naszym.

– No i w boksie daje to świetne rezultaty, czyż nie? – wtrąciłem.

– Otóż nie zawsze, natomiast zawsze wpływa na ogólny klimat życia społecznego, przynasz chyba. My zaś, starzy fachowcy od boksu, od dawna doszliśmy do wniosku, że odważny i zuchwały łobuz, niezawodny w ulicznym starciu, nie zawsze oznacza wartościowego pięściarza. Rasowego warszawskiego łobuza cechuje w pierwszym rzędzie zaczepność, zawadiackość i szaleńcza odwaga, płynąca z impulsywności, z pasji. Prawdziwy łobuz, cwaniak, „kozak” zaczepia i bije się przede wszystkim dla samego bicia, potem dla swej młodojeckiej sławy, a na dalszym planie dopiero dla innych, ubocznych celów. Przy tym łobuz w czasie bijatyki nie myśli, lecz kombinuje, najczęściej zaś daje się ponieść instyngtom. Są to wszystko mało przydatne cechy w pięściarstwie, stanowiącym zdyscyplinowaną sztukę, w której cenne zalety bitności i odwagi muszą być podporządkowane woli zwycięstwa, będącego jedynym i ostatecznym celem walki. Droga zaś do zwycięstwa wiedzie poprzez myślenie, i pięściarz, który nie myśli, nie ocenia, nie wybiera metody taktycznej, nie rozpoznaje przeciwnika, taki pięściarz nigdy nie osiągnie większych sukcesów. Łobuz pokazuje z dumą własne podbite oko i mówi: „Dołożył mi, ale jak ja mu dałem...” Pięściarz stara się pobić przeciwnika, inkasując jak najmniej, a otrzymanych cięgow nie poczytuje za tytuł do chwały. Mieliśmy znakomitych pięściarzy, rekrutujących się z mętów ulicznych, to prawda, ale chłopcy ci pozbyli się wszelkich przywar łobuzerki, zachowując z niej tylko bojowość i odwagę. Mieliśmy natomiast świetnych, słynnych w świecie bokserów, którzy w chłopięcym wieku uchodzili za spokojniaków i łamagi i nigdy nie mieli w dzieciństwie guza na głowie ani podbitych oczu.

– A Stolarek?... – wtrąciłem znowu.

– Stolarek – odsapnął kierownik po tej tyradzie – to oczywiście łobuz. Nie wiem, co robił w czasie okupacji, miał wtedy pięć lat, kiedy się zaczęła. Zresztą nie pytałem o to, umyślnie, rzecz jasna, ale wyobrażam sobie, że niczego chwalebego nie dokonał. Tacy, jak on teraz, byli postrachem wszystkich różnojęzycznych obozów w Niemczech, w których pracowali auslenderzy wywiezieni na roboty przez hitlerowców. Wyobrażam zaś sobie, co robi teraz. Twierdzi, że mieszka przy rodzicach; nie jestem tego pewien, ale to nie ważne, rodzice od dawna nie mają już wpływu na duszę i losy tego chłopca. Utrzymuje się sam. W jaki sposób? Oczywiście – nie dzięki pracy w jakimkolwiek warsztacie czy wozowni. To było kłamstwo. Jeśli po prostu nie kradnie, to kombinuje, „stara się” – jak oni to mówią. Do pewnego czasu sprzedawał proszek DDT, cytryny i kosmetyki z amerykańskich paczek na Marszałkowskiej. Należał także na pewno do jednej z band, zajmujących się nielegalnym, pokątnym handlem biletami do kin i na imprezy sportowe – ta nowa gałąź ciemnej przedsiębiorczości rozwinęła się do pokaźnych rozmiarów w powojennej Warszawie. Wieczorami odgrywał zapewne doniosłą rolę na konwentach tych młodocianych szajek, koczujących w ruinach wypalonych domów Chmielnej, Złotej, Śliskiej. Jesienią stał zapewne

przy wózkach ze skradzionymi owocami. Każdy gest jego głowy, każdy ruch ręki, oszczędny, elastyczny, koci, każde pochylenie korpusu i spojrzenie jego oczu mówi mi o takim, a nie innym życiu. To klasyczny łobuz warszawski, odważny, zepsuty, bezwzględny, wierzący tylko w pięść, spryt i użycie. Takich jak on...

– Co?... Co z takimi jak on?... – podchwyciłem, widząc, że kierownik ucina nagle, jakby spostrzegł, że powiedział za dużo.

– Nic. To nieważne. Późno już... – spojrzał na zegarek, co chyba miało oznaczać, że mam się wynieść. Daleki jednak byłem od tego.

– Mój drogi – powiedziałem wstając – najpierw zaczynasz opowiadać interesujące historie i wygłaszać cenne, trafne sądy po to, aby przerwać w najciekawszym miejscu. Nie ma tak dobrze. Nie ruszę się stąd, póki nie skończysz.

– Skończyłem już – uśmiechnął się kierownik – prowadzę zaraz trening.

– Co należy robić z takimi jak Stolarek?... – obstawałem przy swoim – nie wymiguj się!...

– Takich należy niszczyć – rzekł cicho – albo...

– ...Albo?...

– ...Albo długo i żmudnie przerabiać, oczyszczać, inwestować w nich przyjaźń, serce, pracę. Ale najczęściej to nie prowadzi do niczego. Pewnego dnia nie zjawiają się więcej, przy czym stwierdza się brak własnego zegarka.

– A ty... – gniołem nieustępliwie – po co sprowadzałeś do siebie Stolarka? Aby niszczyć czy aby przerabiać?...

– Nie wiem. Nie przemyślałem jeszcze tego.

– Nie wykręcaj się. Przecież musiałeś się czymś kierować, prosząc go tu. No, powiedz: czym się kierowałeś?...

Spojrzał na mnie z bliska swymi jasnymi, chłodnymi oczami.

– Może sentymentem... Widzisz, ja tych chłopców dobrze znam, wiem o nich dużo... wszystko... Ja sam...

W tej chwili ostre dzwonki zabrzmiały ze wszystkich stron. Kończył się czas treningu na salach.

Nietrudno jest sobie wyobrazić, co myślał i czuł kierownik, kiedy wizytując jedną z sal treningowych, na której odbywała się zaprawa gimnastyczna sekcji pięściarskiej „Spójni”, dostrzegł Stolarka w szeregu wykonującym właśnie, po raz chyba dwudziesty, głębokie skłony tułowia. Było to w półtora miesiąca po ostatniej ich rozmowie. „Ten szczeniak bawi się ze mną w kotka i myszkę czy co?...” – zazgrzytał kierownik i powodowany rozdrażnieniem, co mu się rzadko przecież zdarzało, rzekł do instruktora:

– Co ty? To ma być zaprawa... Czy ty ich przygotowujesz na pielęgniarce czy na zawodników? Do kitu z taką robotą...

Trener „Spójni” Gniotek, ongiś zawodnik, potem szeroko znany, ceniony pijak i jakała, od dwudziestu lat uważał kierownika za wyrocznie w sprawach boksu. Zaczął się tedy tłumaczyć:

– Chchchło – opcy są zmęęę... zmęęęę...

– Teraz zmęczeni, a potem, na ringu, nie mogą trzeciej rundy odwalić. Że też ty, Stefan, chłop stary, i nie wiesz, jak trzeba. Za trzy tygodnie pierwszy krok. Jak długo masz ich w treningu?

– Pooooonad mmm miesiac.

– Ach, ty specu... Jak ty ich wypuścisz z takimi brzuchami? Przecież to poduszka, a nie brzuch zawodnika...

Lekko zwiniętą pięścią poklepał najbliższego z brzegu chłopaka po dołku. Chłopiec był zbudowany jak kolumna, a przecież zgiął się aż pod tą pokazową pieszczotą. Kierownik odsunął Gniotka, stanął przed frontem i zakomenderował:

– Przysiad podparty. Nogi w tył do podporu. Leżenie przodem. Zegnij nogi w kolanach. Kostki chwyć! Kolana razem, razem... powiedziałem... hej, ty tym, w drugim rzędzie – kolana ci się rozchodzą...

Cała stawka, kilkunastu chłopców, leżała na podłodze jak pluton wyrzuconych na brzeg morski krabów. Twarze im poczerwieniały, szyje nabrzmiały.

– Przechył do przodu i do tyłu... Raaaz, dwaaaa, raaaaz, dwaaaa... Nie zmieniać pozycji. Wytrzymywać... – podawał kierownik, spacerując pomiędzy ćwiczącymi. Chłopcy chybotali ciężko w tył i w przód. Po chwili dały się słyszeć pierwsze ciężkie odgłosy opadających bezwładnie na podłogę nóg. Napięte do ostatecznych granic mięśnie, stawy, ścięgna nie wytrzymywały, ich rozciągliwość miała granicę niezależną od najlepszej woli. Kierownik przystanął przy Stolarku. Stolarek miał złane potem barki i zacięte, złe usta. Był jednym z ostatnich, utrzymujących się w tej złamanej figurze; wyglądał jak scyzoryk z nie domkniętymi ostrzami.

– Aha, Stolarek... – powiedział kierownik – nie wiedziałem, że tak pilnie trenujesz. Wcale mi o tym nie zakomunikowałeś.

– Baaaardzo ppppilny fffacet – dorzucił Gniotek, który posuwał się krok w krok za kierownikiem. W tej chwili nogi Stolarka stuknęły tępo o podłogę, zaś on sam obrzucił

kierownika wzrokiem, w którym trudno byłoby doszukać się krzty sympatii. „Dlaczego ten chłopak mnie nienawidzi?” – pomyślał kierownik.

– Więcej wytrwałości, Stolarek, to może coś z ciebie będzie – rzekł głośno i skierował się ku wyjściu z sali.

– Bbbędzie, na pppewno – powiedział Gniołek do kierownika i dodał ścisząc głos: – ttto tttalencik.

– Czy aby? – zmarszczył się kierownik. – Nie śpiesz się z oceną, Stefan. Znam tego lamusa. Nie przewróć mu przypadkiem w głowie, bo będziesz z nim miał biedę.

I wyszedł. Gniołek zaś krzyknął do chłopców:

– Ttto wam ddddobrze zzzrobi, tttaki ma-a-saź bbbbrzucha. A tttteraz ska-a-a-kanka...

Poskakali trochę w miejscu i wokół sali, po czym ostry dzwonek obwieścił koniec treningu. Stolarek zeszedł do szatni cały obolały.

– Frajer jesteś – powiedział mu jeden z kolegów, kiedy stali pod gorącym natryskiem – trza było puścić te cholerne kostki. Po co sobie żyły wypruć. Trening treningiem, boks boksem, ale nie można sobie samemu nóg z tyłka wrywać, żeby wzmocnić dołek.

– Co ty wiesz?... – odparł Stolarek. – Jak się przygotować, to na całego, żeby potem nie było wpadki na pierwszym kroku. Kogo tu kantować? Samego siebie? Oni przecież nas tak naumyślnie nie wrabiają. Tak trzeba.

Ubrał się, zaczesał włosy w „mandolinę” i wyszedł. Nie dochodząc placu Trzech Krzyży spotkał Zbyszka Kamiola.

– Sie masz, Jasiek – rzekł Kamiol – właśnie idę po ciebie.

– Czego chcesz? – spytał Stolarek bez zbytniego ciepła w głosie.

– Sprawa osobista, można powiedzieć. Mam do ciebie interes w imieniu trzeciej osoby.

– Co jest?

– Rudy ci kazał powiedzieć, że można zarobić parę złotych. Mówił, żebyś przyszedł do niego dziś wieczorem. No co, doskoczysz?

– Nie.

– Czyś ty zwariował z tym boksem? Co się z tobą dzieje? Chłopaki śmieją się, że masz zamiar być drugi Luis. Niuśka się o ciebie pyta, powiada, że cię nie widziała ładne parę tygodni.

– Powiedz Niuśce, że nie mam forsy, to się przestanie o mnie pytać – uśmiechnął się Stolarek bardzo dojrzałe, może trochę za bardzo jak na siedemnaście lat życia.

Minęli plac Trzech Krzyży i weszli w Bracką. Przy Nowogrodzkiej Kamiol spytał:

– Wódki podobno nie pijesz? Taki przytomny facet dostał szmergla na punkcie boksu. Kto by powiedział...

– Nie piję...

– A może jednak? Mam ćwiartkę, chodź, odbijemy w bramie – Kamiol odchylił płaszcz i pokazał wystającą z kieszeni główkę butelki.

– O, nie. Jak raz powiedziałem, to kłapa.

– Co się z nim stało?... – biadał Kamiol. – Chodź, postawię ci piwo. To ci chyba wolno u tych

bokserkich zakonników? Tu jest taka meta, zaraz za Kruczą, wstąpimy...

Weszli do ciasnego baru, tandetnie przystrojonego wycinankami z tektury, składającymi się na nazwę: „Gondola”. Kamiol przyniósł z kontuaru dwa duże jasne; usiedli przy małym, kiwającym się stoliku.

– No, mów coś, do cholery... – denerwował się Kamiol. – Tyle czasu robiliśmy razem w różnych interesach i nagle wysiadłeś z tego wszystkiego. Powiedz coś, niech ja wiem, co się stało, przecież mówiło się nieraz, że jesteśmy przyjaciółmi.

– Widzisz, Zbyszek – rzekł Stolarek poważnie – nie wiem, czy ty to zrozumiesz. Zresztą ja sam nie wiem dobrze, co się stało. Ja muszę się o czymś przekonać, muszę rozgryźć coś, czego też nie rozumiem. Ty nie myśl, że ja tak z tym boksem na serio, tu nie tylko chodzi o boks. Mnie się wydaje, że ja wielkiego szumu nie narobię; zdrowy jestem, ten trener – Gniotek – powiada, że na swoją wagę mam dobre warunki fizyczne, ale to wszystko nie o to chodzi. Czasem już też mi nosem wyłazi ta mordęga na treningach – to nie dla mnie takie życie. U chłopaków zawsze miałem dobrą opinię, jak komu trzeba było w twarz nałożyć, to wszyscy wiedzieli, że można na mnie liczyć, że się nie złamię, że mam kwalifikacje; rozumiesz, że nie po to chodzę na te treningi, żeby się nauczyć, bo jak trzeba kogoś wykopcić, to ja temu trenerowi jeszcze mogę dać lekcję. To nie o to chodzi.

– No to o co? Skończ tę mowę, niech ja wiem – Kamiol wyjął wódkę i dolał sobie do piwa.

– Z forszą też jest słabo. Powinienem coś zarobić, postarać się, ale teraz nie mogę. Nie mogę, rozumiesz, i już. Muszę dociągnąć do pierwszego kroku. Jak mi tam wstawią bańki i skończy się moja kariera, to w porządku, wracam do branży i wszystko będzie po dawnemu. Jak nie... to jeszcze nie wiem, co będzie. Ja muszę się przekonać, co za tym siedzi...

– Za czym? Mów jasno, do cholery, bo dosyć już mam tej przemowy niemego do mikrofonu. Stolarek przysunął się do Kamiola.

– Pamiętasz tego kierownika? – spytał.

– Jakiego kierownika?

– Tego, co nas nie pozwolił bić wtedy, jakżeśmy poszli na lewo na Warszawa – Poznań.

– Aha, już wiem, ten, co mi wódkę unieszkodliwił. Drań.

– Drań, nie drań. Ja z nim miałem jeszcze do czynienia, tylko że nic ci nie mówiłem. Ty wiesz, co ja z nim miałem za numer? Byliśmy kiedyś z chłopakami w kinie „Ochota” i tam, po wyjściu, trzeba było jakiemuś studenciakowi spuścić baty, bo się mądrzył. Załatwiło się bez krzyku, ale jak przyskałem, złapał mnie ten kierownik, który stał z boku i wszystko widział. Wiesz, znasz mnie, jak ja jestem przy melodii, to się nikogo nie boję, a chyba nikogo jeszcze w życiu nie miałem takiej ochoty skopać, jak wtedy tego kierownika. Byliśmy sami, ciemno, pusto, cegły pod ręką i wiesz – palcem nawet nie tknąłem. Czy się bałem, czy co, nie wiem, cholera, ale nie to najdziwniejsze. Najdziwniejsze, że on, który mógłby jedną pluchą kaszę ze mnie zrobić – on też nie uderzył. A zły był... Rozumiesz coś z tego?...

– Nic – rzekł Kamiol. Cała rzecz wydała mi się raczej nudna po tylu wstępach. – Ale co to wszystko ma wspólnego z boksem? Uderzył, nie uderzył, co tobie do tego? Przecież nie

trenujesz, żeby mu kiedyś oddać, taki wariat chyba nie jesteś?...

– Mnie się wydaje – powiedział wolno Stolarek – że to ma coś wspólnego z boksem.

W każdym razie chcę to sprawdzić.

Dalszy rozwój historii Jana Stolarka nie zawiera w sobie momentów sensacyjnych, oszałamiająco ciekawych lub przynajmniej tak pouczających, aby godne były uwiecznienia w jakiś wyjątkowy sposób. Ktoś, obserwujący pilnie życie ośrodka, na terenie którego rzecz cała się zaczęła, względnie studiujący kroniki sekcji pięściarskiej klubu „Spójnia”, ten ktoś na pewno nie zostałby specjalnie zafrapowany historią Stolarka, która niczym nie wyróżniła się z ogólnego kłębowiska spraw tych instytucji. Przypuszczać należy także, że przyszły biograf kierownika – o ile taki się znajdzie – również nie zdoła odszukać szczególnych wpływów tej historii w jego życie.

W dorocznym pierwszym kroku bokserskim – tradycyjnej imprezie dla debutantów – Stolarek startował w wadze lekkiej, wygrał swoją walkę bez trudu i w ładnym stylu. Gniotek był zachwycony, kierownik, stojący jak zwykle daleko od ringu, pod drabinkami, uśmiechał się zagadkowo.

– Nic z niego nie będzie – powiedział potem do Gniotka – to jest łobuz, a nie pięściarz. Trafi na swego, który mu pokaże, co to jest boks. I długo nie będzie na takiego czekać.

– Tttty nnnie idziesz pppostępem – denerwował się Gniotek – ttto jest fffajting, nnnnajnowszy sty-sty-styl...

– Nie ucz mnie, Stefan, dobrze? Ja wiem, co to jest fighting. Wiedziałem o tym wcześniej niż ty. Każdy łobuz uważa, że jest fighter, ale nie każdy fighter na ringu jest łobuz i w tym tkwi zasadnicza różnica. Jeśli facet idzie na siłę i bez przerwy do przodu dlatego, że cała metoda jego treningu i cała taktyka nastawione są na ten sposób walki – to jest fighting. Ale jeśli ktoś pruje przez trzy rundy „na ura”, bo wierzy, że furia, zjadłość i własne mięśnie stanowią dostateczne dane do młócki, której przebiegu i wyniku nie stara się nawet przewidzieć – to taki jest dla mnie łobuz i na ringu wielkiej kariery nie zrobi. Spójrz tylko na oczy twego Stolarka w trzeciej rundzie, a będziesz wszystko wiedział.

Część warszawskiej prasy była jednak zdania Gniotka i nazajutrz wyrażała się raczej pochlebnie o Stolarku, którego nazwała „fighterem w stylu Antkiewicza” i „ujawnionym przez pierwszy krok, godnym zainteresowania talentem pięściarskim”. Kierownik, przeczytawszy te słowa, pomyślał sobie: „No, teraz skończyli chłopaka na dobre. Przewróci mu się w głowie ze wszystkim...” Pomylił się jednak. Stolarek nie wykazywał żadnej zmiany w swym zachowaniu i postępowaniu, tak jakby w ogóle nie czytał gazet, jakby nikt mu nie składał gratulacji, jakby koledzy nie klepali go z podziwem po plecach, a podpity Kamiol nie powtarzał z mieszaniną ironii i zadowolenia w głosie: – A co, nie mówiłem? Zawsze wiedziałem, że z Jaśka będzie gwiazda...

– Przychodził nadal regularnie na treningi, trenował pilnie, ze swoistą zaciętością, mówił mało. Gniotek był wzruszony.

– Mmmmmusisz się jjeszcze du-u-u-žo u-u-czyć – powtarzał i otaczał Stolarka specjalną opieką, wierząc, że znalazł w nim to o czym marzy każdy trener, a więc talent i pięściarskie morale – dwa czynniki, stanowiące w sumie ideał pięściarza, czyli równie nieosiągalne jak

każdy ideał.

Pierwsze oznaki psucia się tego stanu rzeczy pojawiły się zaraz no zwycięstwie Stolarka nad Klusińskim, niezłe notowanym, rutynowanym zawodnikiem warszawskim. Było to w ramach meczu międzyklubowego o mistrzostwo okręgu; „Spójnia” odmłodziła skład, Gniotek przeforsował wystawienie Stolarka w lekkiej i w ten sposób Stolarek znalazł się na otoczonym kilkoma tysiącami widzów ringu, został zaprezentowany publiczności w nowiutkim klubowym dresie, wśród błysku lamp reporterskich, i po raz pierwszy wciągnął w nozdrza atmosferę meczowego podniecenia, zainteresowania swoją osobą, popularności. Było to zupełnie coś innego niż na sparringach i na pierwszym kroku. Tam widział tylko swego przeciwnika, którego należało zniszczyć, aby uspokoić łomot własnego serca i głód zwycięstwa. Tu Stolarek dostrzegł samego siebie, swoją własną smukłą, muskularną sylwetkę, odbitą w tysiącach spojrzeń. Kiedy po gongu został z Klusińskim sam pomiędzy linami ringu, zrozumiał w błyskawicznym olśnieniu, że to wszystko, co za chwilę uczyni – uczyni dla tych spojrzeń, że zwycięstwa chce, ale dla oklasków, których urzekający przedsmak poczuł przy prezentacji. Poszedł więc do Klusińskiego jak huragan, odstonięty niemal zupełnie, z lewą zwisającą luźno w dole, elastyczny w kolanach jak sprężyna, nabrzmiały rozpierającą go, młodzieńczą siłą w drżących żądzą walki piersiach i barkach. Lecz Klusiński nie był gapa, spędził ładne parę lat na ringu, jego małe oczka, głęboko osadzone po obu stronach złamanego nosa, szybko oceniły sytuację i Stolarka. Zakrył się szczelnie, uciekał od wymiany ciosów, polował na celne, krótkie, błyskawiczne kontry. W drugiej rundzie Stolarek szalał, bił ostrymi seriami mało precyzyjnie, lecz ciosy jego miały potencję, ich gęstość wstrząsała Klusińskim. Inkasował mnóstwo, twarz miał opuchłą od uderzeń, oczy zwężyły mu się do dwóch ciemnych, groźnie błyszczących szparek. – Teraz go masz na widelcu – rzekł do Klusińskiego sekundant, gdy ten w czasie przerwy dyszał ciężko w swym rogu. – Facet wypompował się zupełnie. To było do przewidzenia, takie tempo...

Oczywiście – sekundant ów pomylił się fatalnie. Przez całą третią rundę Stolarek gonił Klusińskiego po ringu, bił chaotycznie, ale bił, i to mocno. Opór Klusińskiego kruszał i tylko jego rutyna, a także niedoświadczenie Stolarka, sprawiły, że spotkanie nie skończyło się nokautem. Grzmot oklasków przetoczył się przez widownię; otulonego w płaszcz przez Gniotka, schodzącego z ringu Stolarka powitały spojrzenia pełne sympatii i uznania. Jakby czując ich przedziwną moc, Stolarek sprężył się w sobie, rozkołysał krok i począł odwijać bandaże ręczne, co miało znamionować klasyczną postawę pięściarza po zwycięskim starciu.

Nazajutrz prasa pisała o „młodym, żywiołowym Stolarku, który stoczył ładną walkę, wykazał znakomitą kondycję, świetne warunki fizyczne, bojowość, ale mnóstwo braków technicznych”. Gniotek był na ogół zadowolony i mówił:

– Zzzzobaczycie, wyrro-o-bi się... Mmmmmłody jest.

Natomiast kierownik uśmiechnął się, pokiwał głową i powiedział:

– Ten Klusiński, taki stary cwaniak, a przecież tępak i noga. Gdyby kontratakował w drugiej

rundzie, zrobiłby z tego Stolarka marmoladę. Musiał przecież wiedzieć, że takim młodziakom jak Stolarek starczy pary nie na trzy, ale i na pięć rund, żeby nie wiem jak inkasowali.

Stolarek zaś zjawiał się po raz pierwszy od czasu rozpoczęcia kariery pięściarskiej na rogu Chmielnej i Marszałkowskiej, w centrum handlu biletami kinowymi. Miał na głowie nową cyklistówkę z wytwornie podgiętym do góry daszkiem i nowy szalik. Przyjęto go tam z dużymi rewerencjami. Rudy, mężczyzna w nieokreślonym wieku, o gładko ogolonej twarzy, przylizanych włosach i zapitych, niebieskich oczach, ubrany w zniszczony skórzany płaszcz, przywitał go serdecznie:

– Jak się masz, kozak. Tylko nie zapomnij o starych kolegach, kiedy cię zabrają na olimpiadę. Uprzedź przedtem, może będzie można na tym parę złotych zarobić...

Stolarek uśmiechał się łaskawie, nie bez poczucia własnej wartości. Nie odmówił także pociągnięcia sporego haka z zaofiarowanej mu uprzejmie ćwiartki. Widocznie uznał, że obecnie jego bokerska przyszłość stanowi pewny i niewzruszalny fakt, któremu nie jest w stanie zaszkodzić drobna ilość wódki.

W niedługim okresie Stolarek stoczył kilka następujących po sobie walk. Nie wszystkie były zwycięskie, ale nawet przegrane nie obniżały dobrej o nim opinii. Jego pozycja stawała się jasno określona. Prasa nie forowała go zbyt, widząc w nim ciągle jeszcze tylko dobry materiał na pięściarza. Zdanie to podzielali warszawscy działacze klubowi, specjaliści i trenerzy, nie wyłączając Gniotka. Jedynie kierownik utrzymywał, że Stolarek nigdy nie będzie pierwszorzędnym zawodnikiem, ze zdaniem jednak swym nie afiszował się zbyt, tak że nikt nie mógłby go posądzić o jakieś osobiste uprzedzenia. Na początku nowego sezonu zaszedł wypadek, który wywołał na twarzy kierownika uśmiech pełnego zrozumienia. Stolarek bił się już teraz w wadze półśredniej, rozwinął się i nabrał mięśni przez te kilka miesięcy intensywnego uprawiania sportu, znalazł się więc w wyższej kategorii. Do Warszawy przybyła bardzo silna ósemka jednego z klubów śląskich, „Spójnia” wystawiała specjalnie doborowy skład i początkowo Stolarek nie był typowany do drużyny. Tak się jednak jakoś stało, że lepszy od Stolarka zawodnik w półśredniej nie mógł startować i na dwie godziny przed meczem zapadła decyzja, że Stolarek wyjdzie na ring; jest tedy rzeczą zupełnie zrozumiałą, że nigdy tak Stolarkowi nie zależało na zwycięstwie jak tym razem, tym bardziej że z ewentualnym sukcesem łączyła się sprawa pożyczki ze strony klubu, która stała się dla Stolarka w tym czasie nieodzowna. Tym razem jednak zwycięstwo było rzeczą bardzo trudną do osiągnięcia. W przeciwległym rogu stanął Gruszka, mistrz okręgu śląskiego, młody, dwudziestoparoletni chłopak, którego czerwona, szeroka twarz i krępa, żyłasto-koscista budowa wskazywała wyraźnie na chłopskie pochodzenie. Spod żółtych włosów patrzyły na Stolarka twarde, jasne oczy, upór, kamienista siła – oto zawarte w postaci Gruszki elementy, które wydawały się cechować także i jego ducha. Ruszający do boju Stolarek był jakby przeciwstawieniem Gruszki. W jego napiętej, unerwionej, muskularnej sylwetce tlił się wybuch, zryw, pasja. Przez półtorej rundy Stolarek atakował, lecz wszystkie ataki rozбивały się o ścianę chłopskiej odporności. Gruszka przyjmował każdą

walkę, nie uciekał przed zwarciem, a w zwarcu łomotał wolno, lecz regularnie, jak cepem, w korpus Stolarka. Po raz pierwszy Stolarek pomyślał w czasie walki. Myśl ta sformułowała się w groźną prawdę, już widoczną poprzez zalewający oczy pot, wibrującą przez szum krwi w obolałej, oszołomionej czaszce: „Jak go nie skończę teraz, nie wytrzymam z nim trzeciej!...” Gruszka pracował jak maszyna; jego ciosy nie miały w sobie dynamiki uderzenia, ale niszczyły, otępiały, podrywały siły systematycznie, stale, dokładnie. Przy wyjściu ze zwarcia raczej kocim instynktem ulicznika niż świadomą wolą Stolarek uderzył głową w luk brwiowy Gruszki. Był to przerażająco zręczny, błyskawiczny gest, którego umyślności nikt nie zauważył, ani sędzia ringowy, ani punktowi, ani dziennikarze, ani publiczność, nikt – z wyjątkiem stojącego pod drabinkami kierownika. Po sekundzie Stolarek nic już nie widział poza ciemniejącym punktem nad prawą brwią Gruszki... „Bić w ranę! – myślał gorączkowo – tylko w ranę!...” Po jednym, niezbyt nawet silnym, uderzeniu krew zaczęła spływać wąską strużką na oko Ślązaka, Stolarek zaś bił z zaciętością w rozmazującą się plamę krwi, dopóki nie zalała ona całej skroni, po czym sędzia ogłosił techniczny nokaut, niewyczerpany, silny Gruszka powędrował klnąc do rogu, a Stolarek wygrał walkę. Wszyscy go potem chwalili za dzielną postawę wobec tak groźnego i rutynowanego, jak Gruszka, przeciwnika, ściskali mu dłonie, klepali po ramionach. Idąc do szatni Stolarek zetknął się z wzrokiem stojącego pod drabinkami kierownika; spośród setek utkwionych weń oczu wyłonił tę jedną parę chłodnych, jasnych, pełnych w tej chwili ironii i zrozumienia, i pojął natychmiast, że kierownik wie wszystko. Umknął wtedy spojrzeniem w bok i uśmiechnął się stereotypowo do oklaskujących. Ubrał się i zamiast powrócić na roztrzęsioną meczowym podnieceniem salę, wyszedł z gmachu ośrodka.

Było pogodne niedzielne przedpołudnie, na ulicach ludzie spacerowali powolnym, świątecznym krokiem. Stolarek napił się piwa w kiosku na rogu i powędrował w stronę Alej. Szedł bez określonego celu; głowa bolała go od uderzeń Gruszki, czuł wzbierające skrzeplą krwią posiniaczenia wokół oczu, ale najgorszy był natłok myśli, które rozsadały mu czaszkę. Po co to wszystko? Po co te miesiące ogromnego wysiłku na treningach, po co ta cała mgła niezrozumiałych rzeczy wokół problemu: jak należy postępować w życiu, kiedy okazuje się, że jeden nie zauważony łobuzerski gest bezwzględnie wykorzystany, może przynieść człowiekowi sukces, oklaski, uznanie... Szukał w boksie odpowiedzi na pytania, których nawet nie potrafił sformułować, a które gnębiły go w niejasny, zamazany sposób, i co znalazł? Znalazł raz jeszcze potwierdzenie, że brak skrupułów, posunięty aż do okrucieństwa, jest najlepszą rękojmą powodzenia, że świat trzeba bić i oszukiwać – aby zręcznie, aby cwanie, tak, aby wraz ze zwycięstwem zdobywać sympatię i szacunek. A przecież wśród tych wirujących myśli jak przenikliwy zgrzyt widniała ciągle i uparcie para chłodnych, jasnych, ironicznie i wszechwiedząco zmrużonych oczu; nie mógł się tych oczu pozbyć, czuł bezustannie ich spojrzenie. Jakże nienawidził tego kierownika!... Dotąd nie wiedział, dlaczego go nienawidzi, dziś pojął to całkowicie. Przecież nikt inny, tylko ten kierownik swoją osobą, swymi słowami, swym postępowaniem zaprzecza temu wszystkiemu, co on, Janek Stolarek, uważa za słuszne, piękne, cenne, wartościowe. Ten

człowiek o barach atlety stanowi niezrozumiały błąd w Stolarkowym rachunku świata i życia, w tym prostym, nieskomplikowanym, oczywistym rachunku; błąd, którego nie sposób nie zauważyć, błąd, który wikła wszystko w tysiące piekielnie trudnych zagadnień. Jak tedy nie nienawidzić człowieka, w którym wszystko jest niezrozumiałe i który samym sobą wyzwala proste, wygodne pojęcia?

Nie dochodząc do Koszykowej spotkał dwie znajome dziewczyny ze swojej dzielnicy, z którymi wdał się w towarzyską rozmowę na temat rzeczy prowadzących wprost do zasadniczego celu. Umówił się z nimi na wieczór, kombinując, jak tu zdobyć pieniądze na kontynuowanie tak miłej znajomości. O kierowniku nie pomyślał już ani przez chwilę. Powziął natomiast mocne postanowienie powrotu do interesów i zlikwidowania swego dobrowolnego bezrobocia, które zmuszało go do korzystania z wiktury ojca furmana, nałogowego pijaka, ongiś dobrze prosperującego dorożkarza.

Wieczorem dziewczęta stawily się punktualnie na rogu Chmielnej i Żelaznej, jak to było umówione. Wystroiły się odpowiednio i podmalowały tanią szminką, która śmiesznie odcinała się od pospolitej, zdrowej urody ich młodych twarzy. Stolarek przyszedł w towarzystwie Kamiola, który miał finansowe całą imprezę. Weszli w czwórkę do narożnego baru, pełnego o tej porze ludzi, jak to przy niedzieli. W powietrzu gęstym od wyziewów alkoholu i dymu tytoniowego, brodząc wśród zabłoconych trocin, którymi wysypana była podłoga, Stolarek poczuł się jak młody koń, który po długim czasie niewoli znalazł się znów na przestronnej łące. Nabrzmiałe wódką twarze, zamglone oczy, niepewne, chwiejące się postacie, brzęk naczyń i łoskot akordeonu, zalane piwem i wódką stoliki, cyklistówki, brudne kurtki kelnerów, jazgot knajpy – wszystko to było mu dobrze znajome i bliskie. Usiedli przy wolnym stoliku w kącie, Kamiol zrzucił na podłogę mokrą, brudną papierową serwetę, czym wywołał cierpką uwagę kelnera. W ogóle Kamiol zachowywał się prowokująco od chwili wejścia do baru i ostentacyjnie informował wszystkich wokoło o przedpołudniowym zwycięstwie Stolarka nad mistrzem Śląska. Kiedy pojawiła się na stole wódka, Stolarek początkowo certował się kokieteryjnie, że on – sportowiec, że jemu – nie wolno, dał się jednak bez większego trudu namówić i wypił dwie stopki pod mały kawałek ogórka. W tym samym czasie Kamiol użerał się z kelnerami i kwestionował szereg najnaturalniejszych zjawisk, powołując się przy tym co chwila na zdanie Stolarka, który przytwierdzał ostro i zaczepnie. Do kłócaącego się kelnera doszlusowało dwóch jego kolegów, z których jeden, chłop wielki, kościsty i nie pierwszej młodości, zdawał się tu być wykidajką, czyli specjalnym funkcjonariuszem do regulowania zatargów z gośćmi. Ten to pan, poruszony do żywego jakąś uwagą Stolarka, oświadczył:

– A ty nie bądź dla mnie znów taki kozak... Nie takich bokserów pogotowie spod mojej ręki odwoziło...

Słowo: „bokserów” miało w tym zdaniu tak ironiczną intonację, że Stolarek wstał, oczy mu się zwężyły i zaprawił kelnera otwartą ręką w brodę. Kelnerzy, którzy byli znakomitymi fachowcami, rzucili się momentalnie i zbiorowo na Stolarka, Kamiol przewrócił stolik, dziewczęta wycofały się spokojnie i bez paniki pod drzwi, a w środku sali powstał rodzaj

próżni, w której Stolarek, zachęcany przez Kamiola okrzykami w stylu: „...Pokaż tym lamusom!...” – kotłował się z trzema kelnerami naraz. Teraz dopiero okazało się, co dał pilnie trenowany boks w połączeniu z długoletnim życiowym doświadczeniem, wszystkie uniki, zwody, doskoki ujawniały teraz swą błogosławioną celowość, każdy cios Stolarka miał piorunujący efekt, o jakim nie można było nawet kiedyś marzyć. Gdy po kilku minutach walki jeden z kelnerów, trafiony potężnym swingiem w żołądek, osunął się na podłogę, drugi cofnął się, aby ręką poszukać krzesła, a trzeci, wykidajło, ocierając krew z rozbitych warg sięgnął po butelkę – wtedy interweniowała publiczność, zaczęło się ogólne szamotanie, rozdzielanie, godzenie. Skończyło się, jak to najczęściej w Warszawie, na honorowym dla obydwu stron załagodzeniu sporu; pękło przy tym mnóstwo wódki, dużo było krzyku, całowania się po spoconych policzkach, namiętnego przekonywania i skakania do oczu. W każdym razie zdarzenie to dało podstawę do krążącej długo wzdłuż Żelaznej, Towarowej i Chłodnej legendy o bohaterskich czynach Stolarka w starciu z kelnerami, legendy powtarzanej z nabożeństwem przez dziesięcioletnich smarkulów z całej dzielnicy. Ta rodząca się młojojecka sława zawierała w sobie momenty fatalistyczne, zmuszała bowiem Stolarka do jej gruntowania i podtrzymywania, podtrzymywać zaś można ją było tylko przez ciągle dystansowanie własnych wyczynów. Cisza i spokój wokół jego osoby oznaczały upadek mitu i prestiżu, powtarzanie tych samych awantur osłabiało pierwotne osiągnięcia, należało więc dokonywać wciąż rzeczy większych, huczniejszych, sensacyjniejszych. Doszło do tego, że podpity Stolarek zakładał się ze swymi kolegami na ulicy, iż uderzy pierwszego lepszego przechodnia, który wkroczy na uprzednio przez nich wybrany i oznaczony kwadrat trotuaru. Realizował te bzdurne przechwałki i prowokował bezsensowne awantury, uchodzące mu jakoś bezkarnie. Chłopcy byli zachwyceni, on sam chodził jak udzielny władca w królestwie pięści. Szybka decyzja do maltretowania bliźniego wydawała mu się najcenniejszą zaletą mężczyzny, a wprowadzanie w czyn tej decyzji – chwałą jego życia. Pięść i zdolność posługiwania się nią była dlań bożyszczem i jedyną wartością tego świata.

W kilka tygodni po tych wypadkach miało się odbyć doroczne spotkanie Warszawa-Poznań. Kiedy w kapitanacie sportowym okręgu przystąpiono do ustalania składu, wszystkich zadziwiła propozycja kierownika odnośnie obsadzenia wagi półśredniej.

– Przeciw Cichoniowi, który na pewno będzie się bić w ósemce Poznania i który podobno jest w doskonałej formie, musimy wystawić kogoś, kto będzie miał szansę zwycięstwa z tym zawodnikiem. Cichoń reprezentuje taktykę, myśl, opanowanie i wyszkolenie, wobec tego, skoro nie mamy zawodnika o równorzędnych, tych samych zaletach, szansę może mieć tylko zawodnik o cechach przeciwstawnych, krańcowo różnych. Moim zdaniem takim przeciwnikiem dla Cichonia jest w Warszawie tylko Stolarek – dowodził kierownik spokojnie i rzeczowo.

Podniosły się liczne zastrzeżenia, ale rozumowanie kierownika było słuszne, a jego znanstwo i autorytet niezaprzeczalny. W końcu postanowiono wstawić Stolarka do reprezentacji i w ten sposób znalazł się on na zalanym światłem ringu, tkwiącym w morzu głów wypełnionej po brzegi hali ośrodka.

Nastrój był od początku pełen podniecenia, tłumy nie mogły dostać się na salę z powodu braku miejsc, ludzie wisieli dosłownie na ścianach. Cała niemal sportowa Warszawa chciała asystować przy starciu dwóch najsilniejszych w tym sezonie centrów pięściarskich. Błyski jupiterów i lamp reporterskich, przytłumiony pomruk zemocjonowanych tłumów, tłok i nieporozumienia przy wejściu – wszystko to składało się na atmosferę imprezy o dużym ciężarze gatunkowym. Ósemka Warszawy w czerwono-żółtych dresach przyjęta została owacyjnie.

Stolarek był początkowo trochę przytłoczony tą niecodzienną atmosferą skondensowanego, nie wyzwolonego jeszcze przez krzyk podniecenia. Stojąc w szeregu podczas przemówień starał się nie patrzeć w tłum; oglądał swego przeciwnika, który nie wzbudzał w nim sympatii. Cichoń wyglądał jak przeciętny, dobrze odżywiony i czysto wymyty uczeń lub student. Był mocno, lecz pospolicie zbudowany, nic w jego sylwetce nie było ciekawego, rzucającego się w oczy. Przy prezentacji Stolarek dostał wielkie brawa; zwłaszcza zgromadzona na galerii młodzież w cyklistówkach z podgiętymi daszkami oklaskiwała frenetycznie swego, krew z krwi i kość z kości, stojącego tam, na ringu, oko w oko z obcym, nienawistnym im typem młodego mężczyzny. Padały okrzyki, ochryple i przesiąknięte licznymi łykami wódki:

– Jasiek!... Pokaż mu!... Wstaw mu bańki!... Jajeczko! Zabij mistrza!

„Jajeczko” był to przydomek Stolarka w szerokich kołach towarzyskich ulicy Żelaznej i jej przecznicy, i pochodził od kunsztownej jego fryzury; „mistrz” odnosiło się do Cichonia, który był mistrzem Polski juniorów. Występując na środek ringu Cichoń skłonił się na dwie strony, podszedł do Stolarka i podał mu rękę, uśmiechając się przyjaźnie. Jego jasne oczy wyrażały zainteresowanie, szczerą sympatię dla ładnego, smagłego chłopca z Warszawy, któremu ścisnął obandażowaną dłoń. W postawie Stolarka zabrakło tej samej sportowej serdeczności. Uśmiechnął się także, lecz tylko ustami, ciemne jego oczy badały Cichonia

przenikliwie i twardo.

Kiedy Stolarek i Cichoń, po czterech poprzedzających walkach, zasiedli w przeciwległych rogach, atmosfera w hali zagęszczona była do niemożliwości. W poprzednim spotkaniu, w wadze lekkiej, wygrał poznaniak, werdykt sędziowski nie znalazł jednak uznania wśród publiczności, która protestowała gwałtownie i długo. Przechodzącego przez liny Cichonia powitały ostre, awanturnicze gwizdy. Stolarek miał za sobą widownię i masujący mu kark Gniotek jękał się podwójnie ze zdenerwowania.

– Szszszszansa! .. Ten nnnastrój może gggo wwwy-y-trącić z rrrównno-o-o-owagi.

Wskakując na ring, Stolarek utonął w oklaskach. Publiczność chciała w nim widzieć zwycięzcę i mściciela.

Natychmiast po gongu Stolarek rzucił się naprzód i zaraz po skrzyżowaniu rękawic zadał pierwszy cios. Krótki, silny, prawy sierp siedział dobrze i lewy policzek Cichonia zaczerwienił się mocno. Nie upłynęły dwie sekundy, gdy usiłującego powtórzyć atak Stolarka trafiła dynamiczna, stopująca kontra. W ten sposób zaczęło się sześć najbardziej upokarzających minut w krótkim życiu Janka Stolarka. Skupiony, szczelnie zakryty Cichoń zapanował nie tylko na ringu, ale nad samym Stolarkiem. Już w pierwszej minucie przerażony Stolarek pojął instynktownie raczej niż oczadziałym walką rozumem, że Cichoń nie broni się przed jego gwałtownymi atakami – jakby to się wydawało patrzącemu z boku – ale je paraliżuje, unieszkodliwia w zarodku. Jasne oczy Cichonia obejmowały przeciwnika chłodnym, badawczym, czujnym spojrzeniem, nie było w nich wrogości, znikła z nich jednak przedmeczowa przyjazność. Wzrok ten zdawał się docierać do samego centrum woli Stolarka, przenikać najkrótsze spięcia jego włókien nerwowych i mięśni; to wzrok ten sprawiał, że ciosy Stolarka łądowały na rękawicy Cichonia, że krótkie niebezpieczne haki zawsze trafiały na błyskawicznie podstawioną nasadę ramienia, za którą kryła się bezpiecznie szczeka, że zwody korpusu, szyi, głowy Cichonia w jakiś czarodziejski sposób zabierały o ułamek sekundy wcześniej cel, w który bił Stolarek. Przez całą pierwszą rundę Stolarek parł, przy wielkim krzyku widowni, do przodu, wykazując nieprzebrane złoża witalności, odporności i bitności. Ciosy jego miały w sobie dynamit, cóż z tego, kiedy łądowały na barkach i ramionach Cichonia, znacząc tam czerwone i sine plamy. Przy tym Cichoń nie unikał walki; nie dopuszczał do zwarcia, ale przyjmował chętnie wymianę ciosów na dystans i półdystans. Podczas takich spięć bił krótkimi, celnymi seriami – jedna z nich wylądowała na szczęce Stolarka, wstrząsnęła nim i zmusiła do cofania się. Wtedy broniący się dotąd Cichoń piorunująco rzucił się do przodu, bijąc z obu rąk w głowę i w korpus. Publiczność szalała, podobał się jej gwałtownie walczący Stolarek, od którego oczekiwała jeszcze więcej emocji, nie mogła jednak pozostać nieczuła na zademonstrowane przez Cichonia wartości. Gong przerwał atak Cichonia i uratował Stolarka przed ciężkim kryzysem. Odpoczywając w rogu, Stolarek nie słuchał bełkotu Gniotka, który w podnieceniu gubił całe sylaby. Nie czuł się nadwerężony w swym zapasie sił, tkwiło w nim mocne przekonanie o własnych możliwościach fizycznych; jednocześnie zaś, gdzieś w najskrytszych kątach serca, zaczął czaić się strach przed niezrozumiałym i niewiara w zwycięstwo. „...Nie to, że

jest lepszy technicznie... – myślał gorączkowo – to mógłbym rozbić, ale on wszystko wie... Jakim cudem on uprzedza każdy mój cios? Przecież nie sygnalizuję uderzeń, biję krótko i szybko... Och, żeby go móc kopnąć, zaprawić głową, nogą w brzuch...” Ogarnęło go naraz przemożne pragnienie zniszczenia Cichonia za wszelką cenę, za pomocą wszelkich, możliwych środków. „...Na ulicy to ja bym mu pokazał!...” – pocieszał się, ale wiedział, że była to czcza przechwałka.

Wraz z gongiem Stolarek był na środku ringu. Powitały go okrzyki zachęty i dopingu. Wyglądał groźnie, oczy miał zwężone i złe, drżał cały żądzą walki. Sunący naprzeciw Cichoń, obmyty dokładnie przez sekundanta, o jasnych, przyglądzonych włosach, wydawał się tu być przez nieporozumienie. Z miejsca też Stolarek wziął inicjatywę w ręce, zmusił Cichonia do obrony i wszedł w zwarcie, czym wywołał entuzjastyczny ryk widowni. „Teraz mu pokaże!...” – darli się warszawiacy. Stolarek miotał się w zwarcie z niespożytą siłą, obijał korpus Cichonia, rozsadzała go istna eksplozja bitewnego temperamentu. „...Teraz!” – przemknęło mu coś na kształt myśli. Ta błyskawica decyzji nie została jednak zrealizowana. Stolarek poczuł nagle żelazną, nieustępliwą blokadę własnej głowy przez bark Cichonia. Zanim jeszcze sędzia miał powód interweniować, napominać, ostrzegać – akcja została zduszona w zarodku. Natomiast coś jakby pogrożka błysnęła w zmrużonych z wysiłku oczach Cichonia i teraz nie było już dla Stolarka ratunku. Cichoń odskoczył i przeszedł do kontrataku. Piekielne, dublowane lewe proste szybko nastawiły Stolarka na właściwy dystans. Przez chwilę trwała wymiana uderzeń w miejscu, przy czym Cichoń porzucił metodę szczelnego krycia się i bił sierpami. Jego skurczona twarz o zaciśniętych szczękach nie uciekała teraz za osłonę rękawic. Jeszcze kilka sekund i Stolarek rozpoczął odwrót przed Cichoniem następującym jak niszczący huragan. Runda zmieniła się dla Stolarka w wieczność, w jego zasnutej mgłą uderzeń świadomości zrodziło się jedyne, wyczuwalne pragnienie: pragnienie końca, odgłosu gongu, położenia kresu męce. Zaczął kleić się do nacierającego Cichonia, klinczował, pętał mu ruchy ramion swym bezwładnym ciałem. Silny uppercut Cichonia rzucił go na deski, podniósł się na „sześć” zamroczony, lecz nieustępliwym. Wykonał nawet kilka zwolnionych, rozmazanych ruchów, co miało przypominać chęć ataku. Sympatia publiczności zmieniła się szybko i krańcowo; rozpoczął się wielki doping Cichonia, tłum chciał klęski słabszego i to klęski dotkliwej, ostatecznej – nokautu; pod adresem klinczującego Stolarka padały pełne okrucieństwa okrzyki:

– Pajac!... Jajeczko!... Popraw włosy!... Cichoń! W brylantynę go...

Znawcy boksu wyrażali jednak swoje uznanie dla Stolarka.

– Co za twardy facet! Po takich batach jeszcze stoi na nogach!... Ale ma zdrówko...

Jeszcze jeden cios w odkryty żołądek, poprawka w szczękę i Stolarek upadł na kolana.

Sędzia odesłał Cichonia do rogu i zaczął liczyć. Stolarek otarł krew z rozbitych ust i usiłował się dźwignąć, gdy zabrzmiał gong. Trzecia runda, rzecz jasna, nie odbyła się i Stolarek, podtrzymywany przez Cichonia, na chwiejnych nogach opuścił ring.

Wyjący i wymachujący rękami tłum widział jak przez zalaną deszczem szybę, kiedy szedł niepewnie, podtrzymywany przez jednego z kolegów, jakby niekończącym się szlakiem

upokorzenia – przez halę do rozbieralni. Na dole wyplukał usta, zabrał rzeczy z szafki i przeszedł do dolnych natrysków, położonych jeszcze o piętro niżej. Nie chciał się za nic spotkać z Cichoniem, który za chwilę mógł pojawić się w łazience. Nie wyobrażał sobie rozmowy z nim, uważał go za wroga, który go pokonał. Ze zwycięskimi wrogami trudno jest rozmawiać.

Usiadł pod prysznicem na kafelkowej podłodze i odpoczywał. Letnia woda kojąco działała na potłuczone ciało, zmywała ból i oszołomienie z głowy. Umył się, ubrał i opuścił gmach ośrodka tylnym wyjściem. Nie uszedł jednak dwudziestu kroków, kiedy natknął się na idącego mu wolno naprzeciw kierownika.

– Właśnie na ciebie czekałem – powiedział kierownik – to trochę nieładnie z twojej strony, że wychodzisz z meczu, gdy twoja drużyna jeszcze się bije, ale ostatecznie można ci wybaczyć. Natomiast nie sposób wybaczyć ci twego zachowania wobec Cichonia, które nie było godne sportowca.

– Niech się pan ode mnie odczepi – warknął Stolarek i przyspieszył kroku.

Kierownik przytrzymał go za rękę.

– Zaraz. Nie uciekaj. Przecież nic ci złego nie robię – głos kierownika był łagodny, poważny, przyjazny – ja uważam, żeś stoczył porywającą walkę. Uległeś lepszemu od siebie, popełniłeś błędy, ale biłeś się wspaniale. Gdybyś zrozumiał, na czym polegają twoje braki, gdybyś je wyrównał, miałbyś wszelkie dane na zwycięstwo nad Cichoniem. Bez uciekania się do...

– Do czego?... – spytał powoli Stolarek i obrócił na kierownika wzrok pełen ciemnej nienawiści. Spotkał przyjazne, poważne spojrzenie jasnych oczu. Ścisnął kurczowo w kieszeniach ręce dygocące z przeogromnej chęci zadawania w te oczy ciosów.

– ...do swoich kozackich numerów, które cię kompletnie zawiodły tym razem. Okazało się, że Cichoń, frajer i gapa, zna się na tych rzeczach niegorzej od ciebie i potrafi cię zawsze wykołować. Jestem pewny, że nie tylko na ringu, ale i na ulicy, o każdej porze. Kiedy ty to zrozumiesz, Stolarek?...

Przez chwilę szli obok siebie w milczeniu.

– Dlaczego ty mnie nienawidzisz? – spytał nagle kierownik.

– Nie wiem – odparł machinalnie chłopak – nie wiem, ale...

– ...nienawidzę. Możesz nie kończyć, ja o tym wiem.

– Widzi pan – zaczął Stolarek z wahaniem – ...ja rzeczywiście coś takiego do pana czuję.

Pan... jak to powiedzieć... pan mi się nie zgadza z tym wszystkim, co ja myślę, że jest dobre, że tak powinno być. Gdybym ja miał pana siłę, gdybym ja wiedział o biciu to, co pan wie, i umiał to, co pan umie, to dla mnie nie byłoby mocnych na świecie. A tymczasem pan ma żonę, dzieci, dom, jeździ pan codziennie do pracy tramwajem i gdyby pana milicjant zatrzymał za nieprawidłowe przejście przez ulicę, to pan by mu na pewno zapłacił mandat. Jak wszyscy ludzie. Zamiast jechać gdzieś daleko w świat, być wolnym od rodziny i obowiązków, pokazywać ludziom, co się znaczy i jak się ma ich wszystkich gdzieś, to pan taki zwykły, normalny...

Kierownik kiwał poważnie głową. Potem zatrzymał się, uśmiechnął się serdecznie, ujął Stolarka za brodę, uniósł jego twarz do góry. W oczach kierownika znalazł Stolarek pełne zrozumienie wszystkiego.

– Widzisz, Janek – powiedział kierownik – bić się trzeba o coś. Jeśli myślisz, jeśli nie przestajesz myśleć, wtedy wiesz, o co się bijesz, kiedy zaś wiesz o co, wtedy bicie się ma sens. Inaczej jest bzdurą, słyszysz, kompletnym idiotyzmem, nie prowadzącym nigdzie. Toteż zawsze ten, kto myśli, zwycięża nie myślącego. Pamiętaj o tym, to jest w boksie pierwsze przykazanie. Pięściarz, który czuje czyjeś gorące uczucia na swych rękawicach, który wie, że bijące serca jego zwolenników czy rodaków towarzyszą każdemu ciosowi, taki pięściarz zawsze bije się lepiej, taki pięściarz myśli, czuje, bije się o coś. Nawet zawodowiec, bijący się o pieniądze, stoi wyżej od zabijaki, bijącego się dla samego bicia. A skoro raz zaczniesz myśleć, szybko pojmiesz, że siła i pięść to nie wszystko, to nawet bardzo mało, że siłą i pięścią możesz regulować świat tylko w zasięgu własnych ramion, a te ramiona są bardzo, bardzo krótkie. To, co ciebie, Janek, gniecie, to mnie kiedyś, dawno, też gniołło. Potem jednak pojąłem, że trzeba inaczej...

– Jak? – spytał Stolarek cicho.

– Gdybym ci teraz powiedział jak, wszystko poszłoby na marne. Rzekłbyś sobie w duszy: „Co tam stary głądzi. Taka mowa to do wiatru...” I za pięć minut nie pamiętałbyś ani jednego słowa. Tacy ludzie jak ty muszą sami przegryźć się przez pewne rzeczy. Pamiętaj tylko o tym, że długo można kozakować, ale w końcu zawsze znajdują się tacy faceci jak Cichoń, którzy będą szybsi o dziesiątą część sekundy i zablokują to, co się nie zgadza z prawidłami. A także tacy jak ja, którzy będą na ciebie czekać przed wyjściem, jakim będziesz chciał wyjść, nie zauważony przez nikogo. Ci ludzie będą wiedzieć, że chcesz właśnie tym wyjściem wyjść, to jest potęga myśli i na tym właśnie polega życie w społeczeństwie. Pomyśl sobie nad tym, a jak to zrozumiesz – przestaniesz mnie chyba nienawidzić... Kierownik poklepał Stolarka po ramieniu i odszedł. Stolarek odwrócił się, chciał coś jeszcze powiedzieć, lecz kierownik był już daleko, wmieszany w spokojnie spacerujący, niedzielny tłum.

Warszawa, styczeń 1950 r.

Hanka

W jednym z warszawskich gimnazjów uczyła się młoda, nie więcej chyba niż czternastoletnia, dziewczynka imieniem Hanka i nazwiskiem Klimczak. Ta Hanka Klimczakówna nie była ani ładna, ani brzydka, ani mądra, ani głupia, ani zalotna, ani skromnisa, ani krzykliwa, ani zbyt spokojna i w ogóle trudno powiedzieć, jaka była, gdyż o dziewczynkach w tym wieku nie można nic takiego powiedzieć. Mówi się o nich zazwyczaj, że dopiero przyszłość pokaże, co z nich będzie i powiedzenie to nie jest pozbawione słuszności, gdyż przyszłość taka nadchodzi bardzo szybko i nim się człowiek obejrzy, po jednej wiosnie i po jednym lecie ma przed sobą bardzo ładną i bardzo mądrą pannę, albo nic z niczym. W tym jednak czasie, kiedy przedstawiam wam Hankę, jest ona jeszcze zupełnie nieforemnym zadatkiem na kobietę, z przydługimi rękami, o palcach uwalanych atramentem, kilkoma piegami wokół nasady bladego noska i błękitnymi oczami. Jedynym szczegółem, który jest w Hance modny i światowy zarazem, są włosy; tak się bowiem złożyło, że modne są obecnie włosy krótko przycięte i niedbale a filuternie potraktowane, a la cochon irrité – jak je nazwała pewna wielka polska pisarka. Ta moda jest niesłychanie na rękę pensjonarkom, gdyż mogą one sobie wzajemnie przycinać włosy, ignorując fryzjera. Zabieg taki wymaga jedynie dobrej woli, pary dobrych nożyczek i jako wzoru eleganckiego magazynu ilustrowanego z modnie uczesanymi główkami. Natomiast, dla sprawiedliwości, przyznać trzeba, że mimo tych zainteresowań Hanka uczyła się znośnie, nie została w żadnej klasie na drugi rok i rodzice byli z niej na ogół zadowoleni co nie znaczy jednak, aby poświęcali jej zbyt wiele czasu. Ojciec Hanki był technikiem budowlanym, wiemy zaś wszyscy, jak bardzo są zajęci technicy budowlani teraz właśnie, kiedy odbudowuje się Warszawę. Matka Hanki pracowała również jako ekspedientka w wielkiej spółdzielni spożywczej, toteż rodzinie tej powodziło się znośnie. Hanka chodziła dobrze i ciepło ubrana, a jej starszy brat, Roman, studiował inżynierię lądową na politechnice. Ciemną stroną ich życia było ciasne, niewygodne i brzydkie mieszkanie; tak się bowiem złożyło, że pan Klimczak był uczciwym człowiekiem, gardził wszelkimi kombinacjami i żył z ciężko zapracowanych wynagrodzeń, co nie pozwalało mu na kupno własnego, wygodnego mieszkania, zaś Warszawa nie jest jeszcze aż tak dalece odbudowana, aby wszyscy rzetelni i pilni pracownicy mogli otrzymać przestronne, jasne pomieszczenia mieszkalne. Te okoliczności powodowały, że Hanka, o ile to było możliwe, spędzała czas poza domem. Rodzice dawali jej dziesięć złotych tygodniowo jako tak zwane kieszonkowe, którą to sumę Hanka, zależnie od nastroju, obracała na bilety kinowe, względnie chrupkie rurki z kremem, wypiekane w specjalny sposób na oczach konsumenta. Bardzo dużo też spacerowała w towarzystwie dwóch swych najlepszych przyjaciółek, Basi i Zuzy, która w istocie nazywała się Zosia, lecz od najmłodszych lat była w pretensjach i zdeformowała sobie kokieteryjnie, zbyt prosto – jej zdaniem – brzmiące imię. Basia i Zuza we wszystkim niemal podobne były do Hanki, z tą różnicą, że rodzice Basi byli biedniejsi i Hanka do spółki z Zuzą pokrywała zazwyczaj rachunki w lodziarni i koszt biletów kinowych. Wszystkie trzy

należały do organizacji młodzieżowych, słuchały referatów, ale mało interesowały się życiem świetlicowym. Wynikało to z tego, że ani Hanka, ani Basia, ani Zuza nie miały żadnych ambicji artystycznych, zaś w świetlicach przeważnie gra się albo tańczy w zespołach, albo śpiewa, albo wystawia się różne rzeczy na scenie. W ogóle te zamierzenia ich były jeszcze całkiem nie skryształizowane, a w związku z tym – ambicje nie ustalone. Wprawdzie Hanka mawiała, że chce studiować w przyszłości medycynę, Zuza miała zamiar być kiedyś bardzo elegancką i marzyła w cichości o swej przyszłej wielkiej urodzie, ale były to jeszcze pierwociny zamiarów. Jedynie Basia zwierzała się przyjaciółkom, że chce mieć dom, rodzinę, dzieci oraz gotować swemu kiedyś – mężowi dobre i obfite posiłki, i chociaż była ona jeszcze smarkulą, wszystko wskazywało na to, że tak będzie. Na razie tedy wszystkie trzy wystawały godzinami w ogonkach przed kinem po to, aby zobaczyć Celikowską, którą bardzo lubiły, czy pozazdrościć trochę Szaflarskiej. Ważkim momentem w ich życiu było, gdy Zuza dostała pierwsze pantofle na wysokim obcasie, drewniaczki – rzecz jasna – ale zamszowe i bardzo ładne. Spacerowały wtedy długo po Marszałkowskiej i Zuza, choć bardzo ją bolały stopy, wcale się do tego nie przyznała. Rozwodziły wtedy żarliwie problem kobiecej wytworności, który dla nich dopiero co zaistniał, i oceniały krytycznie, pewne swego świeżutkiego znawstwa, przechodzące warszawskie elegantki i piękności, bez względu na wiek. Doszły przy tym do wniosku, że kobieta powinna być ładna i wzbudzająca podziw, że to chyba bardzo w życiu pomaga, chociaż nie jest jedynym celem kobiety, i wprawdzie Zuza upierała się przy tym, że to może być jedynym celem, to jednak Hanka i Basia miały swoje zdanie. Natomiast uroda i wytworność słabo kojarzyły się dla nich jeszcze z faktem istnienia na świecie mężczyzn i wydawały się im raczej konieczne dla imponowania innym kobietom. W tym miejscu należy powiedzieć słów kilka o stosunku Hanki, Zuzy i Basi do chłopców. Otóż trzy te dziewczynki były dziewczynkami współczesnymi co się zowie, uczyły się w szkole biologii i nawet nie wiedziały o tym, że winę za pewne sprawy zwałało się kiedyś na bociany, jako że miały współczesnych rodziców, którzy potrafili unikać przestarzałych metod w informowaniu swych dzieci o świecie. W klasie ich było także sporo dziewcząt, które całowały się już z chłopcami na wieczorkach szkolnych i w strasznym sekrecie opowiadały o tym wszystkim koleżankom na pauzach. Niemniej jednak Hanka, Basia i Zuza mało interesowały się tymi sprawami, mało interesowały się chłopcami i co tu dużo mówić – chłopcy jeszcze mniej interesowali się nimi. Czy ten stan rzeczy zawdzięczać należy temu, że wszystkie trzy miały jeszcze bardzo patykowate nogi, czy temu, że żadna z nich nie była specjalnie ładna – sam nie wiem, po prostu było tak i już. I chociaż znały wielu chłopców z ulicy Belwederskiej i okolic (mieszkały przecież niedaleko od siebie, właśnie w tamtej dzielnicy), a także chodziły czasem z chłopcami na spacer, po których wymieniały wrażenia i poglądy na temat, który chłopiec jest ładny, a który głupi, to jednak wszystko to mniej je obchodziło niż ploteczki o koleżankach, nauka w szkole i nowe filmy. Sportem interesowały się trochę, po części dlatego, że wszyscy się nim interesowali, a już brat Hanki, Roman, i stryj Zuzy, niejaki pan Wąsik, byli cenionymi i znanymi sportowcami, głównie jednak za sprawą nauczycielki gimnastyki z ich szkoły. Ta nauczycielka, panna Danuta, była zapaloną

entuzjastką sportu, młodą absolwentką Akademii Wychowania Fizycznego, która wynajmowała dla swych uczennic wspaniałe sale gimnastyczne w warszawskich domach kultury fizycznej, grała z nimi w siatkówkę i starała się im zaszczepić całą znaną sobie radość, płynącą ze sportu. Panna Danuta była przy tym ładna, zgrabna, zawsze schludnie i przyjemnie ubrana, umiała ciekawie opowiadać o wyczynach sportowych i wielkich polskich sportowcach, podbijała wszystkie serca swym urokiem i miłym sposobem bycia, zdobywała ogólną sympatię. Jednym słowem wywierała taki wpływ, że wiele dziewczynek, a także trzy znane nam przyjaciółki, zastanawiało się poważnie, czy po skończeniu szkoły nie wstąpić na AWF i być potem taką jak panna Danuta.

Zeszłego roku późną wiosną i latem, przed wyjazdem na wakacje, dziewczęta chodziły nad Wisłę od strony Portu Czerniakowskiego, na dawną plażę Ligi Morskiej, gdzie opalały się, kąpały i czytały książki. Potem rozjechały się każda w swoją stronę. Hanka wyjechała do krewnych na Dolny Śląsk; Zuza udała się wraz z matką na wczasy do domu wypoczynkowego w Ustroniu Morskim, zaś Basia spędziła lato u ciotki w Klarysewie pod Warszawą. Hanka poza rozlicznymi przyjemnościami, jakie nastęrczył jej pobyt w małym miasteczku nie opodal Jeleniej Góry, w czasie tych wakacji nauczyła się pływać. To znaczy, że i przedtem Haneczka jako tako poruszała się w wodzie, ale tam, w tym Agnieszkwie, był bardzo ładny basen pływacki, a także pewien kuzyn Hanki, miejscowy sportowiec i motocyklista, który patrząc na jej pływanie, rzekł:

– Eee tam, też pokraka z ciebie, Hanka – i nauczył ją ruchów żabki.

Było trochę niesprawiedliwe to powiedzenie o pokrachości Hanki, sprzeczne z rzeczywistością i dowodziło zarazem niefachowości kuzynowego spojrzenia. Hanka mimo niedoroślej, nie ukształtowanej jeszcze sylwetki i szczupłych kończyn – miała w sobie jakąś naturalną zręczność i płynność ruchów. Wody nie bała się ani trochę, szybko nauczyła się strzałki, unosząc się lekko w wodnej powierzchni, a potem, przedziwnie szybko, opanowała ruchy i system pływania żabką, a nawet krytą żabką. Nie przywiązywała zresztą do tego zdarzenia większej wagi poza zamiarem chwalenia się przed koleżankami w Warszawie, ale z czasem odkryła w sobie szczególne upodobanie do pławienia się w ciepłej i czystej wodzie pływalni. Odtąd, przez resztę pobytu, gdy pogoda dopisywała, nie opuszczała basenu; wskakiwała, pełna zapału, do wody, nurkowała, bawiły ją bąble wypuszczanego pod wodą powietrza, kładła się na wznak, pływała tam i z powrotem, otwierając oczy w zielonym bezmiarze pod powierzchnią i wsłuchując się w przyjemny szum, otaczający uszy, gdy płynęło się z zanurzoną głową. Po powrocie z wakacji pani Klimczakowa spojrzała na Hankę bez specjalnego uznania i rzekła:

– Opaliłaś się, to prawda, ale i zeszczuplałaś, dziewczyno, na tych feriach. Cóżes ty tam robiła?

Hanka tłumaczyła, lecz tłumaczenie to nie trafiło mamie do przekonania. Istotnie, mama swoją rację miała, gdyż Hanka mizerniejsza była niż przed wyjazdem; oczywiście jest jednak, że mama nie mogła dostrzec, jak niektóre ścięgna Hani stały się ścięgnami z istic stalowych nitek, ani jak woda wygładziła i wzmocniła to, co z czasem miało się stać mięśniami

Haninych nóg, ramion i barków.

Pierwsze spotkanie z Zuzą i Basią było przyjemne i ożywione. Patrzyły na siebie wzajemnie z dużą ciekawością, gdyż bardzo się w gruncie rzeczy przez ten czas zmieniły, jak to się mówi: wydorosłały. Zuza nawet coś tam zrobiła ze swymi brwiami, ale nie było na razie o tym mowy, natomiast Hanka, skora do wykazania swych nowo nabytych umiejętności, zaproponowała pójście na plażę. Na to Zuza:

– To nie ma sensu, ta cała brudna plaża. Chodźmy na „Legię”, tam jest naprawdę elegancko, a my już jesteśmy na tyle dorosłe, że trzeba się pokazywać między ludźmi. Pływalnia na Łazienkowskiej, zwana w Warszawie popularnie „Legią”, była rzeczywiście gwarna, elegancka i bardzo zajmująca. Pełno w niej było atrakcji i ładności: ładne rozbieralnie, kabiny i leżaki, mnóstwo ładnych pań w oryginalnych kostiumach kąpielowych, ping-pong, wieża skoków i inne różności. Dziewczęta znały „Legię” i przedtem, przedkładały jednak dotąd zaciszność czerniakowskiej plaży nad światowość pływalni. Teraz uznały jednak, że Zuza ma rację i że plaża nie umywa się do pływalni. Spotkały też wielu znajomych chłopców z Belwederskiej, którzy, rzecz ciekawa, zaczęli baczniej przyglądać się starszym o jedno lato dziewczętom. Leżeli więc wokół nich na słońcu i toczyła się zajmująca rozmowa towarzyska, w czasie której Zuza opowiadała o tym, jak tańczyła tango ze znajomym jej mamy w Ustroniu, zaś wiodący prym wśród chłopców piętnastoletni młodzieniec, niejaki Witek Ciepussyński, poinformował wszystkich, że jest juniorem sekcji pływackiej klubu „Legia” i że ma startować niebawem w zawodach stylem klasycznym. Hanka spytała, co ma on na myśli, mówiąc „styl klasyczny”; Witek wykonał dla objaśnienia kilka ruchów, na to Hanka oświadczyła, że to żabka, zaś Witek, zły z powodu dewaluacji terminu „styl klasyczny”, rzekł z ironią:

– No tak, niby żabka, ale głowę trzeba mieć pod wodą.

Na to znów Hanka, że oczywiście, że to kryta żabka i że ona także to potrafi. Całe towarzystwo, zaintrygowane wyraźnym sporem, przeniosło się tedy na brzeg basenu, po czym Hanka wskoczyła z wdziękiem do wody i przepłynęła krytą żabką całe pięćdziesiąt metrów.

Na brzegu basenu stał właśnie nieduży, bardzo opalony pan w kolorowym czepku pływackim, białych spodenkach i drewnianych wodniackich chodakach. Pan ten miał szeroką, umięśnioną klatkę piersiową, krótkie, ale bardzo potężne, brązowe ramiona, bystre, ciemne oczy i rozmawiał z innym panem, szczupłym i jasnowłosym, z zakręconym na szyi włochatym ręcznikiem. Kiedy Hanka płynęła nie opodal, tęgi i opalony pan rzekł:

– Oho.

Na to drugi, ten z ręcznikiem:

– Co to znaczy: oho?

Na to znów opalony, wskazując na Hanę:

– Widzi pan tę dziewczynę?

– Widzę. Pływa. I cóż z tego?

– Nic.

– A właściwie, że nic, bo pływa źle.

Hanka wychodziła z wody i obciągała na sobie mokry kostium. Na ten widok blondyn w ręczniku dodał:

– Smarkata. I to wcale nieładna.

Ale Hanka klóciła się widać z Witkiem, czego z odległości nie było słyhać, za chwilę wskoczyła znów do wody i płynęła z powrotem. Gdy przepływała obok, tęgi i opalony pan rzekł:

– Hmmm.

– Panie – zwrócił się doń owinięty w ręcznik – co to wszystko ma znaczyć?

– Nic pan nie dostrzega? – spytał opalony.

– Nic a nic. Po prostu pływa dziewczyna jak może.

– Widzi pan, panie redaktorze, ludzie dzielą się na tych, co lubią pływanie, którzy znają się na pływaniu i którzy zjedli zęby na pływaniu. Ja należę do tych właśnie, co zjedli zęby.

– O tym wie cała Polska – przyznał redaktor zgodliwie, choć z przesadą – ale co to ma wspólnego z tą smarkulą?

– Otóż ma. Ta mała nie ma zielonego pojęcia o pływaniu, ale ma także ruchy urodzonej pływaczki. Niech pan spojrzy, jak ona ładnie leży na wodzie, na jej miękkie, ekonomiczne ruchy, zda się dokonywane bez wysiłku, a jakże efektywne poruszenia. To są rzeczy wrodzone, których nie da żadna nauka. Kto wie, może jakiś talent? Ale pan się na tym nie zna.

– Oczywiście – zgodził się raz jeszcze redaktor – skąd ja mogę o tym wszystkim wiedzieć i widzieć wcześniej od pana, skoro ja jestem tylko dziennikarzem sportowym, a pan jest słynnym Karrambą.

– Mhmm – oświadczył Karramba i krzyknął głośno w stronę Hanki: – Hej, ty tam, koleżanko, wylaż z wody!

Upłynęło kilkanaście sekund, zanim Hanka spostrzegła, że się na nią woła. W pierwszej chwili przeraziła się bardzo, czy aby coś się nie stało, potem przeraziła się jeszcze bardziej, skoro uświadomiła sobie, że woła na nią ktoś starszy, wyglądający jak dyrektor pływalni. Przemknęło jej przez myśl, że może zgubiła w wodzie kostium, ale tak nie było. Pełna niepokoju dopłynęła więc do brzegu i wyszła po schodkach z wody tuż obok Karramby. Cała ta scena wywołała sensację w grupie znajomych Hanki, którzy pobiegli w ich stronę, przy czym Witek był kompletnie zelektryzowany i wołał:

– Rany Julek! Czego od niej może chcieć Karramba?

Ale Karramba zostawił zaciekawionego redaktora i rozgorączkowane towarzystwo Hanki, pchnął tę ostatnią lekko przed siebie i zaprowadził ją na jedno z pięter wieży skoków, gdzie usiedli sobie, wygodnie zwieszając nogi i mając zieloną powierzchnię basenu pod sobą. Po czym odbyła się między nimi następująca rozmowa:

Karramba: – Ile masz lat?

Hania: – Czternaście.

Karramba: – Lubisz pływać?

Hania: – Lubię.

Karramba: – A czy wiesz, że nie umiesz?

Tego Hania nie wiedziała, a była raczej przekonana, że jest odwrotnie. Ale jako nieśmiała i dyplomatycznie uzdolniona panienska odparła:

– Umiem bardzo słabo.

Karramba: – A chcesz się nauczyć dobrze i czałem?

Hania: – Chcę.

Karramba: – Do szkoły chodzisz?

Hania: – Chodzę.

Karramba: – Przed czy po południu?

Hania: – Przed.

Karramba: – To dobrze. Posłuchaj: Teraz nie warto zaczynać, zbliża się jesień i koniec letniego sezonu. Przyjdiesz do mnie we wrześniu, powiedzmy: dwudziestego, na krytą pływalnię. Zapiszę cię do klubu i zaczniesz trenować. Zobaczemy, co z ciebie można zrobić. Aha, moje nazwisko jest Majewski, ale wszyscy nazywają mnie Karramba. Ty też możesz.

– Klimczakówna jestem – przedstawiła się w odpowiedzi Hanka.

– Klimczak. No, dobrze – powtórzył Karramba – pamiętaj: we wrześniu. A teraz do widzenia i nie mocz się zanadto w wodzie, bo i tak chuda jesteś aż strach.

Hanka była trochę zrażona obcesowością pana Karramby i tym, że ją tykał. Ostatecznie nie jest przecież dzieckiem. Ale skoro Witek powiedział jej, kto to jest Karramba, jaki to wielki trener i instruktor i jak wszyscy w Warszawie, to znaczy cały świat pływacki, uważają go za ostateczną instancję i wyrocznię w sprawach stylów, czasów, rekordów, czała, motyla, battement i wielu innych mało zrozumiałych wyrazów – wtedy Hance zrobiło się całkiem przyjemnie. „Co on we mnie zobaczył?” – zastanawiała się w duchu. W domu opowiedziała o tym zdarzeniu, ale nikt się tym bliżej nie zainteresował, nawet brat Roman, zapalony wprawdzie lekkoatleta, lecz w tym czasie mocno zajęty egzaminami. Rozpoczęły się lekcje, życie przyniosło ze sobą we wrześniu dużo nowych i ciekawych wrażeń, ale Hanka nie zapomniała o umówionej dacie. Nie powiem, aby wyczekiwała jej z bijącym sercem i marzyła o niej przed zaśnięciem, co to, to nie, ale nie zapomniała. Poszła więc w oznaczonym dniu do owego wielkiego gmachu użyteczności publicznej w okolicach placu Trzech Krzyży, o którym wiedziała, że mieszczą się w nim sale świetlicowe, hale sportowe, kryta pływalnia, czytelnia i sala teatralna. Gmach ten nie był jej obcy, jak nie jest obcy żadnemu uczniowi czy żadnej uczennicy w Warszawie, nie znała go jednak bliżej i więcej wiedziała o nim z opowiadań starszych koleżanek, które bywały w nim na zabawach tanecznych, niż z własnych doświadczeń. Zaraz przy samym wejściu jakiś pan spytał ją o legitymację, której Hanka nie posiadała, zmieszana się przeto bardzo i wydawało się jej, że wszyscy ludzie, których pełno było w obszernym hallu, patrzą na nią uporczywie. Zmieszana się więc jeszcze bardziej i szepnęła, że ona na pływalnię, do pana Karramby, na co kontrolujący pan zmarszczył się i spytał:

– Do kogo?

Hanka pomyślała sobie, że ten pan to chyba nie pływak i już zupełnie cichutko dodała, że do trenera Majewskiego. Wtedy pan ten uśmiechnął się, pozwolił jej wejść i Hanka poczuła się trochę zagubioną w tym rozgwarze czternastoletnią dziewczynką, nie mającą pojęcia, w którą stronę należy iść dalej. Spytała jednak rezolutnie kogoś, gdzie jest pływalnia, ten ktoś rzucił: „Na lewo, w prawo, potem schodami w dół”, gdyż śpieszył się widocznie, i Hanka powędrowała długimi korytarzami i schodami. Powietrze stawało się coraz cieplejsze, coraz więcej widać było dziewcząt i chłopców, pań i panów w kolorowych dresach i wreszcie Hanka znalazła się przed jakimś łysym człowiekiem w zielonej koszulce gimnastycznej, który stał za kratą z drutu i spytał:

– Obywatelka młodociana do kogo?

– Ja do pana Karr... to jest Majewskiego.

– Zaraz. Już się robi.

I zaprowadził ją na pływalnię. Hanka była już tu kiedyś z panną Danutą i ze swoją klasą, ale wówczas ta długa, ciepła, wilgotna hala, wykładana kafelkami, z zieloną tafłą chlorowanej wody pod silnymi lampami – wywarła na niej inne wrażenie. Wtedy pluskały się w wodzie i wszystko przypominało wesołą zabawę w nieco dziwacznej, wielkiej łaźience; teraz Hanka ujrzała pływalnię tętniącą pracą jak radosna fabryka i rozbrzmiewającą rozkazami jak obóz harcerski. Karramba w długich petkach i białej koszulce sunął wzdłuż brzegu, zaś w wodzie po torze, oddzielonym od reszty basenu sznurem z korkami, płynął czałkiem jakiś młody człowiek.

– Głowa w dół! – krzyczał Karramba – głowa w dół! Nogi! Nogi mocniej!

Trenujący pracował ostro, zrobił nawrót, wtedy Karramba odwrócił się i spostrzegł Hanke.

– Aha, Klimczakówna – rzekł podchodząc do niej. – Czekałem dziś na ciebie. Punktualna jesteś, nie ma co. Zaczekaj chwilę, zaraz pogadamy.

Hance, która stała w płaszczu i berecie, było bardzo gorąco, ale zrobiło się jeszcze goręcej. Zapamiętał jej nazwisko, proszę, ten Karramba. Ciekawy typ. Trener zawołał jakiegoś młodego pana w płaszczu kąpielowym, z klubowym emblematem na piersi, któremu powiedział:

– Przypilnuj, żeby Jurek popłynął jeszcze dwieście, a Halina pięćdziesiąt na gaz. Zaraz i tak koniec godziny. Zapisz trening. Ja już idę, bo mam coś załatwić.

Po czym wszedł do rozbieralni i za chwilę wrócił zupełnie ubrany, tylko że zamiast marynarki miał na sobie górną petkę z emblematem klubowym. No i zaprowadził Hanke do jadalni.

Hanka stanęła w pąsach, gdy wchodzili na salę pełną roześmianych młodych ludzi i kolorowych dziewcząt. Bo i proszę, oni, ten wspaniały, wielki Karramba i ona, czternastoletnia dziewczynka w dziecinnych bawełnianych pończochach, a wszystkie oczy, z całej sali – tak się przynajmniej Hance wydawało – wbite w nich właśnie. Usiedli przy stoliku, Karramba zamówił dwie herbaty i po ciastku, po czym rzekł:

– Jak się nazywasz?

– Hanka.

– A więc słuchaj, Haniu, coś mi się widzi, że z ciebie będzie można zrobić niezłą pływaczkę, i to zawodniczkę. Musisz jednak wiedzieć, że droga do tego będzie bardzo trudna, uciążliwa i prowadzi tylko przez pilną pracę. Sport wyczynowy to praca, praca i jeszcze raz praca nad samym sobą, to żmudne i męczące treningi. Czy możesz zdecydować się na poświęcenie swego wolnego czasu, po szkole, na taką pracę?

– Chyba... uważam, że tak – rzekła niepewnie Hanka.

– To dobrze – uśmiechnął się Karramba. – Oto moja ręka. Postaramy się zostać przyjaciółmi, lecz musisz mi przyrzec jeszcze następującą rzecz: kiedy poczujesz, że jesteś zmęczona, że masz dosyć, że więcej nie możesz i nie chcesz – przyjdź do mnie i powiedz: „Karramba, mam dosyć!”, ale nie wymiguj się, nie markieruj, nie opuszczaj treningów. Wtedy będziemy kwita.

Uścisnął mocno rękę Hanki. Pogadali jeszcze trochę i Hanka poszła do domu. Przez drogę marzyła o swej fotografii w gazetach i o pobiciu rekordu Polski w niedalekiej przyszłości.

Położyła się spać bardzo rozgorączkowana.

Nazajutrz Karramba wręczył jej legitymację klubową i przystąpili do nauki crawla. Karramba układał jej ręce, długo pokazywał i obszernie tłumaczył zasady poruszeń – „na sucho” na brzegu basenu. Potem pozwolił Hance jeszcze dłużej pluskać się w wodzie, zajął się innymi zawodnikami i tak było przez kilka dni. Cały ten czas Hanka bawiła się sama; było to bardzo przyjemne i poznała wielu miłych, młodych ludzi, którzy traktowali ją bardzo po koleżeńsku. Potem Karramba nauczył ją oddechów i kazał pływać z deską treningową w wyciągniętych ramionach, lekko poruszając nogami; zaznaczył przy tym, żeby przerywała, jak tylko poczuje zmęczenie. Nie było to specjalnie miłe, gdyż ręce szybko cierpły, przy skrętach głowy i pomyłce w oddechu woda wlewała się do ust i uszu, lecz na ogół można było wytrzymać.

Aż tu pewnego dnia Karramba krzyknął do niej:

– No, Hanka, bierz dechę i pięćdziesiąt metrów same nogi! Hanka wzięła deskę i popłynęła, ale już po dwudziestu kilku metrach poczuła, że dalej nie może. Spojrzała z rozpaczą w górę, na kroczącego brzegiem basenu Karrambę, ale ten parsknął:

– Czego patrzysz? Pracuj! Wolno. Wolniej, regularniej...

Hanka zacięła usta i stukwała dalej cienkimi nogami rozpaczliwe battement: „Mój Boże! – kołatało jej w głowie – jak to wolno idzie! Nie wytrzymam, Matko Święta, nie dopłynę!” Ale waliła po desperacku i przeciwległy brzeg zbliżał się jakoś. Gdy wyszła, nogi chwiały się pod nią, ale Karramba poklepał ją po mokrych wątych plecach i rzekł:

– Bardzo dobrze.

Odtąd zaczęły się koszmarne dni. Na następnym treningu rozkrzyczany Karramba zmusił ją do przepłynięcia siedemdziesięciu pięciu metrów, na jeszcze następnym – stu. Przez trzy treningi płynęła po sto, z oczyma pełnymi łez. Potem sto pięćdziesiąt. Kładła się spać z bólem w lędźwiach, ze zdruzgotanymi plecami i porwanymi ścięgnami, czując każdą kosteczkę swego umęczonego ciała. Gdy Karramba po dwustu metrach kazał jej przepłynąć na gaz dodatkowe pięćdziesiąt, poczuła, że to koniec. Wywlokła się z wody i uczyniła krok w kierunku trenera. Ten jakby czekał na to. Ale wraz ze łzami w gardle jakiś ząb przyciął

niezależnie od jej woli jej własną wargę aż do krwi – i nie rzekła ani słowa. Karramba uśmiechnął się. Był to bardzo tkliwy uśmiech, aż tak tkliwy, że Karramba musiał się natychmiast odwrócić. Hanka zaś myślała: „To trudno. Jakoś wytrzymam. Zobaczą, co z tej męki wyjdzie. Jak nic, jak przegram w pierwszych zawodach – rzuć to wszystko. Ale wytrzymać muszę...” Po dwóch miesiącach skonstatowała, że gdy płynie normalnie, ręce-nogi, to przebywa jakoś strasznie szybko zamierzony dystans. Karramba mierzył coś tam na stoperze, jak pływała, ale nic jej nie mówił. Za to któregoś piątku rzekł:

– W niedzielę są zawody międzymiastowe w ramach których odbędzie się szereg konkurencji lokalnych. Jesteś wystawiona w klasie juniorów w naszej klubowej reprezentacji. Pamiętaj, to twój pierwszy start. Masz prawo przegrać, ale będziesz musiała walczyć. Przez dwie noce Hanka prawie nie spała. „Jak to dobrze – rozmyślała intensywnie – że w gruncie rzeczy nikt nie interesuje się bliżej ani w domu, ani w szkole tymi moimi szaleństwami pływackimi. Niby to wiedzą, ale nikogo to nie ciekawi. W niedzielę przegram, nikt się o niczym nie dowie, rzuć pływanie i koniec. Mam dosyć”.

W niedzielę po południu, o godzinie piątej z minutami, Hanka wygrała w ładnym stylu i o kilka długości przed przeciwniczkami swój pierwszy bieg w zawodach. Było to tak: kiedy weszła na pływalnię wraz z całą reprezentacją Warszawy, oszołomił ją inny niż zwykle wygląd tego miejsca. Pustawa zawsze pływalnia była jasno oświetlona i wypełniona ożywionym tłumem. Wszędzie głowy, oczy, twarze widzów, na górnych trybunach i ze wszystkich stron. Przy słupkach startowych znów tłum sędziów mierzących czas, oficjeli, panów ze związku pływackiego, działaczy klubowych. Wokół Hanki – zawodnicy Warszawy z syreną na płaszcach kąpielowych i ich przeciwnicy z Katowic, w niebieskich slipach i czepkach, oraz mnóstwo zawodników z jej klubu i innych klubów. Hanka przycupnęła na ławce, wciśnięta pomiędzy starsze zawodniczki, nikt na nią nie zwracał uwagi, a Karramba miotał się gdzieś daleko, przy stoliku sędziowskim, pertraktując z kierownikami ekipy Katowic i instruując czołowych zawodników Warszawy. To wszystko mogło oszołomić, lecz po kilku minutach oszołomienie ustąpiło gorącemu zainteresowaniu zawodami; Hanka darła się wraz ze wszystkimi i dopingowała swoich. W pewnej chwili usłyszała, jak spiker wymówił jej nazwisko i wezwał ją na start wraz z innymi zawodniczkami, i serce w niej zamarło. Nie zdawała sobie nawet sprawy z tego, kiedy skoczyła do wody, bez falstartu, którego tak się obawiała; dopiero w wodzie uświadomiła sobie jasno, że płynie pięćdziesiątkę dowolnym, że musi płynąć jak najszybciej i dać z siebie wszystko. Finiszowała z całych sił, a gdy ukończyła bieg, odwróciła się natychmiast i ujrzała, że cała reszta stawki płynie dopiero pół basenu z tyłu. Wtedy też dotarł do niej po raz pierwszy grzmot oklasków, jakim widownia przyjęła jej zwycięstwo. Wychodząc z wody ujrzała nad schodnią roześmianą twarz Karramby, który wołał:

– Haneczko! Extra-klasa!

Oczywiście nie wiedziała i nic nie powinna była wiedzieć o tym, że gdy ona, tam w wodzie, dawała z siebie wszystko – działacze, oficjele i znawcy klepali Karrambę po ramieniu,

mówiąc na wypródkę:

– Ty stary draniu! Skadześ tę smarkulę wygrzebał? Na medal jest! Proszę, jak leży na wodzie! A jaki posuw!

Słowa te były nacechowane serdeczną, życzliwą zazdrością, a jeden dziennikarz zawołał nawet entuzjastycznie:

– Panowie! To przecież talent!

W tym miejscu Karramba zachnął się całkiem srogo:

– Skończ pan tę nieprzytomną mowę, panie redaktorze, dobrze? Dziewczyna ledwie uczy się pływać, a wy, już talent!... Po co ten krzyk i ta cała wasza zakichana reklama? Już byście chcieli przewrócić jej w głowie i cała robota na nic...

Ale o tym wszystkim Hanka nie wiedziała, natomiast oklaski zapadły jej głęboko w serce. Tak już na całe życie; ten pierwszy, najbardziej upajający moment popularności, który pamięta się do śmierci. Dla takich oklasków robi się później wiele rzeczy, ale nigdy nie osiąga się takiego upojenia; w sporcie zaś, o ile nie żyje się równie silnym pragnieniem zwycięstwa, jak pożądaniem oklasków, owacje zniszczyły już niejednego człowieka. Ale o tym także Hanka jeszcze nie wiedziała i słodkie uczucie radosnej dumy zalewało jej serce, gdy stwierdziła, że ludzie pokazują ją sobie palcami, kiedy w swym szkolnym płaszczyku i berecie opuszczała gmach pływalni.

Nazajutrz we wszystkich warszawskich gazetach pisano wyraźnie: „50 metrów stylem dowolnym pań w kl. jun. 1. Klimczakówna H. 51,3”, a „Przegląd Sportowy” dopisał jeszcze: „Pewne nadzieje na przyszłość rokuje młodziutka zawodniczka warszawska Klimczakówna, która w konkurencji lokalnej juniorów odniosła przekonujące zwycięstwo”. Widocznie jednak ostry ton Karramby zrobił swoje i dziennikarze powściągnęli nieco swój przedwczesny entuzjazm. Ale i to wystarczyło, aby wywołać sensację w szkole i w domu. Zuza czuła się, nie wiadomo czemu, trochę urażona, Basia cieszyła się serdecznie z sukcesu Hanki, panna Danuta gratulowała jej serdecznie i dodała:

– Wchodzisz na trudną drogę. Pamiętaj – w sporcie grunt to wytrwałość i charakter. Wyniki przyjdą z czasem.

W domu Hanka miała minę dość niepewną, zwłaszcza gdy mama zaczęła:

– Teraz już wiem, dlaczego mi ciągle mizerniejesz. Nowa zabawa – pływanie. I to jeszcze w tajemnicy...

Ale ojciec i brat Roman oświadczyli zgodnie:

– Daj jej mamo, spokój. Hanka, dzieciuch, ale wcale nas nie zawstydziła. Tylko dlaczego ty, dziewczyno, nic nie mówisz? Uprzedź, kiedy pływasz w zawodach, a przyjdziemy cię podziwiać...

Długo, bardzo długo musieli wszyscy czekać na następny start Hanki. O sprawach tych decydował Karramba, a był to człowiek, który znał się na rzeczy i wiedział, jak trzeba w takich wypadkach postępować. Staszek Majewski, znakomity trener, był kiedyś w Ameryce Południowej i po powrocie stamtąd polski świat pływacki nazwał go Karramba,

choć przewisko to było niczym nie uzasadnione. Majewski nigdy nie używał tego hiszpańskiego słowa w rozmowie, kłął zawsze po polsku i po prostu ktoś kiedyś rzekł nań Karramba i tak już pozostało. Przyznać należy, że ten dźwięczny, pękaty przydomek pasował doń doskonale i wszędzie w Polsce, gdzie ktokolwiek pływał na czas jako zawodnik, stanowił synonim doskonałego znawcy, instruktora i fachowca. Tak więc Karramba zdawał sobie świetnie sprawę z tego, co należy z Hanką robić dalej, i w związku z tym postarał się o radykalną likwidację nastroju sensacji, jaki począł się wokół dziewczyny wytwarzać. Ujął tedy Hankę w karby żelaznej treningowej dyscypliny i słowem nie napomknął o możliwości jakichkolwiek startów w zawodach. Hanka pływała regularnie i długo, Karramba przedłużał dystanse, szlifował styl, mierzył czasy, wyglądał braki w pracy nóg, rąk i oddechach – jednym słowem pracował nad nią co się zowie. Treningi stawały się coraz mniej uciążliwe, nie przestając jednak wyczerpywać. Po wyjściu z wody Hanka odczuwała miłe zmęczenie spracowanych, lecz wyraźnie krzepnących mięśni. Sama nawet nie spostrzegła, kiedy rozpoczęła ową walkę o sekundy i ułamki dziesiątne sekund z oporną wodą i jeszcze oporniejszym czasem, walkę, w której umysł jej pracował w wodzie równie precyzyjnie jak członki – walkę, która jest udziałem tylko prawdziwego zawodnika. W życiu jej wkroczył wtedy stoper, to nieubłagane i zagadkowe bóstwo, którego niespodziewane i nieodwołalne wyroki stanowią źródło ogromnej rozpaczki lub rozsadzającej radości. Karramba posługiwał się stoperem umiejętnie, najczęściej mierzył czasy Hanksy dla własnej obserwacji, nie informując jej wcale; czar stoperu jednak działał, Hanka zaczęła dopominać się o swe rezultaty, Karramba musiał więc ustąpić i dopuścić ją, chociaż w małym stopniu, do pewnych rozważań nad tajemnicami sukcesu. Tak płynęły miesiące; Hanka była nadal niezłą uczennicą, chodziła od czasu do czasu do świetlic organizacji młodzieżowych oraz do kina z Basią i Zużą i wszyscy zaczęli powoli zapominać o jej pierwszym zwycięstwie, a o to przecież Karrambie chodziło. Wszystko zepsuł Wittek Ciepussyński. Spotkał on kiedyś Hankę na Belwederskiej i uważając się w duchu za właściwego odkrywcę jej pływackiego talentu oraz żywiąc do niej niejasną urazę, rzekł z ogromną ironią:

– Ty, Hanka, co ten Karramba tak cię konserwuje? Taki wielki talent, już mogłabyś być jakąś mistrzynią, ty zaś tylko trening i trening, nigdy nie startujesz... A tu młodość mija...

Hanka wyczuła złośliwość, toteż odparła z wyraźnie akcentowaną wyższością:

– Phi, znawca się znalazł... My mamy naszą metodę...

Ale słowa Witka rzuciły zły posiew. Przed zaśnięciem Hanka rozmyślała: „Bo też rzeczywiście! Jak popatrzę na taką Cielątkównę czy Kopciszewską i na te inne wielkie mistrzynie, jak się ruszają w wodzie, to jak babcię kocham – mogłabym z nimi walczyć jak równa z równymi. Czego ten Karramba chce?” A nazajutrz, na treningu, powiedziała odważnie do Karramby:

– Proszę mi powiedzieć, Karramba, dlaczego ja wcale nie startuję? Tyle było ostatnio spotkań międzymiastowych, mógł mnie pan wystawić przynajmniej w konkurencji lokalnej, a tu nic. Przecież ja potrzebuję szlifu i otrzaskania się z zawodami, potrzebuję rutyny...

Karramba spojrzał na Hankę bystro.

– Kto ci to powiedział? – rzucił.
– Nikt... ja tak sama sobie myślę...
– Nieprawda. Ktoś cię tu nieszczęśliwie napuszcza. Słuchaj, Hanka, ja wiem, co robię. A ty chyba masz do mnie zaufanie?
– No... mam.
– To w porządku. Będziesz startowała dopiero w mistrzostwach Warszawy, nie wcześniej jak za trzy miesiące. I to od razu w kategorii seniorów, słyszysz? A teraz marsz do wody, łap się za dechę i dwieście metrów nogi. No już!
Ciało Hanki zatoczyło śliczny łuk ze słupka do zielonej tafli. Biła nogami miękkie, miarowe battement, a w głowie jej tłukła się jedna, wielka radość. „O raju – furczało w tej głowie. – To ja im pokażę! Trzeba jeszcze zejść poniżej minuty dwadzieścia dwa, którą wydusiłam tydzień temu, a jak popłynę na mistrzostwach!...”

Wszystko odbyło się po myśli i według życzeń Karamby. W mistrzostwach Warszawy Hanka, w obecności swej rodziny, swych przyjaciółek, panny Danuty i jeszcze z górą tysiąca widzów, zwyciężyła bezapelacyjnie i w doskonałym czasie sto metrów stylem dowolnym pań, o trzy długości przed Kopciszewską i Cielątkówną. Karamba pocałował ją w policzek, publiczność, łomotała owacje, ojciec i Roman promienieli, mama Klimczak myślała, co tu dać Hani na kolację, aby ją pokrzepić po tym wysiłku, a Basia nawet uroniła coś ze trzy lzy ze wzruszenia. Gazety podały nazajutrz tłustym drukiem imię i nazwisko Hanki, prasa sportowa pisała w tytułach: „Rewelacyjna zawodniczka warszawskiego »Ogniwa«, Hanka Klimczakówna, zdobywa mistrzostwo stolicy!”, zaś w szkole panna Danuta i dziewczęta powitały ją oklaskami, przy czym bardziej wylewne ścisnęły ją mniej lub bardziej szczerze za szyję. Hanka żyła kilkanaście godzin jak we śnie, była przy tym bardzo wzruszona, ale już w dwa dni później poczuła się znów zagubioną, piętnastoletnią dziewczynką, która nie wie, co począć, a nawet – czego chcieć. Dnia tego bowiem przyszedł na trening znany działacz władz okręgowych związku pływackiego i w obecności Hanki rzekł do Karamby:

– No, Karamba, mam nadzieję, że zgodzisz się na to, że zaczniemy wystawiać Klimczakównę do reprezentacji?

Na to Karamba:

– Nie.

– Jak to? – zdziwił się działacz – Karamba, stary chłopie, przecież chyba zezwolisz na jej start w tegorocznych mistrzostwach Polski? To byłaby dla naszych barw duża pomoc i szansa.

A Karamba znów:

– Nie.

– Ale dlaczego?

– Bo nie chcę, abyście zrobili z dziewczyny sezonową gwiazdę. To będzie klasowa zawodniczka... Kiedyś... a jak do tego dojdzie, to moja w tym głowa.

I odesłał Hankę do wody, skąd widziała, jak długo jeszcze Karamba kłócił się z działaczem.

W duszy Hanka zaś wrzała walka. Kto ma rację? Z jednej strony stoi Karramba z sobie tylko wiadomym celem i środkami do tego celu wiodącymi, stary, poczciwy Karramba, któremu zawdzięcza wszystko, który jej nigdy nie zawiodł i któremu jest winna bezgraniczne zaufanie. Z drugiej – wyraźna, dotykalna już sława, cały haszysz szczęścia płynącego z popularności i sukcesów, wiecznie młodzieńcza zuchwałość i wiara w swe młode możliwości, w swoje nabrzmiałe młodością mięśnie i chodzące jak dobry motorek serce. Ta zuchwałość i wiara nie liczy się z niczym, jest w swej istocie bardzo głupiutka i niejednego doprowadziła już do klęski. Biedna Hanka! Myśli stukają w jej głowie jak czcionki maszyny do pisania, a w sercu zмага się tkliwa przyjaźń do Karramby z zarozumiałością. Tak ją to wszystko zmęczyło, że popuła pięćdziesiątkę pełnym gazem jak smukły ślizgowiec, aż siedzące nad brzegiem basenu zawodniczki gwizdnęły z podziwu:
– Ale ta Klimczakówna ma zryw! Talencik, nie ma co...

Tuż przed samym zakończeniem zimowego sezonu zaszedł wypadek, który zepsuł wiele krwi Karrambie. Wprawdzie wymusił on jeszcze względny spokój wokół Hanka, trenującej pilnie, żmudnie i bez protestu, użerał się z młodocianymi redaktorami przychodzącymi po wywiady i pracował nad Haninymi myślami, nie pozwalając im zbyt hasać po bezmiarach fantazji – to jednak nieszczęśliwy zbieg okoliczności pokrzyżował wszystko. Miał się właśnie odbyć mecz Warszawa – Wybrzeże, gdy dwie reprezentacyjne zawodniczki zachorowały i związek, pod groźbą kar dyscyplinarnych, nakazał Hance startować. Hanka wygrała łatwo, bijąc dwie rutynowe przeciwniczki z Gdyni, a przy okazji i rekord okręgu. Fotografowano ją w wodzie i po wyjściu z wody ze wszystkich stron, a to co się nazajutrz działo w prasie – to już była sława. Karramba wyglądał w czasie zawodów jak gradowa chmura, Hankę poklepał po ramieniu, ale nic nie powiedział, wyszedł nie pożegnawszy się z nikim, natomiast późnym wieczorem spotkałem go w jednym z warszawskich barów. Siedział sam nad szklanką czarnej kawy, ale poznać było, że rozmawiał przedtem długo z alkoholem i że to była smutna rozmowa. Ponieważ znamy się od dawna i bardzo lubimy, Karramba zwierzył mi się:
– Takie już moje szczęście, psiakrew! Znalazłem sobie dziewczynę – złoto, duży talent, powiadam panu, taki, o jakim każdy trener marzy, a jaki tylko raz w życiu znajduje. Sam pan przecież wie, że ja się na tym znam. Chciałem z niej uczynić zawodniczkę najwyższej klasy, taką, z którą moglibyśmy się pokazać na przyszłej olimpiadzie. I tu były możliwości, chociaż droga do tego poziomu jest ciernista i trudna. Ale ja wiem, jak po niej iść, i o tym, że ja wiem, wiedzą w Polsce inni. Tylko co? U nas w kraju ludzie z takimi rzeczami chcą na siłę, żeby już, od razu, sława, wyniki, gazety i w rezultacie przewracają zdolnym smarkaczom w głowie. A teraz? Chyba zmarnują dziewczynę i tyle...
Usiłowałem go pocieszać, lecz szło mi to bardzo opornie.

Któregoś wieczoru, wychodząc z treningu na krytej pływalni, Hanka spotkała w hallu owego gwarnego, pełnego młodzieży gmachu – Zużę. Zuza stała w otoczeniu kilku chłopców; miała na nogach swe zamszowe pantofle o wysokim obcasie i gdy Hanka podeszła bliżej,

zauważyła puder na czole, nosie i policzkach Zuzy. Wyglądało to trochę śmiesznie, gdyż właśnie bez pudru twarz Zuzy miała koloryt i świeżość apetycznego jabłka, ale widocznie tak się Zuzie lepiej podobało i uważała pudrowanie za rzecz potrzebną. Zuza chwyciła przechodzącą Hankę za ramię i przedstawiła swym towarzyszom, którzy odnieśli się do niej z dziwną atencją, jeśli wziąć pod uwagę, że Hanka miała na sobie tanie buciki, granatowy uczniowski płaszczyk i wyglądała nader mizernie przy bardzo wytwornej Zuzie. Jeden z młodych ludzi, zdobny we wzorzysty kolorowy krawat i ze śladami golenia na siedemnastoletnim obliczu, rzekł:

– A... sławna pływaczka. Znamy panią, znamy i podziwiamy. Tylko dlaczego nie udziela się pani towarzysko?

Hanka spytała, co on rozumie przez towarzyskie udzielanie się, na co pan ów odparł, że ma na myśli wspólne bywanie w kinach, taniec bugi-wugi, względnie sambę i picie lemoniady w stołówce tegoż gmachu, na dole, oraz dał do zrozumienia za pomocą kilku dowcipnych i swobodnych powiedzonek, że światowcom w jego typie nie obcy jest również alkohol.

Hanka porozmawiała jeszcze trochę, odpowiedziała jednak odmownie na wszelkie propozycje w sprawie reszty tak mile zaczętego wieczoru, krępując się – co tu dużo mówić – swego skromnego ubioru. Inny z młodych ludzi wyciągnął z tylnej kieszeni spodni alpakową papierośnicę, w której tkwiły cztery „Górniki”, i zwrócił się do Hanki:

– Pani pali?

Hanka zarumieniła się po rzęsy i odmówiła, wywołując tym pełną finezji uwagę:

– No jasne. Wy, ludzie sportu... Trening i surowy tryb życia. Natomiast Zuza pełnym dystynkcji ruchem sięgnęła po papierosa i zapaliła, krztusząc się przy tym nieznacznie. Wracając do domu Hanka rozmyślała intensywnie nad tym, czy rzeczywiście nie udziela się za mało w towarzystwie. Ostatecznie – jest kimś, pisują o niej w gazetach, oklaskują ją, a tymczasem poza pływalnią nikt na nią nie zwraca uwagi. Czyżby był to jakiś zastój w jej towarzyskim rozwoju? Zuza i inne koleżanki tak się zmieniły na przestrzeni roku, a ona ciągle jeszcze wygląda jak jakieś szare kaczątko. To chyba wina tego całego pływania, za dużo mu ona, Hanka, poświęca czasu i pracy. Trzeba te rzeczy jakoś zmienić... A na zakończenie pomyślała sobie, że ciekawe jest, co też ludzie widzą w paleniu papierosów, jaką to może sprawiać przyjemność? Trzeba kiedyś spróbować...

W początkach maja Karramba wezwał Hankę do pokoiku trenerów i rzekł:

– Twój start w reprezentacji Warszawy uważam za błąd. Ale trudno, nie odrobimy już tego. Postaram się natomiast o wyrównanie tego błędu w całym systemie letniej zaprawy, jaką dla ciebie przygotowuję. Teraz będziesz miała miesiąc przerwy, zaś w czerwcu przystąpimy do treningu na otwartej pływalni, na Legii, w godzinach rannych. Aha... – tu przerwał na chwilę i sięgnął do swej szafki, skąd wyjął nieduży pakunek. – A widzisz... dostałem od znajomych z Węgier, damski kostium kąpielowy. Tam robią takie ładne kostiumy. Mnie on na nic, ale pomyślałem sobie, że może tobie zrobi przyjemność, taki kostium. Proszę cię, to dla ciebie... I dał wzruszonej Hance bardzo piękny i strasznie modny, a zarazem szatańsko szykowny ciemnowiśniowy kostium, ze specjalnego materiału, zwanego teraz lanitexem. Hance aż się

gorąco zrobiło z radości na myśl, jak w tym kostiumie będzie wyglądać i jak niemy podziw wzbudzi w koleżankach. Chciała podziękować bardzo serdecznie Karrambie i powiedzieć mu, za jak dobrego go uważa przyjaciela, lecz nie mogła znaleźć od razu odpowiednich słów, a Karramba wyszedł na pływalnię i krzychał coś tam do trenujących zawodników. W domu Hanka przymierzyła kostium i z radością stwierdziła, że opina on ciasno i zgrabnie jej dziewczęcą figurkę. Natomiast pani Klimczakowa, asystująca przy tej przymiarce, rzekła nie bez zadumy i niepokoju:

– Aleś ty się rozwinęła przez ten rok, dziewczyno... Toż to cała panna na wydaniu... Rzeczywiście, ten rok intensywnej i mądrze kierowanej regularnej zaprawy sportowej zaznaczył się wyraźnie na sylwetce Hanki. Jej szczupłe dziewczęce ramiona nabrały krągłości i siły, rozrosła się i rozwinęła w plecach, a nade wszystko jej długie, dotąd tak chude nogi zarysowały się wreszcie prześlicznie i smukłe, wygładzone wodą i ćwiczeniami. Nie tracąc nic ze swej młodzieńczej wiotkości podlotka, figura Hanki nabrała cech zgrabnej i silnej postawności. W nowym kostiumie Hanka przypominała udany bardzo posążek, wymodelowany ręką jakiegoś radosnego rzeźbiarza, i wcale nie należy się dziwić, że w westchnieniu pani Klimczakowej znalazły się akcenty niespokojnej melancholii. Maj tego roku był wyjątkowo piękny, toteż skoro tylko otwarto pływalnię Legii, Hanka spędzała tam właśnie wszystkie swe wolne chwile. Wprawdzie kończył się rok szkolny i było trochę kłopotów z lekcjami, lecz Hanka była dobrą uczennicą i przejście jej do następnej klasy nie ulegało wątpliwości. Przychodziła więc na pływalnię po południu, a już we wszystkie niedziele i święta demonstrowała obowiązkowo swój nowy kostium bywalcom „Legii”. Z zaciekawieniem i nie bez zupełnie dla niej nowego uczucia satysfakcji uświadomiła sobie kiedyś, że ściąga na siebie spojrzenia osobników płci odmiennej i to nie tylko chłopców w jej wieku czy trochę starszych, ale i takich panów, którzy jeszcze w zeszłym roku, a może nawet i dziś – gdyby ją ujrzeni w ubraniu na ulicy czy w tramwaju – nie zwróciliby na nią najmniejszej uwagi albo mówiliby do niej per: „panienko, niech panienka...” Spojrzenia te niepokoiły ją nieco, chociaż nie potrafiłaby sobie wytłumaczyć dlaczego, a jednocześnie sprawiały jej wyraźną przyjemność. Jeśli zaś chodzi o koleżanki, to te, z Zuzą na czele, oświadczyły, że kostium jest wprawdzie ładny, ale już niemodny, że takie nosiło się w zeszłym roku, o czym one, koleżanki, już na pewno dobrze wiedzą. Wokół Hanki, Zuzy i jeszcze kilku koleżanek gromadziło się zawsze wielu chłopców. Dawni znajomi z ulicy Belwederskiej, z Witkiem Ciepuszyńskim na czele, przedstawiali dziewczętom coraz to nowych kolegów, następowała wymiana ukłonów podczas przygodnych spotkań, a po przybyciu na pływalnię szło się od razu na ulubione miejsce, na trybuny nie opodal wieży, gdzie pewnym się było spotkania innych znajomych. Do już obecnych mawiało się wtedy: „Kto jest ze znajomych?” i w ten sposób powstawało towarzystwo, swoja paczka, czy jak tam to chcecie nazwać, bo dobrze wiecie, o co chodzi, i sami przynależycie do podobnych paczek. Gdy tak leżeli i siedzieli w słońcu młodzi, zdrowi, opaleni chłopcy i dziewczęta w kolorowych kostiumach i czepkach na spłowiałych od słońca i wody włosach, o brązowych nadętych siłą i młodością ramionach i szczupłych brzuchach,

gdy flirtowali, gwarzyli i spierali się, roześmiani i krzykliwi, puszący się i nadymający kandydaci na rekordzistów i waterpolistów – gdy tak to właśnie wszystko czynili – wyglądali na doroślejszych, niż byli w istocie. Dopiero ubrani w swe szkolne mundurki, harcerskie koszule czy skromniutki, zdobne taniutkimi efektami sukienki – wracali do swego właściwego, bardzo jeszcze smarkatego wymiaru.

Do dalszych, urzekających swą nowością doznań, jakie przyniosła Hani ta wiosna na pływalni, należało następujące odkrycie: jak dotąd, od czasu kiedy znalazła się w towarzystwie, chłopcom imponowała przede wszystkim jej sportowa kariera. W rozmowach z nią, prowadzonych najbardziej światowym tonem, nie przestawali rozprawiać o pływaniu, startach, czasach, a komplementy, które jej prawili, były komplementami natury sportowej. Smuciło ją to nieco, gdy spostrzegła, jak sprawy stoją, i chociaż nie formowała takich nastroików w określone wnioski, to jednak bolało ją w głębi młodej duszy, że niejasne nadzieje, związane z rewelacyjnym kostiumem, nie spełniają się jakoś. Tymczasem, sama nie wiedząc kiedy, Hanka skonstatowała, że chłopcy coraz mniej mówią o pływaniu, natomiast coraz mocniej interesują się jej gustami w dziedzinie rozrywek towarzyskich oraz coraz częściej napominają o tym, że Hanka ma ładne oczy, a już naprawdę bardzo ładne nogi. Zaś wraz ze zjawieniem się Tadeusza Hanka zrozumiała wyraźnie, że strasznie chce, aby w ten sposób właśnie o niej mówiono, a nie o jakichś tam głupich 1:20,3, które zrobiła na sto metrów crawl. Tadzio pojawił się jak tyłu innych, jako jeden z kolegów niezliczonych kolegów, ale od chwili poznania nie interesował się w najmniejszym stopniu sławą Hanki, natomiast opowiedział jej szereg najważniejszych rzeczy o sobie. Hania dowiedziała się więc, że Tadeusz ma lat 18, robi w tym roku maturę, do której jest dobrze przygotowany i nic a nic nie boi się żadnych niespodzianek, po maturze zaś wybiera się na architekturę, albowiem uwielbia rysować ładne rzeczy, a nade wszystko jasne, wesole domy. W kilku rozmowach na brzegu basenu Tadzio odsłonił przed Hanką, w pasjonującym stylu, cały ogromny świat fasad, gmachów i elewacji, obok którego przechodziła ona przez tyle lat, lecz o którym nie miała zielonego pojęcia. Słuchała go tedy, pochłonięta wartkim potokiem wymowy Tadzika, a że zdawała sobie przy tym dokładnie sprawę, iż oczy jego mają przyjemny, szary kolor, szczupła twarz pod falą miękkich, jasnych włosów jest miła i ładna, zaś jego klatka piersiowa przypomina brązowe, kute w miedzi tarcze – po paru takich dniach pojęła, że jest po raz pierwszy w życiu zakochana. Odtąd zamyślała się w szkole, wtapiając oczy w ćwiartkę błękitnego nieba za oknem, określała Tadeusza w swych marzeniach przymiotnikami: „cudny”, „wspaniały” (podczas gdy dotąd znajomi chłopcy byli dla niej ładni, brzydzy, komiczni lub nudni), po obiedzie zaś biegła na pływalnię, gdzie od wejścia z niepokojem wypatrywała jego sylwetki. Potem okazało się, że Tadeusz mieszka na Mokotowie i że mogą wracać razem do domu, znaleźli sobie śliczną drogę, dołem, Łazienkami, aż do ulicy Podchorążych. Te powrotne spacerunki po godzinie ósmej wieczór, wśród soczystej, wzbierającej, łazienkowskiej zieleni, w prześlicznym, złotoniebiesko rozedrganym powietrzu, miały w sobie tyle romantycznego czaru, że oboje, Hanka i Tadzio, wyczuwali, iż dzieją się w ich życiu jakieś rzeczy bardzo ładne i zupełnie

niepowtarzalne. Wreszcie pewnego wieczoru w pustej alejce, pod lepkiem od wiosny kasztanem, Tadeusz postanowił pocałować Hanię. Nie udało mu się nie dlatego, że Hanka nie chciała, lecz z tej przyczyny, że nie wiedziała, jak to się robi. Tadzio machnął ręką i powiedział na pół z żalem, a na pół z życzliwym zadowoleniem:

– Ale z ciebie jeszcze szczeniak, Hanka!...

Po czym powtórzył sobie w duchu swoją młodą, lecz bardzo dojrzałą zasadę, polegającą na unikaniu kłopotów płynących ze znajomości ze zbyt młodymi dziewczętami, oraz przypomniał sobie trzy rozdziały z nauki o Polsce współczesnej, których jeszcze nie umiał, a z których mogą go niebawem ostro pytać na egzaminie. Wziął więc Hankę czule za rękę i doprowadził do domu, w którym Hania, przed zaśnięciem, wylała kilka, całkiem miłych zresztą, łez w poduszkę na wspomnienie, jaką się musiała wtedy, tam pod kasztanem, wydać Tadeuszowi dziecinną i niezgrabną. W najbliższą sobotę sprawy te wyjaśniły się jednak daleko lepiej. Cała paczka, wraz z Tadeuszem i Hanką, postanowiła udać się po pływalni na wieczorek taneczny w jednej z zaprzyjaźnionych świetlic. Okazało się tam, że w oczach Tadeusza Hania może posiadać inne niepowszednie uroki. Tadzio lubił tańczyć, zaś Hanka tańczyła znakomicie. Otóż faktem jest, że Hanka tańczyła jak dotąd bardzo rzadko i nie była wyspecjalizowana w modnych dziś pługach, w sambie czy bugi-wugi, niemniej jednak innym, równie bezspornym faktem był wdzięk i płynność ruchów Hani, owa melodyjność chodu i poruszeń, którą albo kobieta ma od urodzenia, albo której nie ma i nigdy nie zdobędzie ani się wyuczy. Cała figurka Hani emanowała tą wrodzoną, miękką zgrabnością, która w tańcu dawała wspaniałe rezultaty i która oczarowała Tadeusza. Pod koniec wieczoru, po kilku godzinach nauki, Hania tańczyła bugi-wugi jak Murzynka z Nowego Orleanu, a sambę – jak rodowita córka wyspy Kuby. W obliczu tego zjawiska rozentuzjzmowani znajomi z Tadzikiem na czele, zaraz nazajutrz, w niedzielę, zaprosili Hanię do pewnej kawiarni, w której na piętunku, na dużej antresoli, tańczono już od wczesnego popołudnia, i w ten sposób Hanka znalazła się po raz pierwszy w życiu w lokalu rozrywkowym. Panowie zamówili z gestem kilka butelek piwa i lemoniady u patrzącego na nich z odrazą kelnera oraz zakupili dwa pudełka papierosów; wszyscy palili, nie wyłączając dziewcząt, co wywołało w Hani przekonanie, że dla prestiżu własnego i całego towarzystwa musi także zapalić. Dało to asumpt do wesołej nauki zaciągania się dymem tytoniowym, wreszcie Hanka zaciągnęła się prawidłowo po raz pierwszy w życiu i doznała leciutkiego zawrotu głowy, wcale nie nieprzyjemnego, ani mdlącego. Tadzik tańczył niemal bez przerwy z Hanią, i to bardzo ostentacyjnie, tak że reszta towarzystwa zaczęła ich uważać za „parę”. Było to o tyle nieścisle, że Tadeusz ciągle się jeszcze zastanawiał i miotany był sprzecznymi pragnieniami; to wydawało mu się, że Hania jest świetnym narybkiem i że należy ją sobie wychować, to znów dochodził do wniosku, że nie warto się zajmować taką smarkulą, co to tylko dobrze tańczy i nic więcej. Jeśli zaś chodzi o Hankę, to ta, tańcząc tango „Przybądź do mnie, dam ci kwiat paproci...”, upewniała się w myśli, że jej miłość do Tadzia nie jest wcale mniejsza niż inna, niż miłość bohaterki pewnego filmu, który niedawno widziała, do bohatera tegoż filmu, który z kolei kochał bohaterkę, jak zapewne Tadzio kocha ją, chociaż nic na ten

temat dotąd nie mówił. Tymczasem, jak Tadzio ją kocha, czy mógłby kochać, Hania dowiedziała się w szkole z ust Zuzy, która rzekła jej nazajutrz nie bez lekceważenia: – Ty, Hanka, uważaj na tego Tacka, bo to jest okropny cwaniak. Na pewno cię kręcił tym rysowaniem domów, a w gruncie rzeczy to on ma zupełnie coś innego w głowie... Z dalszych wynurzeń Zuzy wynikały rewelacje, które zdruzgotały Hankę, ale okazały się nagą i bolesną prawdą, gdy w kilka dni później Hania spotkała Tadzia na pływalni w towarzystwie bardzo wymalowanej dziewczyny o wydatnie zarysowanych wdziękach i dwuznacznej reputacji. Tadzio uklonił się Hance bardzo pięknie, lecz nie bez uśmiechu wyższości. W ten sposób życie wymierzyło Hance pierwszy poważny cios. Hanka wyszła z pływalni i poszła do Łazienek. Po drodze, za jakimś niewytłumaczalnym podszeptem, kupiła pudełko papierosów, po czym usiadła pod znajomym kasztanem i wypaliła dwie sztuki. Papierosy sprawiły jej podwójną przyjemność: smakowały jej i drapowały ją niezwykle interesująco w jej nowej roli zdradzonej, porzuconej i cierpiącej kobiety. Potem schowała je dobrze, wypiła w budce szklankę wody sodowej, płuczac nią długo usta, i poszła do domu. Nazajutrz, na pływalni, oświadczyła Witkowi Ciepussyńskiemu, który jej się najmniej ze wszystkich podobał, że ma ochotę pójść potańczyć i że gotowa jest partycypować w kosztach piwa i lemoniady. Witek odniósł się do tej propozycji z zapalem, zmontował szybko towarzystwo i wszyscy udali się do owej kawiarni na pięterku, gdzie można było tańczyć, wiele się chciało. Był tam Tadzio ze swoją nową wybraną i aczkolwiek Hania szalała, gięła się w najwymyślniejszy sposób i zachwycała wszystkich, Tadeusz zdawał się nie zwracać na nią uwagi. Hanka połknęła kilka łez i niebawem doszła do wniosku, że taniec sam w sobie też jest wielką przyjemnością. Odtąd całe towarzystwo wraz z Hanką przychodziło tu niemal codziennie. Szczęściem rok szkolny już się skończył, a Hanka przeszła do następnej klasy, zdobywając sobie spokój w domu, a nawet pochwały pewnych nauczycieli.

Przez cały ten okres czasu Karramba bywał na „Legii”, ale nieregularnie. Zajęty był sprawami klubowymi i związkowymi, odbywał jakieś konferencje, załatwiał jakąś robotę teoretyczną, jak mawiał. Były jednak dni, kiedy leżał na słońcu albo wskakiwał do wody, gdzie lubił od czasu do czasu kłębić się w waterpolowych pojedynkach z innymi entuzjastami piłki wodnej. Z Hanką rozmawiał kilka razy, śmiał się i żartował, pilnie zaś obserwował ją z daleka i wiedział o niej niemal wszystko. Było to o tyle zrozumiałe, że niejaki Tłamczyk, wysoki i chudy kąpielowy o smutnej twarzy, który dzierżył swój urząd od chwili powstania pływalni, był starym totumfackim Karramby i odpowiednio przezeń nastawiony – dawał baczenie na każdy krok Hanki. W przeddzień owego umówionego terminu, w którym Hanka miała podjąć treningi z Karrambą, tańczyła ona długo i zapamiętale. Zasmakowała w tańcu; to było takie przyjemne, a także schlebiające jej próżności, teraz, gdy nawet bardzo wytworni panowie podchodzili prosić ją od stolika, przy czym nawet jej młodzi towarzysze zdawali się być mile pogłaskani powodzeniem ich partnerki. Trening miał się rozpocząć o wpół do dziewiątej, lecz Hanka przyszła dopiero

piętnaście po dziewiątej. Przyszła albo przybiegła raczej, gdyż głupio jej było trochę wobec Karramby, który siedział na słupku startowym i czekał na nią czytając książkę. Ranek był śliczny, kolorowy, świeży, lecz trochę chłodny; Hanka rozebrała się szybko, narzuciła petkę na stary treningowy kostium i podeszła do Karramby:

– Aha – podniósł na nią swe spokojne, wszystkowiedzące oczy, ten Karrambą. – Jesteś. Spóźniłaś się.

– Wie pan – zaczęła szybko Hanka – to tak, że ja wczoraj byłam u znajomych... Tańczyło się, było wspaniale, a dzisiaj zasnęłam. Ale to się nie powtórzy.

– Nie wiem, czy się nie powtórzy – uśmiechnął się Karrambą – nie jestem taki pewny. Zmieniłaś się trochę, Hanka, co? Wyglądasz na zmęczoną. Pod oczami takie sińce...

– Co też pan opowiada, Karrambą? Dlaczego miałam się zmienić? Wszystko jest po dawnemu. Zaczynamy od dzisiaj i wydaje mi się, że będzie pan ze mnie zadowolony.

– Być może. Jak rzucisz palenie.

Hanka stanęła w pąsach. Zrobiło jej się gorąco i bardzo niewyraźnie. Była przekonana, że te kilkanaście papierosów, jakie dotąd w ogóle wypaliła, są dobrze zamaskowaną tajemnicą.

Na pływalni nigdy nie pozwoliła sobie na palenie i tylko w owej kawiarni paliła parę razy.

A tu, ten straszny Karrambą...

– Słuchaj, Hanka – kontynuował trener wobec jej milczenia, patrząc na nią spod oka – mnie to twoje palenie nic by nie obchodziło, gdyby nie prawa skutecznego treningu. Jestem twoim przyjacielem i twoje tajemnice są moimi tajemnicami; twojej matce nigdy bym słowa nie pisnął. Ale nie możesz trenować do wyczynu na wielką skalę i jednocześnie palić papierosy, bo jedno z drugim nie godzi się. Tak samo z tym danciem, a nawet jeszcze gorzej.

Możesz sobie zatańczyć od czasu do czasu, owszem, proszę bardzo, ale musisz skończyć z tym codziennym hopsaniem. To gorsze od palenia, nawet nie obejrzyś się, kiedy mięśnie tak ci zwiotczeją, a oddech tak straci regularność, że nawet 400 metrów nie przepłyniesz bez zadyszki. A już największe szczęście, że ten kozaczek, co się przy tobie kręcił, blondyn, jak mu tam było?...

– Tadek... – szepnęła Hanka.

– Właśnie... Tadek... otóż, że on się od ciebie odczepił. Oj, Hanka, Hanka... Uderzyła ci trochę woda sodowa do głowy i jeżeli chcesz dalej pływać, jak należy, to musisz ją stamtąd wypompować. No więc jak?...

W odpowiedzi na to Hanka wolnym ruchem ściągnęła petkę, stanęła na słupku i wskoczyła do wody. Woda była strasznie zimna, ale Hania uczyniła kilka gwałtownych ruchów, miotała się przez chwilę jak smukłe zwierzątko w czarnozielonawej toni, podpłynęła do nawrotu, uniosła zaczerwienioną, świeżą i trochę skruszoną twarz w górę i zawołała:

– Karramba! Ja tak strasznie pana lubię! Niech mi pan przebaczy i proszę znów zacząć na mnie krzyżeć... Jestem gotowa.

– No to wal, Haneczko, 400 metrów ręce-nogi... – uśmiechnął się Karramba, lecz był to uśmiech nieufny i pełen troski. Zresztą słusznie. Po 120 metrach Hanka poczuła się bardzo zmęczona i przerwała. Niebawem też wyszła z wody. Karramba był bardzo zafrasowany,

lecz nie dał nic po sobie poznać.

Przez kilka następnych treningów Hanka wydawała się podciągać w oczach; była posłuszna i utemperowała nieco swój tryb życia. Na treningi przychodziła punktualnie, to prawda; wszystko wskazywało na to, że coś tam zakiełkowało jej w główce po przemowie Karramby. Ale Karramba był niezadowolony, nieco smutny i zamyślał się ciągle. To był głęboki i wytrawny znawca, ten Karramba, i powody smutku były tylko jemu wiadome, jemu – specjaliście, który zęby zjadł na pływaniu. Bo tak na oko to nie działa się źle. Hanka trenowała regularnie i czasy jej, osiągnane na treningach, były wcale – wcale. Można było nawet powiedzieć, że czyniła postępy, a w jednym z pism sportowych, w rubryce pod tytułem: „Co robią nasi pływacy?”, pojawiały się co pewien czas notatki, kreślące pracę Hanki w superlatywach. Że skromna, że pilna, że sumienna, że pracowita, że systematyczna, Że można się po niej dużo spodziewać. Ale tylko Hanka wiedziała, co ją kosztują te pochwały, bowiem zdobywała je wielkim wysiłkiem woli, zaś jedynie młodość Hanki, ta jej najpierwsza młodość i płynąca z niej siła, była przyczyną, że nikt nie orientował się, jakim nakładem fizycznego wysiłku opłacała swą regularność i postępy w treningu. Czy nikt? Chyba nie, Karramba wiedział i widział. Karramba spotykał się już z takimi wypadkami w swym trenerskim doświadczeniu i słusznie oceniał stan rzeczy, znajdujący swe uzasadnienie w fakcie, że Hanka nie przestała tańczyć ani palić. Lecz Hanka także zawzięła się, lubiła serdecznie Karrambę, była uczciwą i lojalną dziewczyną i nie chciała mu robić przykrości, a już bynajmniej nie chciała rezygnować ze swej sportowej kariery. Z drugiej strony nic przecież Karrambie nie przyrzekała. Rozmyślała dużo o tych sprzecznościach jej młodego życia i doszła do rewelacyjnego wniosku, że można je pogodzić. Że można bawić się, tańczyć i palić od czasu do czasu, a jednocześnie trenować usilnie i osiągać sukcesy w pływaniu. Robiła więc to wszystko naraz, nie przypuszczając nawet, w jak błyskawicznym tempie zdiera swe młode siły. Przecież ma talent! O, pierwsze w życiu nałogi i namiętności! Jakże trudno was zwalczać, gdy ma się szesnasty rok życia i nawet rozum jest jeszcze po waszej stronie... A oto sport, ów wspaniały katalizator współczesnej młodości, jest w stanie wykazać, kto z was, młodych, nosi w sobie wielkie życiowe wartości i kto z was przejdzie z honorem, chociaż w trudzie i walce z samym sobą, najcięższą próbę progu życia. O tym właśnie wiedział Karramba, o tym nic nie wiedziała Hanka.

Pomiędzy Karrambą i mamą Klimczak stanął układ, że Hanka Pojedzie dopiero w sierpniu na wakacje, cały zaś lipiec spędzi w Warszawie, trenując pod opieką Karramby. Tak się też stało i pod koniec lipca Karramba był już nawet trochę lepszej myśli, gdy oto otrzymał oficjalne pismo z sekretariatu klubu, z którego dowiedział się, że Hanka została wystawiona do reprezentacji na zbliżające się mistrzostwa Polski. Pismo zredagowane było oschle i kategorycznie, stanowiło jaskrawe zaprzeczenie zwyczajów panujących w warszawskim świecie pływackim i w ogóle wyglądało tak, jakby panowie ze związku chcieli uniknąć jakichkolwiek rozmów, narad, dyskusji i kłótni z Karrambą. Polecenie, zarządzenie i basta. Karramba zmiął pismo w rękę, pociemniał tylko bardziej na opalonej twarzy i uśmiechnął się

złym uśmiechem. Ale nie powiedział nic, co zaś dziwniejsze – spotkawszy tego dnia działaczy z władz okręgowych – nawet nie wspomniał o sprawie Hanki. Jednocześnie ukazał się w prasie sportowej sążnisty artykuł, w którym wynoszono pod niebiosa Karrambę, chwalono go i chwalono się nim, że niby najlepszy trener pływacki Polski, a jeden z lepszych w Europie – co nie było zresztą dalekie od prawdy. Na samym końcu tego artykułu wspomniano mimochodem, że Karramba przygotowuje obecnie do mistrzostw Polski rewelacyjną zawodniczkę warszawską, Hankę Klimczakównę, która według dotychczasowych obserwacji, powinna odegrać w mistrzostwach sensacyjną rolę. I tyle. Karramba tym razem nie zmiął gazety i nie cisnął do kosza, lecz wygładził ją starannie i schował do kieszeni. Po czym udał się do sekretariatu związku, gdzie zrobił piekielną awanturę. Darł się tam, bijąc pięścią w stół, że on ma dosyć, że rzuca do jasnej grypy tę całą zabawę, że on nie będzie sobie nerwów zrywać, aby coś tu zrobić, podczas gdy inni, niby też fachowcy, będą mu tu w najgłupszy sposób bruździć, że nawet jeśli oni, ci ze związku, myślą, iż zrywają już dojrzałe, przez innych wyhodowane jabłko, to myślą się grubo, gdyż jabłko jest jeszcze wcale niedojrzałe i tylko naiwniacy lub laicy mogą dać się wprowadzić w błąd pozorami dojrzałości. Ale okazało się, że w związku też nie siedzą sami w ciemną bici, bo oto podniósł się pewien wielki, zwalisty inżynier, stary działacz pływacki, a ongiś doskonały waterpolista, obecnie zaś ceniony sędzia, który rzekł:

– Ty, Karramba, przestań tutaj rozrabiać. Taka zapadła decyzja i koniec. Natomiast jeśli masz trochę czasu, to chodź ze mną na kawę i porozmawiamy rozsądnie.

W kawiarni przy stoliku sędzia powiedział: – Widzisz, Karramba, ta twoja Hanka to talent, nie ma co, wszyscy się na to zgadzamy i wiemy, że tylko twoje oko może w czternastoletniej smarkuli takie możliwości odnaleźć, a tylko twoja ręka może w rok czasu tak dziewczynę oszlifować, że gazety tracą głowę. Znamy cię przecież wszyscy i wiemy, co jesteś wart.

Wiemy także, że te rezultaty, jakich się spodziewasz wychowując tę Klimczak na rekordzistkę i olimpijkę, wymagają długofalowej polityki, odrzucenia wszelkiego pośpiechu i usilnej pracy w spokoju. Bez startów, bez doraźnych sukcesów, bez rozgłosu. Znalazłeś złote jabłko, dziewczynę jedną na milion i widzisz to dobrze, zdajesz sobie z tego sprawę; jesteś jak stara mądra kaczką – jak widać, inżynier lubił barwne porównania i uprawiał metaforę artystyczną – która nie chce pozwolić, aby kaczątko nauczyło się zbyt wcześnie latać, gdyż to jest złe i grozi katastrofą. Ty, stary i nieporównany wyjadacz, dostrzegasz niebezpieczeństwo, którego większość, rzecz jasna, nie dostrzega, ale zapominasz, że są jeszcze inni, którzy też znają się na rzeczy. Ci faceci, którzy przedwczoraj gardłowali za tym, żeby Klimczakównę wystawić, powoływali się na poziom, konieczność wykazania się osiągnięciami, niezamykanie drogi talentom i atakowali szamańskie praktyki trenerów, mając na myśli ciebie. To były, oczywiście, nonsensy i faceci dysponowali skalą widzenia nie dalej własnego nosa. Niemniej jednak ja i Grumkiewicz, a także Szpulko, poparliśmy ich, a przecież do nas masz chyba zaufanie? Słuchaj, Karramba, czy ty się przypadkiem trochę nie ludzisz, bo widzę, że przepadasz za tą dziewczyną? Ta twoja Hanka to cacy-cacy, ale zapytaj kelnerów w „Góralskiej”, ile razy tygodniowo i po ile godzin ona tam skacze w tym

bugi-wugi... Oni ci powiedzą. Ty sam zaś wiesz, że jak taka pestka tak wczesnie zaczyna, to już nie to... Pojedzie na mistrzostwa i przegra, nie zaprzeczaj, dobrze wiesz, że tak będzie i w tym tkwi sedno rzeczy, ażeby zobaczyć, jak ona przyjmie przegraną. Od tego wszystkiego zależy i to tylko może wszystko uratować. Widzieliśmy już takie numery w naszym życiu, co? Karramba, stary koniu?... Taka klęska czasami stawia na nogi i dlatego ja głosowałem za tym, żeby ci napisać ten list, no, wiesz który?...

– To było świństwo... – szepnął Karramba przekonany, lecz jeszcze pełen żalu.

– Za takie świństwa czasami się bardzo dziękuje... – szepnął inżynier i zamyślił się nad własną młodością.

Z wyjazdu na wakacje nie wyszło nic, a pani Klimczak nawet nie protestowała. Domem Klimczaków rządziło pływanie, pływanie stanowiło temat rozmów przy posiłkach, zaś najmniejsza wzmianka o starcie Hani w mistrzostwach przyprawiała o bicie serca Klimczaków seniora i juniora. Hanka tymczasem trenowała jak szalona, rzuciła na dobre tańczenie i towarzystwo, zapomniała nawet o papierosach i niejakim Zbyszku, który był jej ostatnią sympatią i doskonałym partnerem w choreografii. Koniec lipca i pierwsza połowa sierpnia upłynęły na tak intensywnej zaprawie, że sam Karramba chciał popuścić nieco, ale, o dziwo, Hanka zaprotestowała jak najostrzej. Postanowiła zostać mistrzynią Polski i pobić rekord na swym dystansie. Gdy powiedziała to Karrambie, ten uśmiechnął się tylko, lecz gdy nazajutrz przepłynęła sto metrów w 1:16,1 – stoper wypadł mu niemal z ręki. W duszy Karramby zawirowało tornado sprzecznych uczuć i myśli. A co będzie, jeśli Hanka wygra? Wtedy będzie źle. Znał już dobrze tę swoją wychowankę i oczami wyobraźni widział jej fochy jako mistrzyni Polski, jej popularność w kołach młodzieży, jej zarozumiałość, która wyrośnie jak ciasto na pysznych drożdżach sukcesu i sławy, jej skłonność do opuszczania się w pracy, która w oparciu o sytą próżność może zawalić wszystko. Widział także jej szczerą skruchę po reprimendach, skruchę płynącą z prawego charakteru, lecz cóż taka skrucha pomaga? Żałuje się, a potem robi się takie same głupstwa. Z drugiej strony, czy przegrana po takim wysiłku i nakładzie pracy nie załamie Hanki, nie rozgoryczy jej i nie rozczaruje?... Biedny Karramba. Na razie to on chodził załamany, robiąc dobrą minę do złej gry i dziwiąc się esom – floresom jakie wyczynia z nim życie, gdy stwierdził na dalszych treningach, że Hanka nie jest w stanie powtórzyć tego doskonałego wyniku i że właściwie on, Karramba, z tego się cieszy. Że to 1:16,1 to był zryw, jednorazowy wysiłek, rezultat ambicji i młodych sił, a nie konsekwentny wynik zaprawy, żelazna i nie do wydarcia pozycja. I to rozumowanie, pożał się, Boże, cieszyło Karrambę, bo dawało pewne nadzieje na przyszłość...

Pierwsze sekundy po skoku startowym nie zdawały się usprawiedliwiać gorzkiego zadowolenia Karramby, gdyż Hanka pruća naprzód jak torpeda, a publiczność rozdarła się wielkim krzykiem i wstała z miejsc. Ale zaraz. Muszę to powiedzieć dokładniej i od początku, gdyż byłem w Bielsku na tych mistrzostwach i wszystko sam widziałem.

Podróż, ekipa reprezentacyjna, śmiechy i żarty w specjalnie zarezerwowanym wagonie –

jednym słowem: pierwszy w życiu wyjazd w reprezentacji – już to wszystko oszołomiło i przygasiło nieco Hankę. Wprawdzie koledzy – zawodnicy i koleżanki – – zawodniczki byli jej doskonale znani, to jednak walizki z nalepkami hoteli, kłęby pary na peronie, poważni panowie w wagonie restauracyjnym, cały ów posmak światowości i wagi każdej chwili, jaki dają dalekobieżne pociągi, zmniejszył ją do właściwego jej wymiaru kilkunastoletniej dziewczynki. Trzymała się nie opodal Karramby, w przedziale oparła głowę o jego ramię, zdrzemnęła się i wyglądała bardzo niepozornie. Nazajutrz, na pięknej, obszernej i bogato udekorowanej flagami pływalni bielskiej, wobec szczelnie wypełnionych publicznością trybun, Hanka poczuła się jeszcze niepokąźniej. Znow była nieśmiałym podlotkiem, czyli sobą, to znaczy kimś takim, kogo zagubiła przed kilku miesiącami. Nie pomógł ani wspaniały dres reprezentacyjny Warszawy, żółty, zdobny w czerwoną syrenę na piersiach, nie pomógł piękny płaszcz kąpielowy, jaki narzucono na nią po prezentacji zawodników. Hanka snuła się za Karrambą, który miał pełne ręce roboty jako trener i dusza warszawskiej ekipy i zajęty był nieustannymi targami o tory, o kolejność startów i o inne rzeczy od strony pływackiej kuchni. Hanka przysiadła sobie w kącie żelaznego ogrodzenia i obserwowała otoczenie, a im więcej obserwowała, tym bardziej czuła się zagubiona i speszona. Był to wspaniały i radosny zarazem widok, ta rozłożysta szmaragdowa pływalnia w kotlinie śląskiego Beskidu, w ramach betonu i we wdzięcznych skrętach żelaznych opłotów, obwarowana rzędami głów ludzkich i szczytami górskimi na dalszym tle, naszpikowana kolorowymi sylwetkami zawodników w barwnych petkach i kostiumach, nakryta złotoblękitnym kloszem z nieba i słońca – widok wesoły, lecz bynajmniej nie ośmielający. Gdy zaś spiker, obwieszczający porządek biegów i listę startujących zawodników, wywołał jej nazwisko tu, pośród tych tłumów i tego nastroju, rzucił ją, Hankę Klimczakównę, w sam środek ważnego łańcucha wydarzeń, którymi interesuje się cała Polska – Hania poczuła szybkie, przyśpieszone bicie serca. „Niedobrze – pomyślała z niepokojem – nie wolno mi się denerwować. Ja przecież chcę wygrać. Muszę. Muszę! Trzeba się opanować...” Wstała, rozejrzała się niepewnie i poszła w stronę szatni.

Zaciekawiło mnie to. Przedtem też obserwowałem Hankę, lecz dopiero teraz, gdy uświadomiłem sobie, że wygląda jak spłoszone zwierzątko, postanowiłem nie spuszczać jej z oka. Podszedłem do damskiej szatni – Hania zniknęła właśnie w jednej z kabin. Już chciałem odejść, gdy pewien drobny szczegół przykuł mą uwagę. Z wentylatora kabiny dobywał się niebieskawym kłębem papierosowy dym.

Wróciłem na miejsce obok słupków startowych, tam gdzie stał sprawozdawca radiowy i strasznie się miotał.

– Teraz płyną, proszę państwa, ostatnią setkę z tych czterystu metrów! – krzyczał do mikrofonu. – Oooo, jaki nawrót! Ten Pulpikowski, proszę państwa, płynie jak maszyna! Rekord Polski, proszę państwa, wisi na włosku!

Był on bardzo emfaticzny, ten sprawozdawca, gdyż jakkolwiek Pulpikowski płynął bardzo ładnie, reszta stawki również, a publiczność bardzo krzyczała, to jednak były to dopiero eliminacje i rekord wcale jeszcze nie wisi na włosku, lecz na bardzo grubym sznurze. Po

tym biegu startowały kobiety, potem znów mężczyźni i jeszcze raz mężczyźni. W tym czasie zauważyłem, że Hanka wróciła z szatni i usiadła pomiędzy zawodnikami Warszawy.

Wreszcie spiker zapowiedział eliminacje w konkurencji 100 metrów stylem dowolnym pań. Zbliżyłem się do słupka nr 3, z którego miała startować Hanka.

Hanka zrzuciła płaszcz kąpielowy na ręce Karramby i podeszła do stolika sędziowskiego, aby się zameldować. Prosta, strzelista, smukła w lekkim, obcisłym kostiumie zawodniczym czarnego koloru wyglądała jak figurynka ze starego, cennego brązu. Była blada, jeszcze mocniej pobraźla jej lekko pokryta piegami nasada noska, gięta nerwowo palce. W chwili gdy mówiła ostatnie słowa do Karramby, Karramba zdobył się na jasny, szczery, bardzo kochany uśmiech.

– Płyń, Hanka, z całego serca i z całych sił, a zobaczysz, wszystko będzie dobrze – powiedział do niej i poklepał ją czule po gołych plecach. Hanka stanęła przy swoim słupku. Przy innych stanęły dwie krępe, mocno zbudowane Ślązaczki, grubo starsze od Hanki, wysoka, silna, dwudziestoletnia poznanianka, pulchna jak pulpet krakowianka z czerwoną buzią i bardzo chuda zawodniczka z Łodzi, nazwiskiem Lirt. Starter zapowiedział:

– Sto metrów stylem dowolnym, dwa baseny, tam i z powrotem. Na miejsca...

Dziewczęta wstąpiły na słupki.

– Gotowy... Gwizdek. Poooszły!...

Hanka jakby zapaliła silnik odrzutowy u swych stóp, bijących błyskawicznie, skotłowane battement. Od pierwszego ułamka sekundy wszyscy poczuli, że coś się w tym biegu będzie dziać, coś innego niż zwykle, coś niezwykłego. Publiczność, jak już napisałem, poderwała się z miejsc i rozpoczęła doping, zaś Karramba, a ja za nim, przypadliśmy do ziemi, do słupka, jadąc spojrzeniem za sunącym po wodzie jak torpeda, kształtem Hanki.

– Cholera – syknął przez zęby blady Karramba – jak wygra tę eliminację, to potem jest bez konkurencji....

Oczy zwięziły mu się do cienkich, czarnych szparek, a serce łomotało w jednym rytmie z sercem walczącej Hanki. Zapamiętywał się w walce ten Karramba i teraz, w tej chwili, odpadło odeń wszelkie rozumowanie, a zostało jedynie wielkie pragnienie zwycięstwa tej dziewczyny. Ale nie było to takie łatwe. Jedna ze Ślązaczek i poznanianka jakby się przykleiły do Hanki i szły tuż-tuż za nią. I one miały widocznie poza sobą wiele miesięcy wytrwałej zaprawy, opiekę dobrych trenerów, a ponadto przewagę kilku lat doświadczenia i silniejszych mięśni. Talent? To prawda – Hanka ślizgała się przez wodę jakby w niej urodzona, jak nieznane stworzonko z obcego wodnego świata; płynność i miękkość jej ruchów wywoływały uśmiech zachwytu na twarzach widzów. Nogi obu zagrażających jej zawodniczek ciężiej i wolniej biły wodę, ręce z wyraźniejszym trudem pokonywały opór obcego żywiołu, lecz w ich ramionach i lędźwiach stukotała regularność dobrze naoliwionych i przygotowanych do pracy maszyn. Przez pół basenu Hanka prowadziła zdecydowanie, zdobywała sobie nieznacznie, lecz stale przewagę i odsuwała się od Ślązaczki i poznaniarki. Pół metra – metr – półtora – już dwa... Goniące pracują ciężko, naciskają dźwignię swych rezerw – a są to duże, długo zbierane w intensywnym treningu rezerwy –

i znów są o metr zaledwie od Hanki. Hania ma je obydwie ze swej lewej strony, bierze oddech z lewa, ogląda się...

– Teraz!... – zgrzyta Karramba. – Odrywaj się!... Jakby niewidzialny radar łączył Karrambę z Hanką, gdyż nogi i barki Hani zaczynają pracować jeszcze intensywniej, jeszcze pełniej, mocniej. Widownia wyje: „Alleeeeż!... Aaaaaaaa!...” Już nawrót – Hanka zręcznie koziółkuje, śmiga pod własnym przybijającym do nawrotu ramieniem, zwiija się pod wodą jak węgorz i wypryskuje naprzód. Ponad trzy metry dzielą ją teraz od jej prześladowczyń.
– Jeszcze!... – błaga Karramba i skręca się w pasji zmagania. – Jeszcze odrobina wysiłku!... Jeszcze!...

Ściska moje ramię tak mocno, jakby wprawić chciał w ruch ostatni, najpotężniejszy motor, ostatni bieg do zwycięstwa.

Ale co to jest? Hanka idzie ciągle zdecydowanie pierwsza, lecz mimo iż ruchy jej wydają się takie same jak przed ułamkiem sekundy, wszyscy jednak wyraźnie widzą, że to już nie to. Nie ten sam zwycięski zryw sprzed kilku sekund. Hanka traci szybkość... Nikt nie wie, jak się to dzieje i dlaczego, ale Śląaczka zaczyna finiszować i wyraźnie dochodzi Hankę. Przez chwilę wszystko zamiera, cisza jest niemal tragiczna i brzemienna w ogromny ładunek emocji, lecz oto już wybucha krzyk w jednym miejscu widowni:

– Plukówna! Plukówna!!! Krysia! Krysia!!!...

To śląscy zawodnicy dopingują swoją Plukównę, a za nimi cały stadion, na którym przecież przeważają Ślązacy, drze się wielkim głosem:

– Kry-y-y-sia!...

Długa poznanianka w błękitnym kostiumie płynie tuż na śladzie Śląaczki. Trzydzieści metrów przed metą płyną wszystkie trzy w zgodnym rytmie obok siebie. I oto Śląaczka, w ciężkiej walce, nieuchwytnie, lecz systematycznie zaczyna zdobywać przewagę. Już jest o pół długości przed Hanką, już o całą i ciągle odsuwa się w przód. Hanka słabnie w oczach. Jej ruchy są piękne i stylowe, lecz pozbawione już teraz zupełnie dynamiki. Hanka przegrywa i kielich goryczy musi być wychylony do końca. Jeszcze krótka, lecz bezskuteczna walka z drugą przeciwniczką i duży kształt poznaniarki mija Hankę o pół długości na finiszu. Karramba podnosi się powoli z przysiadu. Twarz ma miękką i smutną.
– Tak – mówi – sława, popularność, tanga i papierosy, oto właściwa kolejność. To jest droga w dół. No, zobaczymy...

Hanka podpływa z wolna do schodni, gdzie w górze czekamy na nią, Karramba i ja. Widzę z góry twarz Hanki, gdy wchodzi po żelaznych stopniach; dyszy ciężko, jest blada i wygląda bardzo dziecinnie. Jak zmęczona, rozczarowana dziewczynka. Karramba narzuca na jej barki płaszcz kąpielowy, otula ją pieczołowicie, uśmiecha się do niej. Wtedy usta Hanki ściągają się w zwykłą dziecinną podkówkę, a w oczach jej stają duże, szkliste łzy. Karramba obejmuje ją serdecznie ramieniem, przyciąga do siebie i mówi:

– No, Hanka, daj spokój... Jak ci nie wstyd?... To przecież nie twoja wina, tak już w sporcie jest, raz się przegrywa, raz wygrywa... Następnym razem będzie inaczej, zupełnie inaczej, zobaczysz... Ja ci to mówię...

Prowadzimy Hankę do szatni, Karramba i ja. Wokół, w tłumie działaczy, zawodników, sędziów, reporterów nikt nie mówi o zwyciężczyni, Plukównie, ani o poznaniance, tylko zewsząd słychać nazwisko „Klimczak” i takie wykrzykniki, jak: „wielki talent!”, „co za walka!”, „jak leży na wodzie!”, „przecież to jeszcze smarkata!” Jacyś instruktorzy i specjaliści, Słazacy i ze Szczecina, klepią Hankę i Karrambę po ramionach i gratulują im – Hanka nawet się uśmiecha. Gdy przechodzimy obok trybun, zrywają się wielkie brawa.

Odprowadzamy Haneczkę aż do kabiny. Karramba surowo każe jej się natychmiast osuszyć i ubrać, gdyż w ogóle jest trochę chłodno. Hanka zamyka się w kabinie, lecz nagle woła:

– Karramba!

Podchodzimy do drzwi kabiny. Są lekko uchylone, spoza nich wystaje szczupłe dziewczęce ramię, w którego dłoni tkwi paczka zagranicznych papierosów.

– Proszę, niech pan to wyrzuci.

Karramba uśmiecha się, szczerze i głęboko zadowolony.

– Dlaczego od razu wyrzucać – mówi – damy komuś, kto to lubi i komu to nic a nic nie szkodzi...

Tego roku wczesną jesienią spotkałem Karrambę na jednej z warszawskich przystani wioślarskich nad Wisłą. Poranek był śliczny, postanowiliśmy więc wziąć tak zwane „cztery krótkie”, czyli hamburgerkę na dwie pary wioseł i udać się w górę rzeki na krótki spacer.

W chwili gdy spuszczaaliśmy łódź na wodę, usłyszeliśmy znajomy dziewczęcy głos, wołający z radością:

– Karramba! Jakże się cieszę, że pana widzę!

Hanka nie była sama, lecz z panną Danutą, nauczycielką gimnastyki, z którą ostatnio bardzo się przyjaźniła. Zaproponowaliśmy więc Hance i panie Danucie wybranie się razem z nami, na co przystały z ochotą. W drodze toczyła się następująca rozmowa:

Karramba: – No, Hanka, niedługo do roboty. Ja ci dam w tym roku szkołę...

Hanka: – Ojej, wcale się nie boję. Zacznę z największą przyjemnością, bo już mi się nudzi.

Panna Danuta: – Pływanie wyczynowe to bardzo piękna i pasjonująca rzecz, ale oprócz tytułów i odznaczeń trzeba by także pomyśleć o praktycznym jego stosowaniu dla potrzeb społeczeństwa. Pan, panie Karramba – przepraszam, że tak pana nazywam, ale nie znam pana nazwiska, zaś Hania inaczej o panu nie mówi – otóż pan opiekuje się Hanką, trawi nad nią całe godziny, dni i tygodnie, a tymczasem wielkie rzesze dzieci nie potrafią wcale pływać. W tym jest jakiś błąd.

Ja: – Otóż nie...

Karramba: – Przepraszam, że ci przerwę. Myli się pani, bo w tym nie ma błędu. My z Hanką popularyzujemy pływanie.

Dzięki sukcesom Hanki ludzie zaczynają interesować się pływaniem, coraz więcej młodzieży uczy się pływać widząc przed sobą jej przykład. Spośród tych zainteresowanych niektórzy zdobędą sami sukcesy i stworzą kadrę wyczynową, kadrę przykładów; mniej utalentowani, lecz oddani sportowi i pływaniu, pójdą w społeczeństwo, na wieś i do osiedli robotniczych, i będą uczyć pływać innych; ci zaś, dla których pływanie jest tylko przyjemnością, rozrywką

młodości, będą po prostu umieli pływać już na całe życie i w tym jest wielki pożytek. Oto co znaczy przykład Hanki, jeśli osiągnie ona rzeczywiście wielkie międzynarodowe sukcesy, i taki jest właściwy porządek rzeczy.

Hanka: – Dla mnie pływanie ma znaczenie praktyczne w takim wypadku: powiedzmy, że mój przyszły narzeczony, w którym się romantycznie kocham, obwozi mnie romantyczną łódką po romantycznym stawie, jak to było w tym filmie „Przestworza miłości”. Nagle – chlups – wpada do wody, zaczyna tonać, na to ja wskakuję za nim w długiej wieczorowej sukni i wyciągam go bez wysiłku za uszy. Pada mi do nóg i jest mi wdzięczny całe życie. Oto moje sukcesy pływackie w praktyce...

Tu Hanka zaniósła się prawdziwie pensjonarskim chichotem. Ten śmiech nie miał w sobie nic z dawnej manieri dawnej bywalczyni górki w „Góralskiej” i bardzo się z tego powodu ucieszyłem. Śmieliśmy się zresztą wszyscy w czasie tej wycieczki, serdecznie i wesoło, tak jak tylko można śmiać się w słońcu i nad wodą. Zauważyłem także, że Karramba coraz częściej i przeciąglej spogląda w stronę panny Danuty, w czym nie znalazłem nic dziwnego, skoro zważymy, że panna Danuta była ślicznie zbudowana, miała długie, zgrabne nogi, kształtny nos i wesołe oczy. Stwierdziłem, że Hanka zauważyła także owe spojrzenia, a za chwilę mrugnęła do mnie porozumiewawczo lewym okiem. To mrugnięcie wprawiło mnie w tak dobry humor, że mocniej napałem na wiosła i że chciało mi się coś zaśpiewać. Tylko nie wiedziałam co.

Warszawa, grudzień 1949 r.

Opowieść o tragicznym tenisiście

We wrześniu 1945 roku znajdował się w Y, na francuskiej Riwierze, pewien młody człowiek nazwiskiem Kłuzda i imieniem Anatol. Czasownik „znajdował się” jest w danym wypadku jedynym precyzyjnym określeniem stanu rzeczy, aczkolwiek brzmi nieszczególnie zręcznie. Kłuzda nie mieszkał w Y ani nie przejeżdżał tamtędy; po prostu znajdował się w punkcie mapy, zwanym Y, akurat w tym czasie, i to było wszystko. Z punktu widzenia zagadnień migracyjnych epoki był to zresztą fakt pozbawiony głębszego znaczenia.

Y tętniło swym pierwszym powojennym sezonem. Robotnicy francuscy w granatowych kombinezonach rozbijali za pomocą młotów pneumatycznych niemieckie bunkry i betonowe stanowiska karabinów maszynowych; nikt z tych stanowisk nie strzelał, wszystko przeszło tu gładko i teraz, wśród radosnego pyłu resztek wojny, krążył już tłum gości. Goście byli niemal wszyscy w mundurach, niemniej jednak byli gośćmi – stosunek miejscowej ludności do tych Amerykanów, Brytyjczyków, Nowozelandczyków i innych aliantów był z miejsca niemal stosunkiem komercyjnym. Zwycięstwo zwycięstwem, wyzwolenie wyzwoleniem, a stali mieszkańcy Y ani przez chwilę nie przestali być sobą. Od pokoleń obowiązuje na Riwierze zasada, że wszyscy przyjezdni są nabywcami morza, powietrza, słońca, klimatu, które należą bez reszty do autochtonów i dane im są w odwieczny pacht. Toteż ciepłe uczucia Francuzów do wyzwolicieli spod hitlerowskiego jarzma ochłodziły mocno, gdy kwatermistrze różnych armii podzielili pomiędzy sobą luksusowe hotele, zainstalowali kantyny, magazyny i mesy oficerskie i rozpoczęli zaopatrywanie gości z własnych zapasów. Początkowo wydawało się to koniecznością wojenną, ale gdy wojna się skończyła, kiedy z Paryża, Londynu i Skandynawii napłynęli prawdziwi cywilni goście, a kwatermistrze nie zwalniali gmachów i nie likwidowali mes – wtedy serca obywateli Y wezbrały głuchą niechęcią. Inna rzecz, że sytuacja aprowizacyjna Francji nie należała do różowych, tak że problemy turystyczne wikłały się w skomplikowany sposób. Z jednej strony trzeba było zarabiać, aby żyć, z drugiej zaś zarobkowanie, gdy brak jest mięsa i jarzyn, stawało się kwadraturą koła. Właściciele pensjonatów i barów, dyrektorzy biur podróży i wielkich hoteli, kierownicy przedsiębiorstw rozrywkowych i pośrednicy wynajmu, stali wobec poważnych zagadnień. Jedynie fryzjerzy i czyściciele obuwia nie narzekali, gdyż nie robiło im różnicy, czy w Y są wojskowi, czy cywile.

W chwili gdy rozpoczyna się moje opowiadanie, Anatol Kłuzda stał w małym bistro przy Avenue de la Gare i nikłą francuszczyzną prosił o kieliszek whisky. Francuski patron, z gorzko zwisającym wąsikiem na nalanej twarzy, spojrzał nań z ironią i rzekł:

– Takie zamówienie może pan uczynić naprzeciwno, nie jestem tylko pewny, czy pana stamtąd nie wyrzucą.

Przy czym wskazał na widniejącą po drugiej stronie ulicy fasadę potężnego hotelu. Mieściły się tam mesy oficerskie 63. dywizji generała Smitha, o czym zawiadamiały tablice parkingowe dla aut i co potwierdzał masywny żołnierz Military Police w białym hełmie i białych getrach.

– Ma pan rację – uśmiechnął się Kłuzda. Był to zmęczony i roztargniony uśmiech zdeorientowanego podróżnego lub nałogowego pijaka przed pierwszą, dzienną dawką alkoholu – wobec tego proszę mi dać to świństwo, które nazywa się u was Martini. Tylko double... – dodał wskazując palcami żadaną objętość.

Francuz skrzywił się z pogardą i nalał. Nie był pewny, czy otrzyma należność za ten płyn, ryzykował, jak to w handlu. Rzeczywiście – wygląd Kłuzdy wzbudzał mało zaufania. Nie ogolony, o zapadłych policzkach i zaczerwienionych powiekach, miał na sobie tandetną i przykrótką amerykańską marynarkę, narzuconą na kolorową trykotową koszulkę. Nosił z pewnym wdziękiem ten mundur epoki i manifest zwycięstwa, tchnący na miłą unrowskim punktem rozdziału odzieży; co zaś do pozycji społecznej samego Kłuzdy, to po przewędrowaniu wzdłuż i wszerz całych Niemiec nie mogłem mieć, w tych miesiącach radości i zmęczenia, żadnych wątpliwości.

– Czy mogę panu służyć wodą sodową? – spytałem po polsku od stolika.

Kłuzda odwrócił się powoli i spojrzał na mnie bez entuzjazmu. Strzał językowy był, jak widać, celny.

– Dziękuję – rzekł – jest pan człowiekiem odważnym.

– Słusznie. Ale dlaczego pan tak sądzi?

– Odezwał się pan do mnie w naszym wspólnym, ojczystym narzeczu, ryzykując, że zaraz w pierwszym zdaniu poproszę pana o pożyczkę paru franków. Wygląda pan na takiego, który musiał wziąć tę ewentualność pod uwagę, tym większa pana zasługa. Ale wygrał pan. Nie potrzebuję pieniędzy i nie używam wody sodowej do tych świńskich aperitifów.

– Też słusznie. Po co osłabiać zawarte w nich minimum alkoholu i to nie najlepszego gatunku. Czy nie zechce pan usiąść przy moim stoliku?

– Kłuzda jestem. Anatol Kłuzda – przedstawił się siedząc. Patron patrzył na nas z odrazą.

W jego najświętszym przekonaniu cudzoziemcy, nie rozmawiający po angielsku, powinni byli o tej porze pracować w pobliskich kamieniołomach, a nie siedzieć w przyzwoitym bistro.

– Skąd ja znam to nazwisko? – zastanowiłem się na głos i niezbyt grzecznie.

– Nie wiem – głos Kłuzdy ochłodził aż do opryskliwości. – Może się pan na nie natknął w rubryce „wypadki i kradzieże”.

– Myślę, że w innej rubryce, ale na pewno w gazecie. Już wiem. Strasznie jestem zadowolony, że pana poznałem.

– Patron – Kłuzda przeszedł na francuski – gdzie tu są korty tenisowe w tym waszym cichym zakątku?

– Nie można panu odmówić tupetu – uśmiechnął się krzywo gospodarz – na kortach naszego cichego zakątka grywali Tilden, Cochet i Borotra, a takie łapciuchy jak pan, tylko czyściej ubrani, podawali im piłki.

Głos Francuza zabrzmiał dramatycznym rozgoryczeniem; widocznie trafiony on został w najczulszy splot swych pozazawodowych upodobań, a więc najdroższych współczesnemu człowiekowi rzeczy. Ton ten zmusił mnie do zajęcia postawy pełnej godności – w grę zaczęły wchodzić imponderabilia, sprawy trudno uchwytnie, lecz niezmiernie ważne. Podniosłem się

i rzekłem sztywno do Francuza:

– Raczy pan miarkować swe słowa, oberżysto. Mówił pan przed chwilą do ostatniego przed wojną mistrza Polski w grze pojedynczej panów.

Patron zakręcił się niepewnie w swym bufetowym mechanizmie butelek, szklanek, syfonów; po chwili uniósł twarz, na której gościł przyjazny, szczery uśmiech.

– Przepraszam – rzekł – korty są zaledwie o kilka kroków stąd, na skraju Parku Cesarskiego. Pamiętam, jak grała u nas ta znakomita Polka, Jetscheska, Jedchiska – łamała sobie język z pełnym uszanowaniem zażenowaniem – grała z królem szwedzkim. A jeśli pan pozwoli, to oto kieliszek whisky z mego prywatnego zapasu.

Zwinnie wydobyl z dołu kontuaru pękata butelkę „Huntly Blend” i nalał trzy kieliszki żółtawego płynu, który wypiliśmy we trójkę i za które zapłaciłem mu najbardziej wyśrubowaną, czarnorynkową cenę. Niemniej byliśmy obydwaj z Kłuzdą wzruszeni.

– Zadziwiająca jest potęga i władza sportu w naszym dzisiejszym świecie przeżyć i uczuć – mówił Kłuzda, gdy w kilka minut potem wędrowaliśmy przez zalaną słońcem Quai du Midi. – Ma on ten sam psychiczny zapach co ongiś braterstwo broni, wspomnianie poległych towarzyszy i przebytych kampanii, czyli chwil krótkich, a pamiętnych na całe życie. Najlepszym tworzywem wspomnień są fakty, działanie, gorszym – słowa, jeszcze gorszym – uczucia, a najgorszym – myśli, cóż zaś jest bardziej uroczym działaniem niż mecz, gra, rozgrywka pełna celowości ruchów i błyskawicznej pracy mózgu...

Był inteligentny, jak widać. Dwie dawki alkoholu miały nań dobry wpływ – wyzwoliły zeń walory umysłu zadziwiającego gatunku u tak wybitnego sportowca. Refleksyjność i skłonność do wnikliwego komentarza nie są zazwyczaj udziałem zawodników wysokiej klasy.

– Proszę pana – odezwał się po chwili, gdy mijaliśmy nowe bistro o wyjętych z okien szybach, lśniące wypolerowanym niklem i czarnym lakierem kontuaru – może pan chwilę zaczeka albo wejdzie ze mną. Mam pragnienie i nie czuję się dobrze. A w ogóle trzeba się napić za zwycięstwo, niepodległość, wierzby płaczące i kilka innych rzeczy, skoro już spotkaliśmy się.

– Czy pan musi?

– Nie muszę. Po prostu chcę. Mam ochotę.

– Rozumiem. To znaczy, że pan musi. Skoro tak...

– Ma pan rację. Muszę.

Spojrzały na mnie oczy człowieka świadomego swego upadku, a więc w tym wypadku człowieka straconego. Weszliśmy więc i Kłuzda wypił dwie duże stopki „finu” – taniego, lecz mocnego koniaku z winnych wyłoczyn. Była godzina dziesiąta rano. Rysy twarzy rozmywały mu się nieco pod uderzeniem wódki, trwało to jednak chwilę. Na ulicy znów był zwykłym, spokojnym Kłuzdą o trochę tylko żywszych ruchach i częstszym uśmiechu.

Niebawem doszliśmy do kortów – ciągnęły się one szerokim terenem oddzielonym od ulicy pięknym żywopłotem. Wchodziło się przez białe – zielony domek klubowy w stylu kolonialnego bungalowu; z jego obszernej, pełnej stolików i głębokich drewnianych

szezlongów werandy rozciągał się widok na ceglaste doliny kortów, leżące wśród łagodnych, białych zboczy świeżo pomalowanych trybun. Dwa centralne korty były puste, idealnie wygładzone, urzekające nieskazitelnością swych białych linii, tajemniczych jak chińska prostokątna ornamentyka. Na bocznych kortach uwijali się zażywni panowie w szortach, obsługiwani przez grzecznych i znudzonych jak kelnerzy trenerów. Stosunek wzajemny był zresztą ten sam: panowie z brzuskami przychodzili tu po swą dzienną porcję radości życia, namiastki młodości i prawidłowej przemiany materii.

Usiedliśmy z Kłuzdą na szezlongach. Kiedy spojrzałem na mego towarzysza, uderzyła mnie w nim jakaś dziwna przemiana: znikła gdzieś jego nonszalancka rezygnacja, owa abnegacka obojętność, zaprawiona trochę goryczą, a trochę ironią, wiejąca z jego wyblakłych oczu i przesiąkłego dobroczynnością ubrania. Siedział oto z wdziękiem wciśnięty w fotel, człowiek tego świata kortów, leżaków, pięknej pogody, klubowych domków, pryszniców, nowych piłek „Dunlopa”, oryginalnych pulowerów, wytwornych szortów z drogiej flaneli i kolorowych szalików – należący i pasujący do tego jedyne dla siebie kontekstu każdym fibrem swej osobowości, znajdujący doń drogę w każdym cywilizowanym punkcie ziemi – w Warszawie i Kopenhadze, w Salonikach, Buenos Aires i na Riwierze. Inna droga dlań nie istniała, nie mogła istnieć, prowadziła tylko w dół, w upadek, w istnienie bez twarzy i bez nazwiska, a więc w wegetację. Jego szlachectwo było z tego świata, chociaż był synem szewca z Bednarskiej ulicy. Tu, w złotobłękitnym powietrzu, wśród dźwięcznych odgłosów rakietowych uderzeń i krótkich okrzyków, w zapachu głogu, lawendowej wody i dobrego tytoniu dostrzegłem naraz modną, współczesną urodę jego twarzy, opalonej, ściągłej, mocnej, ujrzałem smukłość i siłę jego ręki, związanej żelaznym przegubem z muskularnym przedramieniem, dojrzałem go takim, jaki był w swej istocie – Anatolem Kłuzdą, znakomitym tenisistą, popularnym przedstawicielem specyficznej kasty wielkich dnia dzisiejszego, jaką wyprodukował nasz świetny wiek XX, jego tęsknoty i jego prasa.

– Dwa kruszony owocowe – powiedziałem do przechodzącego kelnera. Kłuzda uśmiechnął się i dodał: – Jeden kruszon i jeden calvados dla mnie, ale – double – uczynił charakterystyczny gest, określający objętość, po czym zwrócił się do mnie: – tu panuje napojowy liberalizm, nikt za nikogo nie decyduje o napojach, nikt nikogo nie obślinia pocałunkami i nie zmusza do picia. Pan wybaczy, ale będziemy się stosować do zwyczajów tego kraju. Jeśli się upiję i zachowanie moje nie będzie panu odpowiadało, zawsze może się pan spokojnie oddalić, nie troszcząc się o uregulowanie rachunku.

Rozzłościł mnie ten pseudowytworny chłód i te narodowe aluzje. Nie zważając na konsekwencje gafy powiedziałem na pozór obojętnie i zupełnie niegrzecznie:

– Wpadł pan w nałóg. To niedobrze. Szkoda. Zapewne są to skutki wojny?

– Myli się pan – odparł lodowato Kłuzda – piłem tak samo przed wojną.

– Mistrz Polski, wielka nadzieja polskiego tenisa – nałogowcem?... Nigdy nic o tym nie słyszałem.

– Nabzdyczył się pan w tak rozbrajający, nadwiślański sposób, że nie sposób jest się na pana gniewać. Panu wydaje się, że powiedział pan coś mądrego, że wnikliwie zważył pan

w coś, co jest według pana niemożliwością. Co za bzdura! A tak, proszę sobie wyobrazić, że mistrz Polski, obrońca barw, defensor tenisowej ojczyzny i chwały, człowiek cytowany przez nauczycieli gimnastyki jako wzór dla młodocianych, rycerz niezłomny spod Wimbledonu i Roland Garros – był nałogowcem. Zwiódł opinię i wyprowadził w pole najbardziej lisich reporterów, omamił kierowników klubów, trenerów, menażerów i kapitanów narodowej reprezentacji. Pił wódkę masami, litrami, rurociągami i nikt o tym nie wiedział. Bo nałóg, mój panie, nałogowi nierówny, trzeba go tylko oderwać od społecznego szablonu, a natychmiast wpływa się na nim, jak na upiornym żaglowcu, na wody nieznanego i na odmęty własnych tajemnic. Czymże jest pijaństwo w Polsce? Jest to ogólnonarodowe błażeństwo z tragicznymi skutkami, tak samo jak tragicznym błażeństwem jest spacer po rynnie na szóstym piętrze, zakończony rozbiciem sobie czaszki o bruk. Wie pan, jeden z francuskich pisarzy stworzył niegdyś pojęcie „rejouissance nationale” – „narodowego ubawiania się”. Co to jest? W Hiszpanii to walki byków, we Francji – licytacje, w Nowym Orleanie i Harlemie – muzyka jazzowa, w Niemczech – Prademarsch, a w Polsce – pijaństwo. Na żadnej ulicy świata nie patrzy się z tak obojętną zgodą na zataczającego się pijaka, jak na warszawskiej, przy tym zgoda ta jest powszechna i niezmiernie łatwo zmienia się w objawy źle pojętej solidarności. Oto korzenie zła. W Europie patrzy się na wesołego pijaka z sympatią, w Polsce jest się solidarnym w stosunku do każdego obrzydliwego, zatruwającego powietrze, spitego jak bela bydłęcia. Narodową dewizą jest, że każdemu to się może zdarzyć. Znak równania stawia się u nas nie pomiędzy alkoholem a rozrywką, lecz pomiędzy zabawą a upiciem się, stąd pijaństwo jest naszą „rejouissance nationale”. Przy tym ta nasza idiotyczna megalomania: wydaje nam się, że jesteśmy najtęższymi pijakami pod słońcem, mając wyjątkowo słabe głowy. Na wytrzymałość i odporność przegrywamy do większości europejskich narodów, nie darmo mówi się we Francji: „saoul comme un Polonais” – pijany jak Polak – a nie mówi się w żadnym języku: pije jak Polak. Pijemy dużo, lecz bez żadnej klasy; ilość, ilość i jeszcze raz ilość – oto norma naszego pijackiego honoru i heroizmu, naszej pijackiej moralności. Brrr... aż mdli mnie, kiedy to wspomnę... Bo ja, widzi pan, ja robiłem inaczej, mimo że czasem musiałem w najbardziej swojskim stylu. Ja od razu wiedziałem, co mnie czeka, przyjmowałem świadomie na siebie brzemię, które było mi wybawieniem, ratowała mnie samowiedza o własnej małości. Nałóg był dla mnie ucieczką, o której dobrze wiedziałem, że nigdzie nie prowadzi, że jest kresem sama w sobie, dlatego znalazłem w sobie siłę do skutecznego ukrywania nałogu, dlatego musiałem zdobyć się na nadludzki wysiłek utrzymywania kondycji przy jednoczesnym zatruwaniu wódką organizmu. Przychodziłem na ranne treningi różowy jak dziecko, ja, który kilka godzin przedtem, w zamkniętym na rygle mieszkaniu, znajdowałem w lustrze przerażające odbicie mojej zmiętej jak szmata twarzy. Nie jestem pewien, czy zdoła pan zrozumieć gigantyczność tego wysiłku, na to trzeba być choć raz w życiu czynnym zawodnikiem...

– Rozumiem. Ale... dlaczego pan pił?

– Spodziewałem się tego pytania. Ciekawość wzięła górę nad dobrym wychowaniem, hę? Może jest pan psychologiem, policjantem lub pisarzem i potrzebne są panu doświadczenia,

notaty. „The strange case of mr. Kluzda, the famous tennis-player”, podoba się panu taki tytuł, co? Nadaje się równie dobrze do kryminalnego dossiers, kartoteki lekarskiej, jak i do noweli. Ja służę, właśnie dziś mam na to ochotę. Pyta pan, dlaczego piłem? To proste. Przeciwno mnie sprzęgły się złe moce. Pan nie wierzy w złe moce, rozumiem, większość ludzi dziś w nie nie wierzy; ja też nie wierzyłem w ich istnienie, dopóki nie zagnały mnie one w nałóg. Zagadnienie moje jest problemem nadprzyrodzonym i moralnym. Widzę, że pan tłumi uśmiech, mogłem się tego spodziewać, skoro jednak wysłucha mnie pan do końca, zmuszę pana przynajmniej do zastanowienia się nad sensem tego sformułowania. Tymczasem proszę zamówić butelkę jakiegoś taniego koniaku i dbać o zawartość kieliszków.

Czy myślał pan kiedyś nad tym, co to jest talent? Ja myślałem dużo, całe noce, bezsenne i gorzkie, nigdy też nie doszedłem do tego, co to jest. Wie pan, współczesna biologia chełpi się, że niebawem będzie można formować charakter człowieka za pomocą zastrzyków. Podobno endokrynologowie, tacy specjaliści od gruczołów dokrewnych, mają na to już swoje sposoby i rozprawiają buńczucznie o tym, jak będą z nas czynili jednostki odważne lub nikczemne, a zależności od rodzaju płynu w strzykawce. Nigdy jednak nie słyszałem, aby któryś z tych panów wspomniał o możliwości stwarzania talentów w ludziach. To by dopiero była gratka dla tych biednych pyszałków, którzy uwierzyli w wy – mierność tego świata – moc produkować to, co jest w ludziach najcenniejsze, co wiedzie człowieka do chwały lub do zguby, co można w sobie samym ukochać aż do samozaparcia i zniechęcić aż do samobójstwa. Nie znalazł się jeszcze biolog, który ośmielił się pomyśleć, że zdoła stworzyć w człowieku to niezwykle „coś”, zwane talentem, ów przedziwny, nadmaterialny, a tak realny składnik osoby ludzkiej, który krył się w wyczuleniu koniuszków palców Rembrandta, w małżowinie ucha Chopina, w spojrzeniu Napoleona. Talent może wypełnić życie ludzkie, może je także zniszczyć, jego różnorodność jest nieskończona, a jego odkrycie decyduje o prawdziwym szczęściu, przy tym jego ciężar gatunkowy jest bezwzględny. Można stać się wielkim, rozwiniętszy wrodzony sobie talent poetycki, talent sprzedawania tekstyliów lub talent hotelowego portiera – trzeba tylko o nim wiedzieć i odkryć go w sobie. Ja urodziłem się obdarzony wielkim talentem do gry w tenisa, długo jednak o tym nie wiedziałem. Mój ojciec miał warsztat szewski na ulicy Bednarskiej, nie najbiedniejszy, uchowaj Boże, ze sklepem, wąskim, niskim i położonym nieco poniżej poziomu ulicy, ale zaopatrującym w modne obuwie co elegantsze przekupki, dozorcynie i pokojówki z całej dzielnicy, a zatem przynoszącym niezłe dochody. Moja wczesna młodość związana była nierozłącznie z Bednarską i jej czarującymi, biegnącymi w dół ku Wiśle rynsztokami, jezdnią z kocich łbów, podwórkami, wśród których pełno było skrawków warszawskiej przeszłości – jakieś fragmenty starych murów, ukryte przejścia na zapuszczone pałacowe ogrody na skarpie, labirynt i chaos małych zeszlowieczonych podwórek, królestwo dzieci, handlarzy starzyzną i żebraków. Widzę w oczach pana błyski zrozumienia, znaczy to, że wie pan, czym była ulica Bednarska, jakie miała uroki, za co i jak można było ją kochać. Zapewne zna pan podniosłą emocję biegania za fajerką, kierowaną za pomocą zagiętego żelaznego pręta. Do tego

rodzaju imprez Bednarska ulica była niezastąpiona – wyścig fajerek w rozedrgane majowe popołudnie trasą od skweru Hoovera w dół aż do nadwiślańskiego bulwaru sprawiał, że przechodnie chronili się do bram i małych sklepików z włoszczyzną, których właścicielki miały w nas zepsutą cebulą.

W okolicach Bednarskiej nie było kortów tenisowych, toteż kariera moja nie zaczęła się od podawania piłek, jak to zazwyczaj sentymentalnie wspomina wiele sław białego sportu. Tym mniej mogła się ona zacząć od lekcji, jakie pobierali chłopcy z tak zwanych dobrych domów od dobrze płatnych instruktorów. Ale ojciec mój posyłał mnie do przyzwoitej szkoły w śródmieściu, miałem łyżwy i zamożnych kolegów, wszelkie przejawy sportu były w tych początkach lat trzydziestych treścią życia mojego pokolenia, tak więc znalazłem się kiedyś na korcie. Miałem wtedy czternaście lat – pamiętam przecież każdy szczegół tego dnia – było to na kortach przy ulicy Wareckiej, które zimą służyły za ślizgawkę. Przyszło nas kilku kolegów, aby obejrzeć wielkie spotkanie o mistrzostwo świata i okolic pomiędzy jedynymi w naszej klasie posiadaczami raket. Po pół godzinie śmiechu i kawałów zrzuciłem marynarkę i po raz pierwszy w życiu wziąłem do ręki raketę. Miałem potem w ręku najdroższe białe slazengery, w Wimbledonie, po morderczym półfinałowym spotkaniu, dostałem w prezencie raketę od Perry’ego, ofiarowaną mu przez najwybitniejszego mistrza od Dunlopa – nic jednak nie da się porównać z przeżyciem, jakie stanowiło dla mnie ujęcie tej zwykłej „Fremy-Stelli”, taniej, tandetnej, prostackiej. Zdało mi się naraz, że uchwyt rakiety przedłużył moje własne ramię, że niewidzialne nity lutują mą prawą dłoń do drzewa rączki, że przedziwna siła wiąże nerwy mych palców z tym obojętnym jeszcze przed chwilą przedmiotem, który naraz, w sposób niezwykle, stał się jakby częścią mnie samego, przedłużeniem mej własnej ręki. Rzecz jasna – nikogo nie olśniłem swą grą, byłem raczej pocieszny, nie mogłem trafić w piłkę i wzbudzałem śmiech jak każdy nieporadny nowicjusz, ale, rzecz osobliwa – każde uderzenie piłki miało głęboki rezonans w moim systemie nerwowym, transmitowane było przez ową dziwną spójnię nierealnych włókien, które łączyły mnie z trzymaną przeze mnie raketą. Od tego dnia datuje się mój zabobonny kult rakiety, który towarzyszy mi do chwili obecnej. Miałem w swym życiu rakiety – przyjaciółki, rakiety – niewolnice, rakiety – oszustki i rakiety – wiarołomne – dziełem tych ostatnich były najboleśniejsze klęski – nigdy jednak nie zapomnę tej pierwszej w moim ręku, tak jak nie zapomina się pierwszego w życiu pocałunku.

Nazajutrz poprosiłem ojca o raketę. Odniósł się do mej prośby życzliwie. Był solidnym, dobrze zarabiającym rzemieślnikiem i podobało mu się, że syn jego chce grać w tenisa. Marzył, abym został adwokatem, i zdawało mu się, że tenis jest pożytecznym szczeblem społecznego awansu, rodzajem korzennej przyprawy do przygotowywanego wykwinnego dania. Kupił mi raketę i piłki, co było oczywistym powodem, że w trzy lata później nie zdałem matury. Odtąd bowiem moje dni przeszły tenisem jak ubranie zapachem naftaliny – każda godzina i minuta, o ile nie była poświęcona tenisowemu działaniu, kryła na swym dniu tenisowe myśli. Moje przedsenne marzenia dotyczyły wyłącznie tenisa; jeśli w nocy trapiły mnie freudowskie widziadła, to miałem tylko jeden wariant: śniło mi się wtedy, że nie mogę

odbić piłki, krzychałem we śnie i budziłem się, zlany zimnym potem. Nie wiem, czy zna pan z własnego doświadczenia taki stan koncentracji całej osobowości na jakimś przedmiocie lub działalności, nie wszystkim jest to dane. We mnie było to przemożne, silniejsze od wszystkiego, a wraz z tą obsesją zaczynał pęcznieć i wychylać się z poczwarkowej niezręczności mój wielki talent. Były to dni i miesiące, w czasie których biegałem wraz z kilku młodymi zapaleńcami po wszystkich kortach Warszawy. Nasze szkolne mundurki, zdarte tenisowe pantofle, zużyte piłki, koszule wysunięte w gorączce gry ze spodni, rozognione twarze i nieustanny entuzjazm jednały nam wszędzie sympatię i na pół ironiczne, na pół przyjazne uśmiechy. Starzy cyniczni trenerzy i dzierżawcy kortów, którzy niegdyś marzyli o karierze i mistrzowskich tytułach, a których sny roztopiły się w wódce i skonkretyzowały w paru złotych za godzinę gry z otyłymi córkami bogatych fabrykantów, patrzyli na nas z szyderczą czułością i pozwalali nam grać za pół ceny. Ich spojrzenia mówiły: „Głupie szczeniaki! Dali się wziąć na tę tenisową truciznę. My też zaczynaliśmy tak samo, tak samo wypruliśmy z siebie młodość w pogoni za piłką, całą siłę uczuć i nadziei włożyliśmy w nasz piorunujący – jak nam się wydawało – drive z forehandu i proszę, co teraz? Jedyłą naszą radością jest para nowych zagranicznych pantofli, a dumą – zaproszenie na kolację z grubym dyrektorem banku, któremu pomogliśmy w uregulowaniu trawienia...” To rozgoryczenie czyniło ich tkliwymi, mimo pozorów męskiej szorstkości i opryskliwości. Niby to nabijając i śmiejąc się z nas ustawiali nam rękę i poprawiali styl, patrzyli przez palce na urwane kilkanaście minut gry ponad czas lub wykorzystywanie każdej chwili na wolnym korcie. O, korty warszawskie! – pan wybaczy ten odruch wzruszenia, lecz ich wspomnienie wrywa mi zawsze cichy okrzyk z piersi... Leżały zazwyczaj w zupełnie nieoczekiwanych miejscach, co ustokrotniało w naszych sercach radość na ich widok. Mój Boże, jak niewielu, zapewne, pamięta dziś korty Jasińskiego na Nowym Świecie, leżące za kilku połączonymi podwórkami, w olbrzymiej studni, ocembrowanej z trzech stron potężnymi kamienicami... Któż pamięta dziś korty w głębokim parowie pomiędzy ulicą Książęcą a Frascati? My trafialiśmy wszędzie, wiedzeni szczurzym, chłopięcym instynktem dotarcia do każdego zakamarka.

Wkrótce biłem bezapelacyjnie moich kolegów. W szerokich kołach towarzyskich młodzieży warszawskiej, w rozbieralni Agrykoli, na gimnazjalnym boisku „Giżyckiego”, na pauzach i w kuluarach „Batorego”, „Kreczmara”, „Władka Czwartego” zaczęła kiełkować moja tenisowa sława. Zostałem na drugi rok w VI klasie, ale za to w zaimprovizowanym na korcie parku Sobieskiego spotkaniu z mistrzem „Reja” rozniosłem tego ostatniego w oczach licznie zgromadzonych widzów obojga płci. Słodycz tego zwycięstwa nie da się z niczym porównać – zdobycie przeze mnie mistrzostwa Danii było tanim winem owocowym po tym szampanie, który uderzył mi wtedy do głowy. Tego samego dnia – była to sobota – odbywał się wieczorek szkolny na pensji Królowej Jadwigi; kiedy wszedłem na salę, poczułem po raz pierwszy smak i potęgę sławy. To zostaje na całe życie... Ciemnooka Irenka w białym pensjonarskim kołnierzyku, dla której gotów byłem wtedy wszystko uczynić, utwierdziła mnie jeszcze w moim najnowszym życiowym doświadczeniu. Odtąd sława stała się moim wielkim

pożądaniem i moją wielką udręką, gdyż wkrótce dane mi było zrozumieć, jak trudną rzeczą jest dobry jej gatunek.

Niebawem trafiłem do klubu. Powie pan, że to było zakazane dla młodzieży szkolnej. Zgoda. Ale warszawska „Legia”, klub o najsilniejszej sekcji tenisowej, mogła sobie pozwolić na zaopiekowanie się zdolnym uczniakiem i wziąć na siebie konflikt z nauczycielem gimnastyki jego gimnazjum. Zresztą szkoła przestawała powoli odgrywać zasadniczą rolę. Wiedziałem już, gdzie będą moje uniwersytety; na tarasie domku klubowego „Legii”, w chwili gdy grałem tam po raz pierwszy, siedziało kilku panów, którzy momentalnie wyrobili sobie analogiczne do mojego zdanie w tej sprawie. To byli znawcy, zaś istota sportowego znawstwa polega na uchwyceniu arcytrudnej do odszyfrowania proporcji pomiędzy ewentualnym rozwojem a możliwościami zawodnika. Ci, rozparci niedbale w wiklinowych fotelach, ludzie mieli tak zwane „oko”. Siedział wśród nich doktor Manel – wysoki, srebrnowłosy gentleman w białych flanelowych spodniach i granatowej marynarce – słynny w Europie kibic i koneser, który w życiu nie odbił piłki, a do którego zwracała się o rady jeszcze Zuzanna Lenglen i pisywał ciągle listy Austin. Patrząc wtedy spod przymrużonych powiek na moją szesnastoletnią sylwetkę, powiedział do kapitana teamu tenisowego „Legii”: – Ten smarkacz to wielki talent. Ma on w czubkach palców bezwiedną, instynktowną wiedzę o tenisie. Nie wolno wam wypuścić go z rąk, nawet za cenę wielkich ingerencji w jego młode życie.

Nie wypuścili mnie. Zajął się mną najwybitniejszy polski trener tenisowy, uczeń Koželucha. Omotał mnie siecią treningów, zapraw, meczów sparringowych, w której poczułem się szczęśliwy. Kiedy jasnym się stało, że nie zrobię matury, w domu wybuchła piekielna awantura – myślałem, że ojciec rzuci się na mnie. Ale gdy w trzy dni później zdobyłem mistrzostwo Polski juniorów, mój biedny ojciec usiadł na starej pluszowej kanapie, cisnąc oburącz skronie i wpatrując się tępo w numer „Przeglądu Sportowego” z moją fotografią na pierwszej stronie. Przestał się orientować, stracił busolę swych ojcowskich zamiarów. Byłem tym szczerze zmartwiony, lecz uspokoilem się nazajutrz, słysząc, jak ojciec krzyczy w sklepie do kogoś przez telefon: – Kłuzda. To moje nazwisko. K-ł-u-z-d-a, do licha, czy nie czytuje pan gazet!?

Ze mną zaś działy się dziwne rzeczy, przechodziłem zasadniczy kryzys, krytyczny moment w każdej sportowej karierze. Uderzyły mi do głowy sukcesy. Zacząłem dbać o elegancję rakiet i szortów, pasjonowały mnie zagraniczne szaliki i rodzaj tenisowych pantofli.

Wchodząc na pływalnię „Legii” w nieskazitelnie modnych slipach, chłonałem pożądliwie zapach popularności. Łowiłem ów zabójczy szmer rozmów: – To Kłuzda, popatrz... Nadzieja polskiego tenisa... wielki talent! ...mistrz Polski juniorów!... – Zależało mi na tym szmerze tak samo, jak z drzeniem szukałem w gazetach swego nazwiska, umajonego superlatywami. Mój panie, wiele wspaniałych sportowych przeznaczeń zniszczyły gazety, te ampułki z najgorszym arszenikiem dla zdolnych wyrostków! Gdyby to zależało ode mnie, nie pozwoliłbym redakcjom zatrudniać jako reportera sportowego nikogo, kto nie przedstawi dyplomu doktora psychologii.

Oczywiście – mój stan psychiczny znalazł wkrótce odbicie w mojej grze, która nabrała cech

maniery. Zacząłem grać na pokaz, przed startem do piłki myślałem błyskawicznie o efekcie gestu, układałem repertuar odbić na miarę wrażenia, jakie wywrę na widzach. Stałem naraz na niebezpiecznym rozdrożu. Wygrywałem nadal, to prawda, nosiłem bowiem w sobie ogromny talent jak w bajce o stoliczku, który się sam nakrywał; wystarczyło jednak, abym uczynił kilka kroków w niewłaściwą stronę, a wszystko byłoby stracone. Moi opiekunowie i trenerzy łamali ręce, ale nic mi nie mogli pomóc; ich rzeczowe, szorstkie wymówki i nauki trafiały mi do przekonania, nie zdołały jednak uleczyć mnie z niedorzecznego spojrzenia na samego siebie – tej choroby zawodu, tak nieodłącznej od sportu jak rozedma płuc od pracy w hucie szkła. Kiedy stanąłem na progu zupełnej degrengolady, interweniował doktor Manel. Schodziłem z kortu pewnego wrześnieowego popołudnia, owinięty swetrami i ręcznikami, z naręczem rakiet pod pachą, po ciężkich pięciu setach z długoletnim reprezentantem Polski w deblu. Wygrał ze mną, ale po morderczej walce, z której byłem bardziej dumny niż z jakiegokolwiek dotąd zwycięstwa – miałem przecież niecałe osiemnaście lat. Na werandzie stał doktor Manel; kiedy zbliżyłem się doń, wypuścił z ręki trzymane pudełko zapalek. Chciałem go minąć, ale zatrzymał mnie i rzekł: – Dobre wychowanie obowiązuje nawet mistrza Polski juniorów. Podnieś, chłopcze, te zapalaki.

Podniosłem pudełko bez słowa. W owym „chłopcze” na pół ciepłym, na pół pogardliwym, zawarty był cały stosunek tego wspaniałego człowieka do mnie, a jednocześnie – prawda o mojej właściwej pozycji. Musiałem wyglądać bardzo żałośnie, jak każdy strącony z wyżyn zarozumiałości w dolinę zrozumienia, gdyż doktor Manel dodał z ową nieopisaną wytwornością, która sprawia, że ludzie jego pokroju potrafią narzucać innym ludziom wyzbytą poufalość serdeczność wzajemnych stosunków: – Idź pod prysznic, Antolku, przebierz się, po czym poszukaj mnie w dolnym rogu prawej trybuny. Będę tam czekać na ciebie, paląc fajkę, a kiedy przyjdiesz – pogawędzimy o sprawach równie ważnych jak interesujących.

W kwadrans potem siedziałem obok doktora Manela, który ssał swój dunhillowski ustnik, obserwując z uwagą grę młodego, wysokiego mężczyzny w białych szortach i granatowym pulowerze. Była to czwarta rakietka Polski, znakomity stylistą demonstrujący zawsze śliczny gatunek tenisa. – Zwróć uwagę – odezwał się naraz doktor Manel, chociaż zadawałem sobie pytanie, czy w ogóle zauważył moje przybycie – na nieporównany wdzięk ruchów Zenona. Oceń należycie ów pełen harmonii, zręczności i siły skręt ciała przy serwie, kiedy linia nóg, przechył klatki piersiowej i rozrzut ramion są samym rytmem zwinnej, błyskotliwej radości życia, muzyką i porywającym rysunkiem gestu zarazem. Tu nie trzeba dodatków ani ornamentyki, tu celowość i umiejętność są zarazem pięknem i doskonałością formy. Widzisz – tenis jest jedyną grą w sporcie, w której nie ma walki wręcz; przeciwnik jest od ciebie oddzielony siatką i przestrzenią kortu, nabierając dzięki temu cech nieco abstrakcyjnych. Stąd w czasie gry zdany jesteś na większą refleksyjność, na lepsze uświadamianie sobie własnych myśli i miotających tobą uczuć. Stąd też cięższe brzemie nerwów w czasie ciężkich meczów, stąd łatwiejsze załamania i uleganie pokusom. Jest w tym czar wielkiej różnorodności przeżyć, ale i większe niebezpieczeństwo skrzywień, których i ty ostatnio

padleś ofiarą. Patrz, chłopcze, jak Zenon pięknie gra, nie zamierzając wcale tego piękna, nie wiedząc o nim i nie myśląc o niczym innym, jak tylko o pokonaniu przeciwnika, patrz i zrozum to, w przeciwnym bowiem razie jesteś stracony dla tenisa.

Zrozumiałem to wtedy, a dziś rozumiem, co zawdzięczam Manelowi. Wtedy też zaczął się mój triumfalny pochód od sukcesu do sukcesu. W wieku lat dziewiętnastu zdobyłem mistrzostwo Polski południowej. Na międzynarodowym turnieju w Wiedniu, tego samego roku, uplasowałem się na trzecim miejscu, przy silnej międzynarodowej konkurencji. Prasa pisała o mnie: „Fenomenalnie utalentowany młody singlista! Człowiek – ściana! Polska gwiazda na firmamencie tenisowym Europy!” Siwowłosy włoski hrabia, przewodniczący europejskiej federacji lawntenisowej i główny sędzia turnieju, po szarpiącej nerwy półfinałowej rozgrywce z mistrzem Węgier, starym weteranem kortów, którego pokonałem w pięciu setach (przy czym ostatni set publiczność oglądała na stojąco, a jeden z widzów uległ atakowi hysterii, kiedy piłka wędrowała w ostrych przerzutach po kilkadziesiąt razy tam i z powrotem ponad siatką), powiedział mi: – To była najbardziej imponująca walka talentu i instynktu przeciw rutynie i wiedzy. Twoja wrodzona żywiołowość, mój chłopcze, nie potrafi się jeszcze uwolnić od nieśmiałości i niedoświadczenia. Kiedy je pokonasz, żyjąc jednocześnie jak mnich, odsuwając od siebie wszystko poza tenisem, wtedy pojawią się przed tobą laury Wimbledonu i najbardziej ekskluzywnych kortów Kalifornii i wystarczy, że wyciągniesz po nie rękę, a będą twoje.

Zapamiętałem sobie te słowa. Nastąpiły miesiące, w czasie których żyłem tenisem.

Rezultaty były oczywiste. Zostałem pierwszym rezerwowym naszej ekipy daviscupowej w wieku dwudziestu lat. Kopenhaga, Budapeszt, Ostenda i Mentona – oto etapy turniejów międzynarodowych, na których sukces następował po sukcesie. Kolorowe kartki pocztowe zbiegały się na ulicy Bednarskiej ze wszystkich stron Europy, a zagraniczne żurnale obuwia, które zewsząd sumiennie przysyłałem, zdobyły wążutkie okno zakładu szewskiego mego ojca, epatując okoliczne ekspedientki i buchalterów.

Następny sezon rozpoczął się turniejem w Biarritz, obsadzonym silnie przez Amerykanów i Australijczyków. Zostałem tam wysłany jako jedyny Polak i doszedłem, mimo wszystko, do półfinału, budząc ogólną sensację. Po raz pierwszy zanotowany zostałem w angielskiej klasyfikacji, w trzeciej dziesiątce na świecie, co było niesłychanym wyróżnieniem. Na pożegnalnym bankiecie zbliżył się do mnie jakiś niepozorny, źle ogolony człowiek, ubrany lichy i tandetnie. Czuć go było alkoholem, a jego blade oczy w zaczerwienionych obwódkach spoglądały krzywo, nieżyczliwie, lecz z jakąś wzbudzającą litość melancholią. Akcent, z jakim mówił po francusku, wskazywał na Anglika. Nie przedstawił mi się, tylko rzekł: – Mam ochotę z panem porozmawiać. – Proszę bardzo – odparłem chłodno, urażony bezceremonialnością tak mało reprezentacyjnego osobnika, co najlepiej tłumaczy się mým młodym wiekiem – jestem do pana dyspozycji. – Więc wyjdźmy stąd. Znajdziemy sobie spokojniejsze miejsce do pogawędki.

Wydawało mi się, że salony recepcyjne kasyna w Biarritz są dość odpowiednim i wygodnym miejscem do rozmowy, ale nie wypadało się cofać. Wyszliśmy więc na Boulevard d'Atalaya;

od zatoki wiała porywista, wilgotna, przejmująca do kości bryza, typowy kaprys Biskai, w której chwiały się rzadkie latarnie, jedyne światła wśród chmurnej, bezgwiazdnej nocy. Postawiłem kołnierz płaszcz i kroczyłem obok mego dziwnego towarzysza, zadając sobie w duchu pytanie: w jaki sposób ten człeczyzna o wyglądzie tracącego klientelę i upijającego się z tego powodu tapicera mógł znaleźć się na turniejowym bankiecie? – kiedy naraz rzekł on: – Zastanawia się pan, jakim cudem znalazłem się w kasynie. Zapewniam pana, że miałem zaproszenie.

Nie odpowiedziałem, zaskoczony trafnością uwagi; cóż zresztą mogłem powiedzieć? Szliśmy dość długo, dzielnica willowa została za nami, wreszcie doszliśmy do portu rybackiego. W wąskiej uliczce towarzysz mój pchnął jakieś drzwi i weszliśmy do zadymionej, rozwrzeszczanej knajpy, pełnej rybaków, szyprów, poławiaczy sardynek, w baskijskich beretach, prostytutek, pasiastych koszulek francuskich marynarzy z wojennej oraz dźwięków mechanicznego pianina, ryczącego bez przerwy „Toujours l’amour...” Krępował mnie mój smoking, widoczny spod płaszcz, nikt tu jednak nie zwracał na to uwagi. Anglik poruszał się w tym miejscu z zupełną swobodą, znalazł natychmiast wolny stolik, jakiś łysy atleta w fartuchu stał z białego ramieniem rozlane wino i spytał, czego sobie życzymy. Mój towarzysz zamówił gin, ja poprosiłem o piwo. – Rozumiem – rzekł Anglik – separacja od alkoholu. To panu nic nie pomoże i tak będzie pan kiedyś pił. – Panie – rzekłem szybko i szorstko – dość mam tego wszystkiego. Wyciąga mnie pan z kasyna po to, aby się bawić w niedowarzone przepowiednie. Kto pan w ogóle jest i czego pan chce? – Jestem obrazem pańskiej przyszłości, młody człowieku. Wiem, co cię czeka, albowiem niegdyś byłem tobą. Zrobiło mi się nieswojo. „Wariat! – pomyślałem w pierwszej chwili – obłąkaniec na tle tenisa. Ładna historia!” Ale nie, ten człowiek nie był szaleńcem; ta sama nie zdefiniowana siła, która prowadziła mnie za nim do tego stolika, nakazała mi przemożnie wierzyć jego słowom, wymawianym spokojnie i beznamiętnie, słowom równie niesamowitym i fantastycznym jak urzekającym. – Niech mi pan wierzy, młodzieńcze, że każdy z tych wspaniałych mężczyzn, tam, w kasynie, dałby wszystko, aby się znaleźć w pana sytuacji. Jestem biednym tenisowym diabłem i mówię tenisistom prawdę o nich samych. I panu też powiem, zanim skończy się ta butelka ginu.

Nalał sobie szklanekę tego piekielnego płynu i wypił, jakby to była woda. Powoli traciłem poczucie rzeczywistości. „Le pauvre diable” mogło oznaczać równie dobrze nędzarza, jak przedstawiciela złych mocy. – Skąd się pan wziął tu, w Biarritz? Na turnieju, a potem w kasynie? – Rozumiem – uśmiechnął się demonstrując zęby żółte i zepsute – zdezorientował pana mój wygląd. Cóż, minęły dni chwały. Ale nie ma ważkiej imprezy w europejskim sezonie, na którą nie byłbym zaproszony. O zaproszeniach na niektóre nawet sam decyduję. Chciałby pan zagrać na trawiastych kortach Wimbledonu, hę? – Aha, pan jest z brytyjskiego związku... – Bynajmniej. Mam mały warsztat naprawy rakiet na jednym z londyńskich przedmieść. Nowe naciągi dla amatorów i tak dalej. Lecz „Big Bill” Tilden, gdy przyjeżdża do Londynu, wysiaduje całymi godzinami u mnie, zaś prezes królewskiego stowarzyszenia lawntenisowego zaprasza mnie przed każdą ważną decyzją do swego klubu

na kolację, mimo że ubieram się bardzo źle i piję o wiele za dużo, niż pozwalają na to regulaminy ekskluzywnych klubów na Pali Mali. Bo, widzi pan, ja się znam na tenisie. Kiedyś sam grałem, ale krótko. Zablýstem jak meteor i rokowano mi największą karierę w dziejach tenisa. Nie zrobiłem tej kariery – lecz to inna historia. W każdym razie pan i ja jesteśmy jednej krwi, jak mawiał Kipling. Gdy tylko pana ujrzałem na korcie, wzruszenie ścisnęło mi gardło. To byłem ja sprzed dwudziestu lat – jeżeli kiedykolwiek urodzili się dwaj ludzie z szóstym zmysłem do odbijania piłek, którego narządem jest rakietą, to ludźmi tymi jesteśmy my dwaj. Pan ma tenis w żyłach, we krwi, w stawach, ścięgnach i korze mózgowej. Piłka sama szuka pana na korcie, a nie pan goni piłkę, jak to czynią wszyscy inni. Instynkt najkorzystniejszego ustawienia się jest tak panu właściwy jak to, co jest dane gołębiowi pocztowemu, aby go wieść właściwą drogą. Niebawem dojdzie pan do przekonania, że na pańskim szczeblu tenisowej potęgi umiejętność, kondycja i rutyna nie znaczą nic, że są to atrybuty tenisowych rzemieślników, bez względu na to, jakie mistrzowskie tytuły byłyby ich udziałem. Na pańskim stopniu wtajemniczenia rządzi już tylko instynkt i wszystkie nadprzyrodzone siły, skryzalizowane w przypadku. Mój Boże, jak łatwo się stać ich igraszką, a im wyżej wzbija się pan na poziomy tenisowego geniuszu, tym łatwiej spowodują one pana upadek. Pan jest Polakiem, młody człowieku, strzeż się pan tedy rozpaczy i alkoholu, bowiem z tymi rzeczami Polacy słabo na ogół dają sobie radę.

Byłem zaszokowany tymi słowami, chaotycznymi, lecz pełnymi treści – chociaż bynajmniej nie przekonany. A już za żadną cenę nie chciałem okazać wrażenia, jakie na mnie wywarły. – Więc co pan radzi? – spytałem z niepewnym uśmiechem po chwili milczenia – cóż czynić? Jak postępować?

Po raz pierwszy Anglik uśmiechnął się serdecznie, ujmująco, z prawdziwą sympatią. – Widzę, że pan nie bierze moich słów poważnie. Może to i dobrze. Nie wyobraża pan sobie, jak bardzo pragnąłbym się w tym wypadku pomylić. Moje sądy były zawsze trafne, przestało mi to sprawiać satysfakcję, a pan bardzo mi się podoba, mój chłopcze. Obawiam się jednak, że jestem skazany na słusność.

Dopił gin, zapłacił, ruszyliśmy ku wyjściu. Zaraz za progiem powiedział: – Gdy ci już nic nie pozostanie, kiedy znajdziesz się bez zdrowia i siły, bez sławy i przyjaciół, bez pieniędzy i nadziei – wtedy odszukaj mnie. Ale nigdy przedtem – tylko wtedy bowiem będziemy mogli usiąść do prawdziwej rozmowy o tenisie przy butelce starej whisky. Tymczasem – good luck...

I znikł w ciemnościach tak nagle, jak się zjawił przede mną w kasynie. Nigdy nie miałem okazji rozmawiać z Tildenem ani z prezesem brytyjskiego Lawn-Tennis Clubu, a pytani przeze mnie angielscy tenisiści nie mieli pojęcia o tym człowieku. Nigdy nie spotkałem go w Wimbledonie mimo usilnych poszukiwań, zaś doktor Manel, kiedy spytałem go o słynnego tenisistę Anglika z początków lat dwudziestych, który zablýsnął jak meteor i równie szybko zgasł, popatrzał na mnie jakoś dziwnie i uciał rozmowę.

Szybko zapomniałem o tym epizodzie, jak lawina przetaczały się przez moje dwudziestoletnie życie sukcesy na korcie, jak pozew mobilizacyjny wkroczyła w nie nagle

Karolina. Raz tylko nawiedziło mnie z niezwykłą siłą wspomnienie rozmowy w Biarritz. Było to podczas mego pierwszego pobytu w Wimbledonie; w eliminacjach drugiej rundy grałem z trzecią rakieta Szwecji, rudym, zwalistym olbrzymem o ramionach góry lej długości. Przegrywałem haniebnie. Szwed bił mnie kondycją, techniką, a nade wszystko ogromną siłą fizyczną, która dawała jego piłkom dynamikę artyleryjskich granatów. Dwa sety przegrałem gładko, w trzecim, przy stanie 5:2, Szwed ma trzy piłki meczowe. Dwie bronię dzięki błędowi przeciwnika, trzecią – niezwykle ostry serw – łapię z trudem i idę za nią po desperacku do siatki. W ułamku sekundy widzę, jak Szwed czeka na słabo odwróconą piłkę, ustawia się do strasznego drive'u, którego uderzenie zdolne byłoby zabić wołu, czuję raczej niż dostrzegam tor piłki, wystrzelonej prosto w moją głowę, kulę się przy siatce w skurczu strachu, wystawiając na oślep obronnym gestem, raketę ponad siebie, piłka odbija się od rakiety pod niezwykle ostrym kątem, kończąc bezapelacyjnie wymianę na moją korzyść. Za chwilę zaczynam grać jak z nut. Wyrównuję w gemach, Szwed jest wytracony z równowagi, wygrywam seta i dwa następne przy zupełnym załamaniu nerwowym przeciwnika. W tłumie gratulujących wydaje mi się, że dostrzegam twarz mego dziwnego rozmówcy z Biarritz. Rzucam się w tę stronę, lecz jest to złudzenie, przy czym zachowanie moje wzbudza wśród obecnych obawy o stan moich nerwów. Zaś w nocy śni mi się zmięta, niechlujna twarz znad zalanego winem stolika, powtarzająca spoza butelki ginu: „A widzisz!... A widzisz!...”

Karolina zjawiała się w chwili, gdy sięgałem po rzecz najważniejszą – po mistrzostwo Polski. Była to szczupła dziewczyna o ciemnych włosach, smukłych nogach i szarych oczach. Nie grała w tenisa, z tej dziedziny interesowały ją tylko moje sukcesy i moja pozycja, nigdy zaś nie potrafiła wnikać w to wszystko, co kryło się poza zwycięstwami, co było mną samym. Kochała mnie, to prawda, znajdowała pełne upodobanie w mej młodszej żywotności i sile, lecz w niczym nie potrafiła mi pomóc. Była mi wierna, lecz nade wszystko ceniła sobie powodzenie u innych mężczyzn, owe przelotne, jednodniowe konkiety i zachwyty, które łowiła z najwyższą satysfakcją w oczach każdego świeżo poznanego. Wiarołomna i prawa zarazem, przekonana o swej subtelności i uczuciowości, a w gruncie rzeczy bezwzględna i trzeźwa, nie odegrała w moim życiu roli niszczącej, ale nie umiała podać mi ręki w chwili klęski. Oczywiście nie dostrzegałem tego wszystkiego tak, jak to widzę obecnie, oślepiła mnie nieszczęśliwa miłość, ten wyrostek robaczkowy w psychice każdego człowieka, ta krzywda niezastuzona, będąca udziałem każdego z nas; niebawem jednak życie miało mi ukazać prawdę. Klęska wisiała nad moją głową, złe moce rozpoczynały właśnie wokół mej postaci swą piekielną sarabandę. Złe moce w tenisie... ha... ha... ha..., a cóż to za chora fantazja może się dopatrywać jakichś nadprzyrodzonych igraszek wśród zalanych słońcem realiów świata kortów, białej flaneli, pełnych widzów trybun? A przecież jak nazwać to, co się zaczęło dziać ze mną? W mistrzostwach Polski zająłem drugie miejsce – było to duże osiągnięcie, rokujące świetne widoki na przyszłość. Ale sukces ten miał skazę: w półfinałowym spotkaniu, które wygrałem po pięciosetowym, trzygodzinnym boju z dotychczasową drugą rakieta Polski, zaszło kilka nieporozumień sędziowskich. Sędziowie liniowi nie mogli się zgodzić co do prawidłowości kilku ważnych, rozstrzygających piłek,

publiczność podzieliła się na dwa obozy i zwycięstwo moje powitane zostało nie bez zastrzeżeń. W prasie były o tym wzmianki. Radość z tytułu wicemistrza zmacona została lekkim uczuciem niesmaku, tym bardziej że wiedziałem o swej rzeczywistej wyższości nad pokonanym przeciwnikiem. Sprawa poszła rychło w zapomnienie aż do chwili, gdy w meczu daviscupowym z Francją stała się rzecz następująca: grałem z młodym singlistą francuskiej ekipy, przystojnym, żywiołowym mężczyzną, na wypełnionych po brzegi kortach Roland Garros. Miałem swój dzień; piłka jakby uwiązana na niewidocznej nitce, szła bezbłędnie tam wszędzie, gdzie kierował ją mój wzrok i moja ręka. Wygrałem pierwszego seta i prowadziłem wysoko w drugim, zwycięstwo moje nie ulegało dla nikogo wątpliwości, gdy naraz mój przeciwnik skręcił nogę. Nie było w tym żadnego pozerstwa, tak częstego na kortach, autentyczny wyraz bólu skrzywił mu miłą, ładną twarz. Ale odmówił zejścia z kortu i grał dalej. Mnie nie wolno było nic powiedzieć ani nic uczynić, regulamin nakazuje w takich wypadkach grać. Poczulem rodzaj psychicznych mdłości, było mi niewypowiedzianie przykro i głupio, cała radość gry i walki, cały smak zwycięstwa zatruty został czymś gorzkim, a nie zawinionym. Cokolwiek bym uczynił, byłoby źle, mój przeciwnik będzie miał zawsze rację. Jeśli wygram – będę brutalem, jeśli przegram – niedołągą. Byłem człowiekiem pozbawionym nagle prawa wyboru, a więc wpadłem w najgroźniejszą zasadzkę moralną. Postanowiłem zagrać bardzo ostro, sądząc, że jest to najwłaściwszy sposób okazania szacunku dla przeciwnika; sprawiło to, że następny set był formalnością, ale za to schodząc z kortu po raz pierwszy w życiu nie usłyszałem ani jednego oklasku. Przeszedłem do szatni ze spuszczoną głową, czując na plecach wrogie spojrzenia. Wieczorem wymknąłem się mym towarzyszom, usiadłem na barowym krzeselku jakiegoś bistro i po raz pierwszy w życiu wypilem samotnie kilka kieliszków koniaku. Szukałem w nich pomocy dla rozwikłania gnębiących mnie zagadnień natury moralnej – znalazłem sztuczną wesołość i zapomnienie, i to było najgorsze. Nazajutrz nie chciałem czytać gazet, wiedziałem, co w nich znajdę, a przecież nie było w tym mojej winy. W Warszawie opowiedziałem o wszystkim Karolinie, o tym, co czułem, i o tym, czego się obawiam.

– Mój drogi – rzekła – postąpiłeś słusznie, w jedyny właściwy sposób.

Nagła fala niechęci zalała mi serce. Karolina nie rozumiała, że w mojej sytuacji żaden sposób postępowania nie był właściwy i że w tym właśnie tkwiła tragiczność. Jak zapach z nieodcyfrowanych sfer bytu rozbłysło w mej duszy wspomnienie Anglika z Biarritz. Sezon, o którym mówię, upłynął pod znakiem nie kończących się sukcesów. Grałem świetnie, wygrywałem zawsze i wszędzie, w meczach międzypaństwowych i w turniejach międzynarodowych, w kraju i za granicą. Były to jednak zawsze zwycięstwa ze skazą, z cieniem, z jakimś „ale”. W Katowicach mylili się na moją korzyść sędziowie liniowi, w Brukseli, po zdobyciu przeze mnie zimowego mistrzostwa Belgii na krytych kortach, prasa zakwestionowała wymiar kortów, w Baden-Baden dwóch mych kolejnych przeciwników łamało w czasie gry rękę. W ten sposób wydzierano mi owoce zupełnie zasłużonych zwycięstw nad przeciwnikami, od których byłem niedwuznacznie lepszy; spadały na mnie nie zawinione ciosy, przed którymi nie mogłem się bronić. Jedno z angielskich pism

sportowych, donosząc o mych sukcesach na Riwierze, nazwało to co się wokół mnie działo: „a dirty mystery” – brudną tajemnicą. Byłem bliski płaczu, kiedy mi pokazano to zdanie; zrozumiałem, że nie znany dziennikarz trafił w sedno sprawy. Było to zaraz po owym strasznym wypadku w Antibes, który związał mnie na zawsze z alkoholem. Grałem finałowy mecz z doskonałym Amerykaninem, notowanym na czwartej pozycji w klasyfikacji swego kraju. Był on faworytem w tym spotkaniu. Pierwszego seta wygrał po ciężkich zmaganiach, lecz w drugim prowadziłem ja; byłem świetnie usposobiony, znalazłem skuteczny środek na szybką i silną grę mego przeciwnika, atakując równie agresywnie i ostro przy siatce, i wydawało mi się, że wywalczę zwycięstwo, gdy naraz stało się coś potwornego. Mój bardzo silny serw Amerykanin odwrócił dość miękko i poszedł do siatki, nie doszedł jednak i osunął się na ziemię. Piorunujący wolej z połowy kortu, którego nie zdołał złapać na raketę, trafił go w nasadę szyi, powodując natychmiastowy krwotok. Całą noc przesiedziałem w korytarzu szpitalnym, skąd poszedłem prosto do knajpy, gdy życiu Amerykanina przestało zagrażać niebezpieczeństwo. Cóż mogłem innego uczynić? Ja wiem, to zakrawa na zwykły powieściowy kicz, takie topienie nieszczęść w wódce, ale czy zastanawiał się pan kiedyś nad tym, ile racji tkwi w szmirowatych bulwarowych piosenkach o miłości, ile życiowej prawdy wyrażają nieudolnymi słowami różne: „Pamiętam twoje oczy dzikie...” lub: „I zawsze będzie czegoś ci brak...” Te niezręczne, śmieszne w swej lichocie zdania mają dla człowieka uległego miłości jasne i doniosłe znaczenie. Alkohol i miłość – najbardziej atrakcyjny sztafaż rzeczy ciekawych – miałem wkrótce zaznać jego uroku w pełni, albowiem Karolina wyszła niebawem za mąż za pewnego bogatego przemysłowca. Nie wiem, co ją do tego skłoniło, być może zagęszczająca się wokół mojej osoby odrażająca atmosfera, może po prostu przestała mnie kochać, a może nigdy nie kochała. Dla mnie był to wstrząsający cios. Powiedziała mi na pożegnanie: – Nie obawiam się o ciebie, dasz sobie radę w życiu. Jesteś mocny, mądry, utalentowany, masz wszystko przed sobą. Te słowa osłodziły mi trochę rozstanie, albowiem od dawna nie słyszałem tak głupich i beztreściwych słów. Ich nicość była mi pociechą w tej chwili właśnie, gdy byłem słabszy, bardziej niż kiedykolwiek przerażony i zdezorientowany. Pozostawał tenis, o którym wiedziałem już dobrze, że prowadzi mnie w przepaść. Popadłem w dziwny stan duszy: bałem się gry, a nie mogłem bez niej żyć. W ciągu bezsennych, topionych w alkoholu nocy przysięgałem sobie tysiącrotnie, że nie wezmę więcej rakiety do ręki – rano wymykałem się chyłkiem, jakby tropiony przez kogoś, na korty, na które wchodziłem pełen obrzydzenia do samego siebie, jak do palarni opium. Wódka niosła ze sobą nieoczekiwane skutki, pod jej wpływem zacząłem czytać książki. Zacząłem od Claude Farrere’a i Choromańskiego, ale już wkrótce zapędziłem się w Norwida i świętego Augustyna. Dziwne, co? Te przesycone wódką noce miały w sobie jakąś orgiastyczność najbardziej nieoczekiwanego gatunku: spirytusowy płomień, który rozpalał mi mózg, rozjaśniał jednocześnie stronicę książek. Leżałem w kręgu lampy na tapczanie, piłem i czytałem. Czy szukałem w książkach jakichś odpowiedzi? Raczej nie – zresztą, nie wiem. Dość, że kiedy przeczytałem w jednej z rozpraw filozoficznych te słowa: „A jednak musimy sobie powiedzieć, że człowiek nie jest Bogiem i że

bez uznania tajemnicy mowy być nie może o obiektywizmie...” – poczułem się nieco uspokojony i podniesiony na duchu. Niedługo trwała ta ulga, gdyż niebawem zabiłem człowieka. Wiem, co chce pan teraz powiedzieć, a raczej wykrzyknąć, rozumiem, że przerażenie walczy w panu ze zdumieniem i pożądaniem odpowiedzi na pytanie: jak to się stało, że nikt o tym nie wiedział, że gazety, opinia, plotki nawet nie odegrały w tej sprawie żadnej roli? To proste – miała ona tak tragiczny posmak, że musiała zostać zatuszowana bez reszty. Widzi pan, ja miałem wroga, śmiertelnego, gotowego na wszystko wroga, którego głębię nienawiści do mnie znałem tylko ja i być może – on sam. Nienawidził mnie zaś za to, że posiadałem wszystko, co jemu było odmówione: był to doskonały tenisista – wyrobnik, uparty rzemieślnik bez krzty talentu i polotu, który żmudną, pełną udręk i morderczych wyrzeczeń pracą zdołał po wielu latach osiągnąć to, co dawała mi jedna chwila, jeden przebłysk mego talentu, jeden odruch wrodzonego instynktu. Kochał tenis całą siłą gigantycznego wkładu pracy, jakiego dokonał, aby osiągnąć swą dobrą, choć nie czołową pozycję w polskiej klasyfikacji. Marzeniem jego życia było wygrać ze mną, którego nienawidził, było to jednak marzenie niezaszczalne, wobec czego zaczął mi szkodzić; czynił to zaś finezyjnie, zręcznie i z takim mistrzostwem, na jakie zdobyć się może tylko wysokiej klasy namiętna nienawiść. Wreszcie stała się rzecz groźna: człowiek ten wpadł na trop mego nałogu. Wiedziony jakąś szatańską intuicją przyszedł do mnie o trzeciej nad ranem i zastał mnie w domu samego i kompletnie pijanego. Nazajutrz, na kortach, zaproponował towarzyską partię debła, śledząc czujnie każdy mój gest. Przystąpiłem niechętnie – zagraliśmy razem, mając za przeciwników reprezentacyjną parę Polski. Grał wtedy znakomicie, jak nigdy w życiu – jednocześnie czułem jego wzrok, wwiercający się we mnie bezustannie; najwidoczniej doznawał rozkoszy myśliwego, który za chwilę strzeli pewnie i bez pudła do zagonionej, upadającej ze zmęczenia zwierzyny. Mylił się, ale nie to było najgorsze. Najgorsze stało się, kiedy odwracając błyskawicznym forehandem piłkę z głębi kortu, trafiłem go, pochylonego przy siatce w kark. Zatoczył się, ale nie upadł, roztarł bolące miejsce i grał dalej. Po grze robił cienkie i subtelne aluzje do wizyty u mnie, dając mi do zrozumienia, że wie wszystko i że ma mnie w ręku. W nocy został przewieziony do szpitala z wstrząsem podstawy czaszki i zapaleniem mózgu. Umarł po trzech dniach, nie odzyskawszy przytomności. Wyjechałem z Warszawy, wsiadłszy do pierwszego lepszego pociągu po trzech nocach nieprzytomnego pijaństwa. Następne kilka dni stanowią kompletną lukę, białą plamę w mej pamięci. Wiem tylko, że zostałem odnaleziony przez doktora Mane – ła na dworcu w Radomiu, w łachmanach i cuchnący alkoholem, śpiący jak ostatni włóczęga na ławce w dworcowej poczekalni. Otworzyłem wtedy leniwie zaropiałe powieki, ujrzałem bladą z wrażenia twarz doktora i usłyszałem jego schryply ze wzruszenia głos: – To nie twoja wina, Anatolu. Możesz wracać. Uczyniliśmy wszystko, co trzeba w takim wypadku uczynić. Musisz mi tylko przyrzec, że już nigdy w życiu nie weźmiesz do ręki rakiety.

Wtedy rozumiałem, że doktor Manel wie wszystko, absolutnie i bez reszty to wszystko, co się działo we mnie i wokół mnie. Pojąłem, że chce mnie ratować przede mną samym, przed

ciemnymi potęgami, tkwiącymi we mnie i w moim losie. Odpowiedziałem: – Przyrzekam. I dziękuję panu za to, że pan tego ode mnie zażądał. – W dwa tygodnie potem wybuchła wojna i wszystko utonęło w wydarzeniach o największym wymiarze.

W butelce zostało jeszcze trochę calvadosu. Nalałem sobie szybko do długiej szklanki po kruszonie i równie szybko wypilem. Kłuzda uśmiechnął się, ale nic nie powiedział. Palił wolno papierosa, zaciągając się głęboko.

Na taras wszedł krępy, mocno zbudowany pan o ciemnych, siwiejących włosach i krwistej cerze czerstwego Francuza, któremu dobrze służą jeziora wina, wypijane przy każdym posiłku. Był ubrany w szare spodnie z flaneli i biały pulower; przechodząc obok naszego stolika stanął naraz jak wryty.

– Nom de Dieu!... – zaczął wskazując palcem na Kłuzdę i dławiąc się potokiem słów, które momentalnie wypełniły mu «sta – przecież... no nie!... no tak!... Pan jest?... Ależ naturalnie – to Kłuzda, wielki Kłuzda! To pan! Jakże się cieszę! Poznaje mnie pan, prawda?

Kłuzda wstał i podał mu rękę.

– Ależ tak, poznaję pana... – powiedział z miłym uśmiechem, który dowodził, że nie ma zielonego pojęcia, z kim rozmawia – poznaję pana, panie...

– Fraise. Jean Fraise z paryskiego Racing Clubu. Przecież Pamięta pan...

– Pamiętam, pamiętam... – mówił Kłuzda z głębokim namysłem, z którego wynikało, że nic absolutnie nie pamięta. Były to zresztą ostatnie słowa Kłuzdy, gdyż za chwilę Francuz zapanował nad nami niepodzielnie. Wyrzucał z siebie wyrazy z szybkością karabinu maszynowego, zadawał dziesiątki pytań, odpowiadając sam sobie na większość z nich. Interesowało go, jak Kłuzda przeżył wojnę, co się z nim działo, dlaczego tak źle wygląda, czy się ożenił, czy ma dzieci, kto zginął z jego rodziny, co robi w tej chwili na Riwierze, jakie ma zamiary, czy potrzebuje pieniędzy, czy zamierza brać udział w nadchodzących turniejach. Na to ostatnie pytanie Kłuzda odpowiedział tak krótkim i suchym „nie”, że Francuza zastopowało na moment. Szybko jednak przyszedł do siebie i znów rzucił się na Kłuzdę z bezmierną żalnością w głosie:

– Ależ monsieur Kłuzda, jak tak można, tu się teraz kroi championnat na światową skalę, przyjeżdżają zawodnicy z Paryża, a także Amerykanie i południowi Afrykańczycy. Pański udział byłby prawdziwą ozdobą, solą tej znakomitej potrawy, a jeśli chodzi o inne rzeczy, to ja rozumiem, Warszawa zdruzgotana przez tych salauds nazi, ale ja jestem w Komitecie organizacyjnym, proszę się o nic nie troszczyć, pan rozumie, dla nas to będzie wielki zaszczyt ponieść pewne koszty...

– Nie, panie Fraise, niestety, nic się nie da zrobić. Przez prawie trzy godziny wyjaśniałem temu panu, dlaczego nie gram w tenisa, i jestem już trochę zmęczony wyjaśnieniami. Chętnie przyjdę popatrzeć, o ile da mi pan wolny bilet wstępu i o ile jeszcze będę w Y, ale nic ponadto, drogi panie Fraise. Kelner – zawołał – chciałbym zapłacić.

Nie pozwolił mi uregulować całego rachunku i zapłacił za calvados. Fraise atakował dalej bez powodzenia. Wreszcie zrezygnowany rzekł:

– Panie Kłuzda, proszę mi przynajmniej zostawić swój adres, tak na wszelki wypadek...
– Ja... nie mam adresu – odparł cicho Kłuzda. I dodał po polsku w moją stronę: – Proszę mi wierzyć, to nie jest poza, to jest prawda.

Pożegnał się i szybko wyszedł. Zostałem sam z Fraise, który był człowiekiem inteligentnym i szybko zrozumiał, że stał się naraz świadkiem spraw trudnych i skomplikowanych. Oględnie poinformowałem go o tym, że Anatol Kłuzda, świetny polski tenisista o światowej sławie, przestał grać w tenisa na skutek pewnych, bliżej nie znanych szerszej opinii przyczyn osobistych. Fraise węszył sensację, był niezmiernie ciekaw szczegółów i indagował mnie dość bezceremonialnie a wnikliwie, jak zorientowany fachowiec. Rozstaliśmy się jako dobrzy znajomi, przy czym Fraise pragnął koniecznie umówić się ze mną na następną pogawędkę, licząc widocznie na odstępstwa od mej powściągliwości. Przez kilka dni nie miałem żadnych wiadomości o Kłuzdzie; myślałem, że opuścił Y. Szukać go nie miało sensu w tym czasie, gdy cała Europa przypominała gwałtownie przemeblowywane mieszkanie, a miliony ludzi żyły w stanie nieustannej przeprowadzki. Wreszcie którejś nocy zbudziło mnie natarczywe pukanie do drzwi mego pokoju. Zerwałem się z łóżka – zegarek, na który rzuciłem okiem, wskazywał piątą rano – narzuciłem szlafrok i otworzyłem; przede mną stał Kłuzda. Twarz miał bardzo bladą i zmiętą, wyglądał jak po długotrwałym pijaństwie, czuć było odeń wódkę. Uśmiechnął się nieprzyjemnie i rzekł:

– Bardzo przepraszam, że tak rano. Zbudziłem pana?

– Oczywiście, ale nie szkodzi. Niech pan siada. Gdzie się pan podziewał? – Usiadł, zapalił papierosa i zaczął bez wstępów.

– Będę musiał pana poprosić o pożyczkę. Zmieniłem zamiary, startuję w tym turnieju, o którym mówił Fraise.

Niedbały na pozór ton Kłuzdy, z jakim wypowiadał te arcyważkie słowa, miał w sobie akcenty tragiczne. Dreszcz przeleciał mi po plecach; może to gwałtowne przebudzenie, a może niezwykłość sytuacji ścisnęła mi gardło i serce owym zimnym skurczem, którego doznajemy wobec rzeczy wielkich.

– A pańskie przyrzeczenie na radomskim dworcu? – rzekłem cicho.

– Proszę się ubrać – powiedział Kłuzda – chcę panu coś pokazać, co znajduje się dość daleko od tego hotelu, za daleko na spacer w szlafroku. A jeśli chodzi o przyrzeczenie – dodał Cedząc wolno słowa – to jestem od niego zwolniony. Nie zdążyłem panu tego opowiedzieć wtedy, zanim zjawił się Fraise, dokończę więc dzisiaj.

Ubrałem się szybko i wyszliśmy – odprowadzani podejrzliwym okiem nocnego portiera mego hotelu – prosto w prześliczny śródziemnomorski brzask dnia. Kłuzda prowadził mnie szybkim krokiem w stronę starej, zapuszczonej, ubogiej dzielnicy miasta. Nie zdradzał ochoty do rozmowy, na moje pytania odpowiadał krótko i niechętnie. Po kwadransie zatrzymał się w wąskiej uliczce przed małym, nędznym sklepem komisowym, zamkniętym o tej porze na cztery spusty. Poza okratowaną szybą wśród starych aparatów fotograficznych, zakurzonej porcelany, fuzji myśliwskich i książek leżała rakietka tenisowa.

Była to bardzo ładna rakietka, o smukłej, lecz mocnej szyjce, nad którą wyraźnie widniała marka „Maxply”, nie zniszczona, widać mało używana.

– To moja rakietka – wskazał palcem Kluzda – są na niej jeszcze moje inicjały, była specjalnie dla mnie zrobiona przez fachowców od Dunlopa.

– Skąd pan wie?

– Oczywiście poznałem ją natychmiast. Byłem także wczoraj w tym sklepie, aby się upewnić. To ta sama. Stary Włoch, właściciel sklepu, powiedział mi, że ta rakietka przynosi nieszczęście. Zostawił ją pewien Meksykanin, który przegrał cały swój majątek w miejscowym kasynie i popełnił samobójstwo. Znalaziono przy nim kwit komisowy i w ten sposób obecnie rakietka nie należy do nikogo. Oddając ją tutaj Meksykanin ów miał powiedzieć: „To jest piekielny przedmiot. Wiem o tym dobrze od jej poprzedniego posiadacza, który uderzył się nią w kolano tak fatalnie, że wywiązał się stan zapalny i facet stracił nogę. Mnie też wyrządziła kilka świństw, nie chcę jej więcej wziąć do ręki...” To by się zgadzało z moimi doświadczeniami. Ten podły zlepek wypolerowanego drzewa i zwierzęcych jelit miałem w ręku w chwili wypadku z owym młodym Amerykaninem w Antibes. Natychmiast po tym zdarzeniu sprzedałem go jakiemuś Norwegowi, który skakał z radości, kupując za psie pieniądze tak świetny sprzęt. Nie wiem, co się z nim stało, ale przypuszczam, że nic dobrego. Mam wstręt do tego „Maxplya”, mało – obawiam się go i dlatego zagram nim w nadchodzącym turnieju. Trzeba przerwać jego złą wędrówkę po świecie, bez względu na to, co się ze mną stanie.

Zrozumiałem. To miała być wspaniała ekspiacja, pogłębiona o nieprzytomne ryzyko.

W obecnej sytuacji Kluzdy niewiele już było gorszych ewentualności od jego własnego losu, a te, które pozostały, nosiły charakter rozwiązań ostatecznych.

– A pańskie przyrzeczenie? – spytałem po raz drugi tego ranka.

– Widzi pan, w powstaniu biłem się w okolicach placu Teatralnego, w tej dzielnicy mieszkał doktor Manel. Spotkałem go w jednej z piwnic. Był smutny i zrezygnowany, ale nie złamany, miał wielodniowy zarost na twarzy, lecz nie stracił nic ze szlachetnego wykwintu swego sposobu bycia. Rozmawialiśmy krótko i serdecznie, parę minut zaledwie, mój oddział wychodził na pozycje. Zdażył mi jednak powiedzieć: „Nad twoją głową, chłopcze, przysięgły się złe moce. Gdy będziesz w moim wieku, uwierzysz w ich rzeczywistość, ale mimo wszystko – wiedz o tym – człowiek sam wykuwa swój los. Spróbuj się jeszcze raz z nim zmierzyć, jeśli uznasz, że nadeszła odpowiednia chwila. Może uda ci się zwyciężyć i ocalić to, co sam w sobie kochasz najbardziej...” Były to ostatnie jego słowa, w kilka godzin później bomba lotnicza zgruzowała dom, zasypując piwnice, z których nikt nie wyszedł żywy. Otóż ta chwila, o której mówił Manel, nadeszła. I dlatego proszę pana o kilkaset franków na wykupienie tej rakietki.

Wyjąłem banknot z kieszeni i podałem mu. Podziękował, pożegnał się obojętnie, zawrócił na pięcie i zniknął w jednej z krzywych, bocznych uliczek.

W kilka dni później otrzymałem zaproszenie do loży na otwarcie pierwszego po wojnie

turnieju tenisowego w Y. Ogarnęła mnie jakaś dziwna gorączka; całą noc, poprzedzając dzień otwarcia, męczyłem się bezsennie, byłem przejęty i podniecony, jakby turniej ów stanowił coś niezmiernie dla mnie ważkiego i rozstrzygającego. Drżały mi ręce, kiedy przed pójściem na korty wiązałem krawat.

W łoży obok mnie siedziało dwóch brytyjskich pułkowników – jeden mały i chuderlawy, drugi gruby i pocący się niemiłosiernie w promieniach śródziemnomorskiego słońca. Niedziela była Piękna jak rzadko, tłumy widzów, przeważnie w mundurach, pokryły stoki trybun centralnego kortu. Mer miasta Y wygłosił emfaticzne przemówienie, w którym przypomniał heroiczne boje tenisowe, toczone niegdyś przez różnych asów na tych oto kortach, i zakończył apostrofą o pełnej chwały, nieśmiertelnej Francji, ojczyźnie Joanny d’Arc. Spiker odczytywał listę spotkań dnia: w pierwszej parze na centralnym korcie grał Kłuzda z młodym wysoko notowanym singlistą paryskim. Był to zaszczyt, wyróżnienie, a może tylko wyczucie sensacji, jakie w nieoczekiwany sposób przejawiał komitet organizacyjny turnieju. Siedzieli widać w nim dobrzy specjaliści, pamiętający przedwojenne wyczyny Polaka. Nazwisko Kłuzdy nieobce było także widzom: kiedy spiker dodał przy nim: mistrz Polski w grze pojedynczej panów na rok 1939” – lekki szmer przebiegł po trybunach, a siedzący w sąsiedniej łoży oficer amerykański rzekł do swej towarzyszki:

– Widziałem przed wojną tego chłopca. Pokazał on tak wspaniałą grę w defensywie, jakiej nigdy przedtem ani nigdy potem nie zdarzyło mi się zobaczyć.

Przeciwnik Kłuzdy był wysokim, mocno zbudowanym młodym człowiekiem o szerokiej klatce piersiowej. Kłuzda, smukły i drobniejszy, wyglądał przedziwnie młodo, gdy wchodzili razem na kort, owinięci w pulowery i ręczniki, z naręczem rakiet w ramionach. Francuz uśmiechał się przyjemnie i młodzieńczo, rozmawiając z sędzią i prowadzącym zawody prezesem miejscowego klubu; Kłuzda natychmiast wyłuskał mnie wzrokiem z tłumu, uśmiechnął się jakoś po polsku i prawą ręką wykonał ów arcywarszawski gest zgiętym przedramieniem i z wysuniętym na bok łokciem, mającym oznaczać, że wszystko jest w niebywałym porządku. Uśmiechnąłem się w odpowiedzi, dodając ten sam gest, co wywołało zdziwioną dezaprobatę moich angielskich sąsiadów. Serce jednak ścisnęło mi się nieoczekiwanie, jakby nie wszystko było w tak zupełnym porządku.

Już od pierwszych piłek widać było, że Francuz jest groźnym przeciwnikiem i przedstawicielem najnowszego, ofensywnego, bazującego na sile fizycznej stylu gry. Wraz z piekielnie silnym i szybkim serwem pruć – jak biała błyskawica – do siatki, wyłapywał w fantastycznym rozrzucie całego ciała usiłującą go minąć piłkę i kończył ją bezapelacyjnie. Przez pięć pierwszych gemów Kłuzda nie istniał na korcie. Rozczarowanie wzbierało na trybunach jak nadciągający deszcz. Byłem wściekły na siebie i przerażony zarazem; wyrzucałem sobie, że tkwiąc przez cały czas w urzekającej atmosferze, jaką wytwarzał wokół siebie Kłuzda, zapomniałem o najważniejszych w sporcie prawach treningu i kondycji. Przecież to był bezgraniczny nonsens zgodzić się bez protestu na jego udział w normalnym, ciężkim i silnie obsadzonym turnieju po sześciu latach kompletnej separacji od tenisa. To zakrawało na groteskę i szmirę zarazem.

W ostatnim gemie nawiązała się krótka walka, rozstrzygnięta przez Francuza na jego korzyść, i w ten sposób Kłuzda przegrał gładko seta. W przerwie Kłuzda podszedł do mojej łoży. Ze zdumieniem zauważyłem zupełny niemal brak zmęczenia na jego twarzy, był tylko lekko spocony.

– No i co? – spytał. Natychmiast też poczułem bijącą odeń woń alkoholu.

– Tego się mogłem spodziewać – zgrzytnąłem nie panując nad sobą – nie dość, że stał się pan tu bohaterem smutnej komedii, zgadzając się na start po tylu latach absencji, ale jeszcze jest pan pijany!

– Mówi pan głupstwa – uśmiechnął się bez urazy – nie jestem pijany, mam tylko za sobą nie przespaną noc. Rozmawiałem przez wiele godzin z tą rakieta i wypłem kilka kieliszków nad ranem, aby się rozgrzać. Zresztą zobaczy pan, co tu się zaraz będzie działo.

Powiało niesamowitością i szaleństwem. W słoneczne, kolorowe popołudnie, wśród tłumu ludzi, poczułem jakiś mroczny dreszcz, jak na upiornych filmach o nocnych, zasnutych deszczem i mgłą zamczyskach.

I nagle znów stało się jasno, mimo że na korcie zaczęły się rozgrywać rzeczy naprawdę niesamowite. Huraganowe ataki Francuza natrafiły naraz na skalną ścianę. Szatańskie skrót, piorunujące woleje o sile i szybkości odrzutowego pocisku, nieprawdopodobne smashe, zdolne wybić dziurę w korcie – wszystko to natrafiało u końca swego toru na rakieta Kłuzdy ustawioną tak właśnie, jak trzeba do skończenia piłki. Zdawało się, że cały korpus Kłuzdy w nieprzytomnym skręcie leci za rakieta ciągniętą w przestrzeń przez magiczną siłę. Zjadliwe, wijące się po ziemi piłki znajdowały tę rakieta na ułamek dziesiątej sekundy przed ponownym dotknięciem kortu; odwracane z tych straceńczych pozycji lądowały nieomylnie o kilka milimetrów od linii rogów po przeciwległej stronie. Francuz szalał, dawał z siebie maksimum pasji i umiejętności, grał najlepszy mecz w swoim życiu, raz po raz zrywał się do gigantycznych ataków, pomnożonych tysiącokrotnie przez siłę namiętej młodości – lecz rakieta Kłuzdy była wszędzie, każdy atak rozbijał się o coś nie do przebycia i siły atakującego kruszały, nikły, rozpląwały się jak fale powietrza sprężonego w burzę, która nic nie poradzi skalnemu muirowi. Przy stanie 5:1 dla Kłuzdy Francuz rozpaczliwie poderwał się raz jeszcze do walki, ale był to ostatni zryw heroizmu raczej niż możliwości; publiczność wstała z miejsc, cisza zapanowała jak na pogrzebie – ciszę rozerwał za chwilę gwizdzący drive setowej piłki, która strzeliła z ramienia Kłuzdy, i – grzmot oklasków. Znalazł się naraz przy mnie Fraise, rozgorączkowany i zachłystujący się tysiącem słów jednocześnie, moi angielscy sąsiedzi powtarzali na przemian: „Wspaniale!” i „Znakomicie!” Kłuzda, zmieniając stronę, zatrzymał się przy mnie. Wycierał twarz ręcznikiem.

– Ta rakieta jest zaczarowana. To ona gra, a nie ja – rzekł spokojnie i poważnie. Oczy miał przytomne i smutne.

Poczułem naraz przyływ strachu i chęć ucieczki jak człowiek wplątany w tajemnicę, której nie chciał znać i której się bał. Kłuzda odszedł na kort i zostałem sam ze swoją wiedzą, jedyny wśród tego tłumu, widzącego tylko najzewnętrzną stronę rzeczy, przykuty

niewidzialnym nitem do krzesła.

Dwa następne sety były prostą formalnością, naprzeciw Kłuzdy walczył już cień zawodnika sprzed godziny, znikome resztki żywiołowości, uśmiechające się tylko z podziwem po każdym udanym zagranium przeciwnika. Ostateczne zwycięstwo Polaka było czymś tak oczywistym, że nie wywołało nawet owacji; punkt kulminacyjny widowiskowej frenezji leżał w drugim secie.

Siedziałem, otępiąły z wysiłku nerwów, pośród zemocjonowanego i komentującego tłumu. Nie spuszczałem oka z Kłuzdy, otoczonego przez dziennikarzy, organizatorów i ciekawskich. Naraz ujrzałem, jak do grupy tej dopadł Fraise, blady i roztrzęsiony, krzyknął coś, po czym wszyscy rzucili się w stronę domku klubowego. Poderwałem się jak w transie – coś sformułowało mi się w duszy w dwa wyrazy: „Stało się! Stało się!...” – powtarzane jęklonie jak na zepsutej płycie – i zacząłem przepychać się ku szatniom. Walczyłem z tłumem jak w koszmarnym śnie; już osiągałem taras, gdy ktoś złapał mnie za ramię i tuż przy swojej twarzy poczułem raczej niż ujrzałem nalaną twarz i zwisający wąsik właściciela bistro z Avenue de la Gare, entuzjasty tenisa.

– Cudownie! – zachłystywał się zachwytem, obejmując mnie w pół. – Genialnie! Niech pan z nim potem przyjdzie, stawiam całą ciężarówkę najdroższej przedwojennej whisky!...

– Puść pan, słyszysz!... Do cholery, puść bo... – pchnąłem go gwałtownie ramieniem w pierś i skoczyłem na taras.

Przebiegłem restaurację i wpadłem do męskiej rozbieralni. Było tu mnóstwo ludzi, otaczających ławkę, na której leżał rozciągnięty jakiś biały kształt. Zdołałem zauważyć poszczególne elementy obrazu: stetoskop lekarski, przyłożony do czyjejś piersi, plamę krwi na podłodze, blade twarze stojących wkoło – to było wszystko. W głowie łomotało mi jedno: Kłuzda! Tu go nie było. Szarpnąłem najbliższego stojącego:

– Gdzie jest Kłuzda?

Nie wiedział. Nikt nie wiedział. Rzuciłem się w korytarz prowadzący do kabin i natrysków – było tu pusto i cicho. Pobiegłem aż do końca i już miałem wracać, gdy spoza zamkniętych drzwi umywalni usłyszałem cichy jęk.

– Otwórz! – krzyknąłem po polsku. – Otwórz! Natychmiast otwórz, ty durniu, idioto! Otwórz, bo...

Nie zmyliła mnie nagła cisza. Odbiłem się od przeciwległej ściany i rąbnąłem ramieniem w drzwi. Lakierowana dykta puściła od razu i siła rozpędu wrzuciła mnie na środek toalety. Kłuzda stał oparty o ścianę, z rakieta w ręku. Był już przebrany w swe unrowskie ciuchy, wyglądał jak pijany włóczęga. Oczy miał przymrużone, w kącikach ust pianę. Rzekł:

– Po co ta cała awantura? Po co te warszawskie zwyczaje? Niech się pan ode mnie odczepi, dobrze?...

– Co się z panem dzieje, na litość boską, niech pan skończy raz na zawsze z tymi fanaberiami, Kłuzda... – schwyciłem go za ramię, ale odepchnął mnie silnie. Przeciagnał lekko palcami po naciągu. Struny wydały niebywały, niesamowity jęk, zupełnie jak płacz złego dziecka. Włosy zjeżyły mi się na głowie.

– Skończę – powiedział Kłuzda z nieprzytomnym uśmiechem – zaraz skończę z tym piekielnym narzędziem nieszczęścia, z tym diabelskim prezentem. Niech pan będzie spokojny, zaraz...

Schwycił nagle raketę oburącz i zaczął tłuc nią z potworną siłą o muszlę pisuaru. Trzask pękającego drzewa zmieszał się z ohydny jękiem jakiegoś mordowanego stworu. Ogarnął mnie lepki, wstrętny lęk, nie mogłem się jednak ruszyć z miejsca. To potworne skomlenie dartych strun zdawało się doprowadzać Kłuzdę do szału. Mełł w ustach jakieś obelżywe, polskie i francuskie przekleństwa, kopał i deptał strzępy drzewa i naciągu. Wreszcie odepchnął wszystko nogą, obciągnął marynarkę i zbliżył się do mnie.

– Pana mam dosyć – rzekł spokojnie i arogancko – proszę się raz na zawsze przestać mną zajmować i dać mi święty spokój.

I wyszedł z toalety opanowanym krokiem.

Na uginających się kolanach dotarłem do klubowego baru, gdzie wypilem szybko dwa koniaki. Musiałem być bardzo blady, gdyż barman powiedział:

– Ale pana wzięło. Bo też i sądny dzień u nas dzisiaj.

– Aha. Ale co się właściwie stało z tym młodym paryżaninem. Nikt nie umie mi dokładnie powiedzieć.

– To ja panu powiem, któż zresztą może dokładniej wiedzieć ode mnie. Ma się to stanowisko... Otóż, kiedy ten chłopiec grał, przyszła depesza, że urodził mu się syn. Ci faceci z kierownictwa powiedzieli, że pokaże mu się tę wiadomość dopiero po meczu, bo i po co wcześniej. Jak wygra, to się ucieszy jeszcze bardziej, jak przegra – to go ta dobra nowina pocieszy, a tymczasem niech sobie spokojnie gra. I rzeczywiście przegrał, dali mu depeszę, tak się uśmiechnął z radości, jakby w nim reflektor zapalili, narzucił tylko płaszcz i wyskoczył na ulicę, chcąc jak najszybciej na pocztę nadać gratulacje dla żony. Z zakrętu wypadł wojskowy jeep – wie pan, jak ci pijani Amerykanie prują – no i resztę pan zna. Na śmierć, oczywiście, pęknięcie nasady czaszki, jak mówili ci, co się orientują. No i co jest warte życie ludzkie? i ta odrobina ludzkiego szczęścia? Tyle co ta ścierka do kieliszków, no nie?...

Chciałem poprosić o potrójny koniak, ale wydało mi się, że takie skwitowanie słów barmana byłoby za bardzo w jego własnym stylu.

Kłuzdy nie ujrzałem już nigdy. Wraz z Jeanem Fraise, z którym jeszcze tego samego dnia odbyłem kilkugodzinną rozmowę, objechałem całe Y wszystkie knajpy, nabrzeża i komisariaty policji. Kłuzda znikł bez śladu i wieści, morze nie wyrzuciło jego trupa po kilku dniach, jak to zazwyczaj bywa w wypadkach samobójstwa. Co dziwniejsze – nikt nie miał pojęcia, co się stało z resztkami pogruchotanego przez Kłuzdę, fatalnego „Max – playa”.

Wieczorem, po wspomnianej rozmowie, pojechaliśmy na korty; toaleta była czysto sprzątnięta, a nazajutrz cały personel klubu, od zarządzającego do ostatniej sprzątaczkii, przysięgał, że nie widział na oczy żadnych szczątków połamanej rakiety w żadnej toalecie. Po kilku latach dostałem list od Fraise'a. Pisał mi obficie i ze swadą, że zafrapowany moim opowiadaniem czynił w Londynie gruntowne i wytrwałe poszukiwania za Anglikiem z Biarritz,

owym „pauvre diable du tennis” – ale wszystko na próżno. Mimo świetnych kontaktów z elitą znawców i specjalistów nikt tam nic nie wiedział o takiej postaci, w konsekwencji czego on, Fraise, zaczyna się skłaniać ku przypuszczeniu, że spora część mego opowiadania o Kłudzie była owocem mej narratorskiej fantazji. Nie odpisałem na ten list, poczułem się urażony, aczkolwiek w tym czasie sam już zbyt dobrze nie wiedziałem, co wtedy, w Y, należało do świata rzeczywistości, a dziś nie dałbym nawet głowy za to, czy kiedykolwiek w życiu rozmawiałem z Anatolem Kłudą, znakomitym tenisistą. W każdym razie pewien jestem realności jednej rzeczy: owego potwornego uczucia strachu w klubowej toalecie. Dziś, wspominając to, czuję zimny dreszcz przerażenia, paraliżujący mi ruchy, identyczny lęk, jaki schwycił mnie za serce i mózg wtedy, kiedy uciekłem z toalety, bojąc się panicznie nawet spojrzeć w stronę leżących na klinkierowej podłodze połamanych kawałków drzewa.

Warszawa, październik 1951 r.